

Dahl Arne

Drużyna A tom: 1

Misterioso

1

Coś przedzierało się przez zimę. Nie potrafił określić, co to było, ale było na pewno - ciepły powiew wiatru, falująca smuga światła na zaciągniętym chmurami niebie, a może chlupot zamiast znajomego skrzypienia, gdy przechodził przez kałużę wokół miejsca parkingowego, przy którym wciąż widniało jego nazwisko.

Stał przez chwilę, wpatrując się w zachmurzone poranne niebo. Było takie jak zwykle. Wisiało nad bankiem niczym ochronne zadaszenie i zapraszało do środka.

Ta sama cisza.

W oddali widać było wieś. Sprawiała wrażenie wymarłej, tylko gdzieniegdzie unosiły się cienkie strużki skłębionego dymu - oznaka życia. Usłyszał jednostajny świergot sikory ubogiej. Gdy zadarł głowę, zobaczył, jak wychyla się z gniazda tuż pod kalenicą. Zamknął samochód, przeszedł kilka metrów w stronę niepozornego wejścia dla personelu, wyciągnął pęk kluczy i zabrał się do otwierania pierwszego z trzech solidnych zamków.

W banku pachniało zwykłym poniedziałkiem, dusznym, zastałym powietrzem po weekendzie, które odświeży Lisbet, gdy tylko przyjdzie do pracy, ciągnąc za sobą chmurę przyjaznego szczebiotu.

Zawsze zjawiał się pierwszy, tak już miał w zwyczaju. Było jak zwykle.

Powtórzył to kilka razy: było jak zwykle. Możliwe, że powiedział to o jeden raz za dużo.

2

Stanął przy kasie i wyciągnął szufladę. Wyjął z niej podłużne złożone etui, przez chwilę ważył w dłoni jedną z długich lotek zakończonych piórkami. Jego osobista broń

Nawet wtajemniczeni nie zawsze wiedzą, jak powinna wyglądać lotka do gry w darta. Jego lotki były długie, robione na zamówienie, z korpusem długim na dwanaście centymetrów z czego aż siedem zajmował grot - to zawsze dziwiło innych graczy - i dosyć krótkimi, krzaczastymi skrzydełkami. Wyjął trzy lotki, minął ściankę działową i przeszedł dalej w głąb biura. Wisiała tam tarcza. Nie spoglądając na podłogi ustawił stopy tak, że czubkami palców dotykały czarnej kreski oddalonej o równo dwieście trzydzieści siedem centymetrów od tarczy, i rzucił po kolei trzy razy. Wszystkie lotki trafiły w pojedynczy pierścień; dopiero się rozgrzewał. Wszystko było jak trzeba. Wszystko było tak, jak miało być.

Złożył dłonie i wygiął je tak, że rozległo się lekkie chrupnięcie - przez kilka sekund potrząsał nimi w powietrzu. Potem wyjął pek kluczy z kieszeni płaszcza, minął z powrotem ściankę, podszedł do skarbca i otworzył go. Drzwi rozwarły się powoli, ociężale, z głuchym pomrukiem.

Jak zawsze.

Przeniósł siatkę wypełnioną zwojami banknotów na swoje biurko, rozłożył. Przez chwilę im się przyglądał, jak zwykle.

Zaraz przyjdzie Lisbet, już od progu opowiadając historyjki odzinne, a potem Albert, odchrząkując jakby z poczuciem wyższości skinie sztywno w ich stronę. Na końcu Mia, ciemnowłosa, acha i małomówna, patrząca na wszystkich spod grzywki. Za chwilę aromat kawy parzonej przez Lisbet wypędzi resztki poweekendowego zaduchu i wypełni biuro zapachem spokoju i bezpieczeństwa. Potem zjawia się pojedynczy klienci, chłopcy podający niezdarne swoje wiekowe książeczki oszczędnościowe, gospodynie domowe skrzętnie notujące nawet najmniejszy wydatek, emeryci

starający się za wszelką cenę odsunąć groźbę przejścia na karmę dla kotów.

Dobrze mu tu było. Ale wioska wyludniała się z każdym rokiem, mieli coraz mniej klientów. Było jak zwykle, pomyślał.

Wrócił za ściankę, chciał jeszcze rozegrać szybką pięćset-jedynkę. Licząc od 501 do zera. Jakies dwie dwudziestki w potrójnym pierścieniu i kilka rzutów do środkowego koła, *bull's ring*, powinny przyspieszyć sprawę. Jak zwykle. Jego lotki mknęły lekko rozedrganym lotem, który wyróżniał je od lotek innych graczy, i trafiały zawsze tam gdzie trzeba. Gdy usłyszał uderzenie zegara, zostało mu jeszcze osiemdziesiąt siedem punktów.

Dziewięć trzydzieści.

Pochłonięty obmyślaniami strategii podszedł odruchowo do drzwi i otworzył je. Było jak zwykle. Rozegramy to możliwie jak najprościej, zastanawiał się, pojedyncza piętnastka i dwudziestka, a potem pierwsze dziś *bull's eye* - pięćdziesiąt punktów, doskonałe przybliżenie. 85. Potem już jedynka w podwójnym pierścieniu, na samo wyjście. 87. Prościzna. Wyzwaniem będzie tylko trafienie trzecią lotką w mały czarny punkcik *bull's eye*. Na dobry początek dnia.

Na dobry początek całkiem zwykłego dnia.

Trafił piętnastkę w pierścieniu pojedynczym i dwudziestkę w podwójnym, dla podniesienia adrenaliny; lotka chybotwała się na metalowej krawędzi oddzielającej pierścienie, ale utrzymała się. Żyłka zadrżała lekko poruszona. Zostało jeszcze *bull's eye* - sam środek tarczy. Skoncentrował się, uniósł lotkę, mierząc w tarczę długim ostrzem, i cofnął rękę jakieś dziesięć centymetrów, trzymając ją na wysokości oczu.

Właśnie wtedy usłyszał odgłos zatraskujących się drzwi.

Coś się nie zgadzało. Nie tak miało być. Tak już było. Wtedy.

Opuścił rękę i wyszedł za ściankę, do działu obsługi klienta.

Potężny, wielki jak byk mężczyzna celował w niego z ogromnego podłużnego pistoletu. Stał jak skamieniały. Wszystko się rozpadło. To jakaś pomyłka, to jakaś cholerna pomyłka. Nie teraz. Tylko nie teraz. Jakby ziemia usunęła mu się spod stóp.

Mężczyzna podszedł do okienka i podał mu pustą torbę podróżną. Odłożył lotkę, otworzył okienko i sparaliżowany wziął torbę.

- **Fill it up** - odezwał się byk łamaną angielszczyzną. Powoli i metodycznie układał zwoje banknotów w torbie.

Obok niej leżała lotka z długim ostrzem. W głowie kłębiły mu się myśli, jakiś kompletny chaos. Zostało już tylko **bull's eye**, pomyślał, ale zaraz potem przypomniała mu się Lisbet, godzina dziewiąta trzydzieści, otwarte z przyzwyczajenia drzwi do banku, wyjście przez podwójny pierścień, anonimowy list w brązowej kopercie z centrali, zaciśnięte pięści przy dźwiękach jazzu, miękkość Leny i zęby, które dzwonią pod językiem, a potem znowu to **bull's eye**.

Byk opuścił na chwilę pistolet i rozejrzał się zaniepokojony po banku.

Pomyślał, że w stresie potrafi dać z siebie wszystko.

- **Hurry up!** - syknął mężczyzna, zerkając nerwowo przez okno. Jego oczy były całkowicie czarne, otoczone lekko zaczerwienioną obwódką.

Bull's eye, pomyślał i wziął do ręki lotkę. Potem zostało mu już tylko wyjście.

2

PIERWSZE, co przyszło do głowy Paulowi Hjelmowi, to że już dawno nie jechał radiowozem na sygnale. Siedział z tyłu, wciśnięty pomiędzy dwóch umundurowanych posterunkowych i kryminalnego w cywilu, który wyglądał zupełnie jak on. Pochylił się do przodu i położył rękę na ramieniu kierowcy w chwili, gdy skręcając gwałtownie w lewo na Botkyrkaleden, przypalili gumę. - Lepiej wyłączmy syrenę - powiedział ze spokojem.

Kierowca wcisnął odpowiedni guzik, ale niewiele to pomogło; pisk opon i warkot pracującego na przyspieszonych obrotach silnika sprawiały, że hałas nie przycichł nawet na chwilę.

Hjelm spojrzał na kolegę w cywilu. Svante Ernstsson kurczowo trzymał się uchwyty zwisającego nad jego głową. Hjelm zaczął się zastanawiać, czy w nowych radiowozach też montuje się uchwyty w tym miejscu, ale zaraz uświadomił sobie, że przecież nie o tym powinien teraz myśleć.

Pomyślał też, że często myśli o tym, o czym nie powinien.

I że w ogóle coraz częściej myśli.

Zaledwie miesiąc temu Svante Ernstsson wyszedł cało z okropnego wypadku na Tegelangsvagen, kiedy jego auto roztrzaskało się w trakcie jakiegoś absurdalnego pościgu w przemysłowej części Fittji. Ernstsson zaśmiał się pod nosem, gdy samochód przedarł się przez zatłoczoną autostradę przy Fittjamótet, przechylił w lewo na długim zakręcie w kierunku Slagsty i minął skrzyżowanie.

Tegelangsvagen biegła na prawo, nieruchome spojrzenie Svante Ernstssona uparcie na prawo. Potem jakby złagodniało.

6

Hjelmowi wydawało się, że widzi dokładnie to, co widzi, i czuje dokładnie to, co czuje. Po niemal siedmiu latach bliskiej współpracy w jednym z najbardziej niebezpiecznych okręgów policyjnych w kraju wiedzieli o sobie wszystko. A mimo to miał świadomość, że tak naprawdę znają tylko część siebie. Czy tylko tego się nauczył?

Czuł pustkę. To dlatego udzielił mu się strach kolegi. Chciał choć przez chwilę nie być sobą. Dzień nie mógł się gorzej zacząć. W sypialni brakowało powietrza, wiosenne słońce kładło się na żaluzjach, wzmagając poczucie alienacji. Miał lekki poranny wzwód; podczołgał się do Cilli, ale ona odsunęła się od niego delikatnie. Nie zauważył tego, nie chciał tego zauważyć. Przysunął się jeszcze bliżej; nie opuszczało go to uparte, duszne podniecenie. Cilla odsunęła się jeszcze kawałek, a potem dalej, centymetr po centymetrze, na samą krawędź łóżka, aż z niego spadła. Poderwał się z łóżka, już całkowicie przebudzony. Usiadł wyprostowany, odeszła mu cała ochota. Cilla podniosła się powoli z podłogi, pokręciła tylko głową, jakby ze wściekłości zabrakło jej słów. Włożyła rękę w majtki i podsunęła mu pod nos zakrwawioną podpaszkę. Wykrzywił się, wyrażając zarówno obrzydzenie, jak i skruchę. I wtedy zobaczyli, jak zza drzwi wychyla się czternastoletnia pryszczata twarz Dannego. Przerażony chłopak wybiegł z sypialni, przekręcił klucz w zamku do swojego pokoju i puścił Public Enemy na cały regulator. Spojrzeli na siebie. Nagle znów stanowili całość, jakby zjednoczyło ich jakieś niejasne poczucie winy. Cilla wybiegła z sypialni, ale jej pukanie do drzwi Dannego na niewiele się zdało.

Usiedli do śniadania.

Tova i Danne wyszli do szkoły. Danne nie zjadł śniadania, nie odezwał się ani słowem, nawet na nich nie spojrzął. Stojąc odwrócona do Paula plecami, Cilla Hjelm powiedziała do wróbla w karmniku na parapecie domu szeregowego w Norsborgu:

- Byłeś przy dwóch porodach. I jeszcze się, cholera, brzydzisz naturalnymi funkcjami kobiecego ciała?

Czuł pustkę. Minęli ogródki działkowe z prawej i szkołę na osiedlu Brunna z lewej. Po chwili zjechali na Tomtbergavagen, której wielka podkowa otaczała trudną do zdefiniowania granicę między Hallundą i Norsborgiem, blisko czterysta numerów w pierścieniu od Hallundavagen do Hallundavagen. Wykonali ostry zakręt w lewo, w stronę rynku w Hallundzie; przez chwilę miał na kolanach Svante Ernstssona. Wymienili zmęczone spojrzenia, a potem patrzyli przez okno na krótkie, ale zatłoczone uliczki Linvagen, Kornvagen, Hampvagen, Havrevagen. Jak z podręcznika do agronomii*. Całkowite zaprzeczenie społeczeństwa agrarnego - wysokie, anonimowe domy z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kompletny brak wyobraźni. Zarzewie, pomyślał Paul Hjelm, choć sam nie do końca rozumiał, o co mu chodzi. Pobrzmiwały w nim wymarłe głosy społeczeństwa agrarnego.

Na rynku stały już trzy radiowozy, miały otwarte drzwi, za którymi kryli się umundurowani policjanci z wyciągniętą bronią. Celowali w różne strony. Reszta policjantów biegała po rynku, odpędzając gapiów i spacerowiczów z wózkami i psami.

Zaparkowali obok. Najpierw wysiedli posterunkowi, żeby pomóc w akcji, określanej potem jako „ewakuacja otoczenia”. Hjelm przesunął się bliżej drzwi wozu, Ernstsson wysiadł i podszedł do samochodu obok. Wychyliła się z niego workowata postać Johana Bringmana. Rozprostowywał swoje obolałe plecy.

- Biuro imigracyjne - powiedział z wysiłkiem, dalej się prostując. - Trzech zakładników.
- No dobra, co wiemy? - spytał Ernstsson, patrząc z góry na zgiętego w pół Bringmana, i rozpiął skórzaną kurtkę, bo późno-zimowe słońce zaczęło już mocno przypiekać.
- Drugie piętro, uzbrojony. Główna część budynku ewakuowana. Czekamy na jednostki specjalne.
- Z Kungsholmen? - rzucił Hjelm z wnętrza samochodu. - W takim razie chwilę to potrwa.

Widzieliście korki na E4?

Lin, toni, hawpa, havre (szw.) - len, jęczmień, konopie, owies.

- Gdzie jest Bruun? - zapytał Ernstsson. Bringman pokręcił głową.
- Nie mam pojęcia. Pewnie czeka na szanownych gości. Tylko jednej urzędniczce udało się wyjść z biura. Johanna, pozwolisz na chwilę? To jest Johanna Nilsson, pracuje tu.
- Z radiowozu wysiadła blondynka, na oko czterdziestoletnia. Stała naprzeciwko Ernstssona, trzymając jedną dłoń na czole i obgryzając paznokcie drugiej. Svante Ernstsson położył rękę na jej ramieniu i odezwał się łagodnie:
- Niech się już pani uspokoi. Reszta należy do nas. Wie pani, kim jest ten mężczyzna?
- Dritero Frakulla - odpowiedziała łamiącym się głosem, nie tracąc jednak przy tym jasności umysłu. - Albańczyk z Kosowa. Rodzina mieszka tu już od dawna, ale grozi im deportacja. W zasadzie myśleli, że wszystko jest już w porządku, czekali tylko na obywatelstwo i nagle to. Wszystko na nic, jakby ziemia usunęła im się spod stóp, tak to sobie tłumaczę. Sama wiem, jak to jest.
- Zna go pani?
- Czy go znam? To mój przyjaciel! To ja zajmowałam się jego sprawą. Znam jego dzieci, żonę, znam nawet jego cholerne koty. Myślę, że właśnie mnie szuka. Spokojny człowiek, muchy by nie skrzywdził. Okłamałam go. - Podniosła głos: - Nie zdawałam sobie sprawy, że cały czas go okłamuję. Te cholerne przepisy ciągle się zmieniają. Jak niby mamy pracować, skoro wszystko, co mówimy, z dnia na dzień może okazać się nieprawdą?
- Paul Hjelm wysiadł z trudem. Zdjął ciężką kurtkę dżinsową z kołnierzem z baranka, odpiął szelki kabury i wrzucił całość do samochodu, wetknął broń za spodnie i włożył z powrotem kurtkę.
- Zupełna pustka.
- A ty co, kurwa? - powiedzieli jednocześnie Svante Ernstsson i Johan Bringman.

- Wchodzę do środka.

- Ja pierdołę, przecież jednostka specjalna zaraz tu będzie! - krzyknął za nim Ernstsson, gdy Hjelm już przechodził przez Tomtbergavagen. Dogonił go i chwycił za ramię.

- Zaczekaj, Palle, nie wygłupiaj się. Nie ma takiej potrzeby. Zostaw to ekspertom.

Spojrzeli na siebie. W oczach Hjelma dostrzegł już tylko determinację. Puścił jego ramię.

Zbyt dobrze się znamy, pomyślał Ernstsson i tylko skinął głową.

Paul Hjelm zakradł się na schody biura imigracyjnego. Zupełna cisza. W opustoszałym budynku panował zaduch. Wszędzie tylko beton pokryty grubą warstwą farby, która wydawała się szara niezależnie od tego, w jakim akurat była kolorze. Gorące powietrze, rozedrgane jak na pustyni, i woń moczu, potu i alkoholu. Tak właśnie pachnie Szwecja, pomyślał, wchodząc na piętro.

Połowa lat dziewięćdziesiątych.

Szedł spokojnie przez opustoszały, smutny korytarz dla pracowników, aż dotarł do zamkniętych drzwi. Zatrzymał się. Wziął głęboki oddech i krzyknął:

- Frakulla!

Cisza. Nie chcąc się zbyt długo zastanawiać, ciągnął dalej:

- Nazywam się Paul Hjelm, jestem policjantem. Przyszedłem tu sam, nie mam broni. Chcę z tobą porozmawiać.

Za drzwiami dało się słyszeć jakiś hałas. W końcu niski, ledwo słyszalny głos:

- Wejdz.

Wziął jeszcze jeden głęboki oddech i otworzył drzwi.

Na podłodze siedziały dwie kobiety i mężczyzna z rękoma na głowie. Tuż obok nich, pod ścianą bez okna, stał niski ciemny mężczyzna w brązowym garniturze, w kamizelce, krawacie i z dubeltówką. Ta ostatnia była wycelowana prosto w Paula Hjelma.

Zamknął za sobą drzwi i podniósł do góry ręce.

- Wiem, co się wydarzyło, Frakulla - powiedział ze spokojem. - Musimy znaleźć jakieś rozwiązanie, ale nikomu nie może stać się krzywda. Jeśli teraz się poddasz, będziesz mógł zaskarżyć tę decyzję, inaczej grozi ci więzienie i natychmiastowa deportacja. Zobacz, jestem nieuzbrojony. - Zdjął powoli kurtkę i rzucił ją na podłogę.

Dritero Frakulla zamrugał szybko oczami. Wodził dubeltówką w powietrzu, raz celując w Hjelma, raz w urzędników.

Tylko nie każ mi się odwrócić, pomyślał Hjelm. Muszę mówić dalej, mówić dalej. Skoncentrować się na porozumieniu. Używać słów, które wymagają namysłu. Oderwać jego uwagę.

- Pomyśl o rodzinie - wydusił wreszcie z siebie. - Co zrobią bez ciebie twoje dzieci? Co będzie z twoją żoną? Jaką pracę dostanie, Frakulla? Jakie ma kwalifikacje?

Dubeltówka była wycelowana już tylko w niego, właśnie o to mu chodziło. Frakulla nagle się odezwał po szwedzku, mówił wyraźnie, starannie, jakby kogoś cytował:

- Im cięższą zbrodnię popełnię, tym dłużej będziemy mogli zostać. Pomyślałeś o tym? Nie odeślą mojej rodziny beze mnie. Poświęcę się dla nich. Chyba można tak na to spojrzeć? -

- Mylisz się, Frakulla. Twoja rodzina zostanie z miejsca deportowana, puszczona prosto w ramiona Serbów, bez żadnej ochrony. Co według ciebie zrobią Serbowie z kobietą i dziećmi w wieku przedszkolnym, którzy próbowali im uciec? I co według ciebie stanie się z tobą za kratkami, jeśli zabijesz nieuzbrojonego policjanta?

Mężczyzna opuścił broń, wyglądał na zdezorientowanego. To wystarczyło Hjelmowi. Sięgnął za spodnie, wyciągnął szybko broń i wystrzelił.

Wreszcie udało mu się uciszyć ten głos w głowie: „I jeszcze się, cholera, brzydzisz naturalnymi funkcjami kobiecego ciała?”. Przez krótką chwilę wszystko zamarło; chwilę, która wydawała mu się wyjęta z czasu. Frakulla trzymał w ręku dubeltówkę,

nie ruszał się. Patrzył ze zdziwieniem na Hjelma. Jeszcze wszystko mogło się wydarzyć.

- Au! - powiedział Dritero Frakulla, upuścił broń i runął do przodu.

Nic się nie dzieje ot tak sobie, pomyślał Hjelm i zrobiło mu się niedobrze.

Jeden z urzędników chwycił za broń i przytknął ją do głowy leżącego. Kałuża krwi pod prawym ramieniem coraz bardziej się powiększała.

- Odłóż broń, idioto! - krzyknął Paul Hjelm i zwymiotował.

3

Z POCZĄTKU słyhać tylko wędrówkę w górę i w dół klawiatury, towarzyszy jej delikatne dzwonięcie cymbałów lub talerzy hi-hata, czasem uderzenie pałeczek w bęben. Niekiedy palce zbaczają lekko z wytyczonej trasy, trochę w bluesa, cały czas trzymając się jednak miarowego, jakby drepczącego, dwudzielnego taktu. Krótka przerwa, wchodzi saksofon, wędruje wzdłuż tej samej trasy, potem wszystko się zmienia. Teraz kontrabas, idzie ze spokojem w górę i w dół, przebija się przez niego saksofon; gdzieś z tyłu dochodzą jeszcze rozsypane z rzadka akordy fortepianu, przerywane przez krótkie improwizacje pozornie ospałego saksofonu.

Pinceta zanurza się w otworze; ciągnie, ciągnie. Saksofon kwili przez chwilę nieczysto, potem wraca na linię melodyczną. Fortepian milknie; przez chwilę słyhać w tle odgłosy publiczności. Pinceta wyjmuję to, czego szukała. Saksofonista mówi *yeah* w przerwie między kolejnymi szybkimi wędrówkami. Publiczność powtarza za nim: *yeah*. Długie dźwięki. Wciąż jeszcze nie słyhać fortepianu. Pojedyncze oklaski.

Wreszcie wchodzi fortepian. Ta sama wędrówka co na początku, okazjonalne zejścia z trasy, pojękiwania, coraz śmielsze pasaże. Już tylko fortepian, kontrabas, bębny. Pinceta zanurza się w drugim otworze. Tym razem idzie mu lepiej. Obie grudki lądują w kieszeni. Siada na sofie.

Palce rozpoczynają wędrówkę od punktu, w którym ostatnio ją przerwały. Nie słyhać kontrabas. Gdy wraca, towarzyszy mu saksofon. Wszystkie cztery instrumenty naraz. Spacer we mgle. Oklaski.

Yeah.

Naciska guzik pilota. **Zaległa** cisza.

Powoli podnosi się z miejsca. Stoi przez chwilę, rozglądając się po ogromnym pokoju.

Patrzy ze zdziwieniem na dwa kłębki kurzu krążące wokół kryształowej lampy, wysoko w górze, unoszone przez ledwo wyczuwalne prądy powietrza. Słabe światło nie odbija się w metalowej obudowie opływowej wieży stereo. Bang & Olufsen.

Bang, bang, myśli. I Olufsen. A potem już nic nie myśli.

Gładzi dłonią w rękawiczce lśniąca skórę sofy, potem przechodzi ostrożnie przez przyjemnie skrzypiący parkiet. Stara się nie wejść na wielki, dwudziestopięciometrowy pakistański dywan, efekt miesięcznej niewolniczej pracy pakistańskich dzieci. Korytarzem idzie w stronę altany. Otwiera drzwi i stoi tak przez chwilę. Napęlnia płuca nieruchomym, zimnym powietrzem wiosennej nocy, zawiesza wzrok na rzędach jabłoni: astrakanów, Akeró, Ingrid Marie i lobo, transparente blanche i kanoników. Na każdej z nich wisi niewielka tabliczka - zauważył to już, wchodząc. Na razie jabłka są tylko na tabliczkach. Błyszczące, kolorowe. Płaskie surogaty. Pierwsze kwiaty jabłoni nieprędko się pojawiają. Wolałby wierzyć, że słyszy cykanie świerszczy, ale ten dźwięk jest chyba tylko w jego głowie. Bang, bang, myśli. I Olufsen.

Chociaż nie był to bang z prawdziwego zdarzenia.

Zamyka za sobą drzwi werandy, wraca do ogromnego salonu. Omija szerokim łukiem płomienne wzory na ręcznie plecionym pakistańskim dywanie, podchodzi do wieży i naciska **eject**. Po łagodnej elipsie kasetka powoli wysuwa się z odtwarzacza. Wkłada ją do kieszeni. Wyłącza wieżę.

Rozgląda się po salonie. Odpowiednia atmosfera, myśli. Już nawet kłębki kurzu wydają mu się na miejscu, gdy wirują z gracją wokół kryształowej lampy.

Oczami wyobraźni widzi listę. W myślach odhacza pierwszą pozycję.

Kuno, uśmiecha się do siebie. To chyba jakaś gra towarzyska?

Wychodząc z salonu, wybiera inną drogę. Stół z drewna łękowego z czterema starannie dobranymi krzesłami o wysokich oparciach stoi na jeszcze jednym, ręcznie wyplatany dywan, może perskim. Dywan utrzymany jest w beżowej tonacji, w odróżnieniu od czerwieni tamtego pierwszego, pakistańskiego.

Choć teraz są już podobne.

Przechodząc koło stołu, musi ominąć to, co zalewa czerwienią perski dywan. Unosi nogi nad parą dwóch innych.

Spod kołdry chmur wychyla się wybudzony ze snu księżyc w pełni; tańczące w woalkach rusalki poruszają lekko zimnymi gałęziami jabłoni.

4

INSPEKTOR kryminalny Erik Bruun najwyraźniej nacisnął zielony przycisk na swoim biurku, dało się bowiem słyszeć brzęczenie i przy drzwiach zapaliła się tabliczka z jego nazwiskiem. Paul Hjelm nacisnął klamkę i otworzył drzwi, które zwykle były zamknięte. Wszedł do środka.

Ich komenda leżała w Fittji w gminie Botkyrka, miała kod pocztowy Norsborga i podlegała policji w Huddinge. Chcąc uniknąć nazwy Fittja z powodu niepotrzebnych skojarzeń*, można było zawsze powiedzieć Botkyrka, w której granicach znajdowały się Varsta i Gródinge, a także Norsborg, gdzie urodził się geniusz ping-ponga J.-O. Waldner i skąd pochodziła znana drużyna bandy Balrog. A Huddinge było sypialnią stolicy. Hjelm mieszkał w szeregowcu w Norsborg, bardzo blisko rodzinnego domu Waldnera. Nigdy jednak nie potrafił określić, gdzie tak naprawdę on się znajduje. Zwłaszcza teraz.

Miejsce zapomniane przez Boga, pomyślał, wchodząc do pomieszczenia nazywanego Pokojem Bruunatnym; tapety na jego ścianach wymieniano co roku, ale już po kilku dniach były całkowicie brązowe. W ramach inauguracji Erik Bruun puszczał na nie kłęby dymu z czarnych cygar i swoich równie czarnych płuc. Hjelm jeszcze nigdy nie był w domu Brauna, kawalerce na Eriksbergu, o której krążyły niesłychane plotki. Potrafił sobie jednak wyobrazić, jak wyglądają jej ściany. Hjelm zwykle nie palił, choć czasem zakurzył jednego papieroska lub dwa, ot tak,

Fitta (szw.) - pizda, cipa.

żeby nie czuć się niewolnikiem cnoty, jak to wyraził pewien mądry człowiek.

Dziś wypalił już sześć i wiedział, że na tym się nie skończy. Buzująca w jego głowie nikotyna złagodziła szok związany z wejściem do pokoju Bruuna - szok, który inspekcja bezpieczeństwa i higieny pracy już kilkakrotnie zakwalifikowała jako wyjątkowo szkodliwy dla zdrowia. Jakiś nadgorliwy urzędnik przymocował na drzwiach naklejkę z trupa czaszką, na której zeskrobanie Hjelm i Ernstsson stracili swego czasu trzy cenne godziny pracy.

Erik Bruun nie był w pokoju sam. Siedział za zawalonym papierami biurkiem i pociągał ogromne rosyjskie cygaro. Na kanapie pod oknem spoczywało dwóch elegancko ubranych panów w wieku Hjelma, to znaczy około czterdziestki. Ale komu przy-szłoby na myśl jego nazwać „panem”? Ich to co innego. Nie byli mu znani, za to znał surowy wyraz ich twarzy.

No tak, tego się spodziewał.

Bruun podniósł swoje masywne ciało z fotela i wyszedł Hjelmowi na powitanie; tego typu jogging należał u niego do rzadkości. Podał mu rękę i podrapał się po siwiejącym rudym zaroście.

- Moje gratulacje - powiedział, podkreślając wyraźnie słowo „moje”. - Robota pierwszej klasy. Jak się czujesz? Rozmawiałaś już z Cecilią?

- Dziękuję - odrzekł Hjelm, nie spuszczać oczu z mężczyzn na kanapie. - Nie mogłem jej złapać. Prędzej czy później i tak się dowie, jak myślę...

Bruun pokiwał powoli głową, po czym wrócił na swój ulubiony fotel.

- W każdym razie ja i koledzy z komendy gratulujemy ci i wspieramy... Nie powiedziałaś jeszcze, jak się czujesz...

- Rzeczywiście, nie. - Hjelm usiadł na krześle naprzeciwko biurka.

Bruun po raz kolejny kiwnął znacząco głową.

- Rozumiem. - Zaciągnął się cygarem. - Pozwól, że ci przedstawię: Niklas Grundström i Ulf Martensson z Biura Spraw We-

wewnętrznych. Nie jestem tylko pewien, czy i oni zechcą ci pogratulować.

Ponieważ skromna tyrada Bruuna zabrzmiała jak pożegnanie, mężczyźni podnieśli się z kanapy.

Nastąpiła chwilowa konsternacja, bo inspektor nie ruszył się z miejsca, ciągle ćmiąc czarne cygaro.

Właśnie tego momentu niepewności chcieli za wszelką cenę uniknąć. Hjelm podziękował Braunowi pozornie obojętnym spojrzeniem i w odpowiedzi dostał takie samo. Inspektor ostatni raz pociągnął cygaro i podniósł się ociężale z miejsca.

- Ci z BHP zabraniają mi wychodzenia z cygarem w rękę - wytłumaczył się i wyszedł z pokoju spowity chmurą dymu. Ze zgniecionego niedopałka w popielniczce nadal wydobywała się brązowa smużka.

Grundström odsunął od siebie popielniczkę, jakby to była beczka z miesięcznym moczem, i usiadł, nie bez oporów, w przesiąkniętym dymem fotelu Bruuna. Mårtensson rozparł się na kanapie. Grundström położył teczkę na biurku i wyjął z niej okrągłe okulary, które założył starannie na nos, brązową kopertę i gazetę. Postawił teczkę na podłodze i rozłożył „Expressen” na pierwszej stronie, z której krzyczał nagłówek: **Z ostatniej chwili. Bohater z Fittji. Policjant wybawcą zakładników.** Pod nagłówkiem zamieszczono zdjęcie Paula Hjelma sprzed dziesięciu lat, kiedy to jeszcze był posterunkowym.

- Media rozdzieliły już role - odezwał się Niklas Grandström dźwięcznym, melodyjnym głosem, składając gazetę. Zatrzymał wzrok na Hjelmie. - Szybko poszło, prawda? Pomyślcie, że zdążyli to zamieścić w wieczornym wydaniu. Pióro jest szybsze od myśli.

- Prawo dżungli - rzucił Hjelm bez zastanowienia. Ugryzł się w język. Grandström patrzył na niego z tym samym wyrazem twarzy. Schylił się i wyjął z teczki niewielki magnetofon.

- Miałem nadzieję tego uniknąć - powiedział, włączając nagrywanie. - Przesłuchanie komisarza kryminalnego Paula Hjelma, przeprowadzone przez Grundströma i Mårtenssona na

komendzie policji w Huddinge, trzynastego marca bieżącego roku o godzinie 17.06.

- Przesłuchanie? - zdziwił się Hjelm.

- Przesłuchanie - przytaknął Grundström. - Sam się prosiłeś. Hjelm znowu ugryzł się w język. Ani jednego słowa za dużo. Zaczęło się:

- Czy jesteś lub kiedykolwiek byłeś członkiem organizacji wrogiej imigrantom?

- Nie - odpowiedział Hjelm, próbując zachować spokój.

- Jaki jest twój stosunek do imigrantów?

- Ani zły, ani dobry.

Grundström zajrzał do brązowej koperty i wyjął z niej coś, co przypominało zestawienie danych. Zaczął czytać.

- Czterdzieści dwa procent zatrzymań z twoim udziałem dotyczy obywateli obcego pochodzenia. W ostatnim roku ten odsetek wzrósł do pięćdziesięciu siedmiu.

Hjelm odchrząknął, próbując się skoncentrować:

- Zgodnie z ostatnimi wyliczeniami trzydzieści dwa procent mieszkańców gminy Botkyrka stanowią obywatele obcego pochodzenia, z czego dwadzieścia procent ma obce obywatelstwo. Tu, na północy, w Alby, Fittji, Hallundzie, Norsborgu ten odsetek jest znacznie większy, znacznie powyżej pięćdziesięciu procent, nawet powyżej pięćdziesięciu siedmiu procent. Czterdzieści dwa procent zatrzymań w grupie imigrantów świadczy już raczej o wyższej przestępczości wśród obywateli szwedzkich. W każdym razie nie świadczy o rasizmie, jeśli do tego pijecie.

Hjelm był bardzo zadowolony z tej odpowiedzi. Ale nie Grundström.

- Po jaką cholere wszedłeś tam i strzelałeś do tego mężczyzny jak jakiś Brudny Harry?

- Ten mężczyzna nazywa się Dritero Frakulla i pochodzi z albańskiej mniejszości w Kosowie w południowej Serbii. Chyba słyszałeś, co tam się dzieje? Praktycznie wszyscy Albańczycy z naszego okręgu, którzy zdążyli się już zaaklimatyzować i na-

uczyć szwedzkiego i których dzieci chodzą do szwedzkich szkół, zostaną teraz deportowani. To się nie dzieje samo przez się.

- Tym bardziej nie powinieneś tam wchodzić i do niego strzelać. Jednostka specjalna przeznaczona do ratowania zakładników była już w drodze. Specjaliści, eksperci. Niech cię piekło pochłonie, dlaczego wszedłeś tam sam?

Hjelm nie zdążył ugryźć się w język.

- Żeby go ratować, do diabła!

Zbliżała się ósma wieczór. Hjelm i Bruun siedzieli w Pokoju Bruunatnym, inspektor w swoim fotelu, a Hjelm rozparty na kanapie. Na biurku stał duży magnetofon. Włączony.

- Żeby go ratować, do diabła!

Bruun o mało co nie połknął cygara. Zatrzymał taśmę jednym uderzeniem w magnetofon.

- Ty - odezwał się, wskazując na Hjelma, jakby znowu miał uderzyć. - Ty to jesteś ryzykant.

- Głupota, wiem... Ale głupotą jest też nielegalnie nagrywać przesłuchanie prowadzone przez ludzi z Biura Spraw Wewnętrznych.

Bruun wzruszył ramionami i włączył magnetofon. Po chwili rozległ się głos Hjelma:

- Ci wasi specjaliści z jednostki specjalnej znają się tylko na jednym i wiecie to równie dobrze jak ja: wiedzą, jak obezwładnić sprawcę, nie narażając życia zakładnika. Obezwładnić to znaczy wyeliminować, to znaczy zabić.

- Naprawdę sądzisz, że uwierzemy, że strzeliłeś do niego, żeby go ratować?

- Wiercie sobie, kurwa, w co tylko chcecie.

Bruun spojrzał na niego i pokręcił surowo głową. Tym razem to Hjelm wzruszył ramionami.

- Właśnie tego nam nie wolno - powiedział Grundström zwykłym tonem. Nie użył go już od dłuższego czasu. - Jesteśmy

tu po to, żeby odróżnić to, co właściwe, od tego, co niewłaściwe. Żeby sprawdzić, czy nie dopuściłeś się przewinienia służbowego, i w razie czego dopilnować, żeby ci to nie uszło na sucho. Właśnie tak murszeje wymiar sprawiedliwości. Jeśli zajdzie taka potrzeba, będziemy musieli udzielić ci reprimendy. I nie ma to nic wspólnego z naszą wiarą albo niewiarą.

- Do protokołu - odezwał się Hjelm. - Do strzelaniny doszło o godzinie 8.47, jednostka specjalna przybyła o 9.38. Czy na moim miejscu stalibyście bezczynnie przez blisko godzinę, wiedząc, że w środku jest zdesperowany, uzbrojony człowiek i przerażeni zakładnicy, a centrum Hallundy zostało sparaliżowane?

- Okej, zostawmy na moment pytanie dlaczego i przejdźmy do tego, co de facto zrobiłeś.

Pauza. Grundström i Martensson zamienili się miejscami. Hjelm zastanawiał się, kim trzeba być, żeby mówić de facto.

Zamiast dźwięcznego, starannie wyszlifowanego głosu dał się słyszeć wyraźnie niższy:

- Dobra. Popływaliśmy sobie przy brzegu. Przejdźmy do meritum.

Bruun wyłączył magnetofon, zmarszczył brwi i odwrócił się, wyraźnie zaskoczony, w stronę Hjelma.

- Chcesz mi powiedzieć, że postanowili się zabawić w dobrego i złego policjanta? Mając przed sobą doświadczonego w prowadzeniu przesłuchań glinę?

Hjelm znowu wzruszył ramionami. Był coraz bardziej senny. Ten i tak już przydługi dzień wcale nie wydawał się krótszy tylko dlatego, że wciąż trwał. Głos Martenssona mieszał się z jego wewnętrznymi głosami. Przez krótką chwilę głosy walczyły ze sobą. Potem zasnął.

- Krok po kroku. Jeden: krzyknąłeś przez drzwi bez żadnego ostrzeżenia - już samo to mogło spowodować katastrofę. Dwa: twierdziłeś, że jesteś nieuzbrojony, choć pistolet wystawał ci zza spodni. Wystarczyło, żeby kazał ci się obrócić, i doszłoby do tragedii. Trzy: okłamałeś go; gdyby lepiej orientował się w spra-

wie, byłoby nieszczęście. Cztery: strzeliłeś w niestandardowe miejsce. To również mogło doprowadzić do katastrofy.

- Co z nim? - zapytał Hjelm.

- Z kim? - zdziwił się Martensson.

- Jak on się czuje?

- Niby kto, kurwa?

- Dritero Frakulla.

- A to co? Odmiana pomarańczy? Transylwański hrabia? Skoncentruj się na faktach, do diabła!

- To są fakty. Właśnie to są fakty.

Pauza trwała tak długo, że Bruun zaczął się wiercić w fotelu, zastanawiając się, czy to już koniec. Na Hjelma nie miał co liczyć, spał już głęboko. Z pomocą przyszedł mu Grundström. Gdzieś z oddali dobiegł jego głos:

- Leży na oddziale chirurgicznym szpitala w Huddinge. Znajduje się pod stałą obserwacją. Jego stan jest stabilny. Czego nie można powiedzieć o tym, co dzieje się tutaj. Na dziś koniec, wrócimy do tego jutro o jedenastej, Hjelm. Odgłos odstawiania krzesel, wyłączania magnetofonu, pakowania papierów, zamykania teczki i zatraskiwania drzwi. Inspektor Erik Bruun zapalił czarne jak smoła, nierówno zwinięte cygaro. Skoncentrował się. Wreszcie usłyszał to, na co czekał. Pierwszy odezwał się Grundström: - Niezły jest. Jak mogłeś, kurwa, dać mu się tak łatwo wykpić? Transylwański hrabia? Ulf, ja pierdolę! Nie może mu się upiec. Brudny Harry, z którym system nie może sobie poradzić! Przecież to alibi dla setek kolejnych, większych lub mniejszych, rasistów! W całym kraju!

Reszta już niewyraźna. Martensson zdążył coś jeszcze wymamrotać, Grundström westchnął, potem znowu szuranie krzesłami, drzwi otworzyły się i zamknęły. Bruun zatrzymał taśmę. Siedział jeszcze przez chwilę. Za oknami komendy słoneczny, wiosenny dzień przeszedł już w lodowatą ciemność nocy. Bruun podniósł się powoli z krzesła

i podszedł do śpiącego Hjelma. Zanim dmuchnął mu w twarz kłębem dymu, patrzył na niego przez chwilę, potrząsając głową.

Nie zagrzeje tu długo miejsca, pomyślał i dmuchnął. Zniknie - w ten czy inny sposób.

Hjelm zaczął kaszleć. Kapało mu z oczu. Przez dym dostrzegł posiwiały rudy zarost i podwójny podbródek.

- Wpół do jedenastej - odezwał się Bruun, pakując rzeczy do starej, mocno podniszczonej teczki. - Wyśpij się. Postaraj się bardziej skoncentrować i wyrażać się zwięźle. Trochę bardziej niż dzisiaj. Hjelm powlókł się w stronę drzwi. Obrócił się. Bruun kiwnął przyjaźnie głową. To był jego uścisk na pożegnanie.

Jak to mówią? - zastanawiał się Hjelm, wyjmując piwo z lodówki. - Heteroseksualni biali mężczyźni na pełnym etacie to społeczna norma. Na niej opiera się cały system. Opieka zdrowotna. Potem inny głos: bycie kobietą to nie choroba. A jednak odchylenie od normy. Nie wspominając już o homoseksualizmie, młodości, starości, ciemnej skórze i mówieniu z akcentem. Tak wyglądał jego świat: wewnątrz heteroseksualni biali policjanci w średnim wieku, na zewnątrz cała reszta. Patrzył na nich, jak siedzą na sofie: jego - do jakiego stopnia? - trzydziestosześciolet-nia żona Cecilia i dwunastoletnia córka Tova. Public Enemy był gdzieś indziej, ale słyszeć go było wyraźnie.

- Chodź już, tato! - krzyknęła Tova. - Zaraz będą o tym mówić!

Wszedł do salonu, z przyzwyczajenia sącząc piwo przez zęby. Cilla spojrzała na niego z dezaprobatą, po chwili jednak skoncentrowała się na telewizorze. Czołówka wiadomości. Już jest w zapowiedziach. Gdzie się podziały proporcje, pomyślał.

- Dziś rano w biurze imigracyjnym w Hallundzie na południe od Sztokholmu doszło do prawdziwego dramatu. Chwilę po otwarciu do środka wszedł uzbrojony mężczyzna i zagroził

trzem pracownikom bronią z odpiłowaną lufą. Dramat doczekał się jednak szczęśliwego zakończenia. Szczęśliwego, powtórzył w myślach Hjelm, a potem powiedział:

- Biuro imigracyjne w Botkyrce. Położone w Hallundzie. Kobiety spojrzały na niego jednocześnie, każda pomyślała jednak co innego. Tova: jakie to ma znaczenie? Cilla: jak zwykle starasz się zwrócić uwagę na swoje ogólne niezadowolenie, wynajdując błędy; zamieniasz uczucia na myśli, a przeczucia na fakty. Zadzwoił telefon. Hjelm beknął i odebrał.

- Biuro imigracyjne w Hallundzie? - zdziwił się Svante Ernstsson.

- Odpiłowaną lufą? - wtórował mu Hjelm.

Śmiech z obu stron, wewnętrzny śmiech. *On the Noble Art of Talking Shop Without Getting Noticed.* Konieczna do życia błazenada.

Różne rodzaje śmiechu.

Czasem skierowany jest tylko na zewnątrz.

Gdy skierowany jest również do środka, staje się bardziej głęboki.

- Jak jest? - zapytał w końcu Ernstsson.

- Nijak.

- Teraz - zawołali naraz Cilla, Tova i Svante.

Na Tomtbergavágen stał reporter, stary wyjadacz, w tle było widać rynek w Hallundzie. Popołudnie, świeciło mocne wiosenne słońce. Na rynku pełno ludzi. Wyglądało całkiem normalnie. Za rozgorączkowanym reporterem ustawiła się grupka podrostków w szalikach AIK, wymachując w powietrzu palcami złożonymi w znak wolności. - O godzinie ósmej dwadzieścia... - powiedział reporter. - Ósmej dwadzieścia osiem - poprawił go Hjelm.

- ...do biura imigracyjnego w Hallundzie wszedł uzbrojony w dubeltówkę kosowski Albańczyk. Z przebywających w biurze czterech pracowników wziął trzech za zakładników. Czwartemu udało się uciec. Mężczyzna zaprowadził zakładników na drugie

piętro i rozkazał im siedzieć na podłodze. Po około dwudziestu minutach policjant Paul Hjelm z komendy w Huddinge... Na ekranie pojawiło się stare zdjęcie Hjelm w powiększeniu.

- Skąd je wytrzasnęli?

- Jaki słodziutki - odezwał się Ernstsson.

- Mieli takie w szpitalu. - Cilla spojrzała na niego. - Widocznie żadnego nie znaleźli w archiwach prasowych. Mam nawet takie w portmonetce.

- Masz?

- Miałam.

- ...wszedł do budynku. Dostał się niezauważony na piętro, a chwilę potem do zabarykadowanego pokoju...

- Zabarykadowanego - odezwał się Ernstsson w słuchawce.

- ...i strzelił w prawe ramię napastnika. Zdaniem trzech zakładników zachowanie Hjelm było wzorcowe. Niestety nie udało nam się skontaktować z Paulem Hjelmem ani z jego przełożonym z wydziału kryminalnego komendy w Huddinge, inspektorem Svenem Braunem.

- Stary Svempa - powiedział Ernstsson. Reporter ciągnął dalej:

- Bruun tłumaczy się trwającym dochodzeniem i obowiązującą go tajemnicą zawodową. Ale jest z nami Arvid Svensson, jeden z zakładników.

Zza reportera wychylił się mężczyzna w średnim wieku. Hjelm rozpoznał w nim zakładnika, który przytknął broń do głowy nieprzytomnego Frakulli. Przesączył ostatni łyk piwa przez zęby.

- Zadzwoń do ciebie - powiedział do Ernstssona i poszedł do toalety.

Przyglądał się sobie w lustrze. Twarz jak każda inna. Żadnych znaków szczególnych. Prosty nos, wąskie usta, krótko przystrzyżone ciemnoblonde włosy, T-shirt, obrączka. Nic więcej. Nawet załóżka uśmiechu. W średnim wieku, raczej młodszy niż starszy. Dwójka prawie nastoletnich dzieci. Żadnych cech charakterystycznych.

W ogóle żadnych cech.

Zaśmiał się. Jego śmiech odbił się głuchym echem. Gorzki, samotny śmiech odstawionego do rezerwy młodszego oficera policji.

Pierwszy odezwał się Ulf Martensson:

- Nie znamy przyczyny dwóch poważnych wylewów z tyłu głowy.

Paul Hjelm odpowiedział: - Rozmawialiście z zakładnikiem?

- Robimy, co do nas należy, tak jak ty. Chyba. Chociaż pewnie nie. Zdaniem lekarza sądowego obrażenia czaszki zostały zadane lufą pistoletu. Czy to znaczy, że wyjąłeś pistolet z rąk postrzelonego i uderzyłeś nim w jego głowę?

- Więc nie rozmawialiście z zakładnikiem...

Martensson i Grundström siedzieli obok siebie w pokoju przesłuchań. Może domyślili się sztuczki Brauna z magnetofonem. Czekali na reakcję Hjelma. Doczekali się.

- Gdy Frakulla upadł na podłogę, broń wylądowała pod stopami urzędnika Arvida Svenssona.

Urzędnik Arvid Svensson podniósł broń i przystawił ją do głowy leżącego.

- I ty na to pozwoliłeś?

- Byłem jakieś pięć metrów od niego.

- To znaczy, że pozwoliłeś, by ten urzędnik przystawił naładowaną, odbezpieczoną broń do głowy nieprzytomnego mężczyzny?

- Przecież nikt nie mógł wiedzieć, że mężczyzna jest nieprzytomny, więc urzędnik Arvid Svensson całkiem słusznie zabrał mu broń. Choć nie powinien był przystawiać jej do jego głowy. Dlatego krzyknąłem, żeby go zostawił.

- I nic więcej już nie zrobiłeś?

- Nie. Ale po chwili odłożył broń.

- Po chwili... Jak długo trwała ta chwila?

- Tyle, ile potrzeba do zwymiotowania całego śniadania. Pauza. W końcu odzywa się Martensson.

Mówi powoli, nie kryjąc wściekłości.

- Chcesz powiedzieć, że w czasie twoich nieporadnych popisów, kiedy to powinieneś oczekiwać na eksperta, dałeś się pokonać własnej wątrobie? Pomyślałeś, co by się stało, gdyby Svensson zastrzelił sprawcę, gdyby sprawca wcale nie był unieszkodliwiony, co wtedy? Zbyt wiele rzeczy zostawiłeś ich własnemu biegowi.

- Gdyby babcia była dziadkiem... - odburknął Hjelm.

- Co takiego? - zdziwił się Martensson.

- Zwymiotowałem tylko dlatego, że sprawca b y ł unieszkodliwiony. Bo po raz pierwszy w życiu strzeliłem do człowieka. Chyba wiecie, jak to jest.

- Oczywiście. Ale nie w samym środku tak ważnej i samowolnie rozpoczętej akcji!

Martensson przejrzał papiery, po chwili odezwał się znowu:

- To zresztą tylko załącznik do i tak już rozbudowanej listy uchybień. Zobaczmy, co już mamy. Jeden: wszedłeś tam sam, mimo że jednostka specjalna była już w drodze. Dwa: krzyknąłeś przez drzwi bez ostrzeżenia. Trzy: twierdziłeś, że jesteś nieuzbrojony, choć zza spodni wystawał ci pistolet. Cztery: próbując przekonać sprawcę, okłamałeś go. Pięć: strzeliłeś w niestandardowe miejsce. Sześć: nie rozbroiłeś sprawcy. Siedem: pozwoliłeś zdesperowanemu zakładnikowi okaleczyć i o mało co nie zastrzelić napastnika. Czy zaczynasz rozumieć, z czym tu mamy do czynienia?

Grundström odchrząknął i przejął pałeczkę:

- Pomijając listę wykroczeń formalnych, mamy jeszcze kilka innych spraw godnych uwagi. Dotyczą zasad i dyscypliny i są nie mniej ważne. Po części chodzi o brak zaufania do policyjnych struktur, po części o imigrantów. Składają się one na bardzo nieprzyjemne obrazoburstwo, na które nie ma miejsca w policji. Nie twierdzę, że jesteś rasistą, Hjelm, ale twoje za-

chowanie i towarzyszący mu medialny poklask mogą dać zielone światło pewnym postawom, które dziś są jeszcze ukryte. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Chcecie posłużyć się moim przykładem...

- Nie chcemy, ale musimy. Osobiście uważam, że należysz do tej mniej zepsutej części policji - potrafisz się wysłowić, myślisz, czasem nawet za dużo. Ale w naszej pracy kierujemy się jednym: nie chodzi nam o oczyszczanie szeregów z pojedynczych zdeprawowanych policjantów, to dzieje się jakby przy okazji, naszym zadaniem jest dopilnować, by tego rodzaju nieprzyjemne nastroje nie zyskały formalnego umocowania. W przeciwnym razie znajdziemy się cholernie blisko państwa policyjnego. Tak wygląda całe społeczeństwo. W każdym z nas kryje się jakaś otchłań. Projekcja naszych własnych potknięć. Głos ludu, głos prostych rozwiązań. A skórą na tym luźno związanym ciele społecznym jest policja. Na samym wierzchu jesteśmy my, to na nas się wściekają, to my jesteśmy najbardziej narażeni. Jeśli skóra pęknie, to wnętrzności wyleją się na zewnątrz. Rozumiesz, do czego mogła doprowadzić twoja samowolka? Naprawdę chciałbym, abyś to zrozumiał.

Hjelm patrzył Grundstrómmowi prosto w oczy. Nie wiedział zbyt dobrze, co takiego w nich widzi.

Wygórowane ambicje w starciu z obowiązkowością i uczciwością? A może prawdziwy lęk przed nastrojami, które kotłowały się w nim pod umundurowaną warstwą? Z Grundstrómem nie można było się zaprzyjaźnić, jego zadaniem było zawsze stać z boku, na zewnątrz. Dopiero teraz Hjelm zrozumiał, z jakiego kalibru bronią ma do czynienia. I dlaczego. Być może zrozumiał dlaczego.

Odezwał się, nie odrywając wzroku od blatu stołu:

- Chciałem tylko coś z tym zrobić, najszybciej i najlepiej, jak potrafiłem.

- Nie ma pojedynczych ruchów - powiedział Grundstróm, próbując przyciągnąć jego wzrok. Otrzymał już prawie swój własny głos. - Każdy ruch zawsze uruchamia serię kolejnych ruchów.

- Wiedziałem, że mogę go uratować. Tylko tego chciałem. Grundstrom spojrział mu prosto w oczy.
- Naprawdę w to wierzysz? Zajrzyj w swoje serce, Hjelm. Siedzieli przez chwilę i przyglądali się sobie badawczo. Jakby

czas przestał istnieć. Coś się działo, odbywała się jakaś wymiana.

Grundstrom podniósł się w końcu z miejsca, wzdychając. Mårtensson też wstał. Gdy Niklas Grundstrom pakował swoją teczkę, Hjelm pomyślał, że jest jeszcze bardzo młody. A przecież byli w tym samym wieku.

Mårtensson powiedział:

- Na początek oddaj nam swoją legitymację i broń służbową. Zostajesz zawieszony w obowiązkach, do odwołania. Jutro ciąg dalszy przesłuchania. Nic się nie kończy, Hjelm.

Hjelm położył legitymację policyjną i broń na biurku i wyszedł z pokoju. Przymknął drzwi, zostawiając niewielką szparę „na podsłuch”. Przyłożył ucho.

Możliwe, że usłyszał, jak któryś z nich mówi: „Mamy go”.

Możliwe też, że było całkiem cicho.

Stał po ciemku nad sedesem, odlewał się. Długo, bardzo długo. Pięć wieczornych piw powinno zejść w czasie jednej nocnej wizyty w toalecie. Poczł zapach moczu, zaczął dostrzegać wyłaniające się kontury łazienki. Było na tyle jasno, żeby mieć świadomość ciemności. Jakies pół minuty wcześniej było tak ciemno, że ciemność nie istniała. Dopiero gdy strzepnął ostatnie krople, stała się naprawdę. Spuszczając wodę, pomyślał, że tylko własny mocz mu nie śmierdzi.

Znów zobaczył się w lustrze, nikła poświata wokół jeszcze słabszej. W tej ciemności, ciemności, która była nim samym, dostrzegł nagle Grundstróma. Powiedział: „Zajrzyj w swoje serce, Hjelm”. Potem pojawił się Mårtensson: „Nic się nie kończy, Hjelm”. A potem Svante: „Zaczekaj, Pâlie, nie wygłupiaj się”. I jeszcze

Danne, jego syn, wbijający w niego swój wzrok wściekłego nastolatka. I Frakulla: „Poświęcę się dla nich”. I Cilla, dla niej też znalazło się miejsce w tej ciemności bez twarzy: „I jeszcze się, cholera, brzydzisz naturalnymi funkcjami kobiecego ciała?”.

Zajrzyj w swoje serce, Hjelm.

Tak pusto, tak strasznie pusto.

Wszystko się posypało. Zawieszony w obowiązkach, prawie zwolniony. Nie przysługuje mu nawet zasiłek dla bezrobotnych. Zasiłek socjalny. Komu potrzebny zużyty policjant?

Wspólna kuchnia na komisariacie, nienawiść do systemu zasiłków, żargon imigrantów. Jasne, że brał w tym udział, czuł dla nich pogardę, dla motłochu opływającego w luksusy dzięki zasiłkom. Teraz tkwił w tym po uszy. Ziemia usunęła mu się spod stóp. Unosił się w jakiejś obrzydliwej pustce.

Gdzie się podział zarząd policji? Wszyscy go zostawili. Miał ochotę ich zabić.

Grundstrom: W przeciwnym razie znajdziemy się cholernie blisko państwa policyjnego.

Detale łazienki wyszły ze swoich konturów, przez chwilę wyglądały jak płaskorzeźby, potem wróciły na swoje miejsca. Światło przebiło się przez noc, jego oczy powoli się adaptowały. Z ciemności powinna już wyłonić się jego twarz.

Ale nie. Nadal spowijała ją ciemność.

Zarys.

Zajrzyj w swoje serce, Hjelm.

5

SIEDZI bez ruchu w ciemnościach, które tak naprawdę nie są do końca ciemne. Przez drzwi balkonowe sączą się światła latarni z biegnącej w dole promenady. Gdyby odwrócił głowę, mógłby zobaczyć budynki muzeum, rozświetlone od środka spokojnym, słabym światłem. Nie odwraca głowy. Cisza. Jego wzrok wędruje wciąż w tę samą stronę, nad podłogą do podwójnych drzwi wychodzących na korytarz. Salon już obejrzał. Jest w nim piec kaflowy i kominek. Obok kominka matowy ekran telewizora i zestaw odtwarzaczy różnego rodzaju. Na podłodze trzy plecione ręcznie dywany, dwa stoły z krzesłami i pięcioczęściowy komplet ciemnokrwistych skórzanych sof. Na ścianach współczesna sztuka szwedzka: trzy obrazy Petera Dahla, dwa Bengta Lindstróma, dwa Oli Billgrena. Na półce nad kominkiem tronie jedna z mozaikowych kaczek Ernsta Billgrena. Łącznie siedem pieców kaflowych na obu piętrach. Poprzedni salon był na pokaz, ten jest stylowy.

Siedzi tak jeszcze przez godzinę.

Potem słyszy, jak otwierają się drzwi wejściowe. Klucze wypadają z rąk mężczyźnie, o którym wie, że jest sam. W korytarzu tamten przeklina pod nosem, jest lekko podchmielony, ale bez przesady. Raczej tak, jak może upić się mężczyzna, który wie już, w którym momencie jest najprzyjemniej, i który potrafi się w tym stanie utrzymać przez cały wieczór. Jak dzisiaj. Słyszy, jak zdejmuje buty i starannie zakłada kapcie; słyszy nawet, jak rozwiązuje krawat: jego końce zwisają teraz na jedwabnej koszuli. Rozpina marynarkę.

Mężczyzna otwiera skrzydło uchylonych podwójnych drzwi, wysokich na blisko trzy metry. Wchodzi do salonu, gubi po drodze jeden kapeć, przeklina, schyla się, udaje mu się go włożyć, podnosi się i wtedy go spostrzega, jak przez mgłę. Próbuje utkwić w nim wzrok.

- Ki diabeł o tej porze! - W jego głosie słychać poczucie wyższości, zupełnie nie na miejscu. *Famous Last Words.*

Podnosi pistolet, który leżał na jego kolanach, i oddaje dwa szybkie, ciche strzały.

Mężczyzna stoi przez chwilę w miejscu, znieruchomiały.

Potem siada na podłodze i pochyla się do przodu.

Siedzi tak przez jakieś dziesięć sekund. Potem opada na bok.

Kładzie pistolet na szklanym stoliku i bierze głęboki oddech.

W myślach odhacza kolejną pozycję na swojej liście.

Potem podchodzi do wieży stereo, włącza. Klapka magnetofonu otwiera się powoli, wkłada kasetę, klapka zamyka się, w pokoju rozbrzmiewają pierwsze dźwięki fortepianu. Palce wędrują w górę i w dół klawiatury. Wchodzi saksofon, wędruje razem z fortepianem. Ten sam krok, ta sama krótka przechadzka. Gdy saksofon odłączy się na chwilę, oddając się tańcom i podskokom, a fortepian zacznie gładzić w tle długie dźwięki, pincetą wydłubuje pierwszy nabój ze ściany. Wrzuca go do kieszeni, unosi pincetę na wysokość drugiego otworu. Czeką. Kilka uderzeń w bęben. A potem krótki, jakby arabski pomruk saksofonu, trwająca kilka sekund orientalna podróż. Fortepian cichnie.

Saksofon, kontrabas, bębny. Wyobraża sobie, jak pianista czeka, bujając się na stoliku. *Yeah.* On też czeka. Pinceta uniesiona w górę.

Saksofon wspina się wyżej, coraz szybciej. Ooo... Czy to głos saksofonisty?

I właśnie wtedy, gdy słychać pierwsze oklaski i komentarze publiczności, gdy cichnie saksofon, a przebija się fortepian, właśnie wtedy wyciąga drugą kulę. Właśnie wtedy. Na podłogę

kruszy się trochę tynku. Spłaszczona grudka wpada do kieszeni i łączy się z pierwszą.

Fortepian na początek stawia kilka pozornie nieporadnych kroków. Potem wyrывa się z ustalonej struktury. Wędruje coraz swobodniej, brzmi coraz piękniej. Słyszysz to piękno. Teraz. W sobie. Nie tylko jako... wspomnienie z przeszłości.

Kontrabas milknie. Rozpoczyna się kolejna wędrówka fortepianu. Zupełnie jak na początku. Powinien nauczyć się to rozumieć, tak na serio. Wchodzi saksofon.

Ostatnie powtórzenie.

Oklaski, gwizdy.

Robi lekki ukłon.

Mógłby tego słuchać w nieskończoność.

6

BYŁ pierwszy kwietnia. Paul Hjelm siedział w pokoju przesłuchań, pocierając dłonie. Nie mógł przestać. Zegar na ścianie wskazywał 10.34. Mieli zamiar go dalej maglować? A może to wszystko to jakiś primaaprilisowy żart?

Nie wiedział już, co powinien mówić. Schował się w sobie. Może Grundström miał rację? Może rzeczywiście muszą ukarać go dla przykładu? Przecież znał nastroje na komendzie, miał na nie wpływ, one miały wpływ na niego.

Uchyliły się drzwi. Zobaczył w nich strapioną twarz Grand-stróma, nie potrafił ocenić, czy jego mina była szczera.

- Wybacz, Hjelm. Podjęliśmy decyzję dziś rano. Twoje wymówienie powinno leżeć na biurku inspektora Brauna najpóźniej o trzeciej po południu. Ponieważ odchodzisz na własną prośbę, nie przysługuje ci ani odprawa, ani zasiłek dla bezrobotnych.

To wcale nie była twarz Grandstróma.

Nieznajomy mężczyzna przyglądał mu się przez kilka sekund. Był grubo po pięćdziesiątce, ubrany w codzienne, ale porządne ubrania, ogolony, łysy. Ogromny nos. Patrzył na niego przez chwilę badawczo, z całkowitym obiektywizmem. Podał mu rękę.

- Inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin. Rozumiem, że to nie mnie się pan spodziewał.

- Paul Hjelm - odpowiedział oszołomiony Paul Hjelm.

A więc to tak. Przyszedł ich szef. Kompetencje, zwierzchnictwo. Trudno było sobie wyobrazić, że nad Grundstrómem jest

ktoś jeszcze. A więc tak wyglądał ten mniej lub bardziej tajny szef Biura Spraw Wewnętrznych.

- Gdzie jest Grundström? - wydusił wreszcie z siebie. Nie poznawał własnego głosu.

- Ach - westchnął Jan-Olov Hultin. - Zostało po nim już tylko wspomnienie.

Wyjął z teczki pierwsze strony dwóch sztokholmskich dzienników. Na obu widniało zdjęcie Hjelma sprzed dziesięciu lat. Nagłówek „Dagens Nyheter”: **Zakładnicy w Hallundzie**, a tuż pod nim:

Policjant ratuje całą trójkę. „Svenska Dagbladet”: **Bohater w Norsborgu**, a pod spodem: **Komisarz kryminalny Paul Hjelm przybywa na ratunek.**

To było jak najgorsza kpina, zainscenizowana przez jakiegoś sadystycznego reżysera.

- Widziałeś? - zapytał Hultin.

- Nie.

Krótko i zwięźła wypowiedź, można by pomyśleć. Ale w rzeczywistości tylko tyle udało mu się wydusić przez zaciśnięte gardło.

Hultin złożył gazety.

- Tu powinny być całkiem inne nagłówki. Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że tak wyglądają. To znaczy, że nie doszło do przecieku. Wydarzyło się coś dużo poważniejszego.

Paul Hjelm zamienił się teraz w jeden ogromny znak zapytania.

Jan-Olov Hultin włożył na swój imponujący organ węchu półokrągłe okulary do czytania i zaczął przeglądać dossier w brązowej teczce opatrzonej nazwiskiem Paula Hjelma.

- Jak udało ci się spędzić tyle lat w tej okolicy i nie zostawić po sobie żadnego śladu? Żadnych opinii, żadnych wyróżnień. Rzadko widzę takie czyste strony w stosunkowo starym dossier. Co ci nagle strzeliło do głowy?

Hjelm siedział jak skamieniały. Hultin patrzył na niego z zainteresowaniem. Prawdopodobnie nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. A jednak ją otrzymał.

- W tych latach założyłem i utrzymywałem rodzinę. Niewielu policjantów może to o sobie powiedzieć.

Wielkonos zaśmiał się głośno, a był to śmiech skierowany na zewnątrz i do środka, po czym postanowił wyłożyć tak zwane karty na tak zwany stół.

- Dziś rano w wydziale kryminalnym Komendy Głównej Policji - Rikskriminalen - powstała nowa jednostka. Na razie ma dosyć błazeńską nazwę, Drużyna A. Opiera się na strukturze, która jest, można powiedzieć, zaprzeczeniem struktury grupy zajmującej się sprawą Palmego. Żadnych dużych zespołów, ciągłych zmian szefów, wątpliwości co do zachodzących na siebie kompetencji. Będzie to jednostka nowego typu, mała, spójna i z ludźmi z zewnątrz, próba poszerzenia i jednocześnie skompresowania Rikskriminalen. W jej centrum - młodzi, ale doświadczeni, starannie dobrani policjanci z całego kraju. Jestem jej szefem i chcę, żebyś do nas dołączył. Kiedy media wezmą nas pod lupę, będziemy potrzebować ich przychylności, którą ty zapewniłeś sobie swoim ostatnim wyczynem. Jak dla mnie to było mocne zagranie. Zapoznałem się z materiałem Biura i powiedzmy, że go przejąłem. To jest sprawa najwyższej wagi, a gdy w coś zaangażuje się Krajowy Zarząd Policji - Rikspolisstyrelsen, to nawet ci z Biura Spraw Wewnętrznych muszą paść na kolana.

- Jeszcze kilka sekund temu groziło mi zwolnienie... Hultin spojrzał na niego badawczo.

- Zapomnij o tym. Pytanie tylko, czy czujesz się na siłach, żeby stać się częścią tej wyrafinowanej maszyny, bo u nas nadgodziny znacznie przewyższają normalne godziny pracy. Wydajesz się lekko zmęczony. Hjelm odchrząknął i uniósł się lekko na krześle. Przez chwilę wydawało mu się, że wie już, co znaczy szczęście.

- Przeżyłem kilka ciężkich dni. Ale daj mi, do cholery, tę robotę, a zobaczysz, wypruję z siebie flaki. Dosłownie.

- Mam nadzieję, że jednak nie za bardzo dosłownie - odezwał się Hultin i zawiesił na chwilę głos. - Potrzebny nam ktoś

z taką inicjatywą, jaką wykazałeś się w biurze imigracyjnym. Byle nie przesadną. Przede wszystkim chcemy stworzyć dobrze działający zespół, który opiera się na ludziach obdarzonych fantazją, do tego sumiennych. Z notatek Grundstróma wynika, że przez te wszystkie lata kryłeś się ze swoją osobowością. Myślę, że teraz będziesz miał okazję w pełni rozkwitnąć. I pewnie nieźle się przy tym wypalić.

- Co to za sprawa?

- Seryjne morderstwa. I ofiarami nie są bynajmniej młodzi chłopcy, prostytutki czy holenderscy kempingowicze. Nie, tu chodzi o coś zupełnie innego i wszystko wskazuje na to, że to dopiero początek.

- Politycy?

Hultin uśmiechnął się lekko. Pokręcił głową.

- Nie, nie. Dobrze kombinujesz, ale nie tym razem. Tu chodzi o, jak by to powiedzieć, biznesową śmietankę. Dzień przed twoim bohaterским wtargnięciem do biura imigracyjnego zastrzelono niejakiego Kuno Daggfeldta w jego domu w Danderyd. Już wówczas wiele wskazywało, że na tym nie koniec. Ekstremalna precyzja, chłód, co jest oznaką albo profesjonalizmu, albo całkowitego opanowania. Daggfeldt zostawił po sobie dwie firmy, dwójkę dzieci i sześć mieszkań w kraju i za granicą. Wczoraj późnym wieczorem kolejne ciało. Tym razem na Strandvagen, w jednym z tych ciut mniejszych apartamentów. Osiem pokoi z balkonem. Dyrektor Bernhard Strand-Julen zginął dokładnie w ten sam sposób. Dwa strzały w głowę, pociski wyjęte ze ściany przy użyciu obcęgow lub większej pincety. Żadnych śladów. Ta sama broń mocnego rażenia: wszystkie cztery kule przewierciły czaszki na wylot. Nie wiadomo, jak sprawca dostał się do środka. Daggfeldta i Strand-Julena wiele łączyło, musimy wszystko sprawdzić. Obracali się w tych samych kręgach, byli członkami wielu stowarzyszeń, żeglowali w tym samym klubie, zasiadali w tych samych zarządach. I tak dalej. Z pozoru nic, co by odbiegało od normy.

- Jednostka specjalna to dosyć mocna karta. Co na to sztokholmska policja, w końcu zostaną odstawieni na boczny tor?

- Jeszcze nie wiem. Będziemy z nimi współpracować. Zgadzam się, to mocna karta. Ale istnieje ryzyko utraty trzonu szwedzkiej gospodarki, poza tym wiele wskazuje na to, że mamy do czynienia z przestępczością zorganizowaną. Najwyższy profesjonalizm, z jakim jeszcze się w Szwecji nie spotkałem. Lepiej dmuchać na zimne. Przynajmniej tym razem. - Hultin zrobił pauzę. - Zdaję sobie sprawę, że zakładanie jednostki specjalnej pierwszego kwietnia może źle wróżyć...

- Zawsze to lepiej niż w piątek trzynastego...

Hultin uśmiechnął się lekko i zerknął na zegarek. Musi być w olbrzymim stresie, ale nie zdradził się nawet mrugnięciem oka, pomyślał Hjelm. Hultin podniósł się i podał mu rękę.

- Narada dziś o piętnastej w nowym budynku komendy. Wejście od Polhemsgatan 30. Pasuje?

- Widzimy się na miejscu.

- Widzimy. Jadę teraz na Gamla Varmdövägen po Gunnara Nyberga z okręgu Naćka. Znasz go? To też świetny policjant.

Hjelm potrząsnął głową. Nie znał prawie nikogo spoza oddziału w Huddinge. Hultin zatrzymał się na progu:

- Masz jakieś cztery godziny na pożegnanie się z kolegami na czas bliżej nieokreślony i zebranie manatków. Dasz radę?

Zniknął za drzwiami. Po chwili jednak wrócił, właśnie gdy Hjelm opadł na krzesło, żeby odetchnąć.

- Żeby nie było wątpliwości, dodam jeszcze, że cała sprawa jest *top secret...*

- Jasne. To się rozumie samo przez się.

Zdecydował, że jednak nie zadzwoni do Cilli. Pomyślał o nadgodzinach i o urlopie, który, jak wszystko wskazywało, właśnie przeleciał mu koło nosa. I jeszcze o domku na Dalaró, który mieli okazję tanio wynająć. Na całe lato. Najpierw chciał się chwilę nacieszyć.

Wchodząc do swojego dawnego pokoju, nie potrafił ukryć radości.

W środku siedziały cztery osoby, zajęte pochłanianiem szkodliwej dla zdrowia zawartości plastikowych pudełek z lunchem. Anders Lindblad, Anna Vass i Johan Bringman. I jeszcze Svante Ernstsson. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Widać nie takiej miny się spodziewali.

- Przyszedłem się pożegnać - powiedział z powagą. Bringman i Ernstsson wstali.

- Co ty, kurwa, wygadujesz? - zdziwił się Bringman.

- Opowiadaj - dodał szybko Ernstsson. - Chcesz powiedzieć, że te cioty wylały cię z roboty?

Usiadł przy stole i wskazał palcem na lunch Svante Ernsts-sona.

- Hamburger z mikrofali. Przecież tyle razy ci mówiłem, że sos jest potem ciepły.

Ernstsson zaśmiał się z ulgą.

- E, czyli nie wylały! Gadaj wreszcie!

- Przyszedłem się pożegnać. Jak by to powiedzieć? Zwolnili mnie, a zaraz potem awansowali.

- Ci z Biura, tak?

- Nie, tych mam już z głowy. Rikskrim, z szefem we własnej osobie.

- Wola, żebyś nie siedział w tym południowym bagnie pełnym imigrantów?

- Coś w ten deseń. To jest... *top secret* albo jeszcze bardziej poważne. Tak mi powiedział ten mężczyzna. Będą pewnie pisać o tym w gazetach. Ale jak na razie cicho sza.

- To o której stąd spadasz?

- Po południu. O trzeciej.

- Zajebista sprawa. To jak? Zaraz podrzucę cię do Ishmeta. Na pożegnanie kupisz nam najdroższy, ociekający miodem tort.

Braun zaciągnął się brązowym dymem z czarnego cygara i zaśmiał się głośno, odsłaniając wszystkie zęby. Pokażny arsenał. Uniósł w górę ramiona i wydał z siebie przeciągły pomruk. Popiół z cygara ośnieżył jego posiwiały zarost.

- Patrzcie państwo, dorobiłem się jeszcze jednego ważniaka w Rikskriminalen - odezwał się z nieskrywaną dumą. - Tylko pamiętaj, że jak już raz tam wejdiesz, to nigdy nie wyjdiesz. Chyba że w trumnie. Ze stemplem Rikskrim.

Hjelm zgarnął z biurka Brauna legitymację i broń służbową i zaczął zakładać szelki kabury.

- Jeszcze jednego?

- Hultin był tu pod koniec lat siedemdziesiątych, nie wiedziałeś? Niezły piłkarz. Drewnianonogi Hultin, najbrutalniejszy ze środkowych obrońców. Zero wyczucia piłki. Specjalista w roz-kwaszaniu łuków brwiowych.

Hjelm poczuł, jak coś zaczyna powoli krążyć w jego żyłach. Nie było to do końca niemiłe uczucie.

- Powiedział, że czytał o mnie w gazetach. Przychylność mass mediów.

- Cały Hultin. Te jego przeglądy prasy.

- Masz z nim kontakt?

- Zdarza się, że zadzwonię do niego, by mu przypomnieć o dawnych przysługach. Zdaje mi się, że wciąż gra - drużyna weteranów sztokholmskiej policji. Oczywiście tylko wtedy, gdy ma czas, co nie zdarza się często. Wyobraź sobie, jak rozkwaszą z główki łuki brwiowe swoim kolegom przed emeryturą. Widok wart każdego grzechu.

Hjelm nie mógł nie zapytać.

- Nie przez przypadek...?

Braun oderwał na chwilę myśli od boskiego widoku zalanych krwią posiwiałych brwi funkcjonariuszy. Spojrzał na niego przebiegle.

- Całe szczęście, że akurat teraz powstała ta nowa jednostka. Najbardziej tajna z tajnych Drużyna A.

- Chyba niełatwo jest obejść tych z Biura...

- Jakoś trzeba sobie radzić. Drewnianonogi tkwi mi w pamięci. - Bruun zaciągnął się ostatni raz cygarem, jego usta wyglądały jak rura odkurzacza. - Tylko się postaraj. Nie chcę się znowu nurzać w tym bagnie.

PIERWSZA narada Drużyny A odbyła się w jednej z najmniejszych sal potężnego kompleksu budynków komendy policji, położonego w kwartale ulic Kungsholmsgatan, Polhemsgatan, Bergsgatan i Agnegatan. Wzdłuż tej ostatniej rozciąga się dawny budynek komendy, oddany do użytku w 1903 roku, wypinający napęczniałą żądą władzy żółtą pierś. Siedziba sztokholmskiej policji. Przeciwny bok prostokąta wychodzi na Polhemsgatan i stanowi przykład całkowicie odmiennego, a mimo to równie absurdalnego ideału architektonicznego, tego z lat siedemdziesiątych. Tu urzęduje kierownictwo Rikspolis. Od tej strony wślizgnął się do budynku Paul Hjelm, kilka minut przed trzecią. Czekali już na niego. Strażnik pokazał mu na mapce przy wejściu drogę do niewielkiej salki. Nic z tego nie zrozumiał, dlatego chwilę się spóźnił. Przy stole siedziało już pięć osób. Wyglądali na równie zdezorientowanych jak on. Nie chcąc zwracać na siebie niepotrzebnie uwagi, przysiadł na pierwszym wolnym krześle. W tej samej chwili w drzwiach ukazał się dostoyny blondyn około pięćdziesiątki, ubrany w porządny garnitur. Podszedł do krótszego boku stołu i położył prawą rękę na teleskopowym ramieniu rzutnika. Rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł osoby, której szukał. Wyszedł, odchrząkując jakby z opóźnieniem. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, po drugiej stronie sali otworzyły się inne drzwi i do środka wszedł inspektor kryminalny Jan-Olov Hultin. Rozejrzał się po pokoju, ale nie dostrzegł osoby, której szukał.

- Gdzie jest Mórner? - zapytał.

Zgromadzeni w pokoju, prawdopodobnie przyszła Drużyna A, spojrzeli po sobie ze zdziwieniem.

- Kto to jest Mórner? - odpowiedział pytaniem Hjelm.

- Przed chwilą był tu jakiś mężczyzna - odezwała się jedyna w grupie kobieta, brunetka z Góteborga, na której twarzy rysowały się pierwsze zmarszczki, czym się jednak najwyraźniej nie przejmowała - ale wyszedł.

- To w jego stylu - rzucił jakby od niechcienia Hultin, usiadł ciężko i włożył delikatne okulary do czytania na swój wielki nos. - Waldemar Mórner, dyrektor oddziału w zarządzie Riks-polis i oficjalny szef Drużyny A. Planował krótkie przemówienie. No nic, zobaczymy, czy jeszcze wróci.

Hjelm próbował bezskutecznie dostrzec w tym dystyngowanym, eleganckim mężczyźnie brutalnego piłkarza. Hultin ciągnął dalej:

- Okej, macie już chyba jaki taki ogląd sytuacji. Stanowicie zespół, który z braku lepszych pomysłów na razie nazywa się Drużyna A. Podlegacie bezpośrednio Rikskriminalen, ale będziecie blisko współpracować ze sztokholmską policją, zwłaszcza z ich wydziałem kryminalnym, który mieści się w tym skrzydle Kungsholmsgatan, tuż za rogiem. Miejscem zbrodni jest, przynajmniej na razie, Sztokholm. No nic, chciałem w każdym razie powiedzieć, że niezależnie od waszych stopni podlegają wam zarówno ci ze sztokholmskiej, jak i z Riks. To sprawa najwyższej rangi, jak mawiają w serialach. Ponieważ zostaliście wybrani z różnych okręgów w kraju, proponuję, żebyśmy zaczęli od krótkiej prezentacji. Jak już wiecie, nazywam się...

Otworzyły się drzwi i do sali wszedł mężczyzna, który zaglądał tu już wcześniej. Tym razem wyglądał tak, jakby kogoś gonił.

- Tu jesteś, Hultin. Wszędzie cię szukałem.

- Rozumiem. Oto twoja Drużyna A.

- Świetnie, świetnie - rzucił szybko Waldemar Mórner, podszedł do stołu i stanął, jak wcześniej, z ręką opartą o ramię

rzutnika. - Cóż, szanowni panowie. I szanowna pani. Stanowicie starannie wyselekcjonowaną jednostkę składającą się z sześciu mężczyzn, przepraszam, pięciu mężczyzn i jednej kobiety. Zakładam, że inspektor kryminalny Hultin zdążył już was poinformować o nowych obowiązkach. Dajcie z siebie wszystko. Dla bezpieczeństwa kraju to sprawa najwyższej rangi. Waszym zadaniem jest zatrzymać tego szaleńca, zanim pozbawi nasze państwo jego sił witalnych. Wy - i tylko wy - możecie powstrzymać jego dziki galop przez królestwo Szwecji. No tak. Właśnie. Widzę, że jesteście młodzi i z ambicjami i że śmiało patrzycie w przyszłość. I że wiecie, o co w tym wszystkim chodzi. Niech was chroni anioł stróż policji.

Wyszedł z pokoju równie szybko, jak do niego wszedł. Opadłe ze zdziwienia szczęki wróciły na miejsce. Hultin zamknął oczy i podrapał się w kącikach powiek, wkładając palec za oprawki okularów.

- Rozumiem, że już wiecie, w czym rzecz. Minęła chwila, zanim pojawiło się kilka uśmiechów. I jeszcze dłuższa, nim zebrani docenili subtelne poczucie humoru Hultina. - Na czym to ja skończyłem. Nazywam się Jan-Olov Hultin, pracuję tu już dobre kilka lat, najdłużej pod bezpośrednim zwierzchnictwem dotychczasowego szefa Rikskrim, którego nazwiska nie wolno dziś głośno wypowiadać. Ma go zastąpić ktoś nowy, z tytułem odpowiadającym statusowi dyrektora generalnego. Ale skończmy już z tymi tytułami. Przedstawcie się, może zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ta nagła przerwa wywołała lekkie zamieszanie. W końcu odezwał się łysy mężczyzna około pięćdziesiątki, z lekką nadwagą, który w małej i zimnej salce zajął miejsce najbardziej na prawo. Kiedy mówił, uderzał lekko ołówkiem w stół.

- No dobra. Nazywam się Viggo Norlander i od początku zajmuję się tą sprawą. Zostałem tu przeniesiony ze sztokholmskiego wydziału kryminalnego, mieszczącego się za rogiem. Z was wszystkich miałem tu chyba najbliżej. Poza tym jestem

chyba najstarszy ze wszystkich. Z wyjątkiem mistrza Jana-Olo-va, ma się rozumieć.

Hultin kiwnął lekko głową, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy. Widać było, że dobrze się znają. Obok Viggo Norlandera siedziała kobieta.

- Nazywam się Kerstin Holm. Jak już pewnie słyszeliście, trafiłam tu prosto z wybrzeża Morza Północnego. Od kiedy pamiętam, jestem związana z wydziałem kryminalnym w Gó-teborgu.

Głos zabrał ciemnowłosa mężczyzna po trzydziestce, najmniejszy i najmłodszy ze wszystkich. Mówił jasno i wyraźnie.

- Nazywam się Jorge Chavez i jeszcze do wczoraj byłem jedynym czarnym w okręgu policyjnym Sundsvall. Mogę was zapewnić, że odczują moją nieobecność. Widzę, że mamy tu reprezentantów wszystkich mniejszości. I bohaterów.

Spojrzał wymownie na siedzącego obok Hjelma. Hjelm zamrugał kilkakrotnie, zanim udało mu się wydobyć z siebie głos. Kątem oka dostrzegł lekki uśmiech na twarzy Hultina.

- Trafiłem tu raczej przez lekkomyślność, nie bohaterstwo. Czas pokaże, czy w nagrodę, czy za karę. Nazywam się Paul Hjelm i pracowałem w Huddinge. Domyślam się, że widzieliście moje urocze zdjęcie z czasów młodości, które w ostatnich dniach pokazywały wszystkie media.

Całkiem nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności, pomyślał, a że chwilę później oblał go pot, umknęła mu część kolejnej prezentacji. Siedzący po lewej stronie mężczyzna wyglądał na Finna i miał kilka lat więcej od niego. Był szczupły i wysoki, miał bardzo jasne włosy i niemal białą cerę. Hjelmowi przyszedł do głowy Martti Vainio, biegacz długodystansowy przyłapany na dopingu, potem konserwatywny polityk. Akcent sąsiada był ledwo wyczuwalny, choć dużo silniejszy od akcentu Chaveza.

- Arto Söderstedt, Fin jak się patrzy - powiedział lakonicznie. - A właściwie Fin szwedzkiego pochodzenia, z typowo fińskim imieniem - za sprawą mamy, urodzonej dyplomatki. Dostarczo-

ny tu z samego rana z Vasteras prywatnym odrzutowcem szefa Rikspolis.

Został już tylko jeden mężczyzna, niedbale ubrany olbrzym z wałeczkami tłuszczu, które tworzą się, gdy przyjmowaniu anaboliów nie towarzyszy regularny trening. Hjelm próbował nie poddawać się temu pierwszemu wrażeniu.

- Jestem Gunnar Nyberg z policji w Načka - powiedział Gunnar Nyberg z policji w Načka.

Oczekiwany ciąg dalszy nie nastąpił, a głos zabrał Hultin.

- Mamy do dyspozycji pięć pomieszczeń: moje biuro, tę tutaj - jak ją nazwiemy? - salę konferencyjną, w której będziemy się spotykać na narady, i trzy pokoje. Co oznacza, że na każdy przypadnie dwoje ludzi, tak że będziecie częściowo pracować w parach. Czyli nic nowego. Proponuję następujący układ: Norlander i Söderstedt - pokój 302, Holm i Nyberg - pokój 303, Hjelm i Chavez - pokój 304. Wszędzie znajdują się dwa biurka, dwa telefony, intercom i komputer. Sam zadekuję się w pokoju 301, a to jest pokój 300. Na każdym biurku leżyteczka z dokładnym opisem sprawy. Zakończywszy już kwestie administracyjne, poproszę teraz Norlandera o zaprezentowanie najważniejszych szczegółów sprawy, tych policyjnych. Potem przydzielę wam wasze obowiązki. Zaczynaj, Viggo. Norlander wstał z miejsca i usiadł na rogu stołu przy Hultinie. Wziął pisak z tablicy i mówiąc, obracał go w palcach:

- Jeśli chodzi o sprawy czysto techniczne, to w tej chwili nie mamy niczego do roboty. Sprawca nie zostawił po sobie najmniejszego śladu, nawet jednego włosa, więc zapewne mamy do czynienia z profesjonalistą. Możemy więc darować sobie zbieranie dowodów rzeczowych. Typowe kule dziewięć i pół milimetrowe. Za to wystrzelone z niezłą siłą. Przeszły przez czaszkę i zostały potem wydłubane ze ściany czymś w rodzaju szczypców. W obu przypadkach zabójca czekał na swoją ofiarę, siedząc w salonie na sofie. Stamtąd też padł strzał. Chociaż obie ofiary mieszkały z żonami, a Dagfeldt również z synem, prawdopodobnie zabójca

w i e d z i a ł, że ofiara przyjdzie do domu sama, do tego późno wieczorem. Narysuję teraz oba salony, żeby nakreślić symetrię, z jaką mamy tu do czynienia.

Norlander narysował dwa niebieskie kwadraty i wypełnił je mniejszymi kwadratami i prostokątami. Na koniec ten sam bok obu kwadratów przeciął kreską.

- Drzwi do salonu - wyjaśnił. - Jak widzicie, oba pokoje są prawie kwadratowe. Wystrój wnętrza niemal identyczny. Siedział tu, na sofie, przy najbardziej oddalonej od drzwi ścianie. Odczekał, aż ofiara zrobi kilka kroków, pewnie żeby kule trafiły w ścianę, a nie znikły gdzieś w ciemnościach za drzwiami. Potem oddał dwa strzały w głowę ofiary.

Norlander narysował kreskę na przekątnej obu kwadratów - tor strzału prowadzący od kanapy do ściany przy drzwiach.

- Symetria może mieć dwojakie znaczenie. Po pierwsze rytualne; może wskazywać, że chodzi tu o metodę egzekucji, łatwą do rozpoznania i wywołującą poczucie zagrożenia. Po drugie może to być rodzaj podstępu, z myślą o nas, po to, żdbyśmy spodziewali się tego samego scenariusza następnym razem, kiedy to symetria zostanie złamana, a my będziemy wtedy myśleć, że zbrodnia nie jest częścią serii zabójstw. Moim zdaniem ktoś powinien skontaktować się z Interpolem, odpowiednią jednostką UE i jeszcze innymi międzynarodowymi sieciami kontaktowymi i sprawdzić, czy ten *modus operandi* nie jest praktykowany przez jakąś znaną im organizację mafijną czy terrorystyczną. Przede wszystkim musimy jednak wytypować następną ofiarę. Jak się już pewnie domyślacie, nie jest to takie proste. Jest cała masa powiązań między Kuno Daggfeldtem z Danderyd i Bernhardem Strand-Julenem z Óster-malm. Można je podzielić na pięć grup: wspólni wrogowie, wspólni znajomi, wspólne hobby, wspólne interesy, wspólne stanowiska kierownicze. Te obszary będą z pewnością zachodzić na siebie i stanowią tylko jeden z możliwych punktów wyjścia.

Norlander wrócił na swoje miejsce. Hułtin kiwnął głową w jego stronę i zabrał głos.

- Okej, jeśli założymy, że ta symetria dotyczy również czasu, dziś nie powinno nic się wydarzyć. Pierwsze morderstwo miało miejsce w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty marca, drugie w nocy z trzydziestego pierwszego marca na pierwszy kwietnia. Dziś jest pierwszy kwietnia. Po przemówieniu Mórnera nie macie zresztą chyba co do tego wątpliwości. Jeśli symetria, na którą nie mamy jeszcze wystarczających dowodów, sprawdzi się i tym razem, do trzeciego morderstwa dojdzie już jutro w nocy. Nie sądzę, żeby do tego czasu udało nam się dotrzeć do kolejnej ofiary, ostrzec ją, a potem chronić - byłoby jednak dobrze, gdybyśmy wytypowali odpowiedni krąg osób, a potem z pomocą sztokholmskiej policji wybrali pięciu, sześciu najbardziej prawdopodobnych kandydatów. Pamiętajcie o powtarzającym się motywie późnego, samotnego powrotu do domu. Proponuję następujący podział pracy. Viggo bierze na siebie Interpol i zagadnienie *modus operandi*, Nyberg poszuka jakichś bardziej bezpośrednio związanych z ofiarami wspólnych wrogów, najlepiej takich z zamierzłej przeszłości, z czasów studiów w Wyższej Szkole Handlowej i tak dalej - rozumiesz, droga na szczyty. Holm spróbuje zawęzić krąg znajomych i sprawdzić, czy nie ma tu jakichś ukrytych kochanek i tym podobnych. Hjelm, zajmij się wspólnymi hobby: żagle, golf, bractwa i tak dalej, może znajdziesz coś jeszcze. Söderstedt, zbadaj ich interesy, zwróć się o pomoc do policji gospodarczej, będziesz mieć kupę roboty. Chavez sprawdzi stanowiska kierownicze obu panów. Ja sam będę starał się to wszystko jakoś strukturyzować - wybierać, dobierać i tak dalej. Widzicie tę cholerną białą tablicę? Ma się wkrótce pokryć siecią strzałek, nazwisk i adresów. Zbliża się czwarta. Proponuję, żebyśmy zajęli się robotą. Do jutra musimy mieć już ustalony plan działania.

Hultin zamyślił się. Potem dał znak głową, że to już koniec. Gdy się podnosił z krzesła, rozległo się chrząknięcie Arto Söderstedta, więc usiadł z powrotem na miejsce.

- Możesz jeszcze powiedzieć kilka słów na temat godzin pracy?
- Jak już mówiłem, czeka nas mnóstwo roboty. Na pewien czas musicie zapomnieć o zapisach w kodeksie pracy i umowach związków zawodowych; na dobrą sprawę jesteście do dyspozycji zespołu dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Możecie spojrzeć na to optymistycznie - mamy odłożone środki na wasze nadgodziny i jeśli dochodzenie się przedłuży, dorobicie się niezłej sumki. Albo pesymistycznie - to będzie ciężki okres dla waszych małżeństw i w ogóle, zwłaszcza jeśli śledztwo przeciągnie się da lata.

Hultin chciał wstać, ale Söderstedt nie dawał za wygraną:

- Krótkie pytanie. Co z Sapo*?

Hultin pokiwał głową. Trudno było zinterpretować jego krótkie milczenie.

- Właśnie. Sapo zna sprawę. Jak zawsze nie mamy wglądu do prowadzonego przez nich równoległego dochodzenia, ale zgodnie z umową będziemy „wymieniać się informacjami”. - Palce Hultina ułożone w znak cytatu zafurkotały jak skrzydła ćmy -, zmierzchnicy trupiej główki. - Za kilka dni złożą nam pewnie wizytę, chcieliby omówić kwestie bezpieczeństwa. Dano mi, że tak powiem, do zrozumienia, że w śledztwo może włączyć się również wojsko. Jeśli zajdzie taka potrzeba. Przynajmniej z kilku powodów powinniśmy mieć jednak nadzieję, że sprawa nie wyjdzie poza granice Szwecji.

Na więcej subiektywnych uwag Hultin sobie nie pozwolił.

Podniósł się z miejsca i wyszedł na korytarz. Szli za nim powoli gęsiego. Wiedzieli już, co ich czeka. Potem zniknęli w swoich pokojach.

Jorge Chavez i Paul Hjelm weszli do pokoju 304. Był tak mały, że mieściły się w nim tylko dwa złączone biurka. Pośrodku stał komputer z obrotowym monitorem, w rogu maleńki stolik z eks-

***Sápo - szwedzka Służba Bezpieczeństwa.**

presem do kawy. I było jeszcze okno wychodzące na podwórze. Hjelm od razu podszedł do niego, ale niewiele zobaczył - podwórko ze wszystkich stron otaczały budynki komendy. Pod parapetem stał niewielki stolik ze starą drukarką matrycową, połączoną z komputerem ciągnącymi się po podłodze zwojami kabli, o które trudno się było nie potknąć.

- Musimy tylko szybko pogodzić się z przykrym faktem, że nie mamy swoich pokoi. Potem jakoś się ułoży - odezwał się Jorge Chavez. - Które chcesz biurko?

- Bez różnicy - odpowiedział Hjelm.

Chavez siadł na krzesło bliżej wejścia, a Hjelm na tym stojącym trochę dalej. Sprawdzili ich wytrzymałość, lekko się na nich huśtając, i przy okazji przerzucili kartki w leżących przed nimi teczkach. - Lepsze niż w Sundsvall - stwierdził Jorge Chavez.

- Co?

- Krzesła. Przynajmniej krzesła.

Hjelm skinął głową. Czuł, że w powietrzu unosi się mnóstwo pytań, na które nie ma odpowiedzi. Miał wrażenie, że nie jest! w tym odczuciu osamotniony. Chavez przerwał ciszę, wstając nagle z miejsca: ^A

- Kawy?

- Dobry pomysł.

Chavez podniósł pokrywkę ekspresu, pochylił się i powąchał.

- Aha - mruknął, zanurzając palce w słoiczku z kawą. - Jak to się nazywa, kawa Królewska? Co ty na to, żebym jutro przyniósł taką z Ameryki Południowej?

- Dobra, ale tę zostaw.

- Jasne. Chociaż... - Chavez wrócił do biurka z pustym dzbankiem na kawę w ręku. Pochylił się nad Hjelmem. - Chociaż wydaje mi się, że zasmakujesz w świeżo mielonej kawie kolumbijskiej.

Hjelm przyglądał się tej małej rozbieganej postaci.

- A da się taką zaparzyć w zwykłym szwedzkim ekspresie?

- Aha - przytaknął Chavez. - Jeszcze nie znasz jego możliwości.

Zniknął w korytarzu i wrócił z pełnym dzbankiem. Podeszedł do stolika w rogu i napełnił powoli ekspres wodą. - To z tym bohaterem... - zaczął Hjelm i usłyszał, jak woda rozlewa się na stoliku, a potem na podłodze. Reszta jakimś cudem trafiła gdzie trzeba. Chavez włączył ekspres, wkładając do niego jednocześnie papierowy filtr i wsypując kilka łyżek Królewskiej. Stojąc plecami do Hjelma, powiedział: - Wyrwało mi się. Tak już mam. Stary mechanizm obronny.

- Masz coś do mnie?

- Nie znam cię.

- Daruj sobie.

Chavez odwrócił się, podeszedł do biurka i usiadł na krześle ze spuszczoną głową.

- Przecież cię nie znam. Nie wiem, co tak naprawdę wydarzyło się w czasie tego... dramatu zakładników. Wiem za to, jakie były reakcje.

- W Sundsvall?

- Ujmijmy to tak: cieszę się, że tu jestem.

- Ze mną?

- W zamkniętym pokoju.

- Media wszystko przekręciły.

- Nieważne.

- A dla mnie tak. Dla naszych wzajemnych relacji.

Zapadła cisza. Nie patrzyli na siebie. Hjelm podniósł się z miejsca i zapalił górne światło. Pokój zalał nieprzyjazny blask jarzeniówek. - Jutro poproszę Hultina, żeby dobrał ci kogoś innego - powiedział Hjelm i wyszedł na korytarz. Toaleta była obok. Odał się, a potem stał jeszcze przez chwilę nad pisuarem. Zamknął oczy i oparł się o ścianę. „Nie ma pojedynczych ruchów”. Pieprzony Grundström. I Hultin. Celowo posadził go z Chavezem. Wydłubał trochę piasku z kącików

oczu, stracił już całkiem humor. Spuścił wodę i umył ręce, długo i dokładnie. Starał się za wszelką cenę nie spojrzeć w lustro.

- Wszystko jasne - odezwał się Chavez, gdy Hjelm wszedł do pokoju. - To ty nie chcesz być ze mną. Chcesz się pozbyć tego idioty z Sundsvall, któremu nie zamyka się jadaczka.

- Lepszy idiota z Sundsvall niż słynny pogromca imigrantów - westchnął Hjelm, nalewając kawy do kubków.

- Ostatnie pytanie - powiedział Chavez, biorąc kubek - Wszedłbyś tam, gdyby on był Szwedem?

- On j e s t Szwedem - powiedział Hjelm. Przez chwilę zrobiło się cicho. - To co, bierzemy się do roboty?

Chavez uderzył kilkakrotnie teczką o biurko.

- *Let's roll* - powiedział, podnosząc w górę palec wskazujący. Otworzył teczkę. - *And hey...*

- *...Let's be careful out there* - dokończyli razem, głupawo zawodząc.

- Chyba się starzeję - zaśmiał się Chavez, chociaż wyglądał beczelnie młodo. ^J

Zbliżała się siódma, Hjelm miał gotową listę. Kuno Daggfeldt i Bernhard Strand-Julen należeli do KSSS. Zanim rozszyfrował skrót, przez chwilę bawił się myślą, że to nazwa jakiejś punkowej kapeli z południowej dzielnicy, ale KSSS* okazało się największym szwedzkim klubem żeglarskim o wieloletniej tradycji, z siedzibą w Saltsjöbaden. Jego członkami była jednak większość szwedzkich amatorów jachtingu, trop ten nie wydawał się więc szczególnie odkrywczy. Bardziej interesujący wydał się Hjelmowi fakt, że łodzie obu ofiar cumowały w tym samym miejscu: w porcie Taby położonym w zatoce Viggbyholm na północ od Sztokholmu. Daggfeldt i Strand-Julen byli również członkami

* **KSSS (Kungliga Svenska Segel Sällskapet) - Szwedzkie Królewskie Towarzystwo Żeglarskie.**

klubu żeglarskiego w Viggbyholm. Zastanawiał się także, dlaczego Strand-Julen nie korzystał z portu w Djurgarden, który miał po sąsiedzku. Postanowił, że pojedzie tam w poniedziałek. Obaj mężczyźni grali również w golfa na polu Kevinge w Danderyd. Tam też będzie musiał pojechać. Poza tym byli członkami bractwa o nazwie Mimerorden*. Hjelm potrzebował sporo czasu, żeby choć trochę zorientować się w temacie. Wyglądało na to, że do bractw należeli głównie przedstawiciele bogatszej warstwy społecznej i że nie było to zjawisko marginalne. Przykładowo wolnomularze mieli dwadzieścia pięć tysięcy członków w dwudziestu pięciu okręgach w całym kraju. Ale choć zapoznał się z całym dostępnym materiałem i zaczął odróżniać bractwa zakonne od bractw rycerskich, loże narodowe od niezależnych, małe od dużych, choć poczytał o ich licznych założycielach i patronach, od średniowiecza poczynając, i o wprawiających w osłupienie hierarchiach, systemach wtajemniczeń i towarzyszących im rytuałach - wciąż miał wrażenie, że nie ma zielonego pojęcia, czym tak naprawdę zajmują się bractwa. Ich prawdziwa działalność była bowiem tajna i chroniona przed wglądem osób niepowołanych za pomocą dziwacznych wielowiekowych haseł i najdziwniejsze rzeczy mogły dziać się wśród klasy wyższej. Kobiety nie miały prawa wstępu. Mimerorden był jednym z mniejszych i mniej znanych bractw, przez co z punktu widzenia śledztwa bardziej interesującym niż przykładowo wolnomularze czy templariusze (to ostatnie zresztą od razu wykluczył, jako że obaj panowie lubili zajrzeć do kieliszka). Nie natrafił jednak na żadne informacje na jego temat z wyjątkiem adresu, który znalazł w notce o pewnym oszustwie podatkowym sprzed sześciu lat, w które było zamieszane bractwo. Pobłogosławił wyszukiwarkę internetową.

***Mimir - w mitologii skandynawskiej tajemniczy mędrzec, który strzegł źródła mądrości u korzeni drzewa życia - Yggdrasilu.**

Więcej wspólnych zainteresowań nie znalazł. Jakby i tego nie było dość dla dwóch zapracowanych biznesmenów. Hjelm miał już gotowy plan działania:

1. Klub żeglarski Viggbyholm, Hamnvagen 1, Taby.
2. Sztokholmski klub golfowy, Kevingstrand 20A, Danderyd.
3. Mimerorden, Stallgrand, Stare Miasto.

Ktoś coś mówił o zmianie otoczenia?

Wyciągnął się. Zgasili górne światło. Mógłby je znieść chyba tylko masochista lubujący się w bólu głowy. Pracowali przy świetle starych lamp biurkowych z czterdziestowatowymi żarówkami. Niebo było wciąż jasne, ale nie dawało już wiele światła.

Chavez przeniósł klawiaturę na swoje stanowisko i stukał w nią jak oszalały.

- Znalazłeś coś o tych zarządach? - zapytał Hjelm, podnosząc się z miejsca.
- Zaczekaj chwilę - powiedział Chavez, nie przerywając pisania. - Co za burdel.
- Będę lecieć. Gdzie mieszkasz? Jedziesz na południe? Chavez wcisnął z impetem klawisz Enter – odpowiedziała mu drukarka matrycowa pod oknem. Wziął łyk kawy i uśmiechnął się krzywo.
- Mieszkam tutaj - powiedział i dodał melodramatycznie: - Oto mój dom.

Hjelm uniósł lewą brew.

- To prawda - zapewnił Chavez. - Pokój dwa piętra wyżej. Jutro mają mi załatwić coś lepszego.

Miejmy nadzieję.

- Okej. No to do jutra.
- Jasna sprawa - odpowiedział Chavez i podszedł do trzęsącej się starej drukarki.

8

RANKIEM drugiego kwietnia Paul Hjelm patrzył na swoją rodzinę jakby innymi oczami. Poprzednie śniadanie zostało spożyte ustami człowieka zdruzgotanego; teraz te usta należały do nowo narodzonego, który miał im do zakomunikowania ważną wiadomość. Przeprowadzka do centrum nie wzbudziła jednak spodziewanego entuzjazmu.

- Też coś - burknął Danne i rzucił mu spojrzenie, jakim on sam kilka dni temu obdarzył krew na podpasce jego matki. Przynajmniej tak mu się zdawało. - W końcu jesteś bohaterem Hallundy.

- To zaszczyt móc wyrwać się z tego getta - rzuciła Tova i wyszła, zanim jeszcze zdążył zapytać, od kogo usłyszała to słowo.

Od niego?

To znaczy, że plótl jakież bzdury? Zaciemniał umysły młodego pokolenia, które, w odróżnieniu od jego własnego, miało szansę zaprzyjaźnić się z tym, co obce i nieznanne? Razem żyć? Nie bać się tego? Zajrzyj w swoje serce, Hjelm.

Na chwilę się odsłoniło, ale tylko na chwilę, a teraz przykryła je sterta roboty. Nikt w rodzinie nie miał pojęcia, że stał na skraju przepaści. Widzieli w nim bohatera. On widział trupa.

Był uratowany, ale też przeniesiony. Może jakiś policjant obcego pochodzenia zajmie jego stanowisko w Fittji, może policja w Huddinge coś zyska na tej wymianie.

Dzieci wyszły. Chciał porozmawiać z Cillą, ale ona też wyszła.

Wstał od stołu, żeby pojechać do miasta. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny. I gotów. Żeby stać się kimś innym.

Może przeczuwał, że czeka go coś zupełnie innego niż wszystko, z czym dotąd miał do czynienia. Obce.

Podniósł gazetę i rzucił okiem na nagłówek na pierwszej stronie: ***Podwójne morderstwo w świecie biznesu. Włoska mafia w Sztokholmie?***

Westchnął głośno i wyszedł.

Zimny wiatr marszczył powierzchnię wody, jakby nie mogąc się zdecydować, czy jest jeszcze wiatrem zimowym, czy już wiosennym. Smugi fal sunęły w tę i z powrotem, oddalając niektóre jolki o kolejne metry. Kilkanaście stateczków kołyszących się na barkach Neptuna zostawiało za sobą na wodach Stora Vartan kilwatery rozchodzące się aż po horyzont.

- Okropna historia - powiedział po raz drugi mężczyzna w czapce marynarza. - Dwóch z naszych najznamienitszych członków. Już nawet we własnym domu nie można czuć się bezpiecznie. Czy to znaczy, że każdy poważany człowiek powinien zatrudnić firmę ochroniarską?

Stali na jednym z sześciu długich pomostów, które prowadziły z plaży do zamykającego port w Viggbyholm falochronu. Do pomostów było przycumowanych zaledwie kilka żaglówek, ale na brzegu trwały intensywne przygotowania do sezonu. Ludzie biegali z narzędziami w rękę, brzęczały szlifierki, a w powietrzu unosił się zapach epoksydu i pokostu.

- To tu cumowała żaglówka Bernharda Strand-Julena? - zapytał Hjelm, wskazując palcem na wodę.

- Tak, a Daggfeldta tam, przy trzecim pomoście. Jeszcze nie czas na spuszczenie łódek na wodę.

Przeżyłem szok, gdy rano otworzyłem gazetę.

- Ja też.

- I te nagłówki! To naprawdę jakiś sycylijski mafioso, który chce unicestwić szwedzką gospodarkę? Albo, jak pisali w innej gazecie, nowe wcielenie grupy Baader-Meinhoff? Coś nieprawdopodobnego. Gdzie jest policja?

- Tutaj - powiedział policjant, kierując się powoli w stronę nabrzeża.

- To nie była krytyka - zaprotestował mężczyzna, wlokąc się za nim. - Chciałem raczej powiedzieć: co może zrobić policja z takim przeciwnikiem, gdzie powinna zacząć szukać?

- Tutaj - powtórzył policjant.

Weszli do eleganckiego budynku klubu żeglarskiego na Hamnvägen. Mężczyzna zaprowadził go do biura. Usiadł za biurkiem. Najwyraźniej myślami był już gdzie indziej. Wyjął nóż do papeterii i zajął się rozcinaniem koperty. Hjelm odchrząknął.

- Przepraszam - powiedział tamten, odkładając list na bok. - Nie czuję się zbyt dobrze.

- Znał ich pan osobiście?

- No tak, tak jak się zna członków swojego klubu. Rozmawia się trochę o łodziach, powierzchni żagla, wiatrach czy prognozie pogody.

- Znali się? Spotykali się ze sobą w klubie?

- Nie wiem. Byli bardzo różnymi żeglarzami, więc nie sędzę. Daggfeldt pływał z rodziną, zabierał zawsze na „Maxi” żonę Ninni i dzieci. Ich córka ma osiemnaście, może dziewiętnaście lat, chyba zaczęło ją to trochę nudzić, ich młodszy syn też nie był jakoś szczególnie zachwycony. A Ninni łapała chorobę morską już na pomoście. Ale on nie wyobrażał sobie żeglowania bez rodziny. Chyba dopiero na łódce byli ze sobą blisko. Ale miewali i gorsze chwile. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Hjelm zdziwił się, ile można wyciągnąć z niewinnej pogawędki o powierzchni żagla i prognozach pogody. - A Strand-Julen?

- To całkiem inna historia. Na wskroś poważny żeglarz. Spora łódka klasy Swan, ale i tak cumował w porcie dla małych

łodzi. Pływał zawsze z profesjonalną załogą. Dwóch, trzech młodych chłopaków, sprzęt najwyższej jakości. Ciągłe nowe twarze. Ubrania najlepszych marek, jakby prosto ze sklepu.

- Nowe twarze?

- Mam na myśli załogę. Ale zawsze sprawiali wrażenie świetnie przygotowanych. Typ chłopaków, co to biorą udział w Wfit-bread Round the World Race, tak dla przykładu. Wyglądają w określony sposób. Coś jak zawodowi pływacy, co to wszyscy mają tę samą budowę ciała.

- To znaczy młodzi, opaleni blondyni? Zawsze z nowym sprzętem?

Mężczyzna zamrugął kilkakrotnie. Zmarszczył nos, coś chyba sobie uświadomił. Prawdopodobnie, że za dużo gada. Zbyt silna reakcja, pomyślał Hjelm. Musi chodzić o coś więcej.

- Okej - spróbował. - Nie obchodzi mnie, czy Strand-Julen był pedofilem i lubił mieć trzydziestu pięciu chłopców... jak to się mówi... na podorędziu. Ale może wiesz, gdzie mógłbym któregoś z nich spotkać? W końcu facet stoi teraz ponad prawem. Nic mu już nie zaszkodzi.

- Ale nie opinii o nim... Sąd nad zmarłym i tak dalej... Ma przecież żonę...

- Chciałbym wierzyć, że nie uczestniczyłeś jako alfons w tych na wskroś poważnych regatach Bernarda i Bianki. Ale jak nie dostanę od ciebie więcej informacji, to dopilnuję, żeby sprawa została dokładnie zbadana. Posłuchaj, jak to brzmi: homoseksualna siatka, niewykluczone, że z udziałem nieletnich, w jednym z najbardziej poważanych klubów żeglarskich w kraju. Zastanów się. Wystarczy plotka. Przecież doskonale to wiesz, Lind-viken. Nie ma Bernarda? Daj mi Biankę. Przynajmniej jedną z Bianek.

Mężczyzna przygryzał nerwowo kłykcie. Sprawy przybrały nieprzyjemny dla niego obrót.

Wykorzystaj jego dezorientację, pomyślał Hjelm. Gdzieś pod spodem kryje się jego poczucie winy.

Przez chwilę miał wrażenie, że mówi sam do siebie.

- Masz dziesięć sekund. Potem zabieram cię na komendę na szczegółowe przesłuchanie.
 - Na miłość boską, przecież ja niczego nie zrobiłem! Trzymałem tylko głowę na kłódkę! Ale na tym polega ta robota! Żeby nie widzieć i nie słyszeć!
 - W tej chwili wygląda na to, że ty, Lindviken, jesteś bezpośrednio zamieszany w pedofilską aferę w Viggbyholm. Im więcej dasz mi nazwisk i adresów, tym pewniej unikniesz podejrzania w oczach członków twojego klubu. Nie wspominając o sędzi. Zostało ci siedem sekund. Pięć.
 - Zaczekaj! - krzyknął Arthur Lindviken. - Muszę coś przynieść...
- Podniósł się z krzesła i podszedł do ściany. Zdjął obraz. Obrócił kilkakrotnie pokrętło zamka szyfrowego sejf, wydobyl pokaźne archiwum i odszukał teczkę z literą „S”. Wyjął z niej widokówkę przedstawiającą okazałą - i to pod każdym względem - figurę Dionizosa. Bez wątpienia był to bóg o słusznej postawie. Na widokówce ktoś napisał cienkim ołówkiem: **Strand-Julen**, a dalej, już długopisem: **Zwijamy się. Możesz zawsze zadzwonić. 64112 12. PS Niezły z ciebie kozioł, Bruse. DS.**
- Wypadło mu to kiedyś w biurze. Przechowuję tu zagubione rzeczy. Potrafię wyczuć, czy będą to chcieli mieć z powrotem, czy nie.
 - Biuro rzeczy znalezionych... Nie masz przypadkiem czegoś na D?
 - Daggfeldt? Nie.
 - Lepiej sprawdź. Lindviken wbił w niego wzrok.
 - Myślisz, że nie wiem, co mam?
- Otworzył teczkę z literą „D” i rozłożył ją przed nosem Hjelma. Była pusta. Hjelm wstał, wymachując widokówką z Dionizosem.
- Zabieram to. Nie będzie ci już chyba potrzebna. Dbaj o swoje archiwum. Kto wie, kiedy się jeszcze przyda.

Wychodząc z budynku, zobaczył przez okno Arthura Lind-vikena. Wciąż siedział przy biurku z teczkami na kolanach. Drżały.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie przesadził. Nieczęsto miał do czynienia z ludźmi, którzy nie mieli za sobą miliona przesłuchań, nie znali reguł gry - wszystkich trików i wykrętów. Nie wiedzieli, kiedy milczeć, a kiedy kłamać.

Wiał silny wiatr. Cieśnina Stora Vartan była pusta, jakby zdmuchnęło z niej wszystkie jolki.

Hjelm zaparkował swoją służbową mazdę na obrzeżach pola golfowego Kevinge. Jak na zwykłe przedpołudnie na polu było zaskakująco dużo ludzi. Wyjął komórkę i wybrał numer.

- Biuro numerów - usłyszał kobiecy głos.

- 08 641 12 12.

- Chwileczkę - rzuciła kobieta i po upływie wspomnianej chwili powiedziała: - Jórge Linden, Timmermansgatan 34.

- Dziękuję - odrzekł Hjelm i zapisał adres. Przed notatką postawił cyfrę cztery. Powinien z tym zdążyć jeszcze przed zebraniem o trzeciej.

Wysiadł z samochodu i wszedł po schodach do budynku klubu golfowego. W recepcji stała młoda dziewczyna.

- Dzień dobry - przywitała się.

- Dzień dobry - odpowiedział, wyjmując legitymację. - Wydział kryminalny. W sprawie dwóch waszych byłych członków.

- Chyba wiem, o kogo chodzi. - Kiwnęła lekko głową w stronę leżącego na ladzie egzemplarza „Svenska Dagbladet”. Hjelm również kiwnął głową.

- Byli członkami waszego klubu, prawda?

- Tak. Wydaje mi się, że byli tu częstymi gośćmi. Zatrzymywali się czasem w recepcji, żeby chwilę porozmawiać. - Czy widziała ich pani kiedykolwiek razem? Czy grali ze sobą?

- Nie wydaje mi się, w każdym razie nie regularnie... Nie przypominam sobie, że bym widziała ich razem. Czasem siadali w jednej grupie. Tego rodzaju gracze zbierają się często po zawodach, żeby porozmawiać o czymś innym niż golf.
- Co rozumie pani przez „tego rodzaju gracze”?
- Niezawodowcy. Hjelm zrobił krótką pauzę.
- Bierze pani udział w zawodach?
- Uhm.
- I nie przepada pani za takimi, co to przychodzą tu tylko po to, żeby, że tak powiem, pokazać się w towarzystwie, nawiązać kontakty i spotkać z kolegami? Mimo że wygląda pani na dziewczynę z Danderyd z krwi i kości, ma pani problem z „niezawodowcami”, bo to oni zrobili z tej dyscypliny „lekką rozrywkę dla bogaczy”?
- Niezły z pana psychoanalityk - powiedziała dziewczyna z Danderyd z krwi i kości.
- Jak to działa? Trzeba się gdzieś zarejestrować?
- Mamy księgę gości, do której wpisują się wszyscy gracze.
- Mogę do niej zajrzeć?
- Właśnie się pan o nią opiera. Przepraszam, mam klientów.
- Nic z tego - zaprotestował Hjelm. - Ja przejrzę wpisy z ostatnich tygodni, a pani zajrzy do tego ślicznego komputerka i sprawdzi, od kiedy Daggfeldt i Strand-Julen są członkami klubu.
- Zaraz panom pomogę, proszę wybaczyć - powiedziała przez jego ramię do dwóch siwych mężczyzn w klasycznych wełnianych swetrach w kratę. Przysłuchiwał się im, przeglądając księgę.
- Co za czasy - odezwał się starszy z nich. - To się w głowie nie mieści. Czytałeś „Svenska”?
- Święte słowa. Czy dziś każdy przyzwoity człowiek powinien chodzić z ochroniarzem? To byli porządni ludzie, mówię ci, bracie, porządni ludzie. Obaj, Daggfeldt i Strand-Julen. Znałem ich osobiście. Myślisz, że to sprawka komunistów?

- Rany boskie, niby skąd mam wiedzieć? Ale za grosz nie wierzę tym nicponiom. Jeden z nich podobno pracuje nawet w dziale kultury w „Svenska”.
 - Co ty powiesz? Infiltracja? Zator w samej tętnicy? Źle się dzieje z matką Sveą.
 - To prawda, o czymś takim nie słyszałem od czasu, kiedy pisywał tam eseje ten komunista, no, jak też on się nazywał?
 - Lundstedt.
 - O właśnie, Arvid Lundstedt. Nie wspominając już o wielce szanowanym czerwonym naczelnym, którego jakiś cymbał w imię źle pojętej tolerancji posadził na pisarskim tronie.
 - Masz na myśli Yxkulla? Czerwonego Yxkulla?
 - Jego samego.
- Hjelm zostawił starszych jegomości ich nie całkiem nieprzewidywalnemu losowi i wziął z ręki dziewczyny zapisaną kartkę. Kiedy ta z uśmiechem zwróciła się do mężczyzn, powiedział:
- Nie skończyłem jeszcze. Pan D. jest członkiem od roku osiemdziesiątego drugiego - powiedział, używając skrótów, żeby nie zwracać niepotrzebnie uwagi. - Pan S.-J. dopiero od osiemdziesiątego piątego. Czy macie księgi gości z tych lat?
- Dziewczyna ponownie przeprosiła starszych panów, którzy ulegli urokowi jej ukazywanych w uśmiechu białych zębów. - Doprawdy, świetna dziewczyna - usłyszał za plecami. - Dziesiąta w rankingu europejskim, tak od kogoś słyszałem.
- Możemy wejść do biura? - zapytał Hjelm. Weszli. - Dziesiąta w rankingu europejskim? - zdziwił się. Uśmiechnęła się. - Skąd, pomylili mnie z Lottą Neumann. W ich wieku dziesięć lat w tę czy w tamtą nie robi już różnicy. - Przechowujecie stare księgi gości?
 - Tak, są w archiwum. Mogę przynieść.
 - Świetnie. Potrzebuję od roku osiemdziesiątego drugiego. Zabiorę je. Ale jak tylko skończymy, oddam z powrotem. Najdalej za kilka dni.

- Ta z recepcji musi zostać w klubie. Używamy jej. Westchnął. Myślał, że tym razem uda mu się uniknąć brutalności.

- Posłuchaj. Tu chodzi o podwójne morderstwo, będą kolejne. Wkrótce znikną wszyscy wasi klienci. Gdyby ci twoi starszycy usłyszeli, jakie mam uprawnienia, z pewnością uznaliby, że żyjemy w państwie policyjnym. Okej?

Poszła.

Zawsze fascynowało go, jak niewiele odróżnia zwykły język od języka - instrumentu władzy.

Niewielka zmiana tonu, potem również zachowania. Dostyc przekonujące, jeśli używa go właściwa osoba. Dostyc obrzydliwe, jeśli niewłaściwa.

Wyszedł na wiosenne słońce, taszcząc karton ze starymi księgami gości. Ani jednego podmuchu wiatru. Doskonała pogoda do gry w golfa. Przynajmniej tak mu się wydawało.

O tym, że dobrze trafił, świadczyła tylko do połowy udarta, pożółkła wizytówka przy zardzewiałym domofonie z odłącznym napisem *Mimero*. Nacisnął jeden z dziesięciu guzików na niskich drzwiach, jakieś pół piętra poniżej poziomu ulicy Stallgrand na Starym Mieście. Po chwili usłyszał donośny głos:

- Słucham?

- Nie wiem, czy dobrze trafiłem. Szukam bractwa Mimerorden.

- Trafił pan do Mimerorden. Czego pan sobie życzy?

- Wydział kryminalny. Chodzi o dwóch waszych członków.

- Proszę wejść.

Coś zabręczało i Hjelm nacisnął wysłużone drzwi. Wchodząc, musiał się schylić. Znalazł się w niewielkim, mrocznym holu. W powietrzu czuć było wilgoć i kurz. Stał przez chwilę w miejscu, próbując oswoić oczy z ciemnością. Na powitanie wyszedł mu wysoki, żylasty starszy mężczyzna, owinięty dziwacznym jasno-liliowym płaszczem. Wyciągnął dłoń w stronę Hjelm, i gdyby

ten nie poczytał trochę o zwyczajach bractwa, pewnie wykręciłby starcowi rękę, zasłaniając jednocześnie gardło.

- Dzień dobry - przywitał się mężczyzna głosem, który nie był bardziej z tego świata niż on sam. - Nazywam się David Clófwenhielm, jestem w Mimerorden stróżem.

- Paul Hjelm - odpowiedział Paul Hjelm i podał mu dłoń. Tak jak przypuszczał, uścisk tamtego był silny. Chociaż nie taki jak w siedzibie wolnomularzy, jeśli można sobie pozwolić na to porównanie.

- Nie był pan jeszcze w środku - zagrzmiało gdzieś z głębi krtani Davida Clófwenhielma. - Może nie będzie to panu dane. To, jak daleko pan wejdzie, zależy od tego, z czym pan przychodzi.

- Stróż... - zastanowił się Hjelm. - Czy to odpowiednik wielkiego mistrza?

- Unikamy tego rodzaju zużytych tytułów. Nie chcielibyśmy być traktowani jako młodszy bracia wolnomularzy. Czy wie pan, kto jest ich mistrzem?

Hjelm potrząsnął głową.

- Księżę Bertil - odpowiedział Clófwenhielm.

- To on jeszcze żyje? - zapytał Hjelm.

Clófwenhielm wydał z siebie dźwięk, który dopiero po kilkakrotnym odbiciu echa dał się zidentyfikować jako śmiech. Najwyraźniej między bractwami istniały jakieś animozje.

- Niech pan wejdzie, inspektorze.

- Dziękuję - odpowiedział Hjelm, nie myśląc go poprawiać. W tych okolicznościach taki awans był mu na rękę.

Szli powoli długimi, krętymi schodami otoczonymi masywnymi kamiennymi ścianami ociekającymi wilgocią. Sufit był tak nisko, że Clófwenhielm musiał zgiąć się w pałąk. Drogę oświetlały im zatknięte w ścianie pochodnie. W końcu dotarli do niewielkiego pokoju z herbami na ścianach, grubymi aksamitnymi kotarami i ogromnym dębowym biurkiem. Na biurku stały dwa klosze na ser; szlaczki wilgoci rysowały na nich ulotne wzory.

Clófwenhielm podniósł jeden z nich i wyjął supernowoczesny laptop. Swoisty anachronizm w tym miejscu. Usiadł przy biurku.

- Zakładam, że chciałby pan skorzystać z naszego archiwum - zagrział. Głos, który tam na dole, w słabym świetle, zdawał się nie pasować do reszty, tu był jak najbardziej na swoim miejscu. - Proszę, niech pan siada, generale.

W tym tempie za kwadrans będę szefem Rikspolis, pomyślał Hjelm, siadając na niewielkim krześle naprzeciwko stróża.

- Pańskie założenie jest słuszne, stróżu - próbował się przypodobać. - Chodzi o dwóch członków waszego zakonu. Obaj zostali w ostatnich dniach zamordowani.

Na Clófwenhielmie nie zrobiło to chyba szczególnego wrażenia. Może się zamyślił. Poprawił płaszcz wokół szyi. - Bracia z Mimerorden zajmują zwykle wysokie pozycje społeczne, a na tym poziomie nie dochodzi już do aktów przemocy. Sugeruje pan, że ma to coś wspólnego z Mimerorden?

- Bynajmniej, ale szukamy czegoś, co łączyło obie te ofiary. Chcemy zapobiec kolejnym zabójstwom. Wiemy, że obaj byli członkami pańskiego elitarnego stowarzyszenia. To już coś.

- Rozumiem. Kogo to dotyczy? - Czy stróż nie czyta gazet?

- Od dawna. Chcąc skupić się na prowadzeniu bractwa, przeszedłem na emeryturę nie tylko w pracy, ale i żeby odseparować się od części świata zewnętrznego, która wydaje mi się odpychająca. W pewnym wieku można sobie na to pozwolić. - Jeśli ma się odpowiednie środki.

- Oczywiście - przytaknął Clófwenhielm.

- Ilu członków liczy Mimerorden?

- Sześćdziesięciu trzech. Starannie wybranych. W tej sytuacji sześćdziesięciu jeden - poprawił się.

- Oczywiście - przytaknął Hjelm. - Czy zna ich pan osobiście?

- Bractwo nie zajmuje się tym, co osobiste. Obchodzi nas to, co jest ponadosobiste i pozaosobiste. W czasie odprawiania ry-

tuałów nosimy płaszcze, taki jak ja teraz, i zakładamy bardzo różne maski Asów*. Rzadko widzę twarze. Ale dotykamy tu już tajemnicy.

- *Top secret* wszech czasów.

- Otóż to - przytaknął Clófwenhielm, zupełnie nie reagując na ten dziwaczny dobór słów.

- Jednego jestem ciekaw - odezwał się Hjelm. - Czy mógłby mi pan wytłumaczyć, jak komuś, kto zupełnie nie jest w temacie, co takiego przyciąga określone grupy społeczne do bractw?

- Mógłbym chcieć idealizować i powiedzieć, że jednoczy nas wola pracy nad sobą, poszerzania świadomości, przebijania dróg do nieodkrytych części duszy, ale nie byłaby to do końca prawda. Zdaję sobie sprawę, że wraz z braćmi przenika tu wiele odpadów ze świata zewnętrznego. Prestiż, przeświadczenie o byciu wybranym i lepszym, chęć nawiązania kontaktów, wolność od kobiet, często udawane przywiązanie do tradycji. Mimerorden czerpie przykładowo z gotycyzmu Geijera z początków dziewiętnastego wieku, ale myślę, że jakieś dziewięćdziesiąt procent członków nie zdaje sobie z tego w ogóle sprawy. Gdybym miał wobec braci takie same wymagania, jakie mam wobec siebie, siedziałbym tu sam. Co może nie byłoby aż takie złe. - Clófwenhielm westchnął lekko i powrócił do swojego zwykłego, grzmiącego tonu. - Ale zostawmy to. Jak się nazywają ci dwaj zmarli bracia?

- Kuno Daggfeldt i Bernhard Strand-Julén.

Palce stróża Mimerorden poruszyły się na klawiaturze.

- Rozumiem - powiedział przeciągle. - Po raz kolejny przekroczyliśmy magiczną granicę ciszy.

- Czy to znaczy, że te informacje są objęte tajemnicą?

- W każdym razie znajdujemy się na granicy. Proszę dać mi się zastanowić.

David Clófwenhielm dostał czas do namysłu.

*** Asowie - w mitologii skandynawskiej najwyżsi w hierarchii bogowie; pierwszy z nich to Odyn.**

- Nie - odezwał się w końcu. - Pomoc organom ścigania w śledztwie dotyczącym zabójstwa dwóch naszych braci ma oczywiście priorytet. Proszę podejść, panie Hjelm.

Tak też zrobił. Patrzył na ekran przez ramię Clófwenhielma.

- Przeskoczę teraz szybko nazwiska, aby nie uległ pan pokusie zapamiętania zbyt wielu z nich.

Czasem przed nazwiskiem widnieje gwiazdka. Tak jest w przypadku Daggfeldta i Strand-Jule-na.

Takich gwiazdek jest dziesięć. Może pan usiąść, panie Hjelm.

Hjelm postąpił zgodnie z rozkazem. Czuł się jak uczeń. Na kolejne awanse najwyraźniej nie miał już co liczyć.

- Najprościej rzecz ujmując, gwiazdka oznacza byłych członków Mimerorden.

- Nie zapłacili rocznej składki?

Po raz kolejny dał się słyszeć niebezpieczny dla bębneków gromki śmiech.

- To jest bractwo, mój chłopcze, a nie jakiś klub golfowy Gwiazdki znalazły się tu z całkiem innego powodu. Ta dziesiątka zdecydowała się założyć zgromadzenie wewnątrz Mimerorden,

Skidbladnerorden. Nie dobierając zbyt wielu słów, można by je nazwać spółką córką - niezależną, ale w ostatecznym rozrachunku i tak odpowiedzialną przed spółką matką. Chcieli odprawić pełne rytuały, dla których nie znaleźli poparcia w Mimerorden, to znaczy u mnie, nie zamierzali jednak całkowicie zerwać kontaktu. Wszystko odbyło się w atmosferze jak najbardziej pokojowej.

- Żadnych szeptów w korytarzach?

- Tu nie ma korytarzy, a więc nie ma też szeptów. Jeśli doszło do jakichś starć, to wyłącznie w sferze osobistej, a ta mnie nie interesuje.

- Pamięta pan, kto był inicjatorem?

- W dniu, w którym rozmawiali ze mną, jakieś pół roku temu, mieliśmy na sobie maski - właśnie skończyła się ceremonia. Nie wiem, z czyjej to było inicjatywy. Zgodziłem się jednak na ich propozycję, nie prowadzę tu przecież placówki wycho-

wawczej. Od strony organizacyjnej wszystko wyglądało jak najbardziej w porządku. Spodziewałem się dostawać raporty, ale nigdy się takich nie doczekałem.

- Co takiego odróżniało Skidbladnerorden od Mimerorden? O jakie rytuały chodziło?

- Tego już pan ze mnie nie wyciągnie, panie władzo. Drobnie szczegóły, nic radykalnego. Potrzeba rozwinięcia pewnych elementów ceremonii.

- Spodziewam się jednak, że podzieli się pan ze mną listą nazwisk z gwiazdkami - powiedział Hjelm, brutalnie przed chwilą zdegradowany.

Dwa uderzenia w klawiaturę i ledwo słyszalny szelest. Stróż Clófwenhielm podniósł drugi kloz. Z miniaturowej drukarki atramentowej wysunęła się kartka formatu A4.

- Liczę na to, że okaże pan temu dokumentowi taki sam szacunek i delikatność, jak miało to miejsce dzisiaj, panie Hjelm. Byłbym oburzony, gdyby dostał się do mediów.

- Ja również - przytaknął Hjelm. Podali sobie ręce na pożegnanie.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny, strózu. Ostatnie pytanie. Co takiego można załatwić w bractwie?

- Załatwić? - zdziwił się Clófwenhielm. Niepohamowany wybuch śmiechu. Jego fale jeszcze po chwili

zdawały się spychać Hjelma ze schodów w stronę Stallgránd.

Kwietniowa pogoda, pomyślał Hjelm, wyglądając przez zalane strugami deszczu okno kawiarni.

Kapryśna jak los. Przez Väs-terlånggatan przebiegali pojedynczy przechodnie. Podnosili kołnierze płaszczy i kurtek, starając się trzymać jak najbliżej ścian budynków, jakby szukając schronienia pod daszkami, których i tak tu nie było. Deszcz uderzał o wielkie okno Café Grámunkens. Światła jak na lekarstwo. Zmrużył oczy, wpatrując się w wydruk od stróża. Nagle kawiarnię rozświetliła błyskawica, zostawiając po

sobie fioletowe światło, które sparaliżowało siatkówkę oka. Teraz już w ogóle nic nie widział.

- Wielkie, kurwa, dzięki - powiedział głośno do błyskawicy.

- Proszę, kurwa, bardzo - odezwała się dziewczyna w białym fartuchu i dołała mu kawy. Patrzył na nią ze zdziwieniem. Była tylko fioletowym zarysem.

Kiedy odzyskał wzrok, zaczął na nowo przeglądać listę. Były na niej adresy domowe i firmowe braci ze Skidbladnerorden. Znalazł dwa na Starym Mieście: domowy na Prästgatan i jedno miejsce pracy.

Było dopiero kilka minut po dwunastej, wybrał więc ten drugi - firmę komputerową na Österlånggatan. Nie czekając, aż przestanie padać, wlał w siebie ostatnią kawę i wypadł na zewnątrz.

Przebiegł ulicą Västerlånggatan do Järntorget i skręcił na Österlånggatan. Znalazł właściwy adres, nacisnął guzik domofonu przy wizytówce ComData i został wpuszczony do środka przez znużoną sekretarkę. Wspiął się na drugie piętro i wszedł do pięciopokojowego mieszkania przerobionego na biuro. Sekretarka okazała się ostro wymalowaną damą z włosami zaczesanymi w kok. Wyjął legitymację. Kilka kropli deszczu spadło na jej uporządkowane papiery.

- Proszę to zabrać - powiedziała oburzona.

- Wydział kryminalny. Chciałbym rozmawiać z Axelem Stran-deliussem.

- Dyrektor jest w tej chwili zajęty. Rozumiem, że nie był pan umówiony.

- Ma pani pół minuty, żeby mnie zapowiedzieć. Potem wchodzę sam.

Zadziałało i tym razem. Otworzyły się drzwi. Nienagannie ubrany szef klasy *de luxe*, na oko pięćdziesięcioletni, zaprosił go bez słowa do środka.

- Policja - powiedziała Sara.

Powtórzył za nią jak echo i usiadł za biurkiem: - Czym mogę służyć?

- Axel Strandelius? - zapytał Hjelm.

- We własnej osobie - odrzekł mężczyzna.
- Czy jest pan członkiem bractwa o nazwie Skidbladnerorden? Strandelius nie odpowiadał.
- Dotykamy tajemnicy - powiedział w końcu. Gdzieś już to słyszałem, pomyślał Hjelm.
- Znam zasady. Sekretem są tylko wasze rytuały. Samo członkostwo jest oficjalne.
- Tyle że zgromadzenie, o którym pan wspomniał, oficjalnie jeszcze nie działa...
- Wie pan, dlaczego tu jestem. Na biurku leży „Dagens Nyheter”, widzę też „Svenska Dagbladet” i „Dagens Industri”. We wszystkich trzech dziennikach ta informacja pojawia się na pierwszej stronie. Nie bawmy się więc w kotka i myszkę. To kwestia życia lub śmierci. Pańskiego życia i pańskiej śmierci. Obaj, Daggfeldt i Strand-Julen, należeli do nowego odłamu Mimerorden. To znaczy, że i panu może grozić niebezpieczeństwo.

Strandelius najwyraźniej o tym nie pomyślał. Zapadł się na kilkadziesiąt centymetrów w swoim fotelu.

- Na Boga, przecież Mimerorden to najbardziej pokojowo nastawione stowarzyszenie, jakie znam. Chyba nie ma nikogo, kto...

- W tej chwili wiemy, że ci dwaj mężczyźni zostali zamordowani dokładnie w ten sam sposób w odstępie dwóch dni, byli dwoma z dwunastu członków Skidbladnerorden. Mnie to wystarczy. Proszę o odpowiedź na dwa pytania. Pierwsze: kto był inicjatorem rozłamu wewnątrz Mimerorden? Drugie: kto był jego największym przeciwnikiem?

Strandelius zastanawiał się przez chwilę. Był jak komputer. Przez chwilę układał w głowie struktury, analizował. Po chwili odpowiedział równie numerycznie, jak zapytał Hjelm:

- Pierwsza sprawa: Daggfeldt i Strand-Julen rzeczywiście znaleźli się w pierwszym szeregu, ale z inicjatywą wystąpił Rickard Franzen. On był w to najbardziej zaangażowany. Czyli głównie Franzen, potem Daggfeldt, Strand-Julen, Norrvik. Reszta uważała po prostu, że to ciekawy pomysł, więc przyłączyliśmy się. Druga:

tu niestety niewiele panu pomogę. Była to powszechna, podskórna potrzeba zrobienia czegoś od nowa, której eteryczny Clófwenhielm nawet się nie domyślał. Mam wrażenie, że najbardziej oberwało się Franzénowi. On powinien w każdym razie wiedzieć, kto najbardziej na niego naskakiwał. Jeśli, powtarzam: jeśli, to jest motywem morderstwa, to Franzén będzie przypuszczalnie następną ofiarą. - Doskonałe podsumowanie - powiedział Hjelm i pożegnał się.

Wiatr rozwiał krople deszczu. Nie jakby rozwiał, po prostu rozwiał. Gwałtowne podmuchy rzeźbiły z wody jeziora Saltsjön sunące bałwany.

Kwietniowa pogoda, pomyślał Hjelm.

Stał na czerwonym świetle przy Södermalmstorg i patrzył na Slussen, w stronę zawieszoną wysoko nad ziemią restauracji Gondolen. Przypominała mu raczej rozciągnięty wagon metra niż gondolę.

Wiszące ogrody Babilonu, pomyślał Hjelm i już miał zielone światło.

Skreślił na Hornsgatan, minął nowo wybudowane biura nad Söderledstunneln kształtem przypominające kartony i zatrzymał się na czerwonym świetle.

Wiszące ogrody Babilonu, pomyślał Hjelm i już miał zielone światło.

Śmignął pomiędzy Hornatpuckeln z jednej i kościołem Marii Magdaleny z drugiej strony i znów miał czerwone światło. Ludzie w nabrzmiałych wiatrem ubraniach przebiegali po przedziwnych trajektoriach przez pasy w stronę Mariatorget i z powrotem. Dojrzał dwóch mężczyzn grających w bule na żwirowej ścieżce na rynku od strony Café Tivoli. Wydawało mu się, że kątem oka widzi, jak jedna z ciężkich metalowych kul zostaje porwana przez wiatr i uderza w zadek pieska przechodzącej obok damy.

Zielone. Uciekł na lewy pas, tuż przed zmianą świateł zjechał z kolejnego skrzyżowania i skręcił w Timmermansgatan.

Drzwi na klatkę otwierały się za pomocą kodu. Z rosnącą irytacją wcisnął na oślep kilka guzików. Potem stał przez dwie minuty, wybierając setki przypadkowych kombinacji cyfr. Drzwi nawet nie drgnęły. Zrobił krok do tyłu i ku swojemu zdziwieniu znalazł się obok młodej dziewczyny z potarganymi czarnymi włosami, ubranej w skórzaną kurtkę. Przyglądała mu się podejrzliwie.

- Policja.

- To tak wygląda wasza robota?

Patrzył jeszcze za nią, gdy schodziła w stronę ulicy Maria Prastgardsgata.

- A co - burknął i zabrał się na nowo do wciskania guzików. W końcu zapaliła się czerwona lampka, a w zamku dało się słyszeć ciche kliknięcie. Dzień w pigułce, pomyślał, wszedł do środka, odnalazł numer mieszkania na tablicy przy drzwiach i ruszył na czwarte piętro.

Na skrzyńce widniało nazwisko Linden. Zadzwoił. Raz. Dwa razy. Trzy razy. Cztery. Po czwartym dzwonku zza drzwi doszedł go jakiś głuchy odgłos. Otworzył mu jasny blondyn, na oko osiemnastoletni.

- Spałeś? - zdziwił się Paul Hjelm, pokazując legitymację. - Jórgen Linden?

Chłopak skinął głową, próbując zatrzymać wzrok na legitymacji, która migotała mu przed oczami.

- O co chodzi? - zapytał Jórgen Linden ochrypłym głosem.

- Seryjny morderca - odpowiedział Hjelm i przecisnął się do środka.

- O cholera! - zdziwił się chłopak i poczłapał za nim, chowając koszulkę w spodnie. Na kanapie w jednym z dwóch pokoi leżał zwinięty koc. Obok kanapy - sarta ubrań udekorowana czapką z odwróconym do tyłu daszkiem, tak mu się przynajmniej zdawało. W drugim pokoju stało pedantycznie zaścielone

łóżko. Dwie strony monety, pomyślał Hjelm i podszedł do okna, żeby wpuścić trochę powietrza ze schludnego dziedzińca z drewnianymi ławkami i miniaturowymi drzewami.

- Pierwsza godzina - powiedział. - Zawsze tak długo śpisz?

- Zależy. Wczoraj późno się położyłem. - Gdzie pracujesz?

Linden złożył starannie koc i usiadł na kanapie.

- Jestem bezrobotny.

- Niezły musisz mieć zasilek.

- Czego chcesz?

- Rozumiem, że nie miałeś dziś w ręku gazety?

- Nie. - Zamordowano Bernharda Strand-Julena.

W porównaniu z poprzednikami Jórge Linden był, mimo swojego młodego wieku, najbardziej obyty z policją. Udało mu się zachować wyraz twarzy zdezorientowanego niewiniątka. Być może trochę pojaśniały mu oczy. Jakby coś zaskoczyło w jego głowie. - Kogo? - zdziwił się.

- Dyrektora Bernharda Strand-Julena, przecież wiesz.

- Nie, nie wiem.

Hjelm wyjął z kieszeni kurtki kartkę z Dionizosem i podsunął Jórgeowi pod nos.

- Niezły kaliber, co?

Linden spojrzał na kartkę bez słowa. Hjelm ciągnął dalej:

- To jakiś twój znak rozpoznawczy czy co? Rodzaj reklamy? Rozdajesz takie w metrze?

Linden milczał. Patrzył przez okno. Wiatr przesuwiał zwisające nisko nad ziemią cumulusy. Hjelm nie poddawał się: - Odwracamy befsztyk i co tu mamy? **Zwijamy się. Możesz zawsze zadzwonić.** I jeszcze numer telefonu. Tego telefonu. - Hjelm wskazał stojący przy oknie bezprzewodowy aparat. - Ale zaraz, zaraz, tu jest coś jeszcze! To jeszcze nie koniec. Małe PS! **Niezły z ciebie kozioł, Bruse.**

Podpisano: **DS.** Myślę, że gdybyśmy porów-

nali charakter pisma z tym w notesie przy telefonie, wyjaśniłoby się to i owo. Hjelm usiadł w fotelu naprzeciwko Lindena.

- A potem wielki kozioł Bruse rzucił się na trolla, wziął go na rogi i podrzucił wysoko do góry, tak wysoko, że troll zniknął i nigdy już nie wrócił. Potem kozioł pobiegł na pastwisko. Było tam tyle smacznej trawy, że kozły mogły paść się do woli. Rosły im brzuchy i one nie miały siły się ruszyć. Jeśli nie zrzuciły trochę tłuszczu, to pewnie wciąż tam są.

Jórgen Linden uparcie milczał. Hjelm ciągnął dalej:

- Kraina dzieciństwa. Czytałem to moim dzieciom jakieś dziesięć lat temu. Co wieczór. Pamiętam każde słowo. Co to za troll poleciał do góry i zniknął na zawsze tam, w żagłówce klasy Swan? Troll biedy? Troll abstynencji? Wciąż jesteś na tym pastwisku?

Linden zamknął oczy, ale nie odezwał się ani słowem.

- Mój syn jest tylko o kilka lat młodszy od ciebie. Mam przynajmniej taką nadzieję. Powiesz tutaj lub na komisariacie, jak nazywał się troll, którego przegonił wielki kozioł Strand-Julen-Bruse?

- W każdym razie nie troll biedy. - Linden ciężko westchnął. - Nie chciał żadnych powtórek. Nie chciał nas więcej widzieć. Pieniądze starczyły mi na kilka miesięcy, nie więcej. O narkotykach nie ma mowy. Jestem czysty.

- Żadnych imprez rave ani ecstazy? Jak dziś w nocy?

- To co innego. Od tego nie można się uzależnić.

- Skądże znowu. - Hjelm rozparł się w fotelu. - Jeszcze kilka lat w fachu prostytutki i będziesz potrzebować czegoś, co powoduje uzależnienie. Okej, nie mam teraz na to czasu. Krótkie pytanie: czy kiedykolwiek świadczyłeś jakieś usługi dyrektorowi Kuno Daggfeldtowi z Danderyd?

- Nie zawsze znam ich nazwiska...

- Tak wygląda - powiedział Hjelm, wyjmując zdjęcie postawnego mężczyzny, po którym widać było, że usilnie walczył, żeby nosić swoje prawie pięćdziesiąt lat z honorem. Nic tak nie

unaoczniła próżności jak śmierć, pomyślał Hjelm, przekonany, że kogoś cytuje.

- Nie - odpowiedział Jórge Linden. - Nie poznaję go.

- Jesteś pewien? Na sto procent? Przejrzyj raz jeszcze swój rejestr w pamięci.

- Pamiętam ich, uwierz mi. Pamiętam ich wszystkich.

- Całe stado kozłów Bruse... Okej, podaj mi jeszcze nazwisko i adres twojego alfonsa.

- Ale...

- W innych okolicznościach próbowałbym cię pewnie podnieść z ulicy, za skórę, jak jakiegoś kociaka i oddać twoim rodzicom...

- To nie byłoby takie proste.

- ...ale teraz to wykluczone. Potrzebuję jak najwięcej informacji o Daggfeldcie i Strand-Julenie.

Innymi słowy niezbędne mi jest w tej chwili nazwisko twojego alfonsa.

- Wiesz, co mi zrobi, jak się dowie, że puściłem parę?

- Ode mnie tego nie usłyszy. Mogę cię zapewnić.

- Johan Stake. Nie wiem, czy to jego prawdziwe nazwisko, nie mam też adresu. Tylko numer telefonu.

Linden zapisał numer na kartce i podał ją Hjelmowi.

- Na koniec: seksualne upodobania Strand-Julena, potrzebuję więcej szczegółów.

Jórge Linden spojrzał na niego błagalnym wzrokiem i rozplakał się.

Język - instrument władzy, pomyślał Paul Hjelm nie do końca pewien, co naprawdę czuje.

Grad walił w okno przez długie dziesięć sekund. Potem burza przeszła.

Kwietniowa pogoda, pomyślał Hjelm i głośno kichnął.

Była już druga, gdy zadzwonił do drzwi Willi w Nockeby. Już trzeci raz dobiegły go dźwięki *An die Freude*. Poczł, że nienawidzi Beethovena za jego głuchotę. Trochę źle spojrzł na mapę

i krążył małymi uliczkami wokół Brommaplan, zamiast jechać prosto Drottningholmsvagen aż do mostu Nockebybron. Czekając, aż ktoś otworzy, przeklinał swoją znajomość miasta, która ograniczała się tylko do południowych dzielnic. Tuż za willą teren opadał prosto do jeziora Malaren, w jego najpiękniejszej części, w zatoce między Karsón i Nockeby, między granicą gminy Sztokholm i Ekeró. Willa całkiem nieźle się broniła pośród licznych pałaców w tej położonej na zachodzie miasta oazie zalanej niespokojnym kwietniowym słońcem.

Drzwi otworzyła w końcu starsza kobieta, którą Hjelm wziął za służącą.

- Wydział kryminalny - powiedział i poczuł, jak bardzo zmęczyło go to słowo. - Szukam Rickarda Franzena.

- Właśnie uciał sobie drzemkę. O co chodzi?

- To ważne. Jeśli to nie kłopot, proszę, by go pani obudziła.

- To pańska sprawa - odpowiedziała tajemniczo.

- Słucham?

- To przecież pańska sprawa, by zdecydować, czy to kłopot prosić, bym go obudziła. Być może już pośrednio odpowiedział pan na to pytanie i równie pośrednio poprosił, żebym go obudziła.

Otworzył usta ze zdziwienia. Kobieta zrobiła zapraszający ruch ręką i uśmiechnęła się, jak to mówią, z przekąsem. - Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Do śmierci już będę nauczycielką. Proszę usiąść, pójdę po męża. Weszła nadspodziewanie szybko po schodach. Stał przez chwilę w wielkim holu, powtarzając w myślach zdanie: „Jeśli to nie kłopot, proszę, by go pani obudziła”. Prawda, że można tak powiedzieć? Tyle się ostało z języka - narzędzia władzy.

Po kilku minutach kobieta zeszła po schodach w towarzystwie otyłego starszego mężczyzny w szlafroku i kapciach. Mężczyzna podał mu rękę.

- Rickard Franzen - przedstawił się. - Moja poobiednia drzemka składa się w dziewięćdziesięciu procentach z próby zaśnięcia

i w dziesięciu z próby zaakceptowania, że się nie udało. Nie spałem. Jak człowiek harował całe życie, to trudno mu tak po prostu przejść na emeryturę. To samo dotyczy mojej żony, co już pewnie sam pan zauważył.

- Paul Hjelm - powiedział Paul Hjelm. - Wydział kryminalny.

- Sztokholm?

- Nie, Rikskrim. - Hjelm zapomniał, że mężczyzna był sędzią.

- Powstała jakaś specjalna jednostka?

- Zgadza się.

- Tak też się domyśliłem. Chyba wiem, czemu zawdzięczam pańską wizytę. Szybcy jesteście.

- Dziękuję. Co pan o tym sądzi?

- Sądzę, że mogę być trzecią ofiarą. Rozmawialiśmy o tym przed południem z żoną. Birgitta była zdania, że powinienem zadzwonić na policję. Ja miałem jednak wątpliwości. Udało mi się postawić na swoim. Powiem panu w sekrecie, że nie zawsze tak jest.

- Myśli pan, że stoi za tym ktoś z bractwa?

- Wolałbym nie spekulować, ale, jak rozumiem, pan widzi pewne powiązanie.

Uległość Franzena sprawiała, że szybko posuwał się naprzód. Postanowił mówić prosto z mostu.

- O trzeciej mamy ważne zebranie. Da się pan namówić na wizytę na komendzie, tak żebyśmy mogli zadać lalka pytań dotyczących stowarzyszenia Skidbladnerorden i podjąć decyzję w sprawie pańskiej ochrony dziś wieczorem?

Franzen zamyślił się. Po chwili rzekł:

- Naturalnie: symetria. Zatem sądzicie, że ta symetria w przestrzeni dotyczy również czasu i że do trzeciego morderstwa dojdzie już dziś wieczorem? Dwa dni przerwy. Możliwe, że macie rację. Proszę dać mi kilka minut. Wszedł do toalety. Bez wątpienia upływający czas pozbawił szwedzki świat prawniczy ważnej postaci. W oczach Hjelma Rickard Franzen był wybitnym sędzią.

Birgitta Franzen podeszła do Hjelma.

- Myśli pan, że coś mu rzeczywiście grozi?
- Doprawdy nie wiem. To całkiem możliwe. Czy dziś wieczorem będzie pani w domu?
- Rzadko wychodzę.
- A on?
- Miał odwiedzić starego znajomego. Spotykają się zwykle raz w miesiącu.

Hjelm skinął głową.

- Wraca późno do domu? Zaśmiała się cicho.
- Dostyc - powiedziała tylko.
- Wasza sypialnia znajduje się na pierwszym piętrze?
- Na drugim.
- A salon jest gdzieś tutaj?
- Właśnie w nim pan stoi. Tam na prawo hol zwęża się w coś w rodzaju korytarza, a potem przechodzi w salon. Hjelm przeszedł się kawałek w prawo. Hol miał kształt leja, który poszerzał się, przechodząc w salon. Wyjątkowo oryginalne rozwiązanie. Morderca powinien zapoznać się z nim zawczasu. Na przeciwległej ścianie salonu, odwrócona przodem do okna, stała długa, opływowa sofa. Wyszedł z powrotem na korytarz. Rickard Franzen był już ubrany. Wyglądał na całkiem zdeterminowanego. Nie mógł opanować podniecenia.
- Czy ma już pan obraz potencjalnego miejsca zbrodni? - zapytał z uśmiechem.

Przytulił żonę i wyszedł na parking, nie mogąc się doczekać swojego tymczasowego powrotu do aparatu sprawiedliwości. Świeciło słońce.

9

JAN-OLOV Hultin wszedł przez tajemne drzwi do sali, którą Jorge Chavez nazywał ironicznie „centralą dowodzenia”. Na jego wielkim nosie spoczywały już okulary. Odwrócił się w stronę Drużyny A. Siedzieli przy stole, wertując papiery i przerzucając kartki w swoich notesach.

- Dziś rano informacja trafiła do mediów - powiedział wyraźnie zasepiony. - Do wszystkich gazet naraz. Ktoś najwyraźniej obdzwonił redakcje. Albo media współpracują ze sobą. Nie udało nam się jeszcze zlokalizować przecieku. Może nie da się czegoś takiego utrzymać w tajemnicy. Ale i tak jesteśmy kilka dni do przodu.

Podszedł do tablicy i zdjął skuwkę z flamastra - był gotowy do strzału. Flamaster stanowił teraz jego broń służbową.

- Widzę, że wasze A-mózgi przez całe przedpołudnie pracowały na najwyższych obrotach.

Sprawdźmy, co z tego wynikło. Norlander?

Viggo Norlander pochylił się nad swoim granatowym notesem:

- **Modus operandi.** Skontaktowałem się już chyba ze wszystkimi, począwszy od FBI, na służbie bezpieczeństwa Lichten-steinu kończąc. Wykonałem potworną masę telefonów, obdzwoniłem cały świat. Trzy ważne grupy przestępcze zabijają swoje ofiary strzałem w głowę: jedną z nich jest odłam amerykańskiej mafii pod bossem Carponim w Chicago, klasycznym mieście gangów, na pół martwy odłam Frakcji Czerwonej Armii pod dowództwem Hansa Kopffa i niewielkie rosyjsko-estońskie ugru-

powanie pod dowództwem niejakiego Viktora X, które najpewniej można by nazwać segmentem rosyjskiej mafii, cokolwiek to dziś oznacza. We wszystkich trzech przypadkach metoda ta jest stosowana do egzekucji kapusiów, jednak w żadnym nie strzela się dwa, i tylko dwa razy. Właśnie tego z dwoma strzałami nie udało mi się nigdzie zlokalizować. Będę szukać dalej.

- Dziękuję, Viggo - powiedział Hultin. Zdażył już zagryz-molić cały róg białej tablicy. - Nyberg i wspólni wrogowie?

Mężczyzna słusznych rozmiarów, jakim był Gunnar Nyberg, nie czuł się chyba najlepiej z długopisem w swoim wielkim łapsku.

- Według mnie to ślepa uliczka - stwierdził zrezygnowany. - W zasadzie niczego nie znalazłem. Co prawda obaj byli studentami handlówki, ale Strand-Julen jest siedem lat starszy, więc trudno mówić o wspólnych studenckich czasach. To wtedy człowiek dorabia się przyjaciół i wrogów na całe życie. Parędziesiąt lat temu Daggfeldt pozbył się swojego dawnego współpracownika, z którym zakładał firmę o nazwie ContoLine. Mężczyzna nazywa się Unkas Storm, pracuje w niewielkim szrocie w Bandhagen i nie stroni od butelki. Wciąż nienawidzi Daggfeldta i chętnie, tu cytat, „zatańczyłby na jego grobie”. Tak przynajmniej zareagował na wiadomość o jego śmierci. Nie znał Strand-Julena. Ten ostatni ma byłą żonę, Johanę, którą zostawił bez środków do życia po rozwodzie w siedemdziesiątym drugim. Trudno wyobrazić sobie większą nienawiść, ma ona jednak charakter wyłącznie osobisty. Miała nadzieję, tu cytat, „zjeść jego wątrobę, zanim skremują to ścierwo, co powinno się zrobić, jeszcze gdy będzie przytomny, tak by czuł, jak skwierczy w płomieniach”. Rozmawiałem też z mniej lub bardziej pogrążonymi w żałobie rodzinami; wychodzi na to, że Daggfeldt mimo wszystko jest tym bardziej opłakiwanym z nich obu. Zarówno synowi Marcusowi, lat siedemnaście, jak i córce Maxi...

- Maxi? - przerwał Hjelm.

- Najwyraźniej tak dali jej na imię - powiedział Nyberg, rozkładając ręce.

- Przepraszam. Chodzi o to, że żaglówka Daggfeldta nazywa się Maxi... Mów dalej.
- ...i Maxi, lat dziewiętnaście, wydaje się brakować ojca, nawet jeśli zwykle nie było go w domu. Żona Ninni przyjęła wiadomość o śmierci z nazwijmy to, spokojem. Skoro już mowa o żaglówce, to zastanawiała się, czy może ją od razu sprzedać. Powiedziałem, że tak. Podobnie wdowa po Strand-Julenie, Lilian. Całkowity spokój. W pewnym sensie już wyprowadziła się z mieszkania na Strandvägen, choć rozwód, tu cytuję, był *out of the question*. Sama widziała, co się stało z pierwszą żoną, wspomnianą już Johanną. Robiła też pewne sugestie na temat preferencji seksualnych Strand-Julena. Cytuję: „W porównaniu ze świętej pamięci Bernhardem szwedzcy pedofile jeżdżący do Tajlandii to aniołki”. Może powinniśmy się temu bliżej przyjrzeć.
- Zacząłem wokół tego węszyć - odezwał się Hjelm. - Dział: czas wolny. Chyba że jeszcze nie skończyłeś?
- Chciałem tylko dodać, że nie udało mi się dotrzeć do dzieci: córki Sylvii, lat trzydzieści, z pierwszego małżeństwa, i Boba, lat dwadzieścia, z drugiego. Oboje pracują za granicą. Hjelm zabrał głos.
- Swan Strand-Julena był jachtem rozkoszy w dosłownym znaczeniu tego słowa. Rozmawiałem z jednym z młodych blondynków z jego wciąż zmieniającej się załogi. Nie wiem, czy was nie zemdli, ale mam tu bardzo szczegółowy opis tego, co działo się na łodzi.
- Gołe fakty - Hultin był oszczędny w słowach.
- Gołe z całą pewnością. Przyglądał się im i wydawał polecenia, tworzył, cytuję, „żywe obrazy”, przedstawiające zastygłych w czasie aktu chłopców. On sam chodził dookoła, kontemplując w ciszy swoje dzieło. Jeden z chłopców musiał przykładowo przez kwadrans trzymać członek lub coś w ten deseń w odbycie innego chłopca - nie wolno mu było ruszyć się nawet o milimetr. Sam nigdy w tym nie uczestniczył, czasem tylko wkraczał w roli poskramiacza. Wydaje mi się, że Daggfeldt w tym nie

gustował. Szukam dalej. Mam kilka śladów, które prowadzą do swata.

- Holm i krąg przyjaciół - Hultin trzymał się podziału zadań. Tablica pokryła się szlaczkami liter. Były coraz mniejsze.

W pokoju rozbrzmiał dźwięczny głos mówiącej z góteborskim akcentem Kerstin Holm:

- Drogi moje i Nyberga cały czas się krzyżują; czasem trudno odróżnić przyjaciół od wrogów. Może zabrzmiało to szablonowo, ale ludzie z ich pozycją rzadko kierują się wyłącznie sympatią w doborze przyjaciół. Oczywiście, czasem to się zdarza, ale traktują to jako bonus, rodzaj wartości dodanej.

Przyjaciół ma się po to, żeby czerpać korzyści - chodzi o prestiż, żeby móc pochwalić się imponującym kręgiem znajomych, chodzi o biznes, żeby poszerzyć swoją sieć kontaktów - to podstawa - ale również żeby nawiązać kontakt z potencjalnie wygłodniałymi seksualnie żonami kolegów. Takie wrażenie wyniosłam z przyczółka Szwecji, to znaczy z Góteborga: mniej lub bardziej usankcjonowane zmiany partnerów są tam na tyle powszechne, że można już mówić o dalece posuniętym chowie krewniaczym i mieszańcach. Uważacie, że przesadzam?

- Kontynuuj - powiedział z jakiegoś powodu szorstko Hultin.

- Ninni Daggfeldt napomykała o częstych, choć heteroseksualnych przygodach męża w czasie służbowych wyjazdów do innych miast, ale przede wszystkim za granicę: do Niemiec, Austrii i Szwajcarii. W domu wydawał się poprawnym monogamistą. Wakacje spędzali zawsze na słynnej już żaglówce. Całą rodziną. Córka jest, jak już wspomnieliście, ochrzczona na cześć typu żaglówki, który mieli od początku lat siedemdziesiątych; typu, nie żaglówki - te zmieniali na większe średnio co trzy lata. Ninni nienawidziła, cytuję, „tego obrzydliwego suchego doku”, ale robiła dobrą minę do złej gry, a Daggfeldt miał jeden sztandarowy dowcip o niej i o łodzi, który stale powtarzał.

Kerstin Holm przerzuciła kilka stron w notesie.

- Dziarska, ale z chorobą morską - powiedział Hjelm.

Spojrzała na niego wymownie i ciągnęła:

- Otóż to. Ninni robiła dobrą minę, ale brzydziła ją, cytując: „ta lepka rodzinna dwutygodniowa serdeczność, która pojawiała się, jak jakiś list na *poste restante*, raz w roku, i nigdy więcej”. Lilian Strand-Julén była bardziej bezpośrednia; Gunnar zdążył już zacytować fragment o świętej pamięci Bernhardzie, a... Paul, prawda?, przedstawił nam aż nadto dosadnie kilka faktów z wypraw jachtem klasy Swan. Oczywiście istnieje taka możliwość, że te dwie wdowy, teraz wolne i niezależne finansowo przez resztę życia, zrobiły składkę na jakiegoś zawodowego mordercę. Wtedy upadłaby nasza teoria o seryjnych morderstwach. Kobiety mają mnóstwo wspólnych znajomych i przyjaciół, w końcu jest to jedno towarzystwo, nie pamiętają jednak, by kiedykolwiek się spotkały. Tak przynajmniej twierdzą. Będziemy to jeszcze sprawdzać. Jest jeszcze Anna-Clara Hummelstrand, żona George'a Hummelstranda, dyrektora Nimco Finans, jak się zdaje bliska znajoma obu pań. Dziś rano wyjechała do Nicei, co może mieć jakieś znaczenie. Teoretycznie jest możliwe, że pani Hummelstrand pośredniczyła między Ninni a Lilian. Podsumowując: sporo motywów po obu stronach, ale bez żadnego wyraźnego związku.

- Dziękuję - powiedział Huitín, kończąc pisać epistołę na tablicy. - Hjelm.

- Jeśli można, chciałbym mówić jako ostatni. Musimy podjąć decyzję, co robimy dziś wieczorem.

- Czy to oznacza, że masz poważnego kandydata?

- Musimy to jeszcze przedyskutować. Wolałbym jednak, żeby inni powiedzieli, co mają. O ile oczywiście Söderstedt i Chavez nie mają równie poważnego kandydata?

Mężczyźni pokręcili przecząco głowami. Huitín nieznacznie skinął.

- Okej - przytaknął. - Söderstedt?

- Zastanawiałem się nad samym zjawiskiem seryjnych morderstw - zabrzmiał głos z fińskim akcentem. - W porównaniu

z zagranicą jesteśmy daleko w tyle. Dwa identyczne morderstwa to tylko dwa identyczne morderstwa.
- To prawda - przerwał Hultin. - Ale zgodnie z wytycznymi Mórnera, szefa Rikskrim i samego zarządu Rikspolis liczy się przede wszystkim kwestia ochrony. Dlatego traktujemy to jako seryjne morderstwo - nawet jeśli formalnie jeszcze nim nie jest. A poza tym kierunek dochodzenia opiera się głównie na mojej ocenie sytuacji.

Oho, pomyślał Hjelm. Pierwsza demonstracja władzy inspektora Jana-Okwa Hultina. Söderstedt się jednak nie poddawał.

- Myślałem tylko o tym, jak modne są dziś seryjne morderstwa. Jak łatwo dać się uwieść patologicznym pomysłem zza oceanu. Pewien szaleniec o nazwisku Jeffrey L. Dahmer został ostatnio skazany na dożywocie za to, że zamordował, poćwiartował i zjadł siedemnastu czarnych młodzieńców. Jego ojciec napisał bestseller o tym, jak to jest być ojcem potwora. Nieźle się na tym dorobili - sympatycy Dahmera, między innymi z RPA, wysyłają mu pieniądze do więzienia, a w Ameryce jest kilka czasopism, które heroizują seryjne i masowe morderstwa. Mówimy tu oczywiście o społeczeństwie w stanie całkowitego rozpadu, w którym powszechnie panująca frustracja umożliwia identyfikowanie się z tego rodzaju ekstremalnym i chorym poczuciem wykluczenia. Ostateczne złamanie wszystkich społecznych reguł wywołuje tak silną fascynację, że wysyła się pieniądze masowemu mordercy. Rodzaj wynagrodzenia z dołu. Ofiarami są tu jednak zwykli ludzie - jedyną ich cechą medialną jest to, że są ofiarami. Ciekaw jestem, jak takie wydarzenie wpłynęłoby na samopoczucie Szwedów. Każdy ruch uruchamia zawsze serię kolejnych.

Hjelm aż podskoczył.

- Twoi koledzy z Vasteras uprzedzali mnie, że dygresje to twoja specjalność, Söderstedt - wtrącił Hultin. - Ale przejdźmy już do finansów.

- Chciałbym tylko, żebyśmy nie stracili perspektywy - powiedział Söderstedt pod nosem i zabrał się do przeglądania

pokażnej sterty notatek. - Miałeś rację, Hułtin, to jest niezły burdel. Dopiero zaczynam się orientować w temacie. Daggfeldt miał dwa duże przedsiębiorstwa, których był wyłącznym właścicielem: towarzystwo finansowe DandFinans AB z czterema spółkami córkami i firmę importową Malackalimport AB. Posiadał też osiem mniejszych firm, z czego trzy miały charakter holdingowy, i bogaty portfel akcji, głównie pięciu największych w kraju spółek eksportowych. Główna firma Strand-Julena nazywa się po prostu Strand-Julen Finans AB i przynależy do niej grono powiązanych ze sobą spółek holdingowych. Jeśli to w ogóle możliwe, w tym jeszcze trudniej się połapać niż w interesach Daggfeldta.

- Krótkie pytanie - przerwał Hjelm. - Co to jest spółka holdingowa?

Drużyna A spojrzała na niego wspólnym fasetkowym owadziim okiem.

- ***Muscles and no brains*** - powiedział Hjelm przepaszająco.

- Spółka holdingowa to spółka matka, która ma udziały w innych spółkach - wyjaśnił Söderstedt.

- Nic poza tym?

- Nic. Jedyłą spółką, która ma cokolwiek wspólnego z produkcją - a więc z tym, co zwykle kojarzymy z gospodarką - jest spółka importowa Daggfeldta, która sprowadza konserwy z Dalekiego Wschodu; stoją na półkach w niektórych delikatesach. A więc i tak tylko pośredniczy. Mówiąc o świecie gospodarki postindustrialnej, wciąż stosujemy industrialną miarę. Strand--Julen posiadał zatem akcje ***en masse***, ale miał też własny portfel tak jak Daggfeldt. Nie znalazłem jednak niczego, co by bezpośrednio łączyło ich interesy. Obaj mieli akcje Electroluksu, Volvo i ABB. Jak wielu innych. Natomiast może zastanawiać fakt, że obaj posiadali akcje niewielkiej fabryki szkła Hyltefors. Być może powinniśmy się temu przyjrzeć.

- Kontaktowałeś się z policją gospodarczą? - zapytał Hułtin.

- Od tego zacząłem. Obie ofiary są zamieszane w różne afery podatkowe, takie, co to ciągną się latami, a potem słuch o nich

ginie, bo prawo podatkowe jest coraz łagodniejsze. Daggfeldt był oskarżony o malwersację, gdy pozbył się swojego partnera Unkasa Storma, o którym wspominał już Nyberg. Oczyszczono go z zarzutów. Poza tym nic więcej.

- Chavez - powiedział Hultin. - Zarządy spółek.

- Tu też niezły burdel - rzekł Chavez, rozkładając przed sobą długą listę danych. - Oddzielnie zasiadali w sumie w siedemnastu zarządach spółek, razem - w ośmiu: Sandvik 1978-83, Ericsson 1984-1987, SellFinans 1985, Skanska 1986-88, Bosveden 1986-89, Sydbanken 1987-91 i MEMAB 1990. W chwili śmierci była to już tylko jedna spółka, co jest dosyć ciekawe: Fonus, od roku 1990.

- A więc zakładu pogrzebowego dla nich nie trzeba już szukać - zaśmiał się Söderstedt.

- To by oznaczało, że się znali? - zapytał Viggo Norlander.

- Tak - odpowiedział Hjelm.

- Z drugiej strony - ciągnął Chavez - w zarządzie spółki zasiada wiele osób, a zebrania odbywają się tylko kilka razy w roku. Można być z kimś w tym samym zarządzie i nie zamienić z nim ani słowa, czasem nawet nie wie się o jego istnieniu.

- Mówimy tu o tak krótkich okresach? - zapytała Kerstin Holm. - Po kilka lat w każdym zarządzie?

- Mówimy tu o wspólnym czasie spędzonym w zarządach spółek - zaprzeczył Chavez. - Osobno zasiadali znacznie dłużej. Przykładowo Daggfeldt był w zarządzie koncernu Skanska aż do śmierci, a Strand-Julen do roku 1988. Za to od 1979. Podobnie w pozostałych przypadkach.

- Zatem trop zakładu pogrzebowego Fonus donikąd nie prowadzi? - zapytał Norlander.

- Chyba tylko prosto do grobu... Choć oczywiście to dosyć ciekawe, że byli w jednym zarządzie w chwili śmierci. Chociaż Daggfeldt od ośmiu, a Strand-Julen od czternastu lat.

- Okej - przerwał Hultin, kończąc pisać na tablicy i rysować strzałki. - Czas na Hjelm.

- W klubie żeglarskim nie znalazłem nic, co by ich łączyło, natrafiłem za to na niejakiego Arthura Lindvikenę z archiwum pełnym drobiazgów jakby stworzonych do szantażu. Najwyraźniej niejedno już widział w porcie w Viggbyholm. Pod „S” znalazłem tę oto kartkę - podniósł do góry pocztówkę z Dionizosem - na której chłopiec o nazwisku Jórgeń Linden naskrobał numer swojego telefonu wraz z filuternym pozdrowieniem. To ten, co opowiadał o eskapadach jachtem Strand-Juléna. Pod „D” niczego nie znalazłem.

- Czy zatrzymałeś Lindvikenę i Lindena? - zapytał Huitín ze spokojem.

- Nie.

- W porządku - odrzekł Huitín.

- W klubie golfowym też niewiele się dowiedziałem. Tyle tylko, że byli w nim częstymi gośćmi. Zabrałem jednak tak zwane księgi gości, do których wpisują się gracze za każdym razem, gdy przychodzą do klubu. Muszę je jeszcze przejrzeć. Trzecią wspólną rozrywką naszych panów było członkostwo w niewielkim stowarzyszeniu o nazwie Mimerorden, w którym to najwyraźniej odprawia się jakieś rytuały inspirowane Asami, ale jak wiadomo, rytuały to wszędzie *top secret*.

Huitín zmarszczył brwi.

- Odwiedziłem ich siedzibę na Starym Mieście, choć oczywiście nie zostałem dopuszczony do tego, co najświętsze. Natomiast stróż David Clófwenhielm, kierując się dewizą wyznawaną przez większość tego rodzaju organizacji: „posłuszeństwo wobec zwierzchnictwa”, poinformował mnie życzliwie, iż pół roku temu wewnątrz Mimerorden powstało kolejne zgromadzenie - Skidbladnerorden. Jego nazwa wywodzi się od statku Frei - na tyle wielkiego, żeby zabrać na pokład wszystkich bogów, i na tyle małego, by można go było złożyć i schować w saku.

- Czym do cholery jest Mimer? - zdziwił się Chavez.

- Nie znasz mitologii skandynawskiej? - zapytał Hjelm.

- Jak się pewnie domyślasz, bliższa mi mitologia Inków.
- Mimer był stróżem źródła mądrości pod drzewem życia Yggdrasilem. Z tego źródła pił Odyn, żeby stać się najmądrzejszym z bogów.
- Wystarczy - przerwał Hultin.
- Do Skidbladnerorden weszło dwunastu z dotychczasowych sześćdziesięciu członków Mimerorden. Jak zrozumiałem, nie wszystkim to się spodobało - uważali, że to złamanie obietnicy wiecznej wierności bractwu. Motorem schizmy były cztery osoby, jedna, że tak powiem, na szczycie, trzy bezpośrednio pod nią: Johannes Norndk, Kuno Daggfeldt i Bernhard Strand-Julen. Hjelm zrobił krótką przerwę, żeby sprawdzić siłę rażenia swoich słów. Nic nie zauważył. Ciągnął więc dalej:
- Profesor prawa gospodarczego Johannes Norndk jest w tej chwili na naukowym *tournee* po Japonii, ale inspirator schizmy siedzi teraz w pokoju 304 i wacha z podejrzliwością kolumbijską kawę Jorge. Myślę, że go znasz, Hultin. Emerytowany sędzia sądu apelacyjnego Rickard Franzén.
- Ach tak - powiedział głośno Hultin, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy.
- Jak sądzisz? Czy to wystarczający argument, żeby spędzić noc w willi Franzena w Nockeby? Kolejny jest taki, że eks-sędzia wychodzi dziś wieczorem z domu i wróci dopiero późno w nocy. Sam. Hultin siedział przez chwilę, pocierając grzbiet nosa palcem wskazującym.
- Co wy na to? - zapytał, patrząc przed siebie. Demokratyczny atak, pomyślał Hjelm, a głośno powiedział:
- Nie widzę innego równie mocnego tropu.
- Ja też nie - zgodził się Viggo Norlander.
- To zależy od tego, czy uznamy, że jakieś drobne nieporozumienie w tego rodzaju bractwie może być motywem morderstwa - zauważyła Kerstin Holm. - To chyba mało prawdopodobne.

- Zwykle to by nie wystarczyło - powiedział Hultin. - Musimy jednak podjąć decyzję, czy wchodzimy do akcji już dziś wieczorem. Söderstedt?

- To, co dla nas jest drobnym nieporozumieniem, może wcale nie być tak postrzegane przez członków bractwa. Stawką jest męski prestiż. Mógłbym podać kilka przykładów takich bractw w Finlandii, których członkom poważnie odbiło. Jestem za złożeniem wizyty w Nockeby.

Chavez przytaknął. Gunnar Nyberg siedział bez słowa, wpatrując się w stół.

- Gunnar? - zapytał Hultin.

- Jasne - odpowiedział. - Miałem tylko co innego w planach.

- Zastanowię się, może będziemy mogli cię puścić - rzekł Hultin. - W takim razie idziemy. Sami i incognito. Nikomu ani słowa. Chyba nie chcemy, żeby w krzakach Franzena siedzieli z nami dziennikarze? Zaprośmy do nas jego ekscelencję.

- Możesz zadzwonić - odezwał się Hjelm. Hultin nacisnął 304 i powiedział do słuchawki:

- Czekamy na pana, Franzen. Pokój 300. - Podeszedł do zapisanej białej tablicy i zasłonił ją ekranem.

- Ostatnie, co nawala starym egzekutorom prawa, to wzrok - powiedział.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł majestatycznym krokiem lekko otyły były sędzia sądu apelacyjnego. Podeszedł do Hultina i podał mu rękę.

- Inspektorze Hultin - powiedział Rickard Franzen. - Mam nadzieję, że czas wyleczył nasze wspólne rany.

- Potrzebuję planu domu i najbliższego otoczenia - rzucił krótko Hultin. - A także informacjami, jak chciał pan spędzić dzisiejszy wieczór. Proszę niczego nie zmieniać. Ten człowiek na pewno zna już pańskie zamiary. Czy w domu jest tylne wejście?

Franzen przyglądał mu się przez chwilę. Potem wyjął pióro z kieszonki na piersi, pochylił się i zaczął rysować na czystej kartce leżącej na stole.

- Dom - powiedział, wskazując palcem. - Ścieżka, droga, sąsiednie domy. Drzewa, krzewy, parkan, furka. W środku schody, hol, korytarz, salon. Moja żona śpi na drugim piętrze. Z tyłu budynku są drzwi kuchenne wychodzące na altanę. Tutaj. Na drodze zwykle nikt nie parkuje, więc powinniście to wziąć pod uwagę. Będę u mojego starego kompana Erica Blomgrena na Djursholmie o dziewiętnastej. Jego też pan zna, panie Hultin. W obie strony biorę taksówkę. Gramy w szachy do jakiejś dwunastej, wychylamy połówkę remy martin i wspominamy stare czasy. Coś mi się zdaje, że dziś będziemy mówić o panu, inspektorze. Wystarczy?

- W tej chwili tak. Proszę, żeby pan jeszcze na chwilę wrócił do pokoju, z którego pan przyszedł. Hjelm poprosi pana o kolejne zeznania. Dziękuję za pańską współpracę.

Rickard Franzen zaśmiał się głośno, wychodząc z centrum dowodzenia. Wszyscy oprócz Hultina spojrzeli za nim zdziwieni.

- No tak - powiedział Hultin bez emocji. - Wejdziemy od tyłu, na wypadek gdyby sprawca już był w środku. Chyba można tam dojść przez inne działki. Musimy mieć dwóch ludzi za taksówką z Franzenem i na Djursholmie, gdyby symetrię szlag trafił. Chavez i Norlander w samochodzie. Dołączycie na Drottningholms-vagen.

Wyglądali na rozczarowanych. Hultin ciągnął dalej, wodząc palcem po szkicu Franzena:

- Dwóch ludzi obserwuje dom od frontu, każdy od innej strony ulicy, jak ona się nazywa?

- Gronviksvagen - powiedział Hjelm.

- Gronviksvagen - powtórzył Hultin. - Zimna robota. Söderstedt i Holm z walkie-talkie w krzakach.

Oni też wyglądali na rozczarowanych.

- Ja i Hjelm w środku. Musimy również obserwować starszą panią, drzwi do kuchni i okna na parterze. Myślisz, że damy radę sami czy potrzebujemy Nyberga? Niestety, wydaje mi się, że tak. Możesz zmienić plany na wieczór?

- Co tam - powiedział Nyberg ponurym głosem. - To w końcu tylko próba generalna.
 - Śpiewasz w chórze? - zdziwiła się Kerstin Holm.
 - Skąd wiedziałaś?
 - Ja też śpiewam. W Göteborgu. Co to za chór?
 - Chór kościelny w Načka - powiedział olbrzym Gunnar Nyberg, który ukazał się im nagle w innym świetle.
 - Przykro mi. Próba generalna odwołana. I tak masz już pewnie wszystko opanowane. Okej, na tym skończymy. Proponuję, żebyście zeszli do restauracji coś zjeść. Operacja zaczyna się o 17.30, czyli za dobrą godzinę. Hjelm, poczekaj chwilę.
- Hultin i Hjelm zostali sami w pokoju. Hultin pakował swoje rzeczy.
- Udany dzień - odezwał się, nawet na niego nie patrząc.
 - Klocki się ułożyły, jeśli o to ci chodzi.
 - Właśnie o to - powiedział Hultin i zniknął za tajemnymi drzwiami z lewej strony pokoju.

10

LEŻAŁ w lepkiej brunatnej masie. Próbował się podnieść, ale nie dało rady, próbował się czołgać, ale nie dało rady, próbował pełzać, ale nawet tak nie dało rady. Im energiczniej próbował się oderwać, tym bardziej maź przyklejała się do niego, ściągając go na ziemię. Otworzył usta, żeby krzyknąć, ale brązowa masa wlała mu się do ust, do nosa, wypełniła mu nozdrza, czuł, że się dusi. I dopiero wtedy doszedł go obrzydliwy smród.

- Ja pierdołę - odezwał się Nyberg i kichnął.

Hjelm poderwał się z miejsca. Chyba zbyt gwałtownie.

- Postarajcie się nie zasnąć - powiedział Hultin.

- Nie spałem - zamajaczył Hjelm. Nyberg wytarł nos i zaczął od początku.

- Ja pierdołę, ale pogoda - stwierdził, patrząc przez okno w holu, które drgało niespokojnie. Od strony jeziora Malaren nadciągała kwietniowa burza. - Całe szczęście, że siedzimy w środku.

- Można by oskarżyć nas o nepotyzm - odezwał się Hjelm.

- Na zewnątrz w samochodzie siedzi kryminalny ze Sztokholmu i czarny z Sundsvall i trzęsą tyłkami, a w krzakach leży Fin z Vasteras i dziewczyna z Góteborga i trzęsą się jeszcze bardziej. A tu, w zaciszu domowym, jak gdyby nigdy nic, siedzimy my, dzieci południowych dzielnic. Jedno z drugim ma związek.

- Oblęd to najgorsza choroba zawodowa - burknął Hultin i wlał w siebie filiżankę doskonałego espresso Birgitty Franzen.

- Kurwa, ale mocna!

- To espresso - powiedział Nyberg. - Trzeba małymi łyčzkami.

- Dlatego filiżanka jest taka mała - dodał Hjelm.

- Mam co innego na głowie - mruknął Huitín i przystawił do ucha walkie-talkie. Każdy miał jedno przewieszone przez ramię. - Halo, jednostka na miejscu?
Coś zatrzeszczało i po chwili usłyszeli głos Chaveza:
- Zaparkowaliśmy na Gubbkarrsvágen przy samym kościele. Robimy sobie adwent. Dobrze się bawicie w środku?
- Taksówka jest zamówiona na 18.40 - uciął Huitín. - Co słyhać u naszych buszmenów?
Przypominam, żebyście trzymali słuchawkę w uchu i starali się być możliwie jak najciszej.
- Szkoda - zatrzeszczał w słuchawce głos Sóderstedta. - A już dyndałem na gruszy, udając orangutana.
- To byłoby dużo bardziej na miejscu - odpowiedziała dygocząca z zimna Holm. - Czuję, że nie wytrzymam tu kolejnych kilku godzin. Wieje jak cholera.
- Będzie potrzebny plan B. Chyba że chcesz, żeby jedna trzecia twojego oddziału rozłożyła się na zapalenie płuc - dodał Sóderstedt.
- Rzeczywiście, to nie był najlepszy pomysł. Bogowie pogody nam nie sprzyjają. Wejdźcie do środka, rozgrzejcie się i załóżcie wszystko, co znajdziecie do ubrania. Tylko pojedynczo.
Rickard i Birgitta Franzen zeszli po schodach. Sędzia był ubrany w staromodny, ale wyjątkowo szykowny garnitur w białe prążki, w komplecie z kamizelką i kieszonkowym zegarkiem. Poprawił krawat i przechylił się na bok, żeby wyjrzeć zza olbrzymich pleców Nyberga przez okno.
- Nie trafiliście z pogodą - powiedział, gdy podjechała taksówka. - Będziecie musieli zmieniać kolegów. Trzech silnych mężczyzn w środku, a na dworze kobieta. Nieźle się ustawiliście. Dbajcie o moją żonę. To mój największy skarb.
Staruszkowie pocałowali się na do widzenia, Franzén założył płaszcz i wyszedł w wicher. Długo za nim patrzyła.
- Taksówka podjechała trochę wcześniej - powiedział Huitín do walkie-talkie. - W tej chwili skręca i rusza w drogę. Czarny mere, CDP 443.

- Czarny mercedes, CDP 443 - powtórzył Chavez. Hultin wypuścił z ręki walkie-talkie. Słuchawka zawisła mu na pasku na piersi. Odwrócił się do pani Franzen.

- Od tej chwili przebywanie tutaj jest ryzykowne. Mam nadzieję, że będzie pani wygodnie na piętrze i nie będzie pani schodzić tutaj, jeśli nie zajdzie taka potrzeba.

Birgitta Franzen patrzyła przez chwilę na Hultina, jakby starała się go z czymś lub z kimś skojarzyć, po czym kiwnęła głową i weszła sprawnym krokiem na schody. Kiedy już znalazła się poza zasięgiem ich wzroku, odezwał się Hultin:

- Niestety, moi panowie, Franzen ma rację. Jak wejdą, będziecie musieli ich zmienić.

Nyberg kichnął, westchnął ciężko i zastukał palcem w udręczoną wiatrem szybę. Potem skierował się do kuchni, żeby obserwować drzwi i okna wychodzące na tylny ogród. Mimo niepogody miał ładny widok na pociemniałe niebo nad jeziorem Malaren.

Hjelm skręcił w lewo do gabinetu Franzena, sprawdził okna i ruszył do dwóch mniejszych pokoi w tej samej części parteru. Wszystko wyglądało normalnie.

Hultin wszedł do salonu i usiadł na skórzanej sofie. Przekazał Söderstedtowi i Holmowi dobre wieści o czekającej ich zmianie warty.

Oczekiwanie, pomyślał Hjelm, kartkując kodeks w gabinecie Franzena. Stary sędzia najwyraźniej nie mógł przestać pracować. Może poza pracą nic dla niego nie istniało, tylko bezdenna Gin-nungagap*, ziejąca pustka. Może dlatego zależało mu na przebudowie Mimerorden. Hjelm czytał przez chwilę rozporządzenie o dozwolonych i niedozwolonych narzędziach przy zbiorze jagód, aż światło zrobiło się zbyt słabe. Wrócił do kuchni. Nyberg siedział przy stole z kieliszkiem białego wina.

*** Ginnungagap - w mitologii skandynawskiej szeroka przepaść, która oddzielała Nifelheim od Muspelheim, zanim nastąpiło stworzenie.**

- W lodówce stoi otwarta butelka - wytłumaczył się, podnosząc kieliszek do toastu. - Gospodyni mówiła, żeby się poczęstować.
 - To w ramach rekompensaty za odwołaną próbę generalną? - zaśmiał się Hjelm i otworzył lodówkę. Spojrzał na etykietę. Moselwein, 1974. Nic mu to nie mówiło.
 - A teraz trzeba będzie jeszcze wyjść na zimno i poczuć, jak ci drętwieją struny głosowe - mruknął Nyberg.
 - Nie ma lekko.
 - Święta prawda.
- To były rozmowy dla zabicia czasu. Stuprocentowe klasyczne banały, które w normalnych warunkach nie miałyby miejsca. Wypowiadane, gdy człowiek jest myślami gdzie indziej. Jeszcze wszystko mogło się zdarzyć. W każdej chwili mogło stać się coś, co zadecyduje o ich życiu lub śmierci. Byli odprężeni i zarazem utrzymywali stan maksymalnego skupienia. Dziwny, obosieczny, wyczerpujący stan. - Jesteś żonaty? - zapytał Hjelm, stojąc w drzwiach otwartej lodówki i przeżuwając banana.
- Jak najbardziej rozwiedziony - odrzekł Nyberg. - A ty?
 - Od czasu, gdy spotkałem moją żonę, jestem żonaty. Słońce błysnęło, zniżając się nad taflą jeziora Malaren. Na niebie ścigały się skłębione chmury. Kwietniowa pogoda.
- Nyberg zapalił papierosa, podsuwając paczkę w stronę Hjel-ma. Wziął jednego. Palili w ciemnościach. - W zasadzie nie palę - powiedział Nyberg.
- Ja też nie - powiedział Hjelm.
- Wstawił kawę, oświetlając blat małą latarką. Obok ogromnej maszyny do zaparzania espresso stał zwykły ekspres.
- Taka wielka maszyna, a taka mała filiżanka - rzekł do siebie i do ciemności. Nyberg nie zareagował.
- W walkie-talkie coś zatrzeszczało. Kerstin Holm wyszeptała:
- Minał nas samotny mężczyzna. Zostało mu jakieś dziesięć metrów do furtki.

Hjelm odstawił dzbanek z wodą i wyszedł do holu. Wciągnął dym. Poczł lekkiego nikotynowego kopa. Przez okno zobaczył, jak samotny mężczyzna mija furtkę i idzie dalej w górę Grón-viksvagen. Po chwili nad piersią Hjelma rozległ się zniekształcony przez walkie-talkie głos Söderstedta:

- Właśnie mnie minął.

Hjelm wlał wodę do ekspresu, włożył filtr, odmierzył kawę, wsypał powoli do filtra i nacisnął czerwony guzik. Spokój i opanowanie. Żadnych niepotrzebnych ruchów. Ćmiąc papierosa, przeszedł przed lejowaty korytarz do salonu. Na skórzanej sofie zamiast mordercy siedział Hultin. Pokój spowijała przygaszona ciemność.

- Wstawiłem kawę.

- Zwykłą?

- Tak.

- To dobrze.

Czas płynął ospale. Oczy oswajały się z ciemnością. Byli jak nocne zwierzęta, wpatrzeni w noc. Hjelm przeszedł się w drugą stronę. Wiedział już, jak manewrować, wspomagając się raczej dotykiem niż wzrokiem. Poznał wszystkie zakamarki i kąty, przemieszczał się sprytnie i szybko. W słabym świetle podręcznej latarki, z przysłoniętą żarówką, żeby nie zakłócić widzenia w ciemności, opróżnił kilka szaf z grubych swetrów, płaszczy, kurtek, rękawiczek, czapek i koców i rozłożył je na stole w kuchni. Po półtorej godziny chodzenia bez celu i picia kawy i po jakichś sześciu, siedmiu fałszywych alarmach z zewnątrz, w słuchawce zatrzeszczał głos Holma:

- Zmiana. Wchodzę.

- Zmienię ją - powiedział Hjelm do Nyberga, który kiwnął głową.

Hjelm był już prawie gotów do wyjścia, gdy do tylnych drzwi zapukała Kerstin Holm. Trzęsa się z zimna. Nyberg podał jej filiżankę kawy. Wzięła ją łapczywie, objęła dłońmi i podniosła do ust. Kiedy ciepło rozeszło się po ciele, wyszeptła:

- Zaczynałam już kostnieć z zimna.

Hjelm przykrył ją kocem, wcisnął słuchawkę do ucha i wtyczkę do walkie-talkie, założył kaptur i parę zabawnych jasnofioletowych rękawiczek z jednym palcem i wyszedł na wicherę.

Noc była czarna jak smoła. Podbiegł schylony do kolczastych krzewów, gdzie wcześniej ukrywała się Holm. Od razu poznał, w którym miejscu siedziała, zwinięta w kłębek w krzewach dzikiej róży, z doskonałym widokiem na drogę. Światło latarni oddalanej o kilka metrów kończyło się na odcinku ulicy, który obserwowała.

W tej pozycji spędził blisko dwie godziny. Przez ten czas minęło go kilkanaście samochodów, tyle samo rowerzystów i pieszych. Poczul, że jego zmysły są już wyraźnie przytępione. Przekazał wiadomość o trzech samotnych pieszych, ci jednak nie zatrzymali się przy furtce i poszli dalej. Zmieniła go Kerstin Holm. Wyglądała dużo lepiej. Zobaczył, jak przez ogród przebiega skulony cień Söderstedta.

Wszedł do kuchni razem z Nybergiem. Dopiero po dobrych kilku minutach doszli do siebie - w myślach przeklinał tego, kto wpadł na pomysł jednoczesnej zmiany warty. Ekspres był włączony. Udało im się nalać po kubku kawy, pili ją małymi łykami. Powoli wracało im czucie w palcach rąk i nóg, potem ciepło rozlało się po reszcie ciała. Czy nie powinno być na odwrót, pomyślał Hjelm i ściągnął z siebie swoje dziwaczne ubranie. Nie chciał w chwili spotkania z mordercą być w stroju rodem z wyprawy Amundsena na biegun południowy.

Wszedł do salonu. Hultin siedział wciąż w tym samym miejscu. Patrzyli na siebie bez słowa. Jeśli coś ma się zdarzyć, to zdarzy się za chwilę, mówiły ich spojrzenia. Hjelm wyszedł do holu i stanął przy oknie. Wiatr jakby się uspokoił. Poza tym nic się nie zmieniło.

Idzie wzdłuż opustoszałej ulicy. Mija kolejne, oddalone od siebie wille. Trzyma ręce w kieszeniach. Czuje, jak kasetka pociera o dwa klucze w lewej kieszeni. W prawej ma pistolet z założonym tłumikiem. Jest spokojny.

- Mam coś - szepcze Kerstin Holm do walkie-talkie. - Samotny pieszy. Mężczyzna. Zaraz mnie minie. Dobrze wie, gdzie jest. Jego kroki są pewne. Tu zaczyna się ogrodzenie. Przechodzi przez ulicę. Wiatr wieje mu w twarz. Poprawia torbę i kładzie dłoń na furtce.

Ponownie Holm:

- To on. Otwiera furtkę. Teraz.

- Wchodzi - szepcze niemal jednocześnie Söderstedt. Otwiera furtkę. Powoli, niepostrzeżenie. Zamyka za sobą.

Schodzi z ogrodowej ścieżki i przecina ostrożnie trawnik, kierując się w stronę domu. Wyjmuje klucze, wchodzi na schody.

- Wyjął klucze - szepcze Söderstedt. - Wkłada pierwszy. Teraz.

Wkłada pierwszy klucz do zamka, przekręca, bez najmniejszego szmeru. Potem drugi. Równie cicho. Naciska klamkę jedną ręką, w drugiej trzyma pistolet. Drzwi uchylają się.

Rzucają się na niego.

Hjelm chwytą go za ręce i wykręca do tyłu. Nyberg przygniata go do podłogi, wciska twarz w dywan. Hjelm wygina mu ręce na plecach. Hultin zapala światło i mierzy do niego z broni. Światło jak znieruchomiła błyskawica. Hjelm zakłada kajdanki. Już jest po wszystkim.

- Co jest, kurwa? - wydobywa z siebie zdziwiony mężczyzna. Potem zaczyna krzyczeć.

Holm i Söderstedt wpadają do środka z podniesioną bronią. Na schodach pojawia się Birgitta Franzen. Patrzy na nich z niedowierzaniem.

- Rickard - szepcze.

- Rickard? - dziwi się cała piątka niemal jednocześnie.

- Mamo - mówi jeszcze mężczyzna. Potem traci przytomność.
Wchodzi do środka, zamyka za sobą drzwi. W willi jest zupełnie ciemno i cicho. Zdejmuje buty, wkłada je do torby i idzie prosto do salonu. Siada na skórzanej sofie, z twarzą zwróconą ku drzwiom. Kładzie pistolet na stole i czeka.
Siedzi bez ruchu.
Czeka, aż zabrzmie muzyka.

11

ZAPACH, już tylko zapach kobiecej skóry. Łaskotanie maleńkich włosków. Nic więcej. Nic więcej mu nie potrzeba. Pomrukuje, gdy jej dotyka. Wciąż jest zimny.

- W moim łóżku jest ktoś obcy - mówi już prawie przez sen.

- Nie, nie - odpowiada i przyciska się do niej. - To w moim łóżku jest ktoś obcy.

To jak jakieś zaklęcie. Wypowiedziane setki razy. To jest zaklęcie. Sezamie, otwórz się.

Sezam się waha. Czy da radę? Zostało już tylko kilka godzin snu. Robić to, nurzając się we śnie.

„Jakby wchodził we mnie sen” - powiedziała kiedyś. Dawno temu.

W jednej chwili robi się twardy. Klik. A już sądził, że jest zbyt zmęczony. Po prostu klik, myśli sobie. Reszta ciała już śpi. Krew zbiera się w jednym miejscu. Które nie śpi.

Ogrzewa dłoń pod pachą, kładzie ją ostrożnie na jej gołym udzie. Ona nie reaguje z niechęcią. W ogóle nie reaguje. Śpi. Robi ostatnią próbę, wkłada rękę pod jej koszulkę. Dłoń obejmuje pierś.

Zaczyna krążyć wokół sutka. Teraz uzna albo, że ją to niemilo łaskocze, i straci jego dłoń, albo że łaskocze przyjemnie, i pozwoli mu zostać. Albo będzie spać dalej. Jeszcze wszystko jest możliwe.

Sutek sztywnieje. Cilla porusza się. Pozwala mu zostać.

Opuszcza spodenki i przesuwając członkiem po dolnej części pleców i w dół, po pośladkach. Jego palec krąży wokół sutka, podszczypuje go delikatnie. Członek porusza się miękko w dół

biodra, mija granicę majtek i schodzi na udo. Tam zawraca i idzie w górę, bardziej do środka, ociera się o materiał, przesuwa powoli między pośladkami, w górę pleców. Krąży.

Obraca się na plecy i unosi lekko na stopach. Zdejmuje z niej majtki, czuje jej zapach. Ściąga kalesony, ona chwyta go obiema rękami i nakierowuje go.

Język na jej ustach. Otwiera je, wbija w nie język. Dotykają się. Wchodzi w nią powoli, czuje, jak otacza go wilgoć. Przez chwilę leżą nieruchomo. Spełnieni. Czują się każdym milimetrem skóry.

Potem wychodzi z niej, do końca, a potem znowu wchodzi, do końca.

Nic się nie kończy, Hjelm.

Zdejmuje hełm i jest Paulem. Już tylko Paulem*.

Śniadanie. Przy stole Paul, Cilla i Tova. Przejrzał poranną gazetę. Tova wypila ostatni łyk soku pomarańczowego i podbiegła do lustra.

- Aaaaach - jęknęła. - Wyglądam jak Pippi Långstrump! Rozpuściła kitki i potargała lekko włosy, po chwili przeczesła

wszystko grzebieniem. Teraz wygląda jak mały troll Nicke, pomyślał Paul Hjelm.

- Bardzo ładnie. Chodź tu do mnie.

Podbiegła do stołu, przytuliła się, wróciła biegiem do lustra, chwyciła torbę. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Otworzyła. Weszła Milla.

- Cześć - powiedziała.

- Cześć - powiedział Hjelm.

- Chodźmy - zawołała Tova. - Już i tak jesteśmy spóźnione. Drzwi zatrasnęły się.

Danne zszedł po schodach i spojrział na nich naburmuszony.

- Jesteś w domu? - zdziwił się na widok ojca i wyszedł. Drzwi jeszcze długo drgały w futrynie.

* *Hjalm* (szw.) - hełm.

Cilla westchnęła głęboko i odezwała się z połową kanapki z pasztetem w ustach:

- Co, posypało się?

- No.

- Chcesz o tym pogadać?

- Tajemnica zawodowa. - Spojrzał na nią rozbawiony.

- Dobra, już dobra. - Cilla przybrała ten sam wyraz twarzy. Nie pierwszy raz zresztą. Rozpoznawał w niej swoje miny i grymasy, trudno było powiedzieć, kto miał na kogo większy wpływ.

- Po prostu byliśmy nie tam, gdzie trzeba.

- Myślisz, że to zdarzyło się w innym miejscu?

- Na sto procent. Jeszcze dziś będą o tym pisać w gazetach. Lada moment to coś tutaj zadzwoni - powiedział, wskazując leżący na stole telefon. Dopił kawy i zdjął z wieszaka dżinsową kurtkę z kołnierzem z baranka. Podeszedł do stołu i pocałował żonę.

- Idziesz dziś na wieczór czy masz wolne? - zapytał. Pokręciła zabawnie głową, jakby przywoływała go do porządku. - Idę na wieczór.

Założył kurtkę i posłał jej buziaka. Potem otworzył drzwi i skierował się w stronę zaparkowanej przed domem służbowej mazdy. Zanim zamknął drzwi, odchrząknęła. Między palcem wskazującym a kciukiem trzymała telefon. Jakby się nim brzydziła. Telefon zadzwonił i wypadł jej z ręki na stół. Podniósł go, chichocząc, i odebrał. Słuchał, nie odzywając się ani słowem.

- A nie mówiłem - powiedział do niej i wsunął komórkę do kieszeni kurtki. Gdy wychodził, posłała mu buziaka. Dzień jak w środku lata. Bez wiatru. Silne słońce. Tylko w cieniu czuło się, że jeszcze jest wiosna, z jej bardzo rozkapryszoną pogodą. Miłość, pomyślał i zdziwił się. Miłość i codzienność.

Codziennosc i miłość. Przekręcił kluczyk i wyjechał z Norsborg.

Czas opuścić południe i ruszyć na północ.

12

BYŁ trzeci kwietnia, godzina 9.03. Tego dnia, w roku 1800 w Norrköping, Gustaw IV Adolf został koronowany na króla Szwecji, pomyślał ktoś z Drużyny A, odbiegając na chwilę z nadmiernie zsynchronizowanego toku ich myśli.

Chociaż w tej chwili tok ten był jakby dziwnie zakłócony, żeby nie powiedzieć wstrzymany.

Tylko Jan-Olov Hultin wydawał się skupiony. Nocne przygody nie pozostawiły na nim śladu. Włożył starannie okulary na nos i zabrał się za przeglądanie sterty papierów. Nie wyglądała zachęcająco.

Hjelm rozejrzał się po ogromnej kuchni. Drużyna A była wyraźnie wczorajsza. Gunnar Nyberg kichnął głośno - może myślał o chórze i obolałych strunach głosowych. Viggo Norlander był wyraźnie wściekły. Kerstin Holm odpłynęła w stan przez niektórych polityków przyłapanych na chrapaniu w parlamencie nazywany mikrosnem. Kiedyś mówiło się po prostu potajemna drzemka, ale wyglądało to tak samo: ugięta dłoń, a za nią opadająca coraz niżej głowa. Arto Söderstedt był bez wątpienia na innej planecie. Wyglądał przez okno w kuchni i rozmyślał o sekretnych korespondencjach.

Dzień pierwszego morderstwa był dniem śmierci Emmanuela Swedenborga w Londynie, w roku 1772.

Söderstedt dał się ponieść myślom i poszybował po jasnym Kwietniowym niebie.

Na pełnych obrotach byli tylko lekarz sądowy, kilku techników kryminalnych i Jorge Chavez, który wyglądał, jakby chciał zbadać

każdy milimetr kwadratowy domu. Co jakiś czas technicy wyrzucali go z salonu, ale on wracał, jak wraca szalony przestępca na miejsce zbrodni.

Szeregowi policjanci, którzy przyjechali tu jako pierwsi, wrócili już na komendę na Golfvagen. Kilku funkcjonariuszy z Rikskriminalen ubranych po cywilnemu pilnowało terenu. Media jeszcze niczego nie zwęszyły. Z wyjątkiem techników, którzy przeszukiwali salon, nie było nikogo, kto by zakłócił spokój Drużyny A.

Do czasu pojawienia się dwóch typków około czterdziestki, ubranych w identyczne skórzane kurtki.

- Nic nie mów - powiedział do Hultina jaśniejszy z blondynów. - Chcieliśmy tylko rzucić okiem.

- Gdy skończę, dostaniecie jak zwykle mój raport. - Hultin jakby nie dosłyszał ich polecenia. Nie omieszkał też ich przedstawić: - Gillis Dóós i Max Grahn z Sapo.

- Służba Bezpieczeństwa - odezwał się ten, który najwyraźniej nazywał się Dóós. - Nie będziemy wam przeszkadzać.

Wyszli do salonu, gdzie naradzili się po cichu z lekarzem sądowym i głównym technikiem. Potem obeszlili dom, zajrzeli we wszystkie kąty i zniknęli. Usłyszeli tylko odgłos ruszającego samochodu.

- Od dziś możemy mieć z nimi częściej przyjemność - powiedział Hultin jakby od niechcienia. Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby zrozumieć, co ma na myśli.

Chavez wszedł do kuchni i usiadł przy Hjelmie.

- Powtórka z rozrywki - powiedział.

- Nie do końca - mruknął Hultin. - Ciekaw jestem, co powiedzą technicy. Podobno została jedna kula.

Siedzieli w willi na Djursholmie, zaledwie kilka przecznic od domu emerytowanego sędziego Erica Blomgrena, gdzie inny emerytowany sędzia Rickard Franzen spędził spokojny wieczór, grając w szachy i sącząc koniak, i gdzie Chavez i Norland^ siedzieli w samochodzie, obserwując dom od zewnątrz. Jakoś ich to nie uskrzydlało.

Willa należała do mężczyzny o nazwisku Nils-Emil Carlberger. Jego ciało znaleziono w salonie o godzinie ósmej trzydzieści rano, gdy do domu weszła sprzątaczką. Zadzwoiła na policję i szybko wyszła. Nikt nie wiedział, kim jest i gdzie się teraz znajduje. Prawdopodobnie groziła jej deportacja, żyła więc w ukryciu i utrzymywała się za grosze, które dostawała za sprząkanie. Rodzina Carlbergera składała się z żony i dwóch dorosłych synów. Wkrótce mieli zostać powiadomieni. Żona pojechała do domu letniego pod Halmstad, żeby wyszykować go przed sezonem, synowie mieszkali w Landvetter i Lund. Żaden z nich nie pracował w imperium Nilsa-Emila Carlbergera. Pierwszy z nich był kontrolerem ruchu lotniczego, drugi robił doktorat z socjologii. Żona Nancy, zanim awansowała na stanowisko gospodyni domowej, była sekretarką w koncernie Carlbergera. Nie była matką jego synów.

Mniej więcej tyle wiedzieli.

Do kuchni wszedł podstarzały lekarz sądowy.

- U mnie bez większych zmian - powiedział, drapiąc się w szyję. - Dwa strzały, kule przeszły przez mózg. Prawdopodobnie natychmiastowa śmierć. Po obdukcji będę mieć więcej szczegółów, ale nie spodziewajcie się rewelacji.

- Nie spodziewamy się, Sigvard - oświadczył ze spokojem Hultin. - Svenhagen już kończy?

Lekarz sądowy Sigvard Qvarfordt wzruszył ramionami i odparł:

- Zabieram jaśnie pana Nilsa-Emila. Chyba że chcecie sobie powiesić jego głowę na komendzie.

Dowcipy Qvarfordta o trupach przestały być śmieszne jakieś ćwierć wieku temu. Mężczyzna chodził na wolnym biegu od kilku dziesięcioleci.

Czekali. Żaluzje nie chroniły przed promieniami wiosennego słońca, których cienkie linie rysowały się na stole. Hjelm otworzył drzwi wychodzące na altanę. Podszedł do niego Chavez.

- Widzisz ten komin, ten najwyższy? - odezwał się i mrużąc oczy, wskazał palcem nad dwoma sąsiednimi ogrodami. - To dom Blomgrena. Tam odmroziliśmy sobie wczoraj tyłki w sta-

rym volvo Norlandera. Był tutaj, szedł tędy, tuż przed naszymi nosami. Może nawet widział nas i go to rozbawiło. Hjelm wzruszył ramionami.

- Może powinniśmy byli wyczuć jego obecność - wymamrotał Chavez i wystawił twarz na słońce. -

Como en casa - powiedział z zadowoleniem.

- Jak w domu? - zdziwił się Hjelm. - Niby gdzie?

- W Rágsved* - rzucił Chavez i wszedł do środka. - ***Nací aquí*** - dodał jeszcze.

W kuchni stał główny technik Brynolf Svenhagen i zaglądał do notatnika, wypowiadając standardowe frazy, które z całą pewnością nie były w nim zapisane.

- Oczywiście w ciągu dnia zdejmujemy jeszcze ślady w całym domu. Wygląda jednak na to, że znowu jest czysto. Wyjątkiem jest kula. Wyjął jedną, ale zostawił drugą. No to macie w co wbić zęby. Zaraz oddamy ją do analizy. To, co mogę powiedzieć w tej chwili, to że jej nie rozpoznaję. Nie jest to żadna z sześciu, siedmiu najbardziej powszechnych marek.

Wrócił do salonu, gdzie po podłodze i sofie pełzało jeszcze dwóch jego podwładnych. W korytarzu mignęły Hjelmowi nosze przykryte czarnym materiałem, niesione pod nadzorem docenta Qvarfordta. W kuchni panowała nie tyle beznadziejna, ile raczej senna atmosfera. Zaryzykowali. Nie udało się. Ryzyk-fizyk. Gorzej, że ucierpiały na tym łuki brwiowe Franzéna juniora, po tym jak Nyberg wbił go twarzą w pleciony dywan. Waldemar Mórner uwzględnił już pewną sumę w budżecie na pokrycie ewentualnego odszkodowania.

- No nic, siadamy na nowo do roboty - powiedział trzeźwo Hultin. - Tak naprawdę to dyrektor Carlberger pasuje lepiej do

*** Ragsved - położona na południe od Sztokholmu dawna dzielnica robotnicza, kojarzona głównie z bezrobociem, narkotykami i wysoką przestępczością, ale również ze szwedzkim punkiem; stąd wywodzi się np. Ebba Gron.**

naszego wzorca niż nieprzekupny sędzia. Najwyraźniej chodzi tu o interesy. Hjelm sprawdzi, czy to w jakiś sposób kastruje Mirnira. Jeśli tak - zajmie się znacznie mniej wykastrowanym Dionizosem. Nie zapomnij też o księgach klubu golfowego. Z grubsza rzecz biorąc, oznacza to więcej roboty dla tych z was, którzy zajmują się sprawami finansowymi. Kogoś wam dorzucimy. Może Nyberga. Holm pracuje nadal nad sprawami osobistymi. Norlander nad sprawami międzynarodowymi.

Niewykluczone, że stary dobry Svenhagen miał na myśli, że pocisk jest zagraniczny. Zobaczymy. i jeszcze prawdziwie twardy orzech do zgryzienia: dlaczego ta druga kula w ogóle została w ścianie? Czy coś mu przeszkodziło? Celowo zostawił trop? Jeśli tak - to czy po to, by nas zmylić, czy żeby się z nami zabawić? A może on chce wpaść? Czy też po prostu popełnił pierwszy błąd? To mało prawdopodobne. Bez wątpienia istnieje jakiś powód tego, że kula jest w tej chwili w drodze do laboratorium. Zastanówcie się nad tym. Podsumowując: Norlander - zagranica, Holm - sprawy osobiste, Chavez, Söderstedt, Nyberg - interesy, Hjelm - seks. Jak tylko czegoś się dowiem od Brynolfa Svenhagena, zwołam zebranie. Jakież pytania?

Żadnych pytań.

Żadnych, na które mógłby odpowiedzieć Hultin.

Opuścili okazałą willę w asyście techników kiyrninalistycznych.

Pierwsze informacje od szefa techników Brynolfa Svenhagena trafiły do Hultina o 11.22 trzeciego kwietnia. Już o 11.51 Drużyna A zebrała się w pokoju, który nazwany tak dla żartu przez Chaveza, teraz już oficjalnie nazywał się Centrum Dowodzenia. Przez duże C i duże D. Waldemar Mórner przyjął nazwę, tu cytat, „bez zastrzeżeń”. Wszyscy byli w pokojach, gdy Hultin zadzwonił do nich o godzinie 11.23. Wszyscy z wyjątkiem jednego. " W tym czasie Hjelm siedział w podziemiach na ulicy Stall-grand na Starym Mieście. Nie miał zasięgu. Stróż Clófwenhielm wklepał nazwisko Carlberger Nils-Emil do swojego trzymane

go pod kloszem laptopa, ale niczego nie znalazł. Nils-Emil Carlberger nie był dawniej ani obecnie członkiem Skidbladnerorden ani Mimerorden. Ani też żadnego innego bractwa.

O godzinie 11.35 Clófwenhielm odsłonił ciężką kotarę wiszącą przed największą świętością bractwa.

O 11.41 Paul Hjelm wyłonił się zza niej, przysięgając na wszystko, co mu drogie, że nikomu nie zdradzi, co takiego zobaczył. Dotrzymał słowa.

O 11.42 wyszedł na wąską uliczkę i odsłuchiwał wiadomość Hultina o zebraniu. O 11.51 wszedł do sali.

O 13.09 roześmiał się, gdy Chavez powiedział mu o jej oficjalnej nazwie.

Wcześniej jednak w „Centrum Dowodzenia jednostki specjalnej Drużyny A Rikskriminalpolisen”, jak brzmiała pełna nazwa tej niewielkiej sali, zdarzyło się, co następuje:

Jak poinformował Jan-Olov Hultin, wiadomość o zabójstwie dyrektora Nilsa-Emila Carlbergera, bossa koncernu Carlbergera, nie trafiła jeszcze do mediów. Najwyraźniej - ku wielkiej uldze Hultina - przeciek nie był sprawką Drużyny A. Jak wielka to była ulga, nie dał po sobie poznać.

- Tak jak podejrzewałem - powiedział skromnie Hultin - w pozostawionej na miejscu zbrodni kuli było coś wyjątkowego. Svenhagen przeprowadził jakąś skomplikowaną, ale jak najbardziej poprawną analizę chemiczną roztrzaskanego fragmentu ołowiu

I odkrył w nim bardzo szczególny związek chemiczny. Żeby skrócić to, co zapowiada się na gigantyczny raport z laboratorium kryminalistycznego, chodzi tu o rodzaj zanieczyszczonego ołowiu w unikalnym związku. Najprościej rzecz ujmując, to są po prostu cholernie kiepskie kule, produkowane w jakiejś małej, podrzędnej fabryce amunicji w mieście o nazwie Pawło-dar w dzisiejszym Kazachstanie. No wiecie, ojczyzna Władimira Smirnowa. Przed południem Svenhagen skontaktował się osobiście z centralą techników kryminalistycznych Interpolu i dowiedział się między innymi, że wspomniana fabryka znalazła się w poważnych tarapatach tuż po upadku Związku Radzieckiego i zmuszona była zakończyć produkcję. To znaczy, gdy

gospodarka rynkowa wkroczyła do kraju i dokonał się, cytuję Svenhagena, „niezawodny dobór naturalny”. Zabrakło chętnych na kiepską amunicję. W momencie ogłoszenia upadłości w fabryce znajdował się najwyraźniej okazały skład amunicji, z którym nie wiadomo, co się stało. Interpol użył słowa „mafia”.

Hultin zrobił przerwę. Być może chciał sprawdzić siłę rażenia swoich słów; żadnej reakcji. Być może tylko po to, by wziąć głęboki oddech. Po chwili ciągnął dalej:

- Rosyjska mafia to, jak wiecie, wyjątkowo heterogeniczna organizacja. W zasadzie niewiele o niej wiemy; zastraszająco niewiele, jeśli pomyśleć, że w jakimś sensie już przekroczyła Bałtyk. W dużej mierze składa się z masy niezdar i wariatów, którzy na własnej skórze poczuli konsekwencje zmieniających się realiów gospodarczych. Najsilniejszy wygrywa. Ale ma też swoją bardziej wyrafinowaną postać, ci ludzie wyciągają macki po najwyższą władzę w Rosji i krajach bałtyckich i są w bliskim kontakcie z mafiosami z Włoch i Stanów Zjednoczonych. Obecność tej amunicji w Szwecji przy okazji trzeciego zabójstwa szwedzkiego potentata gospodarczego w ciągu zaledwie kilku dni nie napawa optymizmem, choć pewnie nie pierwsi doszliśmy do tego wniosku. Byliśmy już świadkami dziwnej demonstracji ludzi z Säpo w willi Carlbergera, jakby zdecydowali się wyjść z ukrycia i poinformować o swoim istnieniu. Praca wre pewnie również w wojskowej służbie bezpieczeństwa, w jeszcze głębszej piwnicy na Lidingövägen i gdzieś indziej.

Hultin westchnął, wziął łyk wody i ciągnął dalej, tym samym monotonnym głosem:

- Jeśli skojarzymy tę amunicję ze sposobem egzekucji, to jest się czego obawiać. Jak pamiętacie, Norlander wywęszył trzy międzynarodowe organizacje, które konsekwentnie eliminują swoje ofiary strzałem w głowę. Jedną z tych organizacji jest, jak słyszeliście, niewielki rosyjsko-estoński klan pod dowództwem osławionego, ale bliżej nieznanego człowieka o pseudonimie Viktor X. Jak wyglądają ich kontakty z mafią, nie wiadomo. To

zmienia nasz porządek pracy. W drodze tutaj spotkałem Mórnera. Poinformował mnie, że z powodu, cytuję: „straszego powiązania naszej sprawy z sowiecką mafią”, przydzielił nam kolejnych dwoje ludzi. Oboje są z policji gospodarczej. Zdejmy z nas obowiązki związane z wywiadem gospodarczym i rozszerzą poszukiwania o - to istotne - ewentualne wspólne interesy z rosyjską mafią. Tym z was, którzy do tej pory zajmowali się finansami, przydzielę z czasem też inne zadania. Nie wolno nam jednak podążać wyłącznie rosyjskim śladem. Proszę, by Nyberg - zanim na serio zajmiesz się kwestiami finansowymi - przekazał Norlanderowi informacje o bandzie Viktora X. Tak więc pracujemy na dwa fronty - jeden postsowiecki, drugi szwedzki. Nasze siły powinny się gdzieś spotkać i ustawić do ostatecznego starcia.

- Za dużo przebywasz z Mórnerem - odezwał się Hjelm.

- Zdecydowanie - zgodził się Hultin.

Ktoś zapukał i w drzwiach pojawiły się dwie twarze: wysokiego mężczyzny o jasnych włosach i niemal przezroczystej skórze, który nie miał więcej niż trzydzieści lat, i młodej, ciemnowłosej kobiety znacznie poniżej średniego wzrostu. Stanowili dziwną parę.

- W porządku, wejdźcie - powiedział Hultin. - Siadajcie. Rozpoczniemy od Carlbergera.

Przedstawiam wam nowych członków Drużyny A: Billy Pettersson i Tanja Floren. Udało nam się opróżnić dla nich pokój 305. A teraz: czy ktoś z was ma coś na Carlbergera poza finansami, coś, o czym jeszcze nie wiemy? Kerstin?

Kerstin pokiwała głową:

- Żona z synami przyjadą do miasta lada chwila. Przesłucham ich.

- Czas wolny? Hjelm?

- Podobnie jak tamci dwaj, Carlberger grał w golfa i pływał łodzią, ale motorową, bardzo luksusową, którą trzymał w porcie na Lidingó, nie pytajcie mnie dlaczego. Golf łączył ich bez wątpienia: należał do tego samego sztokholmskiego klubu

KSSS i grał głównie na Kevinge. Z tego, co udało mi się ustalić, nie był jednak członkiem bractwa Mimerorden. Ani też żadnego innego.

- Co by oznaczało, że ten trop możemy wziąć w nawias - mruknął Hultin i zaczął rysować kwadraciki na tablicy. Ani słowa o wczorajszej gafie - był w tym domyślny rozkaz. Odwrócił się do nowych i wyjaśnił: - Arto Söderstedt zajmuje się spółkami. Söderstedt?

Arto Söderstedt odchrząknął i wyprostował się lekko, jakby przygotowywał się do wykładu lub kazania. Przez chwilę Hjel-mowi wydawało się, że ta szczupła, biała postać nie może być niższym oficerem policji. Niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu. Wilk w owczej skórze. Gdy zaczął mówić, w głowie Hjelma aż świszczą od stereotypów.

- Mamy tu do czynienia z trzema osobami, z których każda była właścicielem grupy spółek - niemal imperiów. Nasze ofiary są, a raczej były, bogate i potężne, ale nie należały do celebrytów. Struktury ich spółek są podobne. W centrum znajduje się jedno lub kilka towarzystw finansowych, których są wyłącznymi właścicielami, na peryferiach - grupa firm, których są współwłaścicielami lub które są ze sobą powiązane. Nie wolno zapominać, że trzech naszych nieboszczyków było kapitalistami nowego rodzaju, którzy rozwinęli skrzydła na początku lat osiemdziesiątych. Niczego nie produkują. Ich działalność polega głównie na przelewaniu pieniędzy z konta na konto i przynosi zysk tylko im samym - nie daje miejsc zatrudnienia ani nie generuje podatków. Coś, co jeszcze kilka lat temu było zarezerwowane dla zwykłych bandytów, mam tu na myśli pranie pieniędzy, przelewanie ich i pożyczanie na horrendalny procent, stało się teraz legalną działalnością. Dokonana przez Feldta liberalizacja prawa umożliwiła dosłowny wywóz pieniędzy z kraju. Dobrobyt lat osiemdziesiątych był pustym balonem, którego eksplozja wtrąciła nas w dziesięciolecie chaosu. Władze źle interpretowały salda, czytały cyfry, mając na nosach okulary z epoki industrialnej, i triumfowały.

Triumfowały również rekiny biznesu, choć już z całkiem innego powodu. Wyssały wszystkie soki z państwowej kasy przy akompaniamencie masochistycznych pojękiwań władzy.

Sóderstedt zamilkł. Drużyna A patrzyła na niego ze zdziwieniem. Wyjątkowo osobliwy przegląd interesów Carlbergera.

- Wolałbym, abyśmy nasze opinie dotyczące polityki zredukowali do minimum - wtrącił jakby mimochodem Hultin.

Sóderstedt rozejrzył się po pokoju. Można było odnieść wrażenie, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie jest. Hjelm był niemal pewien, że spod jego koszuli wydobywa się dym. Sóderstedt zebrał myśli i ciągnął dalej ze swoim dźwięcznym fińskim akcentem:

- Moim zamiarem było ukazanie dwóch spraw. Po pierwsze powiązania przedstawionego klimatu społecznego z tym, co wcześniej mówiłem o seryjnych morderstwach w Stanach, o hero-izacji totalnego outsidera, który zrzucił z siebie system norm, gdy ukazały się na nim pierwsze rysy i odłoniła kryjąca się pod spodem nicość - pieniądze. Siedzimy na beczce prochu. Po drugie specyficznego powiązania z naszą sprawą. Przecież możemy mieć do czynienia z człowiekiem, któremu udało się, albo przynajmniej tak mu się wydaje, przejrzeć te machinacje, który odkrył te rysy na murze i dał się wciągnąć w próżnię po drugiej stronie. Albo inaczej - z człowiekiem, któremu wydaje się, że ujrzał prawdziwą twarz niewidzialnej władzy, i teraz robi wszystko, żeby zedrzeć skrywającą ją maskę. Inteligentny szaleniec, najgorsza z możliwych kombinacji. Dostrzegł związek, mniej lub bardziej tajemną korespondencję, i rozpoczął swoją misję, pewnie przez przypadek, w dzień śmierci Swedenborga. - Żebyśmy się dobrze zrozumieli - przerwał mu w końcu Hultin. - Twoim zdaniem to są zabójstwa na tle politycznym? Lewicowy terroryzm?

- Nie nazwałbym tego terroryzmem. Ale w jakimś sensie to jest polityczne. Ten ktoś w jakiś sposób poczuł, że ma do spełnienia misję. Dużo myślał i wyciągnął z tego wnioski. Stosunkowo poprawne w teorii, jednak całkowicie błędne w praktyce. Pomyślcie.

Jest połowa lat dziewięćdziesiątych. Podnieśliśmy się z najgorszego kryzysu. Wielu na tym ucierpiało, ale może dopiero teraz zaczynają mieć obraz sytuacji.

Zapadła cisza. W pewnym sensie Söderstedt mógł mieć rację. Billy Pettersson i Tanja Floren siedzieli z szeroko otwartymi ustami, zastanawiając się pewnie, gdzie tak naprawdę trafili. Na salę wykładową na uniwersytecie? Do grupy dyskusyjnej zajmującej się teoriami spiskowymi? A może trafili na policjanta, któremu upór i inteligencja przeszkadzały w karierze?

Hjelm próbował mimo wszystko pociągnąć dalej ostatni wątek:

- Trzech reprezentantów nowego kapitalizmu - podsumował - to różne możliwości. Trop sugerowałby Europę Wschodnią. Problemy z mafią przy odradzaniu się państw nadbałtyckich? Wykorzystywanie kontaktów zawodowych z tego rejonu Bałtyku? Jednak żaden z nich nie miał ścisłych kontaktów z Europą Wschodnią. Motywy czysto polityczne? Zemsta - osobista lub zawodowa? Co jeszcze?

Cisza. Najwyraźniej nic więcej. Czy czegoś nie przeoczyli? Klasyk rodem z kryminałów Agathy Christie? Trop bractwa rozplynął się jak we mgle - tego typu intrygi należały najwyraźniej do przeszłości. Zamiast tego wylądowali w samym środku teraźniejszości: postindustrialny kapitalizm, wschodnioeuropejska mafia, upadek państwowej gospodarki w Szwecji lat dziewięćdziesiątych.

Paul Hjelm wołał już bractwa.

- Czy zajmiemy się teraz grupą spółek Carlberga? - Hultin dolewał oliwy do ognia.

Söderstedt przeszedł natychmiast ze stylu rozwlekłego i natchnionego na lapidarny i treściwy. Hjelm miał wrażenie, że takie nagłe przeskoki Söderstedt miał w swojej naturze, ale to w tym drugim stylu była odpowiedź, którą należało przekazać tak wyraźnie i dosadnie, jak to tylko możliwe. W poprzednim nie było żadnej odpowiedzi i żadnego rozwiązania - „prawda”

wyciekała przez szpary między słowami. Tak wyglądało społeczeństwo, społeczeństwo postindustrialne, właśnie tak widział je krasomówczy Fin.

- Koncern Carlbergera - zaczął. - W środku towarzystwo finansowe Spiran. Wokół, w coraz bardziej odległych kręgach, coraz trudniej dostępnych, spółki córki, córki córek i córki córek córek. Przez tę godzinę, którą miałem do dyspozycji, odkryłem jeden punkt styczny, a przy wsparciu profesjonalistów - Söderstedt wskazał na Petterssona i Floren - z pewnością ich przybędzie. W moim punkcie styczonym znajduje się Strand-Julen, który był jednym z właścicieli spółki córki córki Carlbergera - Alruna Holding AB.

Zamilkł. Trudno było zgadnąć, czy już skończył. Wydawał się trochę zmęczony, więc Hultin powiedział:

- Okej, dziękujemy Söderstedtowi za jego wyjątkowo inspirujący wywód. Chavez?

Chavez zaśmiał się krótko, zanim zaczął mówić:

- Będę się streszczać. Z zarządów, w których zasiadali w tym samym czasie Daggfeldt i Strand-Julen, Carlberger siedział w trzech: Ericssonie w latach 1986-1987, Sydbanken w latach 1989-1991 i MEMAB-ie w roku 1990. To tyle, jeśli chodzi o czas, który nasi denaci spędzili razem w zarządach.

- Co to jest MEMAB? - zapytała Kerstin Holm.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Chavez.

- Chyba mogę wam pomóc - powiedziała Tanja Floren głębokim altem. - Jak myślicie?

- Towarzystwo finansowe - powiedział bardzo zmęczony fińsko-szwedzki głos.

- Tak jest - powiedziała Tanja Floren.

13

DLA Paula Hjelmą rozpoczął się całkiem nowy rozdział. Na początku śledztwa był na linii frontu, teraz dreptał w ostatnim szeregu. Śledztwo prowadzone było przede wszystkim w dwóch kierunkach: podążało tropem rosyjskiej mafii, pod egidą Norlan-dera i Nyberga, oraz tropem gospodarczym, pod egidą Söderstedta, Chaveza, Petterssona i Floren. Kerstin Holm prowadziła rozmowy z rodzinami zmarłych, a mniej ważne przesłuchania przekazywała piechocie Rikskrim i sztokholmskiej policji. Hjelm zajął się przeglądaniem ksiąg gości klubu golfowego. Pejzaż zbrodni z przeszłości, myślał rozgoryczony. Nikt już nie mordował z powodu jakichś intryg w bractwach czy klubach golfowych. Ludzkie zastępy dziesiątkował wyuzdany seks, narkotyki i pranie brudnych pieniędzy.

Numer domniemanego alfonsa o przyjemnie brzmiącym nazwisku John Stake nie odpowiadał, a z wizyty na Timmermans-gatan i licznych telefonów wynikało, że młodociana prostytutka w osobie Jørgena Lindena dała nogę.

Obdukcja Nilsa-Emila Carlbergera nie przyniosła żadnych rewelacji. Technicy kryminalistyczni Svehagena sprawdzili co się dało; również i tym razem niczego nie znaleźli. Z wyjątkiem przeklętej kuli w ścianie.

Hjelm zagłębiał się w coraz starsze księgi klubu golfowego. Mijały godziny. Wśród podpisów o różnym stopniu czytelności zaczął szybko rozpoznawać pedantyczny podpis Daggfeldta, zamaszysty Strand-Julena i pochylający się do tyłu Carlbergera! Pojawiały się dosyć często, ale nigdy obok siebie. Kiedy dotarł do

jesieni 1990 roku, był gotów pogodzić się z faktem, że denaci nigdy ze sobą nie grali, ale właśnie wtedy odkrył pedantyczne esy-floresy obok tych zamaszystych, a trochę bardziej z boku te pochylające się do tyłu. Wszystko wskazywało na to, że Daggfeldt, Strand-Julén i Carl-berger grali razem w golfa tylko w trójkę, co otwierało nowe, ciekawe perspektywy. Sprawdził w notatkach Chaveza: miało to najwyraźniej miejsce tuż po naradzie zarządu MEMAB-u siódmego września 1990 roku. Co ciekawe, była to jedyna partyjka golfa braci Daggfeldta i Strand-Juléna. Mimo iż obaj tworzyli zręb zgromadzenia Skidbladnerorden, zasiadali razem w ośmiu zarządach od końca lat siedemdziesiątych i należeli do tego samego klubu golfowego, to grali razem w golfa tylko jeden jedyny raz, i do tego w towarzystwie trzeciej ofiary.

Było to dosyć niezwykle.

- Trzech mężczyzn gra w golfa jesienią 1990 roku - powiedział głośno. - Tylko ten jeden, jedyny raz. Kilka lat później wszyscy trzej leżą w chłodni za sprawą jednego człowieka. I stało się to w ciągu zaledwie tygodnia. Co to może znaczyć?

Najwyraźniej jego słowa zrobiły wrażenie na Chavezie, bo odpowiedział mu, nie przerywając stukania w klawiaturę:

- Co?

- Nie będę powtarzać. Twoja podświadomość zdążyła już wszystko zarejestrować.

Chavez przerwał pisanie i obrócił się do niego na krześle. Powinien mieć wąsy, pomyślał Hjelm zaskoczony i poczuł, jak odzywają się w nim stare, starannie przyklepane pytania.

- Nic. Być może tylko tyle, że istnieją silne powiązania między wszystkimi segmentami świata interesów. - Albo że ktoś nie lubi golfa.

- Strzał w dziesiątkę - zaśmiał się Chavez i wrócił do pisania. - Zagadka rozwiązana! Pewnego jesiennego dnia roku 1990 jakiś wróg golfa ziębił tyłek, stojąc przy polu golfowym Kevinge, dojrzał trzech aroganckich przedstawicieli klasy wyższej, którzy

wypinali pierś na greenie, i postanowił, że te gnojki, właśnie te gnojki, muszą zginąć, i to za jednym razem, a potem czekał jeszcze kilka lat, zanim wkroczył do akcji. Co by tłumaczyło, dlaczego mu tak szybko poszło.

- A może to caddie?

- Żartowałem - powiedział Chavez.

- Domyśliłem się - odburknął Hjelm. - Jeśli jednak trochę zmodyfikujemy tę twoją historyjkę, to zobaczysz, że zabrzmiał zupełnie inaczej. Mężczyźni są po ważnej naradzie zarządu, rozluźnili się i zgadali już w taksówce, może popili w barze przy polu golfowym i teraz wylewa się z nich ten cały biznesowy syf. Są obrzydliwi. Na ich widok wędzną kwiaty. Słowami strzelają z biodra. Łapiesz? Może ten caddie chwilę się spóźnił albo popełnił jakiś błąd, więc oni z miejsca przystępują do ataku - szykanują go albo ją, w końcu to mogła być dziewczyna, wyśmiewają go i przez resztę gry traktują jak jakiegoś śmiecia. To nieuchronne, chociaż obrzydliwe. Może molestują go seksualnie. Poniżają jakby mimochodem, mieszają z błotem na tyle skutecznie, że minie wiele lat, zanim on się podniesie i znów będzie sobą. Może ich zachowanie było, jak to się mówi, katalizatorem silniejszej reakcji, której właśnie jesteśmy świadkami. Może ten były caddie spędził kilka lat w psychiatryku albo czymś takim i został wypuszczony z innymi szaleńcami na ogólnej fali zwolnień. Wziął życie w swoje ręce i doszło do niego, co tak naprawdę wywołało jego chorobę? Łapiesz? Nie ma w nim już desperacji, widzi wszystko klarownie i bierze się za nich, załatwia jednego po drugim. Zręcznie, szybko, elegancko. Czysta zemsta.

- Bardzo oryginalnie - odezwał się Chavez. Przerwał pisanie. - Zaintrygowałeś mnie.

- Dzwonię - powiedział Hjelm i wybrał numer telefonu.

- Chociaż, jeśli rzeczywiście masz rację, oznacza to koniec zabójstw. Co by tłumaczyło rosyjską kulę. I wykluczało trop gospodarczy.

- Halo, tu Paul Hjelm z Rikskriminalen. Z kim rozmawiam?

- Axel Widstrand - powiedział głos - sekretarz w sztokholmskim klubie golfowym. Czy to pan zabrał nasze księgi gości? Lena nie miała uprawnień, żeby je panu wydać. Kończy już pan?
- J a dałem jej uprawnienia. Czy w trakcie zwykłej rozgrywki zawodnicy korzystają z caddie?
- Proszę oddać księgi. - W ciągu ostatniego tygodnia zginęło trzech waszych członków, a pan mi mówi o księgach? W jakim świecie pan żyje?
- Hopla! - wtrącił Chavez. - Złamanie tajemnicy służbowej. Hjelm wyjął z szuflady „Aftonbladet” i podsunął mu pod nos. Nagłówek krzyczał: **Z OSTATNIEJ CHWILI! Łowca Rekinów znów atakuje! Nie żyje już trzeci przedsiębiorca. Trup Nilsa-Emila Carlbergera znalazła tajemnicza kobieta.**
- Łowca Rekinów? - zdziwił się Chavez, trzymając gazetę za róg, jakby była uwalana starymi wymiocinami. - Ledwo urodzony i już ochrzczony...
- Dobrze wiedzieć - powiedział gorzko Hjelm, a potem stwierdził do słuchawki:
- Proszę odpowiedzieć na pytanie.
- Caddie? - odpowiedziało echo w słuchawce. - Czasami tak.
- Czasami? - Zwykle się nie zdarza. Tylko czasami.
- Jak można się z nimi skontaktować?
- To my ich zatrudniamy. Trzeba zrobić rezerwację.
- Jeśli trzech mężczyzn gra rundę, to załatwiacie im caddie? Dobrze zrozumiałem?
- Powtarzam: jeśli zgłosili taką potrzebę. Musimy mieć na to kilka godzin. Wówczas zatrudniamy jednak nie jednego, tylko trzech caddie. Dla każdego z nich. Jeden caddie nie może nosić kijów dla trzech osób, to chyba jasne. Hjelm postanowił iść na całość.
- Czy Lena jest caddie?
- Lena Hansson? Kiedyś była. Teraz pracuje tutaj.
- Czy pracowała jako caddie we wrześniu 1990 roku?

Axel Widstrand, sekretarz sztokholmskiego klubu golfowego, zamilkł na chwilę. Hjelm usłyszał stłumione głosy, jakby jego rozmówca przykrył słuchawkę telefonu dłonią i rozmawiał z kimś, kto stoi obok.

- Tak, zgadza się. Nie pracuje dopiero od ostatniego sezonu.
- Jeśli siedzi panu na kolanach, proszę ją zapytać, czy była caddie, gdy Kuno Daggfeldt, Bernhard Strand-Julén i Nils-Emil Carlberger grali w golfa siódmego września 1990 roku.
- Z pana policjanta jest bezczelny łajdak.
- Proszę zapytać.

Znów stłumione głosy w słuchawce.

- Nie - odpowiedział Widstrand.
- Pamięta to ot tak, po prostu?
- Coś jeszcze?
- Czy gdy gracze korzystają z caddie, zaznaczacie to jakoś w księgach?
- Nie. Gracze zapisują swoje nazwiska, to wszystko. Coś jeszcze?
- Nie w tej chwili - powiedział Hjelm, odłożył słuchawkę i zapisał nazwisko Leny Hansson w notatniku. Na przyszłość. Wizja samotnego, szykanowanego caddie rozplynęła się w powietrzu równie szybko, jak się pojawiła. Z ich usług nie korzystano zbyt często, a jeśli już, to w tym przypadku było ich trzech, nie jeden. Mimo to podkreślił starannie nazwisko Leny Hansson. Gdyby okazało się, że to ostatnie morderstwo, jeszcze do tego wróci. - Posłuchaj - powiedział Chavez znad popołudniówki, choć właściwie gazeta z tą nazwą niewiele już miała wspólnego. - „Bez wątpienia chodzi tu o pierwszą regularną akcję terrorystyczną, od lat nieobserwowaną w Szwecji. Nawet za czasów Frakcji Czerwonej Armii nie widzieliśmy czegoś podobnego. Wówczas było to zjawisko marginalne: Ebba Gron, Norbert Krócher i Anna-Greta Leijon; dziś Łowca Rekinów morduje po kolei szwedzkich przedsiębiorców. Wiemy tylko, że policja stoi z zało-

żonymi rękami". - Chcieli napisać - dodał Chavez, odkładając gazetę - że jeśli my nic nie wiemy, to nikt nic nie wie.

- Zapomnieli o ambasadzie RFN - powiedział Hjelm. - Ale jesteś za młody, żeby pamiętać.

Spojrzeni na siebie.

- Paul. Skoro uparcie układasz staromodne intrygi i pragniesz pracować jak detektyw, nie chcąc przyjąć do wiadomości, że chodzi tu o przepływ pieniędzy przez globalne sieci komputerowe, o profesjonalnych morderców rekrutowanych prawdopodobnie przez tę samą sieć, to musisz więcej wiedzieć o ofiarach, a nie opierać się na jakichś stereotypach o biznesowym syfie i kwiatach, które wędzną na ich widok. Mimo wszystko to są ludzie z krwi i kości.

- Poruszająca mowa obrończa. Jakaż propozycja kryje się za tą troską o utracony honor wielmożnych panów?

- Za mało o nich wiesz. Idź do Kerstin. Pożycz od niej taśmy. Poznaj ich.

Chavez odwrócił się do ekranu. Hjelm zadumał się przez chwilę nad jego samozaparciem. Zobaczył w nim policjanta nowego typu, po raz pierwszy poczuł też rozwierającą się między nimi przepaść, która nie miała nic wspólnego z ich pochodzeniem. Była to przepaść międzypokoleniowa. Chavez - biegły w komputerach, obyty w świecie, z dystansem i entuzjazmem. Jeśli tak miała wyglądać przyszłość policji, to nie była ona znowu taka zła. Gdy po chwili pomyślał, że trochę brak w tym duszy i serca, zdał sobie sprawę, że znów opiera się na stereotypach. Przez chwilę wydawało mu się, że cały świat składa się ze stereotypów. Do jasnej cholery, a jego dusza i serce to niby jakie są? Poczuł się stary. Co tu dużo mówić, miał przed sobą lepszego od siebie policjanta. Z ciemnymi włosami i hiszpańskim nazwiskiem.

Zajrzyj w swoje serce, Hjelm.

Wyrzucenie z głowy słów Grundstróma było częścią tego zadania.

Wyszedł na korytarz i skierował się do toalety. Na policzku miał pryszcz. Próbował go wycisnąć, ale nic z tego. Skóra pękła i zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Zmoczył palec, żeby zmyć resztki skóry. Gdy wracał, minął swój pokój i zatrzymał się przed drzwiami z numerem 303. Zapukał i wszedł do środka.

Gunnar Nyberg siedział przy komputerze. Wyglądał jak mamut z nabitym na róg statkiem kosmicznym. Olbrzym zdawał się wylądować na złej planecie.

Kerstin Holm miała na uszach słuchawki; stukiała na laptopie. Wyłączyła walkmana i odwróciła się do Hjelm. Nyberg pisał dalej - powoli, z trudem, ale z wielkim uporem. Hjelm pomyślał, że musi to być jego podstawowa cecha charakteru.

- Odwiedziny - powiedziała Kerstin Holm. - A to niespodzianka.

- Co to jest? - zapytał Hjelm, wskazując na laptop.

- Nie dali ci takiego? - rzekła zaskoczona i zobaczyła, jak Paul markotnieje. Potem uśmiechnęła się ironicznie. Wcześniej jakoś nie zauważył, że jest ładna. - To mój prywatny. Tak jest szybciej.

Jeszcze przez trzy sekundy wydawała mu się ładna: luźne czarne ubranie, lekko potargane ciemne włosy, urocze pierwsze zmarszczki, lekko ironiczny uśmiech, góteborski akcent jak z podręcznika.

Zamrugnął oczami i powiedział:

- Chciałbym przesłuchać twoje taśmy.

- Szukasz czegoś konkretnego?

- Niekoniecznie. Chciałbym lepiej ich poznać. Uniknąć stereotypów, jeśli to możliwe.

- Może tak, może nie - powiedziała Kerstin Holm, wskazując na wieżę z kaset. Niektóre stereotypy mogą się potwierdzić.

- A ty co myślisz?

- Potem pogadamy. - Przesunęła palcem w jego stronę chwiejącą się wieżę.

Kasety nie były opisane, wziął więc pierwszą lepszą z brzegu i włożył do swojego nowiuteńkiego walkmana. Usłyszał głos Kerstin Holm:

- Okej, rozmowa z Willym Erikssonem, urodzonym 14 sierpnia 1963 roku jako William Carlberger, z dnia trzeciego kwietnia. Jest pan synem Nilsa-Emila i Carlotty Carlberger.

- Tak, choć matka nazywa się dziś Carla Eriksson. To jej nazwisko panięskie.

- I pan też je przyjął? Zmienił pan również imię?

- Tak.

- Ale pański brat nadal nazywa się Carlberger, Andréas Carlberger. Czy wiąże się z tym jakaś historia?

- Sam nie wiem. Jestem bliżej związany z matką.

- Robi pan doktorat z socjologii na uniwersytecie w Lund. Jest pan marksistą?

Willy Eriksson zaśmiał się.

- Gdybym był, nie musiałaby pani pytać.

- Czy między panem a ojcem był jakiś konflikt natury ideologicznej?

- Możliwe, że można go nazwać ideologicznym, choć nie nadużywałbym tego słowa. Ułatwię pani sprawę, bo tak naprawdę interesuje panią, czy nienawidziłem miłościwego Nilsa-Emila. Odpowiedź brzmi: nie. Zero nienawiści.

- Nawet żalu?

- Zero.

- Proszę o nim opowiedzieć. Jaki był? Uznałby go pan za klasycznego kapitalistę? Jako socjolog?

- Eleganckie naprowadzenie rozmowy na moją działkę. *Touché*. Teraz otwórz mu usta.

- Lepiej niech pan sobie daruje. Jeśli rzeczywiście chce mi pan cokolwiek ułatwić, to proszę mówić. W przeciwnym razie tracimy czas, którego żadne z nas nie ma.

- Jeśli istnieje coś takiego jak „klasyczny kapitalista z socjologicznego punktu widzenia”, to myślę, że można tak go określić,

tak. Zdyscyplinowane, materialistyczne dzieciństwo ze sporadycznymi wizytami autorytarnego ojca. W zasadzie nic nowego. Żadnego przytulania. Żadnej widocznej przemocy. Wszystko obracało się wokół pieniędzy i ich blasku. Andréas, matka i ja byliśmy częścią tego blasku. Andréas trochę bardziej niż ja, ja trochę bardziej niż matka. Ona była zbyt szara i skromna, żeby błyszczeć, gdyby nawet sto lat ją polerować. Choćbym nie wiem jak się starał, nie znajduję w nim żadnych cech przydających mu człowieczeństwa lub indywidualności. Przykro mi.

- To mnie przykro. Nie miał jakichś zainteresowań, które ukazywałyby go w innym świetle?

- Szukałem. Gdy miałem dziesięć, może jedenaście lat, a w domu panowało prawdziwe piekło na rok przed rozwodem, zapytałem go, co produkuje w tej swojej fabryce. Roześmiał się i odpowiedział: „pieniądze”. Wydaje mi się, że chciałem, żeby to było coś zabawnego, przydającego mu człowieczeństwa: kondomy albo pluszowe misie, albo drapaczki do pleców, albo coś do dłubania w nosie, albo cokolwiek innego. Ale to był oczywiście wyłącznie koncern finansowy. Pieniądzom brakuje komizmu.

Hjelm zmęczył się trochę i przewinał taśmę do przodu. Usłyszał trzeszczący kobiecy głos:

- Ale Kuno był blisko z rodziną. Przewinał do początku rozmowy.

- *Allô* - zatrzeszczał zaspany męski głos.

- *Madame Hummelstrand, s'il vous plaît* - powiedziała Kerstin Holm.

Przez chwilę coś zaskrzypiało w telefonie. W tle dał się słyszeć rozwścieczony głos kobiety: *Touche pas le téléphone! Jamais plus! Touche seulement moi-même!* Potem stanowczo do słuchawki: - *Allô!*

- Czy rozmawiam z Anną-Clara Hummelstrand, żoną Geor-ge'a Hummelstranda, dyrektora Nimco Finans?

- Kto pyta?

- Kerstin Holm, Rikskriminalpolisen, Sztokholm. W sprawie zabójstwa Kuno Daggfeldta i Bernharda Strand-Juléna. - Ach tak. *Une agentinne, n'est-ce-pas?*

- *C'est peut-être le mot juste, madame* - odpowiedziała Holm zimnym głosem. - Chciałabym uprzedzić, że rozmowa jest nagrywana. Zacznę od początku: rozmowa z Anną-Clara Hummelstrand przebywającą w Nicei drugiego kwietnia, godzina 17.02.

- Fiu, fiu - zachnęła się Anna-Clara Hummelstrand. Dopiero teraz było słycać, jak bardzo jest pijana.

- *On dit peut-être agentesse...*

- Może zadzwonię po Lützen*? - zaproponowała Holm.

- Po czym?

- Jak już opadnie mgła.

- *Croyez-moi, une agentesse humouriste!* - zaśmiała się Anna-Clara Hummelstrand. - *Tirée! Tirée, ma amie! Immédiatement!* - Okej, spróbujmy. Czy to prawda, że jest pani w bliskiej przyjaźni z Ninni Daggfeldt i Lilian Strand-Julén? - Najbliższej z możliwych. Opowiadamy sobie o wizytach u ginekologa. Taka jest definicja prawdziwej babskiej przyjaźni. *Tout à fait.* - Czy one się znają?

- Ninni i Lilian? Nie bezpośrednio, trzeba trzymać swoich przyjaciół z dala od siebie, *à ma honte.* Jeszcze utworzą front. Ale oczywiście znają plotki na swój temat.

- A małżonkowie? - Cóż, żadna z tych biedaczek nie miała lekko, co do tego nie można mieć wątpliwości. Nie miały nad swoimi mężami takiego nadzoru jak ja. Sytuacja Lilian była dobrze znana. Szczęściaczki świętej pamięci Bernharda. Jeśli to ona się go pozbyła, to ma moje całkowite poparcie. Wyprowadziła się, z jego aprobatą, ale rozwód był, jak powtarzała, *out of the question.* Wszyscy wiedzą,

Lützen - miejsce bitwy podczas wojny trzydziestoletniej, w której armia szwedzka pokonała armię cesarską Albrechta von Wallensteina. Wylaniające się z mgły nowe regimenty zaskoczyły króla Szwecji Gustawa Adolfa, który zginął na polu walki.

jak skończyła biedna Johanna. Poza tym to było na rękę Bernhardowi. Ale Kuno był blisko z rodziną. Nie wiem nic o żadnych eskapadach, a jak ja czegoś nie wiem, to znaczy, że są to sprawy nieistotne, tyle ci powiem, *ma petite*. Ciągle tylko pracował. Więcej niż Bernhard, tego jestem pewna. Nie było go nigdy w domu.

- A mimo to znalazł czas na grę w golfa i udzielanie się w bractwie?

- Ach, ten tam Huginorden czy Muminorden, czy jak to się tam nazywa, to całkiem miłe. George też do nich należy. Opowiadał mi o ich rytuałach, jak zakładają maski Asów i dziwne płaszcze i urządzają te swoje bachanalia. Od dawna nie uczestniczyliśmy razem w żadnych bachanaliach, mówię pani. Sama muszę o to zadbać. *Pas vrai, Philippe?* Kiwa głową. Choć na dobrą sprawę zdaje mi się, że dla nich ten cały golf i bractwo to też była praca. Jestem pewna, że mój dobry rycerz George, mój mały osobisty pogromca smoków, również to dolicza do godzin pracy.

- Słyszała pani od George'a o czymś, co nazywa się Skid-bladnerorden?

- Rany boskie, nie. To brzmi strasznie.

- Jak dowiedziała się pani o śmierci Daggfeldta i Strand-Juléna?

- Mój mąż zadzwonił wczoraj wieczorem. Był w lekkim szoku, *mon grand chevalier*.

- Prowadził z nimi jakieś interesy?

- Nigdy nie interesowały mnie interesy George'a. Dopóki pieniądze są na koncie, wszystko gra. To straszne, prawda? Takie jak pani feministyczne bojowniczkę, panno Holm, muszą mnie nienawidzić.

No proszę, proszę, widzę, że mały Philippe szykuje się do nowych figli. Czy widziała pani kiedyś, panno Holm, jak budzi się z uśpienia i sztywnieje okazała, oliwkowo-brązowa galijska pała?

Cudowna minuta powolnego, bardzo powolnego wzrostu gospodarczego? Gwarantuję, że wpłynęłoby to na pani umiejętność prowadzenia rzeczowej rozmowy z policjantem szwedzkim płci żeńskiej. Mais

Philippe! Calmons!

Rozmowa urywa się. Kerstin Holm wzdycha. Po chwili w tle ten sam trzask w słuchawce:

- Ciąg dalszy, Nicea, trzeci kwietnia, godzina 10.52.

- **Encore** - rozległ się wycieńczony głos Anny-Clary Hummelstrand.

- Czy zna pani Nancy Carlberger?

- Nancy? Śliczne miasteczko w Lotaryngii...

- Obudziła się pani, pani Hummelstrand?

- **Peu a peu.** Nancy Carlberger? Cizia Nilsa-Emila? Spotkałam ją kilka razy. Nie powiem, żebyśmy przypadły sobie do gustu. Ale o co chodzi? Nilsa-Emila też licho wzięło?

- Został zamordowany dziś w nocy. Chciałabym podkreślić, że ta informacja jest wciąż objęta tajemnicą. - **Mon dieu!** To zaczyna przypominać historię o dziesięciu małych Murzynkach!

Rozmawiała pani z pracownikami? Z lokajem?

- Na razie staramy się odszukać służącą.

- To pewnie Sonya, biedactwo. Sprząta w tej części Djurshol-mu. Czy ona go znalazła? Ona tego nie zrobiła, może być pani pewna. Kogoś tak płochliwego nie widziałam od dnia, w którym wprowadziłam w życie **Ake**, Ake Sadesarla*. Wyjątkowo niewinny. Ale to było jeszcze w dzieciństwie. Którego nie zaznałam. Od tego czasu upłynęło wiele nasienia.

- Czy Sonya sprząta w waszym domu?

- Nie, my mamy innego dobrego duszka. Turczynkę, już od wielu lat. Iraz. Iraz Effendi. Nie, Sonya jest czarna. Zdaje się, że z Somalii. Nie jestem pewna, czy ma wszystkie papiery w porządku. Nie mówię tego oczywiście oficjalnie.

- Sprzątała u Daggfeldta albo Strand-Julena?

- Nie, trzyma się Djursholmu. Wie pani, jak szybko roznosi się wieść o dobrej, taniej i uczciwej sprzątacze? Proszę mi tylko nie wmawiać, że nie.

Siid (szw.) - nasienie.

- To znaczy, że nie zna pani pełnego nazwiska Sonyi i nie wie pani, gdzie mieszka?
 - Nie, ale Nancy będzie wiedzieć. Ale dlaczego pani wciąż do mnie wydzwania? Mam szczerą nadzieję, że George'owi nic nie grozi... Wczoraj pewnie nagadałam pani głupot. Może mogłaby pani skasować to, co nie wiąże się bezpośrednio ze sprawą. Wie pani, George...
 - Czy ma pani na myśli ten fragment? Pozwoli pani, że zacytuję: „Czy widziała pani kiedyś, panno Holm, jak budzi się z uśpienia i sztywnieje okazała, oliwkowobrazowa galijska pała? Cudowna minuta powolnego, bardzo powolnego wzrostu gospodarczego?”.
 - Rozpustna istoto! - wykrzyknęła zachwycona pani Hummelstrand, a gdy znów się odezwała, Holm poczuła, że ma już dosyć. - To znaczy, że masturbowała się pani, wyobrażając sobie imponujący organ Philippe'a! Że też pani nie wstyd!
- Zmieniając taśmę, nie mógł przestać myśleć o masturbującej się Kerstin Holm. Siedziała sama w pokoju, przy laptopie. Nad komendą zapadła już noc. Rozchyliła nogi, opuściła trochę zwiewne czarne spodnie. Włożyła rękę pod majtki, poruszała nią powoli i metodycznie. W górę i w dół. Ciemne oczy zaszyły mgłą, otworzyła je szeroko i odrzuciła głowę do tyłu na oparcie krzesła. Z jej gardła wydobył się zduszony krzyk.
- Dzieciak ze mnie, pomyślał i zaczekał, aż mu minie erekcja. W słuchawkach odezwał się wysoki, dziewczęcy głos nastolatki:
- A tobie jak się zdaje? Mini, midi, maxi. Maxi-głęboki. Maxi--napalony. Wiadomo, zdarzają się dziwne imiona. Miałam w klasie koleżankę, która miała na imię Anioł. Anioł Jakobsson-Flodh. Stara hipiska, założyła luksusową komunę w Danderyd. Na boku firmy komputerowej, żeby nie rezygnować z marzeń. Ale dostać imię na cześć łodzi! Można nazwać łódź imieniem kobiety, ale nigdy, do cholery, na odwrót!
 - Nienawidziłaś za to ojca?
 - W okresie dojrzewania tak. Teraz myślę, że to dosyć cool.

- Nienawidziłaś łodzi?

- Nie wydaje mi się. Przecież tylko wtedy ojciec miał dla nas czas. Dłubał przy niej, majsterkował tylko po to, żeby było nam jak najlepiej. Okej, mama cały czas rzygała, czasem bywało gorąco. Znikaliśmy im wtedy z Marre z oczu i bawiliśmy się w odgadywanie słów.

- Bił matkę?

- Tego nie wiem.

- Nie wiesz?

- Nie. Starał się, a gdy jego wysiłek nie robił na matce wrażenia, był bardzo zawiedziony. Wydzierali się na siebie, a my usuwaliśmy się w kąt, uciekaliśmy na wyspę, przy której zacumowaliśmy, chowaliśmy się pod koc i odgadywaliśmy słowa. - Co poczułaś, gdy dowiedziałaś się o jego śmierci?

- Dużo płakałam... Hjelm przewijał taśmę. Pomyślał, że nie da się zajrzeć w duszę drugiego człowieka. Co takiego decyduje o jego życiu, co sprawia, że nawiązuje relacje z innymi ludźmi?

We wczesnej młodości kochał się ze starszą dziewczyną, hipi-ską o nazwisku Ylva Jakobsson-Flodh. Zaskoczony pomyślał, że Anioł mogłaby być jego córką.

Wszystko rozchodziło się jak kręgi na wodzie. Zmienił taśmę.

Im dłużej słuchał, tym bardziej nie mógł się nadziwić pracowitości Kerstin Holm. Głosy sekretarek, członków rodziny, pracowników i przyjaciół płynęły niekończącym się strumieniem.

Głos mężczyzny, z lekkim góteborskim akcentem.

- Jesteś z Góteborga? Znasz lotnisko Landvetter?

- Trochę - odpowiedziała Kerstin Holm, jakby lekko rozko-jarzona. - Jak to się stało, że Willy zmienił nazwisko, a ty nie?

- Cóż, nie mam nic przeciwko nazwisku Carlberger. Nawet nieźle brzmi. William bardziej przeżył rozwód. Miał wtedy dwanaście lat, ja piętnaście. Przenieśliśmy się do matki i nagle wszystko się zmieniło. Tak jak Djursholm różni się od Danvikstull, że

tak powiem. Na szczęście byłem już odchowany. William był bardziej podatny. Poza tym udało mu się dosyć szybko ze swoich osobistych problemów zrobić konflikt natury ideologicznej. Projekcja, chyba tak to się nazywa, sposób na przeżycie.

- Jak zareagowałeś na wiadomość o śmierci ojca?

- Nie wiem. Zatkąło mnie. Nie każdy ma ojca, którego kropnęła rosyjska mafia.

- Dlaczego rosyjska?

- Tak pisali w „GT”. Czytałem w samolocie. W „Aftonbladet” pisali coś o Frakcji Czerwonej Armii, a w „Expressen” o mafii sycylijskiej. I komu tu wierzyć?

Hjelm zatrzymał taśmę. Przez chwilę patrzył na pogrążonego w pracy Chaveza. Na dworze zrobiło się ciemno. Postanowił, że przesłucha jeszcze tylko jedną taśmę. Załadował walkmana. Głos Kerstin Holm: - Rozmowa z Rickardem Franzenem, godzina 12.16, trzeci kwietnia.

- Chciałbym, żeby to się nagrało - powiedział szorstko emerytowany sędzia Rickard Franzen. -

Jeszcze ma pani czelność przychodzić tutaj po tym, co zrobiliście mojemu synowi?

- Bardzo mi przykro, ale mógł nas pan uprzedzić, że ma pan syna, który ma klucze i wróci do domu z nosem utyłanym w kokainie. - Nie sądziłem...

- Pierwsze pytanie. Jeden z członków Mimerorden, który nie przeszedł do Skidbladnerorden, nazywa się George Hummelstrand. Zna go pan?

- George'a? Oczywiście.

- Jaki był jego stosunek do schizmy w bractwie?

- Niezbyt pozytywny. Chce pani powiedzieć, że idziecie nadal tropem bractwa? Pomimo tego, co się stało z Carlbergerem?

- Skąd pan wie? To jeszcze nie jest oficjalna wiadomość.

- Do licha, mam swoje źródła! Ten trop się urwał!

- Proszę opowiedzieć o Hummelstrandzie.

- Nie krył oburzenia. Dla niego statut Mimerorden był święty. Byliśmy zdrajcami. Należał do niewielkiej wrogiej nam grupy, co sprawiło, że uwierzyłem w waszą hipotezę, że mogę być następną ofiarą.

- Więcej nazwisk.

- Oscar Bjellerfeldt, Nils-Åke Svárdh, Bengt Klinth, może jeszcze Jakob Ringman.

- O co poszło? Tak naprawdę?

- O szczegóły dotyczące rytuałów. Ścisłe tajne. Zwłaszcza dla kobiet.

- Czy to prawda, że ówczesny komisarz kryminalny Jan-Olov Huitín w czasie służby w sekcji narkotykowej Komendy Miejskiej w Sztokholmie w 1978 roku zatrzymał Rickarda Franzéna juniora za posiadanie narkotyków i handel nimi? I że mimo protestów udało mu się go aresztować i zaprowadzić przed sąd? I że pański syn został skazany przez sąd rejonowy, ale oczyszczony z zarzutów przez sąd apelacyjny, w którym był pan sędzią?

- Nie byłem sędzią w sprawie mojego syna!

- Tego nie powiedziałam. Czy to prawda, że po tym incydencie Huitín został przeniesiony na komisariat w Huddinge?

Przez chwilę zrobiło się cicho. Hjelm wyobraził sobie zmarszczone brwi sędziego. Franzén odezwał się cicho: - Nie sądziłem, że Huitín będzie o tym rozpowiadać... Nie, to była czysta sprawa. Mój syn został oczyszczony. Nie mieli wystarczających dowodów.

- Nie rozpowiadał. Sama do tego dotarłam. Trafiłam na kilka interesujących faktów. Od tego czasu Rickard junior był zatrzymywany i puszczany wolno jeszcze co najmniej dziesięć razy.

Coś zaskrzypiało i głos zniekształcił się. Sędzia odezwał się wysokim, drżącym i całkowicie groteskowym tonem:

- Zdaje mi się, młoda damo, że powinna się pani zacząć rozglądać za nową pracą. Znam jedną odpowiednią.

- Proszę puścić magnetofon, panie sędzio - powiedziała Kerstin Holm spokojnym głosem. Hjelm zapukał ostrożnie do drzwi i wszedł do środka. Nyber-ga nie było. Holm słuchała taśm i pisała na laptopie. W pokoju było zupełnie ciemno. Spojrzała na niego i zdjęła słuchawki.
- Tak? - powiedziała niemal tym samym tonem, co kilka godzin wcześniej: „Proszę puścić magnetofon, panie sędzio”. Było już bardzo późno.
- Hjelm położył stertę taśm na jej biurku i pokiwał głową.
- Beznadzieja. Ale Franzen to był nieoczekiwany bonus.
- Może postąpiłam głupio...
- Poszłaś tam, żeby go nastraszyć...
- Przez te wszystkie lata dawał synowi kasę na narkotyki, a potem wyciągał go z kicia, stale sobie z tego żartowano na naszych korytarzach. Już nigdy więcej nie przejdzie aleją westchnień.
- Hjelm usiadł na rogu biurka. „Aleją westchnień” nazywano podziemne przejście między komendą a Ratuszem, które od blisko stu lat ze spuszczoną głową przemierzali zatrzymani.
- Odwaliłaś kawał roboty.
- Udało ci się pozbyć stereotypów?
- Nigdy ludzie nie wydali mi się równie obcy...
- Rozumiem, co masz na myśli. Ciągłe tylko pojawiają się poszlaki, sprawy, w których można dalej węszyć, nowe pędy z gałązek. Jednak same gałązki są już niedostępne. Być może człowiek to tylko garść poszlak i powierzchownych powiązań. Co tak naprawdę wiadomo?
- Tyle w każdym razie pozostaje...
- Kerstin Holm wyłączyła komputer, wyciągnęła się i powiedziała w ciemność:
- Masz pryszczka na policzku.
- To nie jest pryszcz - powiedział Paul Hjelm.

14

WYSYPALI się z szarej ciężarówki i popędzili do klatki schodowej. W dłoniach mieli małe pistolety maszynowe.

Otworzyli drzwi i wbiegli po kamiennych schodach. Poruszali się w całkowitej ciszy.

Pierwszy z nich barykadował drzwi prowadzące z klatki schodowej do mieszkań. Usłyszeli odgłos ruszającej windy.

Przy siódmym drzwiach zatrzymali się, czekając na pozostałych. Stojący najbliżej mężczyzna otworzył je z rozmachem, rozsypali się wzdłuż mieszkań na siódmym piętrze.

Zadzwonili do drzwi z nazwiskiem Nilsson.

Nikt nie otwierał. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk.

Przyniesiono betonowy taran zakończony metalową płytką, z dwoma uchwytyami po bokach. Dwóch z nich złapało za uchwyty i na umówiony znak uderzyło taranem w drzwi.

Zamek rozprysł się na kawałki.

Weszli do mieszkania, wciąż w całkowitej ciszy. Spowijała je ciemność. Żaluzje były zaciągnięte.

Najpierw zobaczyli łóżko, a w nim trójkę czarnych dzieci. Obudził je huk. Na materacu leżała kolejna czwórka. Pięcioro z nich zdążyło się już rozpłakać.

Weszli do drugiego pokoju. Było tam czworo dorosłych, leżących na materacach i łóżkach. Patrzyli na nich szeroko otwartymi oczami. Część z nich została w pokoju, część poszła dalej do kuchni.

Siedział tam czarny mężczyzna i biały ksiądz, na stole stały kubki do kawy. Patrzyli jak zaczarowani na małe pistolety maszynowe skierowane w ich stronę.

- Co u licha? - zawołał ksiądz. Poza tym było całkiem cicho. Do kuchni weszło dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn koło czterdziestki w identycznych skórzanych kurtkach. Spojrzeli szybko na księdza i czarnego mężczyznę i wrócili do sypialni.
- Sonya Shermarke? - rzekł w przestrzeń ten jaśniejszy z nich. Z materaca podniosła się jedna z kobiet. Wpatrywała się w niego spłoszonymi oczami.
- Szukajcie broni - powiedział Gillis Dóós do swoich ludzi.
- I narkotyków - dodał Max Grahn.

15

HJELM przyglądał się swojej twarzy w przekrzywionym lewym lusterku. Czerwona plamka na policzku powiększyła się. Pomyślał o raku skóry.

Gdy wjeżdżali na stromą górkę prowadzącą na most Liljeholmsbron nad zatoką Arstaviken na prawo i zatoką Liljeholmsviken na lewo, świeciło wiosenne słońce. Wygrzewała się w nim plaża Hornstull i domki działkowe na Tanto; przez chwilę zastanawiał się, czy czynne jest już minipole golfowe.

Plaża jak plaża, pomyślał Hjelm i przycisnął pedał gazu przed zjazdem z mostu na Södermalm. Utknął w chaotycznym korku na Hornstullskorsningen. Metaliczny saab 9000 pospieszył się z wjazdem na czerwonym i teraz stał pośrodku skrzyżowania. Samochody trąbiły, mijając go.

- Mówiłem ci, żebyś jechał Essingeleden - powiedział Gunnar Nyberg, gdy Hjelm zakładał koguta na dachu.

Zabrał Nyberga z jego małej trzypokojowej kawalerki przy kościele w Načka. Podwózka, pomyślał, wymijając mazdą zdeorientowanego saaba. Dawno już nie słyszał tego słowa.

- Tędy jest przyjemniej - powiedział Hjelm i zaklął na przejeżdżającego obok rowerzystę.

- Rzeczywiście, jest bardzo przyjemnie - przytaknął Nyberg. Najwyraźniej trochę się różnili.

Korek ciągnął się wzdłuż całej ulicy i dopiero na moście Vas-terbron nad zatoką Palsundet, która oddziela dzielnicę Söder od Langholmen, jakby trochę zelżał. Minęli miejsce, w którym nie tak bardzo odległego lata podczas osławionych pokazów

lotniczych, za które nikt potem nie chciał wziąć odpowiedzialności, runął samolot JAS. Hjelm był tam z rodziną, nawet Dannemu się podobało. Stali w czwartym rzędzie przy Söder Mälar-strand, niemal naprzeciwko Ratusza. Widzieli, jak samolot robi nagły skręt w lewą stronę, widzieli wyskakującego pilota, widzieli, jak samolot powoli przekreśla się w dół, zobaczyli kłęby dymu i usłyszeli, jak śmiertelna cisza przechodzi w okropny zgiełk. Szokujący, ale też w jakiś niezrozumiały sposób przynoszący ulgę. Kolejny raz coś okazało się niegodne zaufania, pomyślał potem, choć przez cały ten czas był wyjątkowo bierny, jakby wyzuty z myśli. Gdy poczuł, jak Danne uwalnia się spod jego ramienia, zrozumiał, że zadziałał jakiś podświadomy, choć zupełnie nadaremny instynkt obronny.

„Nieźle” - powiedział Danne.

- Cudownie - powiedział Gunnar Nyberg. Wodził wzrokiem między zatoką Riddarfjärden z prawej i Mariebergsfjärden z lewej strony.

Zatoka jak zatoka, pomyślał Hjelm, ale przyznał mu rację. Widok godny samych bogów - jak by to wyraził Erik Bruun. Wody Sztokholmu połyskiwały lekko w porannym słońcu. Bezchmurne niebo, kolorowe fasady budynków i kilka lśniących białych łodzi wycieczkowych. Dwie żaglówki z wydętymi żaglami w kolorach tęczy. Ratusz wystawiający na słońce swoje trzy połyskujące korony. Od strony Kungsholmu, parku Rålambshov, Smedsuddsbadet, parku Marieberg już się zazieleniło. Na ścieżce wzdłuż Norr Mälarstrand widać było pierwszych spacerowiczów.

W zasadzie nie protestowali, gdy na moście znów stanęli w korku.

Do przebudzonego miasta znów wracało życie. Po jego śladach dreptała śmierć. Pomyślał Hjelm melodramatycznie.

- Chcę się dziś spotkać z kilkoma typkami - odezwał się Nyberg. - Może się przyłączysz?

Hjelm zmienił bieg i zaciągnął hamulec ręczny. Spojrzał na siedzącego obok olbrzyma, pod którego ciężarem mazda wyraźnie przechylała się na prawo.

- Wtyki? - zapytał.

- Między innymi. Policja przejrzała swoją bazę przyjemniaczków i ma kilku kandydatów.

- Którzy wiedzą coś o mafii?

- O morderstwach w ogóle i Ruskich w szczególności. No wiesz, o potencjalnych kandydatach, grubych rybach. Najprawdopodobniej okaże się to kompletnym niewypałem.

Korek puścił. Most Vasterbron skręcił nagle, wraz z nim mazda. Przejechali nad parkiem Ralambshov. Na niezbyt jeszcze zielonej trawie dało się dostrzec grupki ludzi, którzy z jakiegoś powodu nie byli akurat w pracy.

- Moi informatorzy nie mają ostatnio najlepszych notowań - powiedział Hjelm. - Mógłbym jechać z tobą. Potrzebuję namierzyć kogoś, kto bardzo dobrze czuje się w runie leśnym. Taki jeden Stake.

- Ojej! Kiedy przepadł?

- Nazywa się Johan Stake. Nie jest moim informatorem.

Przebili się przez liczne skrzyżowania na Fridhemsplan, zjechali na trasę wokół parku Kronoberg, śmignęli ulicą Hantver-kargatan i skręcili na Polhemsgatan. Stąd widać już było komendę. Hjelm zaparkował przecznicę dalej i ruszył w stronę błyszczącej w słońcu sztokholmskiej wersji Tadź Mahal.

Hultin patrzył na nich zza okularów. Wyglądał jak sowa.

- Wieści z góry - zaczął. - Znalazła się sprzątaczką, ta od Carl-bergera. Niejaka Sonya Shermarke, Somalijka bez papierów. Ukrywała się z rodziną u krewnych w Tensta, pomagał im Kościół. Sprzątała na czarno wille w Djursholmie. O świcie zatrzymała ją jednostka z równoległego wydziału. Ją i wszystkich obecnych w mieszkaniu: siedmioro dzieci i sześcioro dorosłych,

w tym księdza z parafii Spanga. Od trzech godzin siedzą w areszcie przesłuchiwani przez naszych kolegów.

- Czy mogę zgadnąć, o który równoległy wydział tutaj chodzi? - zapytał Söderstedt.

- Nie możesz - odpowiedział ze spokojem Hultin. - Do rzeczy. Przed chwilą miałem okazję rozmawiać z Sonyą Shermarke. Mówi całkiem niezle po szwedzku, więc obyło się bez tłumacza. W domu pojawiła się jak zwykle około wpół do dziewiątej. Przeszła przez salon, żeby sprawdzić, co ma do roboty, znalazła Carlbergera w kałuży krwi, zadzwoniła na policję, podając się za sprzątaczkę, wpadła w panikę i wróciła czym prędzej do kryjówki. Koledzy próbują wyciągnąć od krewnych informację, gdzie znajduje się rosyjski skład broni.

Po krótkiej przerwie mówił dalej:

- Zróbmy szybką naradę. Jeszcze tej nocy w kałuży krwi będzie leżeć kolejna ofiara, mamy więc mnóstwo roboty. Nie zapominajcie, że macie do dyspozycji cały korpus szeregowych i w zasadzie całą komendę w Sztokholmie. Nie muszę chyba powtarzać, że w tej chwili przysługują wam dużo większe uprawnienia, niż wynikałoby to z waszych stopni. A bierzecie się za jakieś bzdury. To robota dla szeregowych. Jak na razie Mórner i jego zwierzchnicy jeszcze nas nie pospieszają. Po pierwsze: czy ktoś z was może już wytypować kolejną ofiarę?

W Centrum Dowodzenia nikt się nie poruszył.

- Okej. Po przekroczeniu pięćdziesięciu słów daję znak *time out*. Holm?

- Masa przesłuchań, nic obciążającego. Kilka tropów do sprawdzenia.

- Cóż za zwięzłość. Hjelm?

Hjelm zajrzał do notatnika. Miał w nim zapisane kilka nazwisk: Lena Hansson, George Hummelstrand, Oscar Bjellerfeldt, Nils-Ake Svardh, Bengt Klinth, Jakob Ringman, Johan Stake, Sonya X. Wykreślił ostatnie i powiedział:

- Jedno wielkie nic.

- Jakieś szczegóły poproszę.
 - Nasze trzy ofiary grały razem w golfa, tylko w trójkę, jesienią dziewięćdziesiątego. Jeśli nie będzie kolejnego morderstwa, to jest jakiś ślad. Jeśli Kerstin wypuści ze swoich rąk męża Anny-Clary Hummelstrand, dyrektora George'a, chętnie go przejmę.
- Kerstin Holm wzruszyła ramionami. Mówił dalej, zastanawiając się, co to miało oznaczać.
- On też jest członkiem bractwa. Został mi jeszcze alfons Strand-Julena, Johan-trzymam-wysoko-głowę-Stake. Planuję dziś z Nybergiem pokręcić się w półświatku, może uda mi się go namierzyć. Ile słów?
 - Jakieś siedemdziesiąt. Ale okej, jedź z Nybergiem. Nyberg?
 - Wczoraj przez cały dzień pracowaliśmy razem z policją sztokholmską. Przejrzeliśmy bazę szarej strefy i wytypowaliśmy kilka rosyjskich kontaktów, poza tymi już skazanymi. Rozmawiałem z kilkoma z nich w różnych więzieniach, ale byli wyjątkowo małomówni. Z Hjelmem przesłuchamy dziś kilku nowych. Knajpy, siłownie, wypożyczalnie kaset wideo i tak dalej.
 - W porządku. Norlander?
- Pedantyczny Viggo Norlander pogłaskał się po łysinie i zaczął mówić:
- Nawiązałem kontakt z celnikami, żeby sprawdzić ich dotychczasowe akcje i przejęcia dóbr szmuglowanych z byłego ZSRR, ale niczego specjalnego nie znalazłem. Nadawca jest w zasadzie poza zasięgiem, ale mam kilku adresatów, których zamierzam sprawdzić. Rozmawiałem też z policją w Moskwie, Petersburgu i Tallinie o mafii, zwłaszcza o rosyjsko-estońskiej grupie Viktora X. Nie było łatwo, ale wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście chodzi tu o jakąś gałąź większej organizacji i że w jakimś sensie ona już tu u nas jest. To znaczy w Sztokholmie. Najbardziej pomocny okazał się komisarz Kalju Laikmaa z Tallina. Dziś się z nim skontaktuję i mam nadzieję, że...
- Hultin ułożył dłoń w kształt litery T.

Norlander zamilkł natychmiast.

- Ekonomiści? - powiedział Hultin.

- Główny ekonomista Söderstedt - przedstawił się Söderstedt. - Mówię w imieniu Petterssona, Floren i swoim. Chavez będzie mówić osobno. W bałaganie, który zostawili po sobie trzej panowie, znaleźliśmy niejedną ciekawostkę. Stowarzyszenie prawników już zaciera ręce: mają pracę na najbliższych kilka lat. Przestępstwa, które napotykamy, są jednak innego rodzaju i nie wiążą się bezpośrednio z przemocą. Wrócimy do tego, gdy będziemy mieć więcej szczegółów. W tej chwili możemy powiedzieć, że te trzy imperia łączy znacznie więcej, niż nam się z początku wydawało. Hultin miał właśnie dać znak, ale Söderstedt zdążył sam zamilknąć. Głos zabrał Chavez.

- Mamy trzy zarządy, w których skład pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku lat dziewięćdziesiątych wchodziły nasze trzy ofiary. Sprawdzam wszystkich, którzy w tym czasie zasiadali w zarządach Ericssona, Sydbanken i MEMAB-u. Jest ich sporo. W tej chwili stawiam na MEMAB, częściowo dlatego, że ma najmniejszy zarząd, czyli z powodów czysto matematyczno-statystycznych, częściowo dlatego, że wiąże się z nim trop Paula, to już raczej z czystej intuicji, a częściowo dlatego, że zasiadanie w nim wiązało się z pewną konkurencją, żeby nie powiedzieć nienawiścią. Innymi słowy, szukam wrogów wewnątrz zarządów. Jak do tej pory żadnej grubszej ryby, jedynie kilka mniejszych płotek w MEMAB-ie.

Dwa ostatnie zdania Chavez wyrzucił z siebie w przyspieszonym tempie, patrząc na dłonie Hultina ułożone w kształt litery T.

- No to do roboty - powiedział Hultin, zdjął okulary ze swojego olbrzymiego nosa i wyszedł przez tajemne drzwi.

Hjelm zatrzymał Kerstin Holm.

- Jak chcesz tego rycerza George'a, to w porządku. Niepotrzebnie to powiedziałem. Zostanę przy Mimerorden.

139

- Dobra - powiedziała tylko i weszła do pokoju 303, który opuszczał właśnie Nyberg, trzymając w ręku kurtkę. Skinął na Hjelm. Wyglądali jak Flip i Flap. Świeciło słońce.

Dzień dłużył się niemiłosiernie. Hjelm woził Nyberga zgodnie z jego listą w notesie, z której co chwila wykreślali kolejne nazwisko. Częściowo byli to dobrze poinformowani kapusie, częściowo figury spod ciemnej gwiazdy z rosyjskimi koneksjami w branży alkoholowej i narkotykowej. Śpiący za dnia właściciele małych knajp, dilerzy narkotyków, napakowani sterydami właściciele siłowni, mniej wybredni handlarze dzieł sztuki, właściciele nielegalnych salonów gry. Wszyscy doskonale znani policji, ale praktycznie nie można było ich skazać.

Nie poznawał Nyberga. Basowy parostatek w chórze kościelnym w Načka w jednej chwili potrafił przemienić się z potulnego misia we wściekłego grizzly i z powrotem, gdy już nadeszła kolej na kolejne skreślenie.

- Jak ty to, kurwa, robisz? - zapytał Hjelm po ósmym nazwisku, równie chybionym jak poprzednie. Gunnar Nyberg zaśmiał się.

- Wystarczy oswoić sterydy. - Przestał się śmiać i spojrzał przez szybę samochodu gdzieś daleko przed siebie. Po chwili dodał ze spokojem: - W 1973 byłem Misterem Szwecji. Miałem dwadzieścia trzy lata i łykałem wszystko, od czego rosły mi mięśnie. W czasie służby w policji na Norrmalm w latach 1975-1977 byłem oskarżony o przemoc służbową i trzykrotnie, z odpowiednią pomocą, udało mi się z tego wywinąć. Powiedzmy, że doniesienia przepadły w biurokratycznej machinie. Skończyłem pakować, to znaczy brać narkotyki, w 1977, po ostatnim pobiciu - kompletnie mi odważyło. Nawet ja to widziałem. Do dzisiaj nad tym boleję. Na odwyku walczyłem z nawrotami agresji, straciłem żonę i odebrano mi możliwość kontaktu z dziećmi. Ale rzuciłem to gówno. Tak mi się zdaje. Nie wiem jednak, czy tylko gram wściekłego, czy to coś

przez chwilę znowu przejmuje nade mną kontrolę. Nie wiem. Wygląda, jakbym to kontrolował, co? Już nigdy więcej Hjelm nie usłyszał tylu słów naraz z ust Gunnara Nyberga.

- W pełni - zgodził się. Nyberg nigdy nie przekraczał granicy. Jego przemoc nie była bezpośrednia. Mając nad sobą sto pięćdziesiąt kilo potencjalnej mocy, większość drobnych przestępców wołała nie ryzykować.

Jeździli przez cały dzień i jeszcze przez część wieczoru po Sztokholmie i okolicy. Hjelm służył głównie za szofera, czasem jednak udało mu się poruszyć temat alfonsów w krzyżowym ogniu pytań Nyberga. Tuż przed trzecią Hjelm rozmawiał krótko z Hultinem, który postanowił odwołać zebranie o trzeciej - najwyraźniej nie mieli nic nowego. Hjelm zdał raport z wątpliwych rezultatów pracy ich duetu.

Właściciel siłowni w Bandhagen kupił duży skład anaboli-ków od pary, tu cytat: „strasznych Rusków”, których nazwiska brzmiały Peter Ustinov i John Malkovich.

Jeden z czołowych dilerów narkotyków na Sergelplattan zeznał, że raz dostał paczkę zawierającą heroinę doskonałej jakości w torebkach opisanych cyrylicą. Więcej nie udało się od niego wyciągnąć. Zaczął rzygać krwią.

Właścicielowi jednego z klubów na Söder zdarzyło się kilka razy kupić estońską wódkę od rosyjskiego duetu Igor i Igor.

Samozwańczemu handlarzowi dzieł sztuki z Järfälli, cytat: „mówiący po rosyjsku gangsterzy” zaoferowali sporą sumkę za obraz Picassa, wówczas w posiadaniu finansisty Andersa Walla. Odmówił.

Naćpany właściciel wypożyczalni kaset wideo z bazą na Norr-malm zaoferował im ze śmiechem filmy z pornografią dziecięcą z rosyjskimi napisami, mimo że podsunęli mu pod nos legitymacje. Zatrzymali go. Jego szwedzki brzmiał jak rosyjski, choć nim nie był. Zarekwirowali trzydzieści filmów, skazanie go to będzie pestka. Zamierzali zająć się nim potem.

Tak przedstawiał się plon ich pracy tuż przed godziną trzecią czwartego kwietnia.

Druga część była deprymująco nieefektywna, jeśli chodzi o trop rosyjskiej mafii. Zamiast tego z rozmowy z przerażonym dilerem, którego gonili w niesamowitym maratonie od parku Tessin do portu Vartahammen, dowiedzieli się, że mężczyzna podający się za Johana Stake rzeczywiście tak się nazywa i między innymi jest właścicielem sekstelefonu zaczynającego się od numeru 071. Firma nazywała się JSHB, Johan Stake Handels-bolag, mieściła się w Brommie i ogłaszała się jak gdyby nigdy nic w prasie.

Kiedy znaleźli się z powrotem na Liljeholmsbron, w mieście paliły się już światła. Wisiała nad nim jakaś groźna cisza, czuli ją obaj, choć może była tylko w ich głowach. Wiedzieli, że tej nocy nie zmrużą oka.

Wiedzieli kiedy i jak, nie widzieli tylko kogo i gdzie.

Tej nocy miał zginąć kolejny człowiek.

16

W CZASIE śniadania Paul Hjelm nie mógł oderwać wzroku od komórki, która leżała na stole jak jakiś zepsuty ser. Kątem oka widział, że Cilla przygląda mu się z wyrzutem. Próbował nie zwracać na to uwagi. W końcu jej spojrzenie nabrało takiej ostrości, że ich oczy się spotkały.

- Może jeszcze go nie znaleźli - odezwał się wreszcie ze wzrokiem wbitym w telefon.

W jej oczach było coś innego niż tylko codzienne „nie widzisz, że ja też tu jestem?”. Było w nich coś, czego nie rozpoznawał. Dziwny niepokój, nieskończona samotność. Pustka. Niczego już nie rozumiał. Kolejny raz poczuł to, co uderzyło go wtedy, gdy słuchał kaset Kerstin Holm. Obrzydliwa świadomość, że nie można dostać się do wnętrza drugiego człowieka. Nigdy. Nawet jeśli to ktoś bardzo ci bliski.

Bezbrzeżna samotność.

Właśnie to zobaczył w oczach Cilli.

Przez krótką chwilę to ich połączyło.

Kiedy zaczęli ze sobą rozmawiać, wiedzieli już, że to, co mówią, nie ma nic wspólnego z tym, co chcieli powiedzieć. Na t o nie było słów.

Tego ranka, siedząc przy kuchennym stole, dzielili ze sobą, choć mogło się to wydawać niemożliwe, graniczące z mistycznym przeświadczenie, że język przydziela im role. Role, przed którymi nie ma ucieczki.

Nie wiedzieli, czy te kilka minut w kuchni zbliżyło ich do siebie, czy też, przeciwnie, otworzyła się między nimi przepaść

nie do pokonania. Coś jednak się stało; przez chwilę widzieli siebie zupełnie nagich w swojej samotności. Być może była to najbardziej szokująca ofiara tego tygodnia.

Nic więcej się nie wydarzyło. Telefon milczał, gdy jechali na komisariat, a Hjelm się tym nie przejmował. Drużyna A spędziła dzień na intensywnym wyczekiwaniu, ale ofiary jak nie było, tak nie było, a Hjelm dalej się nie przejmował. Złamana symetria sparaliżowała dochodzenie, a Hjelma sparaliżowało coś całkiem innego, coś osobistego. Pod koniec dnia Hultin zebrał zespół w Centrali Dowodzenia:

- No cóż - powiedział beznamiętnie. - Jeśli na podłodze któregoś salonu w mieście nie leży w tej chwili jakaś skulona ofiara, musimy pogodzić się z tym, że mamy dwie możliwości. Jedna: sprawca z tego lub innego powodu zmienił scenariusz działania, i druga: na tym koniec.

Paul Hjelm go nie słyszał. Siedział jeszcze długo, aż w sali zrobiło się pusto, wszyscy się rozjechali.

Wrócili do domów. W pustce Centrali Dowodzenia zastanawiał się, do czego on miałby wrócić.

To, do czego wrócił, było mimo wszystko stosunkowo normalnym życiem rodzinnym. Ich spojrzenia już nigdy nie będą takie jak przedtem. Zastanawiał się, czy ta chwilowa normalizacja nie była sztuczna, czy nie skrywa się za nią jakaś tykająca bomba. Zawsze był to jednak jakiś powrót po dniu spędzonym nad przepaścią. Choć wciąż jeszcze zastanawiał się, na jakim gruncie stoi, jego zainteresowanie upadkiem wracało do normy.

W ciągu dnia nie zdarzyło się już nic więcej. Wszedł w rytm życia. Ale zaufania do ziemi pod stopami nie nabrał.

Był piąty kwietnia. Od pierwszego zabójstwa minął już prawie tydzień, a Paul Hjelm jadł po raz pierwszy lunch w stołówce na komendzie. Zwykle nie zawracał sobie tym głowy. W stołówce byli wszyscy: Söderstedt, Chavez, Norlander, Holm i Nyberg. Zebrani wokół długiego stołu stanowili całość i gdyby mieli skłonność do paranoi, mogliby uznać, że wszyscy dokoła patrzą na nich z wrogością.

Uznali, że wszyscy patrzą na nich z wrogością.

- Jest tak - zaczął Söderstedt, przesuwając palcem po gładkim białym policzku. W rękę trzymał widelec z wbitym w niego tłustym i ociekającym sosem kawałkiem pieczeni. - Kryminalni ze Sztokholmu nienawidzą nas, bo odebraliśmy im sprawę, ludzie z Rikskrim nienawidzą nas, bo Hultin zebrał zgraję nietutejszych, niedokształconych frajerów do jednej z ciekawszych robót w historii szwedzkiej kryminalistyki, a wszyscy razem nienawidzą nas, bo jesteśmy inni: fiński biały, czarnuch, baba z Göteborga, piąta kolumna i maskotka mediów. Całkiem nieźle.

- Piąta kolumna? - odezwał się naburmuszony Viggo Norlander.

- Widzę, że odnalazłeś się w naszym terrarium?

- Nie zdradziłem i nie mam zamiaru zdradzić kryminalnych ze Sztokholmu.

- Wiesz, jak mówią - powiedział Hjelm i poczuł z obrzydzeniem, że jego zęby odskakują od kawałka pieczeni na widelcu. - Jak już raz trafisz do Rikskrim, nigdy stamtąd nie wyjdiesz. Chyba że w stosownej trumnie.

- O kurwa, kto tak mówi? - wykrzyknął Chavez.

- Zapomniałem. - Hjelm wypluł tłusty kawałek pieczeni na serwetkę.

Chavez odwrócił się do Söderstedta:

- Jak tam twoje mieszkanie, Groszku*?

Groszku? Hjelm zrozumiał, że coś go ominęło. Kiedy oni znajdowali czas na prywatne rozmowy?

Imię Arto może być skojarzone z innym szwedzkim słowem „arta”, oznaczającym groszek.

Rozejrzał się. Łączyła ich tylko praca. Kim byli ci ludzie, z którymi spędzał nieprzyzwoicie długie godziny pracy? Znów naszło go to, co poczuł, słuchając kaset i siedząc w kuchni w Nors-borgu: nie sposób zrozumieć drugiego człowieka. Gdzieś w oddali mignął mu Grundström. Powiedział: „Zajrzyj w swoje serce, Hjelm”.

Strząsnął z siebie to wspomnienie.

Jak wyglądała ta ich wspólnota? Tempo pracy wyraźnie zwolniło, była więc okazja spojrzenia na Drużynę A trochę inaczej niż tylko jak na układ trybików w maszynie.

Jorge Chavez był świetnym kompanem; dobrze im się ze sobą pracowało. Był nadzwyczaj profesjonalnym nowoczesnym policjantem: ubrany na sportowo, konkretny i przede wszystkim młody. Gdyby starczyło czasu, mogliby stworzyć niezły duet. Prywatnie może zbyt wiele ich różniło. Wiedział tylko, że Jorge jest singlem, całkowicie niezależnym, i że właśnie wyprowadził się z hotelu pracowniczego. O służbie w Sundsvall nie wspominał ani słowem. Hjelm sądził, że był to dla niego jakiś koszmar, do którego nie chce wracać. Czasem miało się wrażenie, jakby Chavez myślał, że trafił do raju.

A inni? Gunnar Nyberg, były Mister Szwecji, śpiewający basem w chórze kościelnym w Načka, stał mu się niemal przyjacielem. W myślach chętnie używał tego słowa, wówczas wydawał się sobie prawie dobry. Tak naprawdę niewiele jednak o nim wiedział. Rozwiedziony po tym, jak pobił swoją żonę - chyba tak należało rozumieć jego napomknięcia? Dzieci nie widział od lat. Żył dla tego swojego chóru, poza tym wyglądał jak worek ziemniaków. Na swój sposób był skutecznym policjantem. Metoda: potencjalne ciężkie pobicie.

Viggo Norlander wciąż pozostawał dla niego zagadką. Formalista ze starej szkoły. Sztokholmczyk od pokoleń. Najwyraźniej gustował w regułach i rozporządzeniach. Nosił garnitury, które były eleganckie dwadzieścia lat temu, a teraz pachniały tylko kurzem i potem. Duży, choć trochę słaby. Nieokreślony.

Trudny do rozgryzienia. Może nie było w nim nic do rozgryzienia.

Kerstin Holm. Nie mógł się oprzeć jej urokowi. Pod wieloma względami przeciwieństwo Cilli. Na wskroś czarna. Czarne oczy, czarne włosy, czarne ubrania. Niesamowita - tak, to było to słowo - integralność. Niesłuchanie profesjonalna - nie mógł zapomnieć finezji, z jaką przeprowadzała wywiady; jej rozmowa z Anną-Clara Hummelstrand powinna trafić do podręczników. Mieszkała u jakiegoś krewnego w Sztokholmie i odmawiała stanowczo, podobnie jak Chavez, opowiadania o tym, co zdarzyło się w Góteborgu. Najwyraźniej było to coś bardzo nieprzyjemnego, czego nie należało dotykać. Pomyślał, że prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw. Przyglądał się jej z ukrycia. Wspaniała kobieta.

I jeszcze Söderstedt. Arto Söderstedt. Prawdziwe indywiduum. Nigdy wcześniej nie spotkał takiego policjanta. Fiński białas - jak siebie nazywał - był jego własnym wytworem. Nie mógł pozbyć się myśli, że Söderstedt nie jest policjantem; nie dlatego, że brakowało mu profesjonalizmu, wręcz przeciwnie, ale dlatego, że zachowywał się i mówił jak jakiś, otóż to, intelektualista, nieustraszony pracownik naukowy, który bez najmniejszego lęku wietrzy tu swoje polityczne teorie. Kiedy o nim rozmyślał, Söderstedt odpowiedział na pytanie, którego już prawie nie pamiętał.

- Nie nazwałbym tego mieszkaniem, ale ma dobrą lokalizację. Na Agnegatan. Kawalerka z aneksem kuchennym, reszta rodziny w Vasteras. Mam piątkę dzieci - dodał, patrząc na Hjelma.

Jego poczucie wyobcowania urosło do astronomicznej wielkości. Próbował się jakoś otrząsnąć.

- Piątkę? - wykrzyknął, zdawało mu się, że przekonująco. - Aż tak wam się nudzi w tym Vasteras?

- No tak. Ale dwójka przyszła na świat w Vaasa.

- Byłeś gliną w Finlandii? Jak to jest?

- Nie... nie byłem wtedy policjantem. Gliniarzem zostałem dużo później. Zdaniem niektórych nie zostałem nim nigdy.

Hjelm poczuł się dumny, że i tym razem nie zawiodła go intuicja. Rozejrzał się, żeby sprawdzić, jakie wrażenie wywarły słowa Söderstedta na kolegach. Może Söderstedt miał na myśli kogoś z Vasteras, a może kogoś przy stole? Nie wiedział. Wydawało mu się jednak, że wszyscy, z wyjątkiem jego, dobrze wiedzą, co Söderstedt ma na myśli. Nie musiał się jednak długo nad tym zastanawiać.

- Powiedziałem tylko, że nie musisz tu prowadzić kampanii wyborczej komunistom - wymamrotał Viggo Norlander. Widelec drżał lekko w jego dłoni.

- Powiedziałeś coś jeszcze. - Söderstedt wbił wzrok w Norlandera.

- Dzieciaki - wtrąciła nagle Kerstin Holm.

Norlander rzucił widelec na tacę i wstał bez słowa. Chociaż trząsał się z wściekłości, odstawił tacę na miejsce, złożył serwetkę i wrzucił ją do odpowiedniego kosza.

Hjelm rozejrzał się po stołównie. Z różnych miejsc sali dosięgło go kilka sarkastycznych uśmiechów. Uśmiechnął się gorzko.

Wykluczony z wykluczonych. W oku cyklonu.

Kerstin Holm odwróciła się do Söderstedta:

- Daj spokój. Nie czas na bójki w piaskownicy.

- Dał mi w twarz - wyszeptał Söderstedt. Przez chwilę zdawał się mieć w ręku wiaderko i łopatkę.

Kiedy zniknęły, dodał: - I zyskał poklask wszystkich cudzoziemców. Z wyjątkiem czarnego, to zrozumiałe.

Söderstedt pogłaskał się po cienkich, śnieżnobiałych włosach.

Hjelm wybuchnął śmiechem. Nie wiedział dlaczego, ale chwilę potem dołączył do niego Nyberg.

Söderstedt zachichotał cicho. Holm przywołała na usta swój ironiczny uśmiech, a Chavez swój. Jakby podawali sobie fajkę pokoju.

- Jeśli ktoś zaniedbuje polityczny aspekt tej sprawy, to jakby zaniedbywał połowę roboty! - odezwał się w końcu Söderstedt. - Niech się ktoś ze mną zgodzi!
- Ja się z tobą zgadzam - powiedział Chavez. - Ale można to robić na różne sposoby. Powiedz lepiej, co takiego zdarzyło się w Vaasa.
- Nie, nie, to wykluczone - zaśmiał się Söderstedt. - Aż tak dobrze się nie znamy. Właśnie, a jak tam twoja nora?
- Właściwe słowo. Pokój u starej babci na skrzyżowaniu Bergs-gatan i Scheelegatan. Jakbym znów był aspirantem. *Volver a nacer*.
- A ty, Kerstin? - zapytał Söderstedt. - Gdzie mieszkasz, moja droga?
- U byłej dziewczyny mojego byłego chłopaka, w Brandbergen - odrzekła Holm. Dobrze nam razem. Łączy nas niezwykle przydatna nienawiść.
- Znowu zaczęli się śmiać. Ze wszystkiego i z niczego. Z tego, że choć trochę zbliżyli się do siebie. Z tego, że w ostatnich dniach nikt nie zginął. Z siebie i swojej absurdalnej pozycji na komendzie.
- Nyberg przestał pierwszy, potem Chavez i Söderstedt. Holm dopiła piwo i już miała podnieść się z miejsca, gdy odezwał się Hjelm:
- Kerstin. Udało ci się dotrzeć do George'a Hummelstranda? Usiadła z powrotem na krześle i spojrzała na niego ciemnymi oczami.
- Naprawdę nie spodobało mi się, że przypisałeś sobie zasługę za Hummelstranda - powiedziała tylko.
- Już przepraszałem. Poza tym tu nie chodzi o zasługę. Wciąż siedzi mi w głowie to bractwo. Jeśli chcesz, jeszcze raz cię przeproszę. I jeszcze. I jeszcze.
- Przez chwilę walczyła z uśmiechem, który rozpromienił jej boleśnie piękną twarz.
- I jeszcze - powiedział i poczuł się dużo lepiej. - No. To jak ci poszło z George'em?

Uśmiech zgasł w jednej chwili. Jej ciemne oczy przypominały teraz promienie rentgenowskie.

- Jesteś szczęśliwie żonaty? - zapytała.

- Co? - zdziwił się. Miał przed sobą wypełnione pustką oczy Olli.

- Naprawdę szczęśliwie - powiedziała poważnym tonem Kerstin Holm. - Naprawdę szczęśliwie?

- Dlaczego pytasz?

- Nie wiem, kim jesteś - rzuciła jeszcze, wychodząc. Siedział przez chwilę, powoli bladł mu obraz oczu Cilli. W końcu zbladł też cały świat.

17

VIGGO Norlander siedział w magazynie w porcie Frihamnen. Czekał.

Czekanie, pomyślał. Czekanie na czekanie. Czekanie na czekanie na czekanie. Czekanie na czekanie na czekanie na czekanie. Był zmęczony.

Nie miał już dłużej ochoty wkładać jedwabnych rękawiczek. Cackać się. Chciał już dobrać się im do skóry. Miał przygotowane inne, twardsze.

Prawdziwe rękawice.

Coś musi się wreszcie zdarzyć, pomyślał. Miał dosyć siedzenia przy biurku, poniżającego tonu ludzi z Interpolu, nieskorych do współpracy byłych sowieckich funkcjonariuszy i wypalonych zawodowo celników. Już wystarczająco długo czekał.

Zaszył się w biurze magazynu i skulił za szafą. Siedział tak przez trzy godziny, aż do wieczora. Był wściekły.

Niedługo sprawy nabiorą tempa.

Nakręcał się, myśląc o Arto Söderstedcie, pieprzonym Finie, co trafił tu z jakiejś zapadłej dziury i gardził wszystkim, w co sam wierzył. To przecież oczywiste, że z próżnego się nie należy. Jak Szwedzi zarabiają, to chcą też z tego czerpać korzyści. Całkiem proste.

Podsyczał wściekłość, rozmyślając o swoim imieniu. Viggo, jasna cholera, wigoru pełny człowieczek.

Viggo pieprzony wiking. Jedyna pamiątka po duńskim żeglarzu obieżyświacie, który z jakiegoś powodu został jego ojcem. Szybka ejakulacja w wygłodniałym ciele kobiety, a potem komu w drogę, temu czas. Zero

154

poczucia odpowiedzialności. Zero poczucia jakiegokolwiek odpowiedzialności. Jak Söderstedt, pomyślał. Dokładnie tak. Rozbiegane myśli.

Jako nastolatek starał się oswoić to obrzydliwe imię. Siegało początków trzynastego wieku, kiedy wielki dziejopisarz duński Saxo Grammaticus zlatynizował duńskie słowo „vig” - walka - i nazwał tak jednego z wojów króla Rolfa Krake.

Viggo, pacholek Jana-Olova Krake, pomyślał sobie, gdy otworzyły się drzwi i ujrzał w nich mężczyznę w dresie, z włosami związanymi w kitkę. Tamten wszedł do środka i usiadł za biurkiem kilka metrów dalej. Przez kilka sekund Norlander upewniał się, że jest sam.

Potem wyskoczył z ukrycia i uderzył głową mężczyzny o stół. Jeden, dwa, trzy, cztery razy.

Chwycił za kitkę, przystawił mu pistolet do ucha i syknął:

- Strómstedt, maleństwo. Masz trzy sekundy, żeby zdradzić mi swoje rosyjskie kontakty. Inaczej już jesteś martwy. Jedna. Dwie.

- Chwila, chwila! - krzyknął mężczyzna. - A ty to, kurwa, kto?

- Trzy - powiedział Norlander i strzelił prosto w ucho. Kliknięcie.

- W następnym już jest kula. Lepiej się, kurwa, pośpiesz. Mężczyzna trząsł się w jego rękach jak galareta. Trzęsła się

jego ciemna dusza. Pomyślał Norlander chłodno i ciągnął dalej:

- Kilka miesięcy temu służby celne zatrzymały transport sześćdziesięcioprocentowej wódki estońskiej z Liviko, który miał trafić do rączek Strómstedta. Kto go wysłał?

- Jestem tylko pośrednikiem - wyjąkał Strómstedt. - Kurwa, przecież już wszystko wam powiedziałem! Ja nic nie wiem!

- Teraz to co innego. Każde doniesienie o przekroczeniu uprawnień służbowych przez funkcjonariusza trafia prosto do kosza. Czaisz? Sprawa najwyższej wagi. Bezpieczeństwo państwa szwedzkiego. Mów, co wiesz. Teraz. Kula już czeka.

- A ty to kto, kurwa? Brudny Harry? Norlander strzelił w komputer Strómstedta.
- Ja pierdołę - jęknął i odwrócił się. Norlander pociągnął go za kitkę, czuł, jak włosy wyskakują z cebulek. Strómstedt darł się wniebogłosy.
- !g°r i Igor! - krzyknął. - Nic więcej nie wiem! Sami to odbierają.
- Igor i Igor to twoje ruskie kontakty? Dobrze zrozumiałem?
- Tak, kurwa! Tylko tyle wiem!
- Odrobiłem lekcje - syknął Norlander. - Wiem, że znasz rosyjski. Co ci twoi Igor i Igor mówili między sobą? Gadaj!

Norlander przystawił pistolet do opartej o stół ręki mężczyzny.

- Wyjaw więcej, ładnie cię proszę - powiedział i strzelił. Kula przeszła między środkowym i serdecznym palcem, musnęła skórę. Mały Strómstedt krzyczał jeszcze głośniejsze.
- Gotlandczycy! - wrzasnął.
- Nie przerywaj sobie - powiedział Norlander, przesuwając pistolet na przegub ręki mężczyzny.
- Czarni przemytnicy z Gotlandii! Należą do tego samego gangu! Nic więcej nie wiem, przysięgam! Mówili, że te kolesie na Gotlandii to straszne fujary.

Viggo Norlander podniósł mężczyznę za kitkę, skuł mu ręce na plecach kajdankami, wrzucił go do najbliższej szafy i zabarykadował jej drzwi. Doszedł go grad wyzwisk.

Zabrzmiały dziwnie znajomo. Szwedzki z fińskim akcentem.

Zapora, pomyślał Norlander i ruszył z piskiem opon. Zadzwoił Hultin, miał jechać prosto na Arlandę.

Zapora puściła.

Teraz im, kurwa, pokaże.

Viggo Norlander miał czterdzieści osiem lat, był po rozwodzie i nie miał dzieci. *End of story*. Łysa plama na jego czaszce już dawno temu przybrała swój ostateczny kształt, czego nie można

powiedzieć o jego brzuchu. Wciąż mu rósł. Norlander nie był gruby, był za gruby.

Na jego liście zasług nie widniała ani jedna skaza. W ogóle niewiele tam było. Wzorowy policjant, choć nie zawsze wystarczająco aktywny, w życiu kierował się tylko podręcznikiem policjanta i kodeksem prawa. Wierzył w legalne metody, w to, że społeczeństwo potrafi się obronić. I w mielące powoli młyny sprawiedliwości.

Jego życie zatrzymało się i, podobnie jak łysina, przybrało swój ostateczny kształt. Ten zastój nie był przypadkowy. To porządkowało jego istnienie, to właściwe, to uprawnione, to, co było, czarno na białym. Zawsze wierzył, że ludzie są tacy jak on, że pilnie pracują, nie kombinują ze zwolnieniami lekarskimi, płacą podatki bez mrugnięcia okiem, postępują zgodnie z uniwersalnym systemem zasad i czują się mniej więcej równi, nie sięgają wyżyn ani też dna.

Reszta to chwasty, te należało wyrwać z korzeniami.

W jego świecie wszyscy porządni obywatele intuicyjnie rozpoznawali chwasty i doceniali jego starania, żeby pozbyć się ich z ulic.

Jakkolwiek wyglądała jego codzienna robota w wydziale kryminalnym sztokholmskiej policji, udało mu się zachować jasne, wyraźne wytyczne zarówno w pracy, jak i w życiu. Nie miał do siebie zastrzeżeń ani jako do człowieka, ani policjanta. Wszystko zmierzało, hossa czy bessa, w dobrym kierunku i w dobrym tempie, to znaczy bez pośpiechu: wzrost, progres, postęp. Stabilny społeczny wzrost.

Był spokojnym człowiekiem.

Nigdy nie potrafił powiedzieć, z którego miejsca szła rysa i w którym miejscu mur w końcu pękł.

Nawet na torturach nie przyznałby się, że dostrzega ryse, głównie dlatego, że w jego wyobrażeniu nie miała ona prawa istnieć.

Ale w jego obecnej sytuacji już tak.

Idąc w porannej mgle wzdłuż muru w Visby, miał wciąż w sobie tę wiarę. Bezwarunkowe zaufanie. Wspomnienie minionych dni. To, co zrobił i co teraz zamierzał zrobić, było konieczne. Koniec z niewyjaśnionymi zabójstwami Palmego. Praworządność, pomyślał. Zaufanie. Odpowiedzialność społeczna. Daggfeldt, Strand-Julen, Carlberger. Wystarczy. Dopilnuje tego.

Bronił tego, co najważniejsze.

Nie był tylko pewien, co to takiego.

Po długiej wędrówce przez niemal opustoszałe Visby, otoczone jak murem czymś, co przypominało gorącą, śródziemnomorską bryzę, trafił wreszcie na komendę. Był szósty kwietnia, godzina siódma trzydzieści.

Wszedł do środka i skierował się w stronę aresztu. Po drodze spotkał oficera w swoim wieku. Szybko zobaczyli w sobie policjantów. Tak właśnie wyglądał. Policjant przez duże i szwedzkie P.

- Norlander - przedstawił się.

- Jónsson - odpowiedział Jónsson jakąś dziwną mieszanką skańskiego i gotlandzkiego. - Vilhelm Jónsson. Czekaliśmy na ciebie. Pieszkow jest do twojej dyspozycji. Kiedy tylko chcesz.

- Sądzę, że jesteście świadomi powagi sytuacji. W tej chwili nie ma w kraju ważniejszej sprawy.

- Rozumiem.

- Jak to z nim jest? Mówi po angielsku?

- Na szczęście tak. Stary żeglarz międzykontynentalny. Domyślam się, że tłumacz byłby nie na miejscu. Jeśli dobrze zrozumiałem twoje sygnały.

- Jak widzę, dobrze się zrozumieliśmy. Gdzie on jest?

- W odizolowanym pokoju, zgodnie z ustaleniami. Idziemy? Norlander skinął głową i Vilhelm Jónsson poprowadził go

korytarzami, po drodze zgarnął ze świetlicy dwóch strażników. Zeszli do piwnicy. Zatrzymali się przed pomalowanymi na szaro metalowymi drzwiami z wizjerem. Jónsson odchrząknął i powiedział:

- Chcąc uszanować tajność przesłuchania, o którą prosiłeś, nie będziemy w nim uczestniczyć, ale zaczekamy przy drzwiach. Tu jest alarm. Wystarczy nacisnąć. Sekunda i jesteśmy.

Norlander wziął do ręki niewielkie pudełko z czerwonym przyciskiem. Włożył je do kieszeni i powiedział ze spokojem:

- Nie zaglądalecie bez potrzeby. Im rzadziej, tym lepiej. W ten sposób wszystkie ewentualne skargi zostaną bezpośrednio przekazane zarządowi Rikskrim. Tak będzie najlepiej.

Wpuścili go do pokoju. Stół, dwa krzesła, wyłożone materacami ściany. Nic więcej. Oprócz małego, ubranego w pasiaki mężczyzny na jednym z krzeseł: spiczasta twarz, wątle bicepsy. Łykowate, słabe mięśnie, pomyślał Norlander, oceniając ewentualną siłę oporu przeciwnika - w tym celu jej nie było. Mężczyzna podniósł się z miejsca i przywitał uprzejmie z Norlanderem.

- ***How do you do, sir?***

- ***Very brilliant, please*** - odpowiedział Norlander, położył notes i pióro na stole i usiadł. - ***Sit down, thank you.*** - Przejdźmy do ***rzeczy***, panie Aleksieju Pieszkow. W czasie jednej z najsroź-szych zim wsadził pan stu dwunastu irańskich, kurdyjskich i indyjskich uchodźców na dwa pontony kilkaset metrów od wschodniego wybrzeża Gotlandii i skierował swój statek rybacki w stronę Tallina.

Szwedzkiej straży wybrzeża udało się go jednak zatrzymać, zanim zdążył opuścić szwedzkie wody terytorialne. - ***Very straight to the point*** - powiedział Pieszkow.

- Potrzebuję informacji na temat serii zabójstw szwedzkich biznesmenów, które miały miejsce w ostatnich dniach w Sztokholmie. - Ponieważ ironia nie należała do mocnych stron Nor-landera, była to tylko uboższa wersja chłodu Hultina.

Aleksiejowi Pieszkowowi opadła szczeka. Kiedy wreszcie udało mu się znowu zamknąć usta, wydusił: - ***You must be joking!***

- ***I am not joking*** - powiedział Norlander, po czym dodał równie spokojnie: - Jeśli nie dacie mi tego, czego potrzebuję, mam

prawo was zabić. Tu i teraz. Jestem do tego specjalnie wyszkolony. Czaisz?

- ***I am not buying this.*** - Pieszkow przyglądał się z ukosa otyłemu Norlanderowi. Pełna skupienia, zimna świadomość celu Norlandera odebrała mu jednak pewność siebie.

- Wiemy, że należycie do rosyjsko-estońskiej grupy przestępczej pod egidą niejakiego Viktora X i że należy do niej dwóch przemytników spirytusu, którzy mówią o sobie Igor i Igor. Mam rację?

Pieszkow milczał, ale jego spojrzenie jakby się ożywiło.

- Mam rację? - powtórzył Norlander. Cisza.

- Ten pokój jest dobrze wyciszony. Na zewnątrz nie słyhać, co dzieje się w środku. Moje uprawnienia nie mają końca, stoi za mną najwyższa władza. Chciałbym, żebyś się nad tym zastanowił, zanim odpowiesz. Twoje zdrowie zależy od twojej odpowiedzi.

Pieszkow zamknął oczy. Może zdawało mu się, że śni. To było coś zupełnie innego niż ci wszyscy łagodni szwedzcy policjanci, których spotkał do tej pory. Może w oczach Norlandera dostrzegł błysk czegoś niesłychanego, jak w oczach człowieka, który zdążył już przekroczyć ostateczną granicę i nie zamierzał wrócić. Może już gdzieś wcześniej widział taki błysk.

- Tu jest demokracja - zaczął ostrożnie.

- Jasne - uciał Norlander. - I to się nie zmieni. Ale każda demokracja musi czasem użyć niedemokratycznych metod. Żeby się bronić. Każda obrona opiera się na niedemokratycznych podstawach. Teraz widać to lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Siedzę tu od dwóch miesięcy. Nie wiem nic o seryjnych morderstwach w Sztokholmie. Przysięgam.

- Viktor X? Igor i Igor? - powtórzył Norlander tym samym co wcześniej tonem. Przyszło mu na myśl, że lepiej go nie zmieniać.

Aleksiej Pieszkow szacował ryzyko. Norlander widział wyraźnie, że myśli o swojej śmierci i o tym, jak najskuteczniej ją opóźnić; Nie chciał mu przeszkadzać, skorzystał jednak z okazji

i poruszył ręką w kieszeni kurtki. Dźwięk odbezpieczanego pistoletu odbił się echem od ścian.

Pieszkow wziął głęboki oddech i odezwał się:

- Za komunistów byłem marynarzem na trasach międzynarodowych. Dzięki ciągłym zmianom tożsamości udało mi się uniknąć KGB i GRU. Gdy upadł reżim, miałem uskładane pieniądze na kuter. Przez ponad rok byłem zwykłym rosyjskojęzycznym rybakiem z Tallina, nadal pod lekkim uciskiem, ale wolny. Można powiedzieć, że ten rok był naszym jedynym rokiem wolności, potem do gry włączyły się inne siły. Skontaktowali się ze mną anonimowi opiekunowie. Na początku chodziło tylko o pieniądze, miałem im płacić za to, żeby mój statek nie spalił się albo nie eksplodował. Ot, zwykła działalność ochroniarska. Na tym jednak się nie skończyło. Dostałem nakaz zorganizowania wspomnianych... transportów. To był mój trzeci. Dziesiątki tysięcy zdesperowanych uchodźców siedzi w byłym Związku Radzieckim i tylko czeka, żeby zedrzeć z nich skórę. Nigdy nie byłem nawet w pobliżu tych, co są na szczycie, Viktor X to tylko pseudonim, mit. Moim kontaktem był Estończyk o nazwisku Juri Maarja. Zdaje się, że jest blisko z Viktorem X. O Igorze i Igorze nigdy nie słyszałem, choć z drugiej strony trudno się połapać w tych wszystkich przemytnikach rozproszonych po całej północnej Europie.

Norlandera zaskoczyła swoboda, z jaką mówił. Udało mu się zachować ten sam wyraz twarzy.

- Adresy, miejsca kontaktowe - powiedział ze spokojem. Pieszkow pokręcił głową.

- Ciągłe się przemieszczają.

Norlander patrzył przez chwilę na Pieszkowa. Nie potrafił ocenić, czy mężczyzna jest ofiarą, czy przestępcą, a może był jednym i drugim. Uderzył notesem o stół, schował pióro do kieszonki na piersi i odezwał się:

- Jestem w drodze do Tallina. Jeśli okaże się, że choć jeden szczegół twojej opowieści nie jest zgodny z prawdą albo że nie

powiedziałeś mi wszystkiego, wróć tu do ciebie. Rozumiesz, co to oznacza? Pieszkow wpatrywał się w milczeniu w stół.

- Ostatnia szansa, żeby coś dodać lub zmienić. - Norlander podniósł się z miejsca.

- To wszystko, co wiem - odrzekł zrezygowany Pieszkow. Viggo Norlander wyciągnął rękę na pożegnanie. Rosyjsko-

-estoński rybak podniósł się z nieskrywaną niechęcią.

- ***How do you do, sir?*** - zapytał Norlander.

Nigdy nie zapomni, jak tamten wtedy na niego spojrzał.

Tallin potrafi doprowadzić człowieka do szału.

Stwierdził to Viggo Norlander już po piętnastu minutach.

Zresztą potem też nie zmienił zdania.

Na lotnisku miał problem z wynajęciem samochodu.

W końcu włączył się w chaotyczny, popołudniowy ruch, próbując trafić na miejsce z pomocą mapy w angielskiej wersji językowej. Wylądował na Starym Mieście na Górze Katedralnej i krążył jak w jakimś średniowiecznym labiryncie. Gdy natykał się na stare mury z wysokimi, okazałymi wieżami armatnimi, zdawało mu się, że wciąż jest w Visby.

W zasadzie miasto było zupełnie bezimienne, przyćmione jego świadomością celu. Tablice z nazwami ulic, znaki drogowe, szyldy na sklepach w całkowicie nieznanym mu języku. Czuł się jak w filmie.

Był tu zupełnie obcy i chciał, żeby tak pozostało. Nikomu nie wolno było skraść jego uwagi.

Pulsowała w nim jakby nowa krew. Właśnie do tego był stworzony. Puste godziny życia tylko po to, by tu trafić. W końcu znalazł nowoczesny gmach policji, zaparkował samochód w niedozwolonym miejscu i wszedł do środka. Odszukał pokój ochrony, niewielkie pomieszczenie, w którym dawna sowiecka szarzyzna biurokracji toczyła skazany na niepowodzenie bój z nowoczesnym wystrojem wewnątrz. Podobnie

ochroniarz, pomocny i nieprzychylny zarazem - z takim połączeniem nigdy wcześniej się nie spotkał. W innej sytuacji może by go to zdziwiło. Teraz tylko wzmocniło jego determinację.

- Inspektor Kalju Laikmaa - powtórzył trzeci raz łamaną angielszczyzną. - Czeka na mnie.

- Na liście przepustek nie mam żadnego szwedzkiego policjanta - powiedział sztywno i jakby przepraszająco młody ochroniarz. - Przykro mi - dodał po raz trzeci.

- Proszę przynajmniej do niego zadzwonić. - Norlander próbował się opanować. Udało mu się wrócić do tak fortunego zimnego tonu z aresztu w Visby. Ochroniarz zrobił w końcu to,

o co go poprosił. Siedział przez chwilę ze słuchawką wciśniętą rutynowo między brodę a ramię i mieszał łyżeczką w filiżance kawy. Kiedy wreszcie się odezwał, zabrzmiało to jak fiński, z mnóstwem „o” w złych miejscach. W końcu odłożył słuchawkę i powiedział z ledwo skrywaną irytacją:

- Inspektor zaraz po pana przyjdzie, panie Norrland.

- *Please* - odpowiedział grzecznie pan Norrland.

Po chwili dało się słyszeć dzwonek i z windy wyszedł jasnowłosy mężczyzna w pogniecionym sztruksowym garniturze

i okularach, przypominających te, które dostawało się kiedyś w wojsku. Bardzo, ale to bardzo dawno temu.

- Norlander, jak się domyślam. - Podał mu rękę. Uścisk był mocny. - Nazywam się Laikmaa.

Weszli do windy i wjechali na czwarte piętro.

- Mógł mnie pan uprzedzić, że jest pan w drodze - powiedział Laikmaa z eleganckim amerykańskim akcentem ze Wschodniego Wybrzeża. - Uniknęlibyśmy tych wszystkich niedogodności.

- Chciałem jak najdłużej pozostać anonimowy - powiedział Norlander swoim dobrze już wyćwiczonym chłodnym tonem. - To gra o wielką stawkę.

- No tak - rzucił sucho Laikmaa. - U nas biznesmeni umierają jak wszyscy inni, hurtem i detalicznie.

Ale my żyjemy w całkiem nowym klimacie przestępczym. Tutaj każdy interpretuje prawo,

jak mu się podoba. To, co było stłumione w czasach sowieckich, teraz bulgocze, i to z siłą, z jaką dotąd się nie spotykaliśmy. Nasza praca jest z pewnością łatwiejsza, ale niekoniecznie przyjemniejsza w porównaniu z czasami, gdy byliśmy narzędziem represji. To państwo w państwie, które ma dokładnie takie same możliwości infiltracji co jego dawna odmiana. Nie zdziwiłbym się, gdyby w niektórych kręgach już wiedzieli o pańskiej wizycie. Musimy zawsze bardzo uważać na to, co mówimy i ujawniamy. Jak dawniej. Ściany mają uszy. Niech pan wejdzie.

Weszli do przyjemnego małego pokoju z podeschłymi roślinami doniczkowymi na parapetach, z widokiem na Stare Miasto i zamek z okazałą basztą o nazwie Długi Herman. Norlander nie zwrócił nawet na nią uwagi. Usiadł naprzeciwko biurka inspektora.

- Każdy dzień zaczyna się od elektronicznego przeszukania mojego pokoju - powiedział Laikmaa, zapalając papierosa. - Na wypadek, gdyby w nocy został zainstalowany jakiś podsłuch. To oczywiście nie wyklucza podsłuchu na odległość. Jako szef tej skromnej jednostki, która walczy z mafią w tym kraju, jestem bardzo pożądanym. Czymkolwiek by była ta cała mafia...

- Pan to akurat powinien wiedzieć - skwitował chłodno Norlander.

- Im więcej się wie, tym bardziej się rozumie, ile się nie wie. Na moim biurku lądują sprawy dotyczące wszystkich form zorganizowanej przestępczości, od zwykłych wymuszeń i haraczy do takich, które sięgają najwyższych szczebli w państwie. Łączy je chęć skorzystania z nowych możliwości.

Niektórzy twierdzą, że tak wygląda prawdziwa twarz gospodarki rynkowej, inni, że to naturalna konsekwencja terroryzmu państwowego. Jakkolwiek na to patrzeć, najbardziej widoczny jest brak tego, co by można nazwać współczuciem, a może raczej wewnętrznym zrozumieniem istoty demokracji. Jak zawsze chodzi o to, żeby na-żreć się czyimś kosztem. Niezależnie od tego, czy państwo jest wszechobecne, czy jakby go w ogóle nie było.

Laikmaa przerzucił stertę papierów na biurku i jakimś dziwnym sposobem znalazł ten, którego szukał. - A tak - powiedział. - Jeśli chodzi o pytania, które zadał mi pan przez telefon, to nie znalazłem właściwie niczego nowego. Gang Viktora X to konstelacja, w której skład wchodzi Rosjanie i Estończycy i która działa przede wszystkim w Tallinie, choć sprawdza też rynek szwedzki, głównie dlatego, że fiński już się zapełnił. Nie wiemy dokładnie, na jakim są etapie, czy mają ustaloną sieć kontaktów, czy istnieje regularna działalność przemytnicza - wiemy tylko, że mają spore ambicje. Jak już mówiłem, eliminują kapusiów strzałem w głowę, są w tym konsekwentni, jeszcze nigdy nie zaobserwowałem żadnych odstępstw. Używają amunicji z fabryki w Pawłodarze, w Kazachstanie, o tym też już rozmawialiśmy. Tyle wiemy na pewno. Proszę jednak pamiętać, że tej amunicji używa większość gangów, a gang efemerycznego Viktora X jest stosunkowo małym, marginalnym zjawiskiem w Tallinie. Jest siedem czy osiem grup przestępczych, które podzieliły Tallin i wschodnią Estonię na rejony

i starają się nie wchodzić sobie w drogę; niewiele wiemy o ich kontaktach z większą, wewnątrzrosyjską mafią. Pomijając Jugosławię, Estonia jest na pierwszym miejscu w Europie pod względem liczby morderstw. Jakies trzysta rocznie. Sam Tallin należy do najbardziej niebezpiecznych miejsc na świecie. Proszę o tym pamiętać, gdy wyjdzie pan na ulicę.

- Czy to wy jesteście Komandem K? - zapytał Norlander.

- Nie, jesteśmy wydziałem kryminalnym. Komando K to nasza grupa antyterrorystyczna, nasze przedłużone ramie - i jedyna faktyczna broń, jaką mamy na naszych gangsterów. Choć, co prawda, czasem zdarza im się pójść trochę za daleko. Ale to my, zwykli kryminalni, zajmujemy się sprawami. Komando K to tylko jednostka bojowa.

Laikmaa zamilkł na chwilę, po czym wyciągnął nowy papier.

- Wiemy, że Viktor X jest zamieszany w tak zwaną działalność ochroniarską na rzecz szwedzkiej spółki medialnej, która

próbuję osiągnąć sukces w Rosji i państwach bałtyckich między innymi przez wydawanie codziennej gazety biznesowej. Spółka znana jest jako GrimeBear Publishing Inc. Nie wiem, jak się nazywa w Szwecji, ale wydaje mi się, że ma monopol na działalność mass mediów w waszym kraju. Trochę to dziwne w ustroju demokratycznym. A może się mylę?

Norlander nie miał zielonego pojęcia. Zapisał coś w swoim notesie i zmienił szybko temat.

- Mam nowy trop. Niejaki Jiiri Maarja. Odpowiada za nielegalny przewóz uchodźców na Gotlandię.

- Nie on jeden - powiedział Kalju Laikmaa i zamyślił się Norlander poczuł, że dotknął czułego punktu. Laikmaa zastanawiał się najwyraźniej, ile może mu powiedzieć. Norlander postanowił skrócić jego męki.

- Nie interesuje nas sam przemyt imigrantów. Jest, jak jest. Interesuje nas ewentualny związek z seryjnymi morderstwami.

- A jak on wygląda? - Laikmaa nie wydawał się przekonany. Norlander milczał. Miał nadzieję, że sprawia wrażenie nieprzeniknionego, a nie zagubionego.

Dopiero teraz zrozumiał, jak niejasny jest ten związek.

- No cóż - powiedział Laikmaa, gdy zrozumiał, że nie doczeka się odpowiedzi. - Pan ma swoje tajemnice, a ja odkrywam panu moje. Czy tak ma wyglądać nasza współpraca?

- ***Ich bin sorry*** - wydusił z siebie Norlander. - Ta sprawa dotyczy bezpieczeństwa państwa. Sam pan mówił, że może być podsłuchiwany na odległość.

- Pozwoliłem sobie na ironię - powiedział Laikmaa, bo zrozumiał, jak skonstruowany jest jego rozmówca. - No cóż. Jiiri Maarja mówi po szwedzku, to może pana zainteresować. Mieszkał w Szwecji przez wiele lat, nie trafił do policyjnych kartotek. Jest blisko z Viktorem X, tyle przynajmniej wiemy. Wiemy też, że jest jednym z wielu, którzy zajmują się przemytem imigrantów. Mamy nakaz od najwyższych władz, żeby nie być zbyt surowym, jeśli chodzi o tę działalność. Państwa bałtyckie są

brzegi wypełnione ludźmi, którzy uważają, że Szwecja to raj na ziemi. Może mają starą mapę. Norlander nie odrywał od niego wzroku. Laikmaa musiał coś ukrywać.

- Jest coś jeszcze - rzucił chłodno Norlander.

Laikmaa westchnął głęboko, jakby starał się pamiętać o dobrych stosunkach bałtycko-skandynawskich i szwedzkiej pomocy gospodarczej, ale myślał raczej o wydaniu Bałtów i praktykach szwedzkich przemysłowców w rejonie Bałtyku.

Wieloznaczność tego westchnienia umknęła jednak Norlanderowi. Usłyszał tylko odpowiedź Estończyka:

- Spędziłem dzień na bezowocnych przesłuchiowaniach jednego z czołowych handlarzy narkotyków Maarji, niejakiego Arvo Hellata. Za kilka godzin zostanie zwolniony z braku dowodów. Mówi po szwedzku. Jest z Nuckó, jeśli coś to panu mówi. Może chciałby pan z nim pogadać?

Norlander wstał bez słowa. Był już blisko.

Laikmaa przeprowadził go przez liczne korytarze do aresztu. Pod eskortą dwóch strażników dotarli do żelaznych drzwi. Zatrzymali się.

- Lepiej, żebym był przy tym obecny. Proszę się nie obawiać, nie znam słowa po szwedzku. Ale to byłoby wbrew wielu regułom zostawić obcego policjanta samego w estońskiej celi. Chyba pan rozumie.

Norlander skinął głową. Miał nadzieję, że nie było widać, jak bardzo jest zawiedziony.

Weszli do środka. Mężczyzna w celi miał długie włosy i wyglądał na Fina. Viggo Norlander pomyślał o Arto Söderstedcie - chciał, żeby ta myśl z nim pozostała. Arvo Hellat patrzył z pobłażaniem na stojących przed nim dwóch pogromców mafii i rzucił coś po estońsku. Laikmaa odpowiedział mu surowym tonem i wskazał na Norlandera, który odchrząknął i odezwał się. Co za ulga mówić po szwedzku. Żadnych więcej *Ich bin sorry*.

- Masz bliskie kontakty z Jürim Maarją i Viktorem X. Co wiesz na temat serii zabójstw szwedzkich biznesmenów w ciągu ostatniego tygodnia?

Arvo Hellata zatkąło. Patrzył na inspektora, który wzruszył tylko ramionami i powiedział coś po estońsku, co mogło oznaczać „odpowiadaj” albo „to szalenie”. Hellat mówił jakąś dziwną mieszanką szwedzkiego z estońskim, z nietypowymi połączeniami „t”, „g” i „k” w zaskakujących miejscach.

Norlander nie miał jednak kłopotów ze zrozumieniem.

- Nie wiem, o czym mówisz. Co niby miałbym mieć wspólnego z tymi morderstwami?

W zasadzie to Norlander wpadł tylko popatrzeć. Rozejrzeć się. Ten człowiek już mu się nie wymknie.

- Ten miły inspektor nie rozumie ani słowa z tego, co mówimy - odpowiedział Norlander z chłodem, który przychodził mu już prawie naturalnie. - Czy Viktor X jest zamieszany w zabójstwa szwedzkich biznesmenów? Chciałbym uprzedzić, że jestem tu z misją specjalną i mam uprawnienia, żeby poważnie cię uszkodzić.

Arvo Hellat był w coraz większym szoku. Przez chwilę wpatrywał się w Norlandera. Potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- Nie wiesz, w co się bawisz. W porównaniu z tym ogień jest lodowato zimny.

Norlander wyszedł z celi, zachowując przed oczami obraz Hellata. Gdy szli korytarzami, Laikmaa przyglądał mu się zdziwiony.

- Dowiedział się pan czegoś? - odezwał się ze swoim subtelnym amerykańskim akcentem.

- Inaff - odrzekł Norlander.

Wrócili do biura. Inspektor usiadł, żeby dokończyć rozmowę. Norlander stał.

- Czas na mnie - powiedział. Laikmaa wydawał się zdziwiony.

- Dopiero pan przyjechał. Mamy jeszcze sporo do omówienia.

- Wiem już wszystko. Dziękuję za pomoc. Ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się.

- Byłbym zapomniał. Czy słyszał pan coś o Igorze i Igorze?

Kalju Laikmaa popatrzył tylko na niego i pokręcił głową. Zamykając drzwi, usłyszał, jak Laikmaa podnosi słuchawkę telefonu.

Podszedł do samochodu, cisnął bez najmniejszych wyrzutów sumienia mandat na ziemię i odjechał.

Przez piętnaście minut krążył wokół komendy, w końcu zatrzymał się w miejscu, którego nie było widać z okna komisarza. Zapamiętał, gdzie ono jest; tuż przy wyjściu z aresztu.

Przez trzy godziny siedział w napięciu. Ściemniło się. Był głodny. Siedział jeszcze kolejną godzinę, coraz bardziej senny.

Potem w drzwiach pojawił się Arvo Hellat. Poprawił włosy kobiecym gestem. Norlander przywarł do kierownicy. Hellat podszedł do starego zielonego volvo amazona, modelu, którego Norlander od lat nie widział. Ruszył.

Najpierw zatrzymał się przy greckiej restauracji na Starówce. Wykonał telefon, zjadł porządną porcję moussaki i wypił piwo. Zajęło mu to prawie godzinę. Norlander czekał w samochodzie, był głodny i przemarznięty. Zmrok zmiotł resztki dziennego światła znad Tallina. Górna część Starego Miasta rozbliła.

Hellat wyszedł z restauracji i odjechał swoim absurdalnym amazonem, który raczej nie świadczył o jego wysokiej pozycji w mafii. Opuścił Tallin i udał się na południowy zachód w kierunku Keili.

Wszedł do knajpy na dworcu, wykonał kolejny telefon i wypił kolejne piwo. Norlander widział go cały czas przez okno. Potem wsiadł do samochodu, wjechał z powrotem na drogę krajową i wrócił do Tallina. Gdy przekraczał granice miasta ze skodą Norlandera na ogonie, była jedenasta. Wjechał z powrotem na Starówkę, skręcił w jej mniej oświetloną część i zatrzymał się przed odrapaną kamienicą. Wyglądała na zniszczoną i jak dla Norlandera klasyfikowała się do rozbiórki. W pobliżu nie było żywej duszy.

Oaza mafii, pomyślał Norlander, patrząc, jak Hellat wślizguje się do środka. Poruszył ręką pod kurtką i wsadził z powrotem pistolet do kabury. Wyjął mniejszy pistolet zza spodni, odbezpieczył go, schował z powrotem i sprawdził, czy sięga wygodnie do dużego noża myśliwskiego na łydce.

Krew buzowała mu w żyłach.

Nadszedł Czas Viggo Norlandera. Przez duże C.

Viggo wiking.

Wpadł do kamienicy z podniesioną bronią. Słyszał, jak Arvo Hellat wspina się po zmurszałych schodach jakieś dwa piętra wyżej. Komisarz zrobił pięć kroków i wszedł przez jakieś drzwi. Zapadła cisza.

Norlander wbiegł w mroku po schodach. Ani razu nie zaskrzypiały pod nim schody.

Na drugim piętrze znajdowało się troje drzwi: jedno zaraz przy schodach, drugie na końcu korytarza i trzecie pięć kroków dalej. Przyczaił się przy tych ostatnich. Były zamknięte, ale otwierały się do środka.

Viggo Norlander odetchnął kilkakrotnie pełną pierś, kopnął z całej siły drzwi i wpadł do środka z podniesioną bronią.

Wzdłuż oświetlonych ścian stało ośmiu mężczyzn. Celowali w niego z pistoletów maszynowych.

- Niech pan będzie tak miły i odłóż broń - odezwał się głos w zaciemnionej części pokoju.

W mieszkaniu stało biurko. Siedziało za nim dwóch mężczyzn. Nie widział ich twarzy. Ale na biurku siedział Arto Hellat i uśmiechał się. Jakby z pobłażaniem. Norlander miał go na muszce.

- Proszę odłożyć broń albo pan zginie - powtórzył głos. Nie należał do Hellata. Hellat tylko się uśmiechał. - Ma pan sekundę. Norlander odłożył broń.

Jeszcze nigdy nie czuł się tak bezbronny.

Hellat podszedł do Norlandera i zdjął z niego resztę arsenału, kiwając tylko przy tym głową. Wrócił do biurka, usiadł i machał nogami jak dziecko.

- Potrzebowaliśmy chwili, żeby zebrać taką drużynę - ciągnął głos. Norlander stwierdził, że należy do jednego z mężczyzn za biurkiem. - I znaleźć odpowiedni lokal. Musieliśmy więc wysłać Arvo na małą wycieczkę do Keili. Co to ma być? Jakaś jednoosobowa wendeta?

Norlander stał bez ruchu. Jakby zamarł.

- Proszę nam wyjaśnić, co to ma być - powiedział uprzejmie głos, wszedł w światło i stał się ciałem. Dużym ciałem, z twarzą przysłoniętą wąsem i dobrodusznym uśmiechem.

- Jiiri Maarja? - wydusił z siebie Norlander.

Juri Maarja podszedł do niego, przycisnął lekko jego brzuch palcem, pogłaskał go po łysinie i spojrzał z zainteresowaniem.

- Ciekawe - odezwał się. - Ciekawy człowiek jak na wendetę. Maarja rzucił coś po rosyjsku.

Odpowiedział mu mężczyzna siedzący w ciemnościach za biurkiem.

- Proszę nam powiedzieć, co pan wie i co się panu wydaje

- ciągnął Maarja, wciąż bardzo uprzejmie. Norlander rozpoznał ten chłodny ton. Nie miał nawet siły wściekać się na podobieństwo. Maarja dodał: - Nalegam.

Norlander zamknął oczy. Ostatnia szansa na bohaterstwo. Milczeć, stojąc twarzą w twarz z uprzejmym potworem. Ale słowa „bohaterstwo” nie było już na liście Viggo Norlandera. Zostało wykreślone i miało wrócić dopiero po wielu latach, gdy zachorował na raka.

- Szwedzcy biznesmeni padają w Sztokholmie jak muchy

- odezwał się zachrypniętym głosem. - Giną od amunicji, której używacie i w taki sam sposób, w jaki wy mordujecie swoich zdrajców. Viktorze X! - krzyknął w stronę cienia za biurkiem.

Nawet najmniejszego ruchu. Juri Maarja najwyraźniej bardzo się zdziwił, wyrzucił z siebie kilka niemieckich sylab. Cień za stołem odpowiedział mu paroma więcej.

- Bardzo możliwe, że właśnie uratował pan swoje życie, komisarzu kryminalny Viggo Norlanderze - powiedział głośno, czytając

z legitymacji Norlandera, którą wyjął mu z kieszeni. - W jakiś sposób musi pan poinformować Sztokholm, że jesteśmy niewinni. Nie możemy oczywiście puścić pana zupełnie bezkarnie. To by się kłóciło się z naszą *policy*. A teraz niech pan posłucha uważnie i zapamięta sobie. Napiszemy list i przyczepimy go do pana. Nigdy w życiu nie porwalibyśmy się na coś równie głupiego jak mordowanie szwedzkich biznesmenów w Szwecji. Zrozumiano? Nie mamy z tym nic wspólnego. Gdybyśmy byli w Sztokholmie, już byśmy wiedzieli, jak to utrzymać w tajemnicy. Maarja podszedł do biurka, wziął kartkę papieru i długopis od siedzącego za nim mężczyzny, zrzucił Hellata z blatu i zabrał się do pisania. Po długiej chwili odezwał się:

- Na nas już czas. Dobry Laikmaa mógł wysłać kogoś za panem. Chociaż on nie wychyla się, gdy nie trzeba. Na zebranie Komanda K potrzebuje trochę czasu.

Potem powiedział coś po estońsku i uzbrojeni w pistolety maszynowe mężczyźni rzucili Norlandera na podłogę. Patrzył w sufit, gdy rozciągali mu ramiona i ręce. Kompletnie zeszywniał.

Potem przyszedł pierwszy ból. Przyjął go z ulgą. Krzyczał. Ze wszystkich możliwych powodów. Drugi ból zneutralizował dwa kolejne.

Był wiązką promieni bólu. Widział, jak rozbłyska ostatnim światłem.

Kurwa mać, pomyślał zdziwiony. Co za podła śmierć. Poczuł, jak znika.

18

TEGO wiosennego poranka promienie słońca nie sięgały Centrali Dowodzenia. Tu sięgały tylko ręce Drużyny A. Ale te były chwilowo skrepowane.

Ktoś puścił bąka.

Nikt nie poczuwał się do odpowiedzialności. Wszyscy rozglądali się tylko podejrzliwie dokoła. Opary z wolna opadały.

Hultin wszedł dystyngowanie przez swoje tajemne szefow-skie drzwi i rzucił komórkę na stół.

- Na wypadek gdyby Norlander odezwał się z Tallina - rzucił szybko, żeby uniknąć niepotrzebnych pytań.

Ktoś beknął.

W powietrzu unosił się jakiś brak powagi. Hultin potrafił to wyczuć.

- Okej. Dochodzenie stanęło w miejscu. Wiecie, jak to jest, w końcu jesteście doświadczonymi i starannie wybranymi glinami. *Keep your spirits up.*

Wczorajszy dzień minął jak na kacu. Ustała wszelka aktywność, wszyscy poruszali się w spowolnionym tempie - wszyscy, z wyjątkiem Norlandera, który dla odmiany przyspieszył.

- Señor Chavez? - Hultin rozpoczął swoją codzienną wyliczankę.

Chavez wyprostował się.

- Pracuję dalej nad tropem MEMAB-u. Jeśli w ogóle można to nazwać tropem. Jestem jednak niemal pewien, że to tam...

Zadzwoił telefon. Odebrał Hultin:

170

- Viggo? To ty?

Po sali rozszedł się cichy pomruk.

- Jak ci się śpiewa w kościele Marii Magdaleny? - wyszeptała Kerstin Holm.

- Doskonała akustyka - odpowiedział Gunnar Nyberg. - *Mis-sa papae Marcelli*.

- Bosko - rozmarzyła się Holm.

- Co ty masz, kurwa, na policzku? - spytał Chavez.

- Pryszcza - odpowiedział Hjelm. Znał już to słowo na pamięć.

- *Yes* - rzucił Hultin do słuchawki i zamachał gwałtownie w powietrzu wolną ręką. W Centrum Dowodzenia zrobiło się cicho. Hultin odwrócił się przodem do ściany i powtórzył *yes* do słuchawki. Później milczał przez kilka minut. Po tym, jak się schylał, po linii zgięcia pleców poznali, że coś się stało. Siedzieli bez ruchu. Hultin powtórzył *yes* po raz trzeci i odłożył telefon. W tej samej chwili zapiszczał faks i wysunęła się z niego kartka. Ze strapioną, ale spokojną twarzą Hultin trzymał za róg kartki, potem ją wyciągnął. Przeczytał i zamknął na moment oczy. Coś się stało.

- Viggo Norlander został ukrzyżowany.

Głos uwiązał mu w gardle. Minęła chwila, zanim znów się odezwał:

- Rosyjsko-estońska mafia przybiła go do podłogi w jakiejś opuszczonej kamienicy w jednej z mniej przyjemnych dzielnic Tallina.

Spojrzeli po sobie. Nie usłyszeli najważniejszego. I wreszcie:

- Żyje - potwierdził Hultin. - Dzwonił do mnie inspektor Kalju Laikmaa z komendy w Tallinie.

Wygląda na to, że Norlander porwał się w pojedynkę na jakąś chorą wendetę przeciwko mafii.

Skończyło się na przybiciu go do podłogi. Laikmaa puścił za nim swoich ludzi, bo domyślił się, że coś podobnego może się wydarzyć. Gdy jego ludzie, tak zwane Komando K, weszli do środka, Viggo leżał już od ponad godziny przybity za ręce i stopy do podłogi. Na szczęście stracił przytomność. O jeden

z gwoździ zaczepiony był list, napisany po szwedzku. Czytam: *Do szefa komisarza kryminalnego Viggo Norlandera w Sztokholmie. Jesteśmy grupą znaną wam jako grupa Viktora X. Nie mamy nic wspólnego z zabójstwami szwedzkich biznesmenów. Poważniejsze wykroczenia popełniamy, jak widzicie, tylko w kraju. Zwracamy wam waszego Samotnego Mściciela bez ani jednej złamanej kości. Przebiliśmy się tylko przez jego ciało.* Podpisane: *Viktor X.* Jest jeszcze PS: *Jeśli takie są metody waszej pracy, to obawiamy się, że możecie nigdy nie znaleźć sprawcy. Mimo wszystko powodzenia. W naszym interesie jest, żebyście szybko rozwiązali tę sprawę. DS.*

- A temu co, kurwa, strzeliło do głowy? - wybuchnął Chavez. Hultin pokręcił głową i ciągnął dalej:
- Najwyraźniej na coś trafił. Jest jeszcze bardzo osłabiony, ale kazał nam przekazać, że jakaś duża szwedzka spółka medialna, której międzynarodowa nazwa brzmi GrimeBear Publishing Inc., boryka się z działalnością ochroniarską Viktora X i że dwóch jego przemytników alkoholu działa na terenie Szwecji pod pseudonimem Igor i Igor. Spróbujcie namierzyć tych koleś i sprawdźcie, co to jest to całe GrimeBear.

Hjelm spojrzał na Nyberga. Nyberg spojrzał na Hjelm. Igor i Igor. Gdzieś już to słyszeli. Kończąc, Hultin dodał jeszcze:

- Przekazał też, że już więcej nie będzie się bawić w Rambo. Kolejny raz spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

- A to w ogóle zaczął? - zdziwiła się Kerstin Holm.

Hjelm udał się z Nybergiem na Södermalm, do niewielkiej knajpki przy Södermannagatan, a dokładnie do mieszkania bezpośrednio nad nią. Już tu byli. Nacisnęli dzwonek dwanaście razy. Po dłuższej chwili zza drzwi wychyliła się zaspana twarz mężczyzny. Natychmiast wróciła mu przytomność.

Sprawił to widok Gunnara Nyberga.

- Nie zabijajcie - szepnął wystraszony.

Hjelm pomyślał o tym, jak groźnie wygląda zawisający nad ludźmi Nyberg i jak niskim basem śpiewa w *Missa papae Mar cdi* w kościele Marii Magdaleny.

- Nie błaznuj, Bert - zagrział Nyberg. - Potrzebujemy więcej informacji o duecie Igor i Igor. Co dokładnie od nich kupowałeś?

- Już wam mówiłem - doszło zza drzwi.

- To powtórz.

- Sześćdziesięcioprocentową wódkę Estonia z Liviko. Cztery dostawy zimą, przy różnych okazjach.

- Kiedy i ile?

- Pierwszy raz w... listopadzie, tak mi się zdaje, ostatni na początku lutego. Potem już się nie odezwali.

- A powinni?

- Byli u mnie w listopadzie, grudniu, styczniu i lutym. W marcu już nie. Za każdym razem kupowałem kilka skrzynek Wszystko poszło. Jest na tyle mocna, że można ją nieźle rozcieńczyć i nie będzie czuć. Przypadła do gustu stałym bywalcom. Trochę dziwna, ale estońska, sami wiecie. Skończyła się, a oni się nie odzywają. Szkoda. Była dosyć tania.

- Pojedziesz z nami na komendę, sporządzimy portrety braci Igorów - powiedział Nyberg.

A potem mało heroiczne trio wróciło z Söder na Kungsholmen.

Hultin zastukał kilka razy w stół i podniósł do góry dwa klasyczne portrety pamięciowe. Ten z prawej przedstawiał szczupłego mężczyznę o charakterystycznych słowiańskich rysach i równie charakterystycznym rosyjskim wąsiku. Mężczyzna z lewej strony był świeżo ogolony, tęgi i przysadzisty - dosyć podobny do Nyberga.

- To dwaj przemysłowcy alkoholu Viktora X w Szwecji. - Hultin rozpoczął naradę o piętnastej. - Mówią o sobie Igor i Igor. Metodą montażową nic nie zdołaliśmy, wiecie, jak w sprawie

Palmego, musieliśmy więc sprowadzić starego, sprawdzonego rysownika. Portrety powstały na podstawie zeznań Berta Gunnarssona, właściciela knajpy na Söder, który w zeszłym roku kilkakrotnie kupił od nich wódkę. Skontaktowałem się ponownie z Kalju Laikmaa w Tallinie. Od razu ich zidentyfikował. Żaden z nich nie ma na imię Igor. Ten szczupły to Aleksander Briusow, a ten gruby to Walerij Trepłow. Działający w Estonii rosyjscy gangsterzy, którzy jeszcze pół roku temu najwyraźniej trafili do Szwecji w interesach Viktora X. Fakt, że zerwali kontakt z Gunnarssonem, może mieć jakieś znaczenie.

- Gwiżdżemy na to dementi w sprawie stygmatów Norlandera? - zapytał Söderstedt.

- Stygmatów? - zdziwił się Billy Pettersson.

- Ran na ciele, takich jakie miał Jezus Chrystus - wyjaśniła Kerstin Holm.

- W każdym razie nie może ono decydować o kierunku naszego dochodzenia - powiedział Hultin. - Musimy pracować, jakby go nie było, nawet jeśli w nie wierzymy. Postarajmy się namierzyć panów Igorów. Są naszym jedynym kontaktem z Viktorem X.

Czas przybrał inną formę, jakby spokojniejszą, bardziej spowolnioną, bardziej pedantyczną. Portrety Igora i Igora opublikowały wszystkie gazety, ale nie przyniosło to żadnego rezultatu. Panowie Aleksander Briusow i Walerij Trepłow byli i pozostali tylko rysunkami.

Mieli kilka hipotez: 1. Właściwa ofiara to Daggfeldt, pozostałe to fałszywy trop; 2. Właściwa ofiara to Strand-Julen, pozostałe to fałszywy trop; 3. Właściwa ofiara to Carlberger, pozostałe to fałszywy trop; 4. Właściwe ofiary to Daggfeldt i Strand-Julen, Carlberger to fałszywy trop; 5. Właściwe ofiary to Strand-Julen i Carlberger, Daggfeldt to fałszywy trop; 6. Właściwe ofiary to Daggfeldt i Carlberger, Strand-Julen to fałszywy trop; 7. Wszyscy trzej to właściwe ofiary.

Z tropem GrimeBear wiązała się hipoteza numer 6. Spółka medialna znana za granicą jako GrimeBear Publishing Inc. była, jak się okazało, wielką, potężną i szalenie bogatą spółką akcyjną Lovisedal AB. Najwyraźniej miała też na pieńku z mafią w byłym ZSRR. Daggfeldt i Carlberger zasiadali razem w zarządzie Lovisedalu w latach 1991-1993, ale nie Strand-Julen - możliwe, że był fałszywym tropem. Być może Daggfeldt i Carlberger zeszli z tego świata, bo Viktor X chciał w ten sposób dać wyraz swojemu niezadowoleniu spowodowanemu niechęcią, z jaką Lovisedal odnosił się do jego propozycji ochrony w Rosji i krajach bałtyckich. Wielka fabryka medialna Lovisedal wyszła już poza granice kraju, wydawała jeden tytuł biznesowy w Rosji i sondowała, podobnie jak wiele innych szwedzkich firm, rejon Bałtyku. Wolnorynkowy biznes wkroczył na teren jeszcze bardziej wolnego rynku, stanął twarzą w twarz z regularnym zagrożeniem, regularną dewastacją i skorzystał z usług prywatnej rosyjskiej firmy ochroniarskiej zatrudniającej wyszkolonych za czasów sowieckich pogromców mafii. Szwedzkie firmy opłacały wojnę domową między byłymi sowieckimi przedsiębiorcami. Można to było nazwać wsparciem.

Chavez sprawdzał trop Lovisedalu równolegle z tropem ME-MAB-u, to znaczy rozmawiał z członkami zarządu z tego okresu i wykonał kilka telefonów do potencjalnie podejrzanych. Niewiele to dało. W samochodzie towarzyszył mu często Hjelm.

Hjelm znajdował się w prawdziwej próżni. Jego życie kręciło się teraz głównie wokół zaczerwienionego wykwit na lewym policzku. Rósł powoli, ale konsekwentnie. Cilla, z zawodu pielęgniarzka, roześmiała się tylko na jego widok. Zajmował już ponad centymetr kwadratowy i Hjelm coraz częściej myślał o tym magicznym słowie. Rak. Czerniak złośliwy. Odrzucał jednak rady innych, żeby go zbadać.

Kerstin Holm nie zamieniła z nim ani słowa od czasu ich dziwnej rozmowy w stołówce. Była zajęta swoimi taśmami i koordynowaniem wywiadów z sąsiadami i pracownikami. Ich

przeprowadzenie zleciła niezbyt uszczęśliwionym policjantom z oddziału sztokholmskiego. George Hummelstrand, największy przeciwnik schizmy w Mimerorden, wydawał się mieć, wbrew słowom sędziego Franzena, dosyć ironiczny stosunek do Skidbladnerorden. Jego styl mówienia niewiele różnił się od stylu jego żony Anny-Clary: wtrącał do rozmowy kiepskiej jakości galicyzmy i bezustannie czynił aluzje do swoich licznych i erotycznie wyuzdanych kontaktów z innymi kobietami. Bez przerwy też podkreślał, jak bardzo otwarte i nowoczesne jest jego małżeństwo. Z początku Holm pomyślała, że i ją chce uwieść, potem nabrała jednak przekonania, że mężczyzna jest impotentem. Söderstedt, Pettersson i Floren zagłębili się w swój świat audytów i opcji giełdowych, ujawnionych majątków spółek i pseudointeresów, ukrytych dywidend i emisji akcji. Gdy Söderstedt już nawet przy obiedzie zaczął mówić o wymienialnych papierach dłużnych, co brzmiało jak oficjalny wykład, widać było, jak bardzo cierpi. Zespół do spraw finansowych przychodził na narady z coraz bardziej skomplikowanymi diagramami i wykresami, w zestawieniu z którymi bazgroły Hultina wydawały się istnym cudem precyzji. Widząc entuzjazm kolegów z policji gospodarczej, wywołany kreśleniem meandrów życia zawodowego trójcy Daggfeldt-Strand-Julen-Carlberger, Söderstedt czuł się coraz bardziej nie na miejscu. Chciał znów być gliną. Lub też po prostu znów zacząć myśleć. Nyberg sunął przez podziemny świat jak kret. Mimo sprawdzonych już metod - bez większych rezultatów. On pierwszy zaczął wątpić w sens dochodzenia. Albo coś z gruntu robili źle, albo stali w obliczu czegoś takiego jak zabójstwo Palmego. Nikt z półświatka, który zwykle aż huczał od plotek, nie słyszał niczego na temat sprawcy ani jego ofiar. Z drugiej strony sam półświatek - w klasycznym rozumieniu tego słowa - wydawał się *passee*. Poważne wykroczenia popełniane były przez innych ludzi, w domowym zaciszu - prawdziwym siedlisku przemocy

w społeczeństwie, odwiecznym papierku lakmusowym frustracji dorosłego życia. Kradzieże dokonywane były przez ćpunów, rabunki - przez dziwaczne organizacje paramilitarne, często o charakterze nazistowskim, które w ten sposób finansowały swoją działalność. Malwersacje były dziś tylko kolejną branżą w sektorze usług. Starzy przestępcy, patrząc na to wszystko, czuli się czyści jak łąza. Społeczeństwo było sfrustrowane i jak nigdy przedtem zdesperowane. Tabuny młodych znalazły się poza rynkiem pracy - nawet nie zdążyły jej powąchać. Nybergowi marzył się urlop.

To, co myślał i robił Hultin, było równie tajemnicze jak jego zawsze zamknięte drzwi - na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy za nim pójść. Kiedy go o to pytali, tylko się śmiał.

Któregoś wieczoru Chavez i Hjelm wymknęli się na boisko w Stadshagens IP, żeby podejrzeć mecz weteranów między drużyną policji sztokholmskiej a drużyną Ragsved.

Poszli sobie, gdy Hultin rozkwasił brew ojcu Chaveza.

Hjelm, który z początku rzucił się w wir całodobowej pracy, żeby odsunąć nadciągający kryzys, znalazł się nagle w pustce. Przyglądał się swojemu odbiciu w lustrze i z całego serca nienawidził rosnącego na policzku pryszczka.

Kim jest ten mężczyzna? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Pod koniec kwietnia przeniósł niespodziewanie całą swoją uwagę na rodzinę. Danne uważał, że to obrzydliwe, Tova nie kryła zdziwienia, a co myślała Cilla, trudno mu było zgadnąć. Incydent w kuchni zawisł między nimi jak jakaś nietykalna rana. Nie wiedział tylko, czy już się zabił, czy raczej zaogniała.

Na początku maja rodzina przeniosła się częściowo do niewielkiego domku, który udało im się wynająć na wyspie Dalaró, która była raczej całą grupą wysp. Cilla spędzała tam większość czasu i dojeżdżała stamtąd do pracy w szpitalu w Huddinge, aż w czerwcu zaczął się wreszcie jej pieczołowicie uskładać

urlop, który trwał do końca lata. Dzieci jeździły na wyspę tylko w weekendy. Danne zachowywał się tak, jakby chciał się ukryć przed światem tego ostatniego już lata dzieciństwa. W pierwszych dniach maja Paulowi udało się dostać wolny weekend i kilka dni, początkowo szczęśliwych, spędził w wiosennym słońcu na łonie rodziny. Kochał się z Cillą. To ostatnie zdarzyło się na kocu na opuszczonym pomoście we wściekle czerwonym świetle zachodzącego słońca, obok porzuconej pustej butelki po winie. Po stosunku Cilla była cicha i jakby smutna. Całkowicie niedostępna. Jakby wgrzyzło się w nią niepoprawne piękno zachodu słońca. Ciemnoczerwona powłoka pokryła gładką powierzchnię morza - z początku jej kontury były wyraźnie widoczne na tle otaczającej ją czerni, potem zlały się ze sobą. Parująca kałuża krwi nad przepaścią. Przez chwilę już tylko przepaść. Cilla zadrżała; głęboki, bezdenne dreszcz. Długo jej się przyglądał. Próbował zobaczyć to, co widziała, przeżyć to, co przeżywała. Nie potrafił. Czerwień zniknęła. Została tylko czerń. Chciał, żeby wrócili razem do środka, ale nie mógł nawiązać z nią kontaktu. Musiał zostawić ją na pomoście, zupełnie samą, samą ze swoimi myślami. Położył się, ale nie mógł zasnąć. Wczesnie rano wrócił na pomost. Wciąż tam siedziała, otulona w koc. Wrócił do domku, nie zdradzając się, że ją widział. Przed przeprowadzką na Dalaró w robocie niewiele się działo. Nadszedł czas rozpatrywania szczegółów i podsumowań. Poza pracą z Chavezem i Nybergiem w nad- i podziemnym świecie dokończył dwie stare sprawy, z których ważniejsza była ta druga. Najpierw zadzwonił pod jeden z numerów zaczynających się od 071- i skorzystał przy okazji z seksu na telefon. Jakaś kobieta opowiadała, pojękując, co takiego miałaby ochotę zrobić z jego organem. Najwyraźniej miała kłopoty z czytaniem. Ponieważ jednak ów organ był wciąż dosyć wiotki, trudno mu było wykonać wszystkie zaproponowane przez nią akrobacje. Zadzwonił do rejestru firm i do urzędu patentowego, ale nie mieli adresu jęczącej spółki JSHB, jedynie skrytkę na poczcie w Brommie podaną

w ogłoszeniu w gazecie. Postanowił tam jechać. Zaparkował w miejscu, z którego widać było skrytki przez okno, wypalił kilka papierosów w skwierczącym upale, po którym w lipcu i sierpniu pewnie nie będzie już śladu, i czekał. Blisko trzy godziny wpatrywał się w skrytkę z numerem 1414, aż w końcu podszedł do niej mężczyzna o twarzy lisa - włożył kluczyk, przekręcił i otworzył.

Hjelm był już tak zmęczony, że nie miał siły śledzić Johana Stake, żeby sprawdzić, czy jego chatka 071- była regularnym burdelem. Po prostu podszedł do niego i zapytał:

- Stake?

Mężczyzna nie wahał się ani chwili. Ominął Hjelmą i ruszył pędem przed siebie. Hjelm podstawił mu elegancko nogę - twarz mężczyzny rozpląszczyła się na szklanych drzwiach przed łapkami starannie przystrzyżonego pudła, który stał przywiązany przy drzwiach i na jego widok zaczął dziko szczeleć. Hjelm podniósł mężczyznę - z jego wargi tryskała krew. Prosto na wydzierającego się wniebogłosy właściciela pudła.

- I na co to było? - podsumował Hjelm, zakładając mu kajdanki i wlekąc go do samochodu. Miał nadzieję, że Stake nie zakrwawi mu tapicerki, w końcu w samochodzie czuł się już jak u siebie w domu.

Jorge Chavez towarzyszył Hjelmowi podczas przesłuchania Johana Stake. Urządzili je, trochę nieoficjalnie, w swoim pokoju.

- Jestem bardzo ciekaw tych ogłoszeń 071, które za starych dobrych czasów potrafiły zająć całą stronę - zaczął powoli Hjelm. - Dlaczego podajecie w nich adres? Czy tak dziś wygląda kuplerstwo i prowadzenie burdeli?

- Na to jest paragraf - wyrzucił z siebie Johan Stake, wskazując na zaklejone usta. - Nie znacie przepisów? Co ja tu, kurwa, właściwie robię? Nie macie prawa...

- Formalnie zostałeś zatrzymany za stawianie oporu funkcjonariuszowi policji.

- W takim razie domagam się adwokata. Dopiero po wyznaczeniu obrońcy można przeprowadzić przesłuchanie.
- Wyglądasz na takiego, co z niejednego pieca chleb jadł, ale sprawa jest poważna. Sutenerstwo. Nie zrobiło to na nim wrażenia.
- W takim razie żądam adwokata.
- W takim razie zatrzyma cię prokurator i zaciągnie przed sąd. Ale masz wybór.
- Chwila. Nie macie żadnych dowodów. Musicie mnie puścić.
- Skąd wiesz, że nie mamy dowodów? Stake milczał. Hjelm ciągnął ze spokojem:
- Dziś rano zgarnęliśmy chłopca o nazwisku Jórgeń Linden, gdy wsiadał do pierwszego pociągu do Góteborga. Miał ze sobą dużą walizkę i wyglądał, jakby przed czymś uciekał. Nie wydaje mi się, żeby to była policja. W tej chwili siedzi w areszcie i jakieś dziesięć minut temu zdecydował się zeznawać. Komisarz kryminalny przeprowadził przesłuchanie pierwszorzędnie, choć nie bez użycia... nazwijmy to... męskiej ręki. Chavez podszedł do ekspresu i nalał sobie filiżankę kawy, żeby ukryć swoje zaskoczenie. W kilka sekund udało mu się zmienić wyraz twarzy, tak że gdy wracał, wyglądał już na kogoś, kto potrafi zrobić użytek ze swojej męskiej ręki. Dobra robota, pomyślał Hjelm.
- Kłamiąc, trzeba zwracać uwagę na szczegóły. Jest się wtedy bardziej wiarygodnym.
- Johan Stake chyba dał się nabrać. Milczał i myślał. Najwyraźniej ta myśl nie była całkiem niedorzeczna.
- Ale - powtórzył Hjelm - masz wybór.
- Stake zamilkł. Nie domagał się już adwokata. Hjelm atakował dalej:
- Krok pierwszy na drodze do natychmiastowego uwolnienia: opowiedz nam o Bernhardzie Strand-Julenie.
- Johan Stake odchrząknął i poruszył się na krześle.
- Dajesz mi gwarancję, że stąd wyjdę?

- Nikt poza nami nie wie, że tu jesteś. Nie ma oficjalnego zgłoszenia. Powiedz, co wiesz, a uwolnimy ciebie i Jórgena. Mamy na głowie ważniejsze sprawy niż twoje burdele. Tak jak mówiłem: to jest pierwszy krok.
- Strand-Julen... Załatwiałem mu chłopców. Upierał się, żeby nazywać ich załogą jachtu. Zdrowych, jasnowłosych chłopców w wieku około szesnastu lat o atletycznej budowie ciała. Dwóch albo trzech naraz. Ciągłe nowych. Podczas letniej połowy roku średnio co drugi tydzień. Nigdy w zimie. Może zapadał w sen zimowy.
- Krok drugi: czy z twoich usług korzystali Kuno Daggfeldt lub Nils-Emil Carlberger?
- Carlberger - odparł Stake. Zdawał się czekać na to pytanie. - Dostał mój numer od Strand-Julena. Pół roku temu. Był strasznie zdenerwowany, zamówił małego chłopca. Mam wrażenie, że to był jego pierwszy raz. W ramach poszerzania horyzontów, tak sądzę, może sokratejska miłość do chłopca. Sam nie wiem.
- Ale wiesz, co było dalej.
- Rozmawiałem potem z tym chłopakiem. Dostał trochę psy-chotropów. Śmiał się piskliwie. Carlberger był jak mały chłopiec, kompletnie niedoświadczony. Albo stuprocentowy hetero, albo stuprocentowy impotent. No ale dobrze zapłacił.
- To wszystko? Żadnego Daggfeldta?
- Nie.
- I nie masz nic do dodania na temat Strand-Julena lub Carl-bergera? Zastanów się. Stake się zastanowił.
- Nie, przykro mi. To już wszystko. Wypuścili go.
- Mogłeś mnie uprzedzić - powiedział Chavez i wziął łyk kawy.
- I byś się zgodził?
- Gdzie tam.

Przez chwilę śmiali się ze swoich przywar. Potem Hjelm wykreślił Johana Stake ze swoich notatek. Niewidocznym krzyżykiem.

Dwie godziny później zadzwonił Johan Stake, żeby mu pogratulować. Coś podobnego: rozmawiał właśnie z Jórgenem Lindenem, ale chłopak niczego nie rozumiał. Pochwalił Hjelma za przekonujące kłamstwo i odłożył słuchawkę. Przez dłuższą chwilę Hjelm stał w miejscu, wpatrując się w telefon. Gdy Paul Hjelm doszedł do wniosku, że czas już podsumować liczbę ofiar, czyli jakoś na początku maja, przysłała pora na dokończenie drugiej starej sprawy. W tym celu udał się na pole golfowe Kevinge. Było wcześniej rano, a na dworze padał deszcz. Pierwszy tego lata. Pole golfowe świeciło pustkami. W środku też nikogo nie było.

Nikogo z wyjątkiem Leny Hansson, która stała jak zwykle na swoim miejscu w recepcji. Z początku go nie poznała, ale po chwili jej twarz nabrała wyrazu, którego się spodziewał. Postanowił z miejsca wytoczyć najcięższe działo. Strzelał na oślep.

- Dlaczego skłamałaś, mówiąc, że nie pracowałaś jako caddie dla naszych trzech trupów siódmego sierpnia 1990 roku?

Spojrzała na niego; jej wzrok był pozbawiony złudzeń. Niewątpliwie na niego czekała. Cały ten miesiąc. Zaczęła powoli:

- To nie były trupy. Wręcz przeciwnie. Ich życie było... tak jakby podkreścone. Żyli ponad.

- I nie brakowało w nim wątków z okolic podbrzusza?

- Rzeczywiście nie.

- Usiądziemy na chwilę? Nie ma dziś tłumów.

- Wspaniałe światło - powiedziała, a jej głos zabrzmiał, jakby była kilka lat starsza. Weszła do nieczynnej restauracji i usiadła przy stoliku. Hjelm dołączył do niej.

Przez chwilę bawiła się metalową oprawką po świeczce w latarence na stole.

- Było was troje, prawda?

- Tak. Zamówili też chłopaka o nazwisku Carl-Gustaf af coś tam - nie pamiętam dokładnie, mogę sprawdzić - i moją koleżankę Lottę. Lottę Bergström. Ona to bardzo przeżyła. Właśnie ze względu na nią nie chciałam nic mówić.

- To znaczy?

Hjelm nie potrafił odmówić sobie papierosa w tak szykownym miejscu. Możliwe jednak, że nagły głód nikotynowy wywołała raczej tabliczka z zakazem palenia.

- Lotta w ogóle była niezrównowazona. Trudne dzieciństwo. Jeszcze trudniejszy okres dojrzewania. Załatwiłam jej pracę. Miałyśmy wtedy po siedemnaście lat. Chodziłyśmy do tej samej klasy w liceum. Ona... ona popełniła samobójstwo w dziewięćdziesiątym drugim. Nie wiem, czy to z tego powodu. Prawdopodobnie nie. Czuję się jednak tak, jakby to była moja wina.

- Co wam zrobili?

- Cóż, ten Carl-Gustaf af coś tam, on nie wierzył, że to działo się naprawdę. Pochodził z jakiejś znamienitej rodziny, wiesz, takiej, w której wciąż obowiązują określone zasady i etykieta. To nie jest tylko rola, którą odgrywa się na przyjęciach, to rzeczywiście obowiązuje na co dzień. Dobre maniery i staroświeckie morały mają we krwi. To zwykle mili ludzie. Carl-Gustaf af również. Przy pierwszych czterech dołkach śmiał się z zażenowaniem i jakby przez uprzejmość pozwolił temu Strand-Jule-nowi się szykanować, potem postawił torbę golfową dokładnie na dziewiątym dołku, tak że trafiła w nią piłka uderzona przez Strand-Julena. I poszedł. Nigdy więcej go nie spotkałam. Gdyby był prawdziwym dżentelmenem, nie zostawiłby nas tam samych.

Carl-Gustaf af, zanotował Hjelm.

- A Lotta i Lena czekały na odpowiednią chwilę?

- Siedemnaście lat, dobrze wychowane, niepewne siebie: to przecież oczywiste, że zostałyśmy. Kiedy Carl-Gustaf af sobie

poszedł, naśmiewali się z wszechobecnego konserwatywnego szlacheckiego ścierwa. Była w nich zazdrość, można to od razu poznać - zazdrość w stosunku do kogoś, kto jakby genetycznie ma wszystko, o co walczyli przez całe życie i co wreszcie zdobyli w jakiejś pośledniej formie. Widok szlachty uzmysławia im ich własną sztuczność. Mój ojciec też tak miał.

- Co dokładnie wam zrobili?

- Wcześniej sporo wypili w restauracji. Sama nie wiem, zachowywali się tak, jakby byli na speedzie, jakby wciągnęli kokę gdzieś w kiblu albo coś takiego. - Albo po drodze w taksówce - odpowiedział Hjelm. - W każdym razie zaczęło się od sprośnych kawałów i aluzji, które były na takim poziomie, że przynajmniej Carl-Gustaf af mógł się z nimi pośmiać. My byłyśmy przede wszystkim zawstydzone. Na polu byliśmy w zasadzie sami, mogli sobie używać do woli. Potem Strand-Julen przyczepił się do Carla-Gustafa af. Przynajmniej na chwilę miałyśmy spokój. Chodziło głównie o rozmiar szlachetnego organu Carla-Gustafa af. Ale gdy ten wykonał swoje bohaterskie wyjście, nagle znalazłyśmy się pod ostrzałem. Dosłownie. Nigdy wcześniej nie byłam tak źle traktowana i nigdy więcej nie będę.

Obiecałam to sobie. - I co w takim razie robisz?

- Co masz na myśli?

- Strzelasz do nich?

Jej śmiech był głośny, wysoki i bardzo nienaturalny.

- No cóż - odezwała się w końcu, wycierając łzy. - Nie mogę powiedzieć, żebym opłakiwała ich śmierć. To, że ktoś ich wystrzelał, jednego po drugim, właśnie ich trzech - to cud, co tu dużo mówić. Magia, jak w jakiejś bajce. Nieznany mściciel. Jezu, przecież ja w życiu nie trzymałam broni w ręku.

- Może ktoś z twojego otoczenia.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

- Nie sądzę - powiedziała ze spokojem. - Może ktoś z otoczenia Lotty. To bardziej prawdopodobne. Ja się tylko wściekłam,

wściekłam się jak cholera, i ta wściekłość nie przejdzie mi nigdy, ale nie zostałam poważnie zraniona. Ona tak. Już wcześniej była, a wtedy to się tylko pogłębiło.

- Okej, co właściwie się stało?

- Przy dziesiątym czy jedenastym dołku zaczęli się do nas ostrożnie dobierać. Na skraju lasu już na serio. Byli strasznie podnieceni - to musiały być narkotyki. Udało im się ściągnąć koszulkę z Lotty i jeden z nich położył się na niej, chyba Dagg-feldt. Carlberger siedział z boku i się przyglądał. Strand-Julen mnie przytrzymał. Dokładnie tak. Wyrwałam się, chwyciłam za kij i uderzyłam nim prosto w tył głowy Daggfeldta. Osunął się z Lotty, przytuliłam ją, próbowałam pocieszyć. Daggfeldt skręcał się na ziemi, chyba krwawił. Pozostali dwaj stali z boku i nad czymś się zastanawiali. Jakby rozwiązywali jakieś zagadnienie. Od razu wróciła im świadomość. Zaczęli przeproszać i się tłumaczyć, i oferować pieniądze, żebyśmy milczały. Kupili nasze milczenie. Drogo ich to kosztowało. Kilka tysięcy. Poza tym nie chciałyśmy stracić pracy. No cóż. Lotta wyleciała krótko po tym. Kilka tygodni później podjęła trzecią próbę samobójczą, dwie miała już za sobą. Siódma była udana. Nie wiem, czy rzeczywiście tego chciała. I nie wiem, w jakim stopniu zdecydował o tym ten incydent. Dużo o tym myślałam. Skurwysyny. Cieszę się, że nie żyją.

- Potem wciąż tu grali, wszyscy trzej?

- Tak. Najwyraźniej zależało im na utrzymaniu kontaktów. Ale nie grali już razem.

- Kiedy ostatnio rozmawialiśmy - wówczas jeszcze o dwóch ofiarach, Daggfeldcie i Strand-Julenie - powiedziałaś, cytując: „Zatrzymywali się czasem w recepcji, żeby chwilę porozmawiać”. Rozumiem, że tak nie było?

- No tak, skłamałam. Żaden z nich nigdy na mnie nie spojrział. Chyba byli trochę zaniepokojeni, że zaczęłam pracować w recepcji. Chociaż z drugiej strony byli chyba przekonani, że kupili moje milczenie.

- A kupili? Nie mówiłaś o tym nikomu? Na przykład swojemu kochasiowi, jak on się nazywa, temu sekretarzowi klubu golfowego? Axel Wifstrand?
- Widstrand. Nie, w żadnym razie. On by zareagował... w zły sposób.
- Agresją?
- Nie, chyba wręcz przeciwnie. Pomyślałby, że kłamię. Nie, nikomu nie mówiłam. Kupili moje milczenie. Nie wiem tylko, czy tak samo było z Lottą.
- Miała jakiegoś chłopaka, brata, ojca?
- Jeśli dobrze zrozumiałam, powodem jej problemów był ojciec, Bengt-Egil. Po pierwsze nigdy by mu o tym nie powiedziała, po drugie on by się tym wcale nie przejął. Nie miała nigdy chłopaka, to był jakby drugi powód. Ale pozostawała blisko ze swoim bratem, Gustenem. Güsten i Lotta, nierozłączni.
- Myślisz, że wiedział?
- Straciliśmy kontakt, gdy ona poważnie zachorowała. Ale jeśli za tym stoi Güsten, to jestem mu wdzięczna. Będę go odwiedzać w więzieniu.
- Dali mu na imię Güsten?
- No tak.

Hjelm zastanowił się przez chwilę. Güsten Bergström.

- Sprawdzimy, jak nazywał się ten Carl-Gustaf af. Potem zostawię cię w spokoju, już na zawsze. Tak mi się zdaje.

Lena Hansson wstała i wyprostowała się. W jej oczach zobaczył dumę; wcześniej tego nie widział.

Wcześniej ewentualny świadek, teraz spełniona istota ludzka.

- Niech ci nie minie ta wściekłość - powiedział nieoczekiwanie.

Spojrzała na niego z ironią.

Hrabia Carl-Gustaf af Silfverbladh przeprowadził się w 1992 roku do rodzinnego majątku w Dorset w Wielkiej Brytanii, żeby,

gdy już się wyszaleje, zdobyć porządne wykształcenie na Oksfordzie, jak jego ojciec i dziadek. Od tego czasu nie był w Szwecji, prawdopodobnie nie miał też zamiaru wracać.

Hjelm zastanawiał się, jak Brytyjczycy wymawiają jego nazwisko.

Gusten Bergström miał dwadzieścia osiem lat i gdyby żyła jego siostra Lotta, byłby od niej kilka lat starszy. Mieszkał przy Gamla Brogatan w samym centrum City i pracował jako operator sieci w szwedzkich kolejach SJ. Miejscem jego pracy był dział ekspedycji pociągów dalekobieżnych na Dworcu Głównym.

Przynajmniej nie ma daleko do pracy, stwierdził Hjelm i nacisnął dzwonek do drzwi kilka pięter nad dawnym sklepem obuwniczym Sko-Uno.

W wizjerze pociemniało. Kiepski pomysł mieć wizjer przy samym oknie, pomyślał.

- Policja! - krzyknął i uderzył pięścią w drzwi.

Drzwi otworzył mu wysoki, chudy jak szczapa mężczyzna z fryzurą, która wyglądała na perukę, choć pewnie nią nie była, i w grubych szklach na nosie. Wyglądał jak krzyżówka małego hakera z księgowym w średnim wieku.

Hjelm spojrział zawiedziony na Gustena Bergströma. To nie jest morderca. Mógłby dać sobie za to uciąć rękę.

- Wydział kryminalny. - Hjelm podsunął mu legitymację pod nos.

Gusten Bergström wpuścił go bez słowa. Mieszkanie było wyjątkowo marne. Gołe ściany, włączony komputer. Zanim Bergström zgasił monitor, Hjelm zobaczył na nim nagą kobietę, wyglądała wyjątkowo realistycznie. Gra erotyczna? Poczł się staro.

- Proszę, niech pan siada - odezwał się uprzejmie Gusten Bergström.

Hjelm usiadł na sofie, która robiła za antyk, a Bergström na fotelu od kompletu, o ile w ogóle te meble można było tak nazwać.

- Chciałbym porozmawiać o twojej siostrze - zaczął ostrożnie Hjelm.

Bergström podniósł się natychmiast z miejsca i podszedł do regału, na którym stał komputer. Wziął do ręki zdjęcie w złotej ramce i podał je Hjelmowi. Uśmiechała się z niego nastoletnia dziewczyna, bardzo podobna do Bergströma.

- To Lotta, zanim jeszcze zaczęło się z nią źle dziać - powiedział Gusten Bergström smutnym głosem.

- Siedemnaste urodziny.

- Śliczna - powiedział Hjelm i poczuł się okropnie. Zdjęcie musiało być zrobione mniej więcej wtedy, kiedy wydarzył się incydent na polu golfowym.

- O co właściwie chodzi? - zapytał Bergström, wciskając głębiej okulary na nos.

- W tym czasie pracowała jako caddie na polu golfowym w Kevinge. Pamiętasz?

Gusten Bergström kiwnął lekko głową.

- Czy opowiadała o pracy? - zapytał Hjelm.

- Nie - westchnął Bergström. Coś w nim pękło.

- Nic a nic?

Bergström po raz pierwszy spojrzał mu w oczy. Jakby obaj czegoś w sobie szukali.

- O co chodzi? - powtórzył. - Moja siostra nie żyje od kilku lat. Dlaczego przychodzi pan tutaj i mówi o niej, jakby żyła? Dopiero co oswoiłem się z myślą, że jej nie ma. Odeszła i nigdy już nie wróci.

- Została zwolniona jesienią 1990 roku. Pamiętasz?

- Nie dostaję odpowiedzi na moje pytania. - Bergström sprawiał wrażenie strapionego.

- Ja też nie - odpowiedział Hjelm. - Ale to ja zadaję te właściwe pytania. - Bergström westchnął głęboko. Możliwe, że czuł się tak, jakby ktoś zdrapywał z niego obolałe strupy. Czekał, aż wyleje się z nich ropa.

- No tak, pamiętam. Skończył się sezon, mieli zamykać pole. Chodziła jeszcze do szkoły, utrata sezonowej pracy nie była więc żadną katastrofą.

- Nie opowiadała ci o tym?
 - Dostała tę pracę dzięki jakiejś koleżance, nie pamiętam, jak miała na imię. Szczerze mówiąc, nie czułem się dobrze w Dan-deryd. Nikogo tam nie znałem. Ona zresztą też nie. To nie był dobry czas. To nie był wcale dobry czas.
 - Krótco potem próbowała po raz trzeci popełnić samobójstwo, prawda?
 - Jest pan wyjątkowo taktowny - westchnął ciężko Berg-stróm. - Tak, to prawda. Żyłotka - pierwszy i ostatni raz. Poprzednio był alvedon. Wie pan, że do zabicia wątroby i nerek wystarczy listek alvedonu i trochę alkoholu? Lotta wiedziała. To nie było żadne ostrzeżenie ani strzał na postrach, wołanie o pomoc czy jak to się mówi. Próbowała siedem razy. To było jak... zła dostawa. Jakby ktoś pomylił się w fakturach.
 - Wiesz dlaczego?
 - Nie wiem nic i niczego nie rozumiem - odezwał się Berg-stróm przytłumionym głosem. - Niczego nie rozumiem, niczego nigdy nie zrozumie.
 - Słyszałeś o zabójstwach trzech szwedzkich biznesmenów? Bergstróm był myślami gdzie indziej. Minęła dłuższa chwila, zanim zebrał się, by odpowiedzieć:
 - Trudno było nie słyszeć.
 - Czy to ty ich zamordowałeś?
- Gusten Bergstróm spojrział na niego zdziwiony. Potem jakby coś błysnęło w jego oku, jakby ktoś tchnął ducha w jego zwiotczące płuca. Bo dusza chce, choć ciało nie może - Hjelm pokusił się w myślach o bluźnierstwo.
- Tak - Bergstróm podniósł głos. - To ja ich zamordowałem. Hjelm patrzył na oblaną światłem postać. W szarym życiu Gustena Bergstróma coś wreszcie się wydarzyło. Jego twarz będzie na pierwszych stronach gazet. Znajdzie się w centrum uwagi, po raz pierwszy i ostatni w życiu.
 - Daruj sobie - powiedział Paul Hjelm i z Gustena uszedł duch życia.

Mężczyzna skurczył się w swoim twardym fotelu, zapadniętym podobnie jak jego właściciel. Hjelm dołał trochę oliwy do ognia:

- Dlaczego zamordowałeś Kuno Daggfeldta, Bernharda Strand-Julena i Nilsa-Emila Carlbergera?

- Dlaczego? - Bergström uniósł wyżej i tak już uniesione ramiona. - No cóż, byli... bogaci...

- To znaczy, że nie wiedziałeś, co ci trzej panowie zrobili twojej siostrze na polu golfowym Kevinge siódmego września 1990 roku, miesiąc przed tym, jak podjęła trzecią próbę samobójczą i została zamknięta po raz pierwszy w Beckomberdze?

- O czym ty, kurwa, gadasz?

Gusten Bergström wstał nagle, jakby chciał się czegoś złapać. Niczego takiego nie znalazł. Jego palce chwyciły kurczowo powietrze.

Nie było się czego chwycić. Nie było niczego takiego.

- Tego dnia twoja siostra pracowała dla nich jako caddie. Chcieli ją zgwałcić.

Ręce Bergströma przestały chwycić powietrze. W tego niedożywnionego komputerowca po raz kolejny, zdawało się, wstąpił duch dawnego życia. Stał bez ruchu w miejscu, w którym załamywały się padające ukośnie promienie słońca. W kawalerce panował zaduch, w świetle widać było wirujące wokół niego kłęбки kurzu. W jego bólu było jakieś makabryczne piękno.

- Gdybym wiedział - jego głos nabrał wyrazu - tobym ich zabił. Od dawna by nie żyli.

- Ale nie wiedziałeś?

- Nie - odrzekł i usiadł. Potem znowu wstał, prosto w smugę wieczornego słońca, które wpadło szerokim strumieniem znad Gamla Brogatan. - Teraz już rozumiem - powiedział i zabłysnął ostatni raz. - Teraz już wszystko rozumiem.

- Co takiego rozumiesz?

- To Lotta! To zemsta Lotty! Wyciągnęła swoją dłoń z królestwa umarłych! Potem wróciła w lepsze miejsce.

190

Bergström podszedł wyraźnie podniecony do regału i wyjął z niego starą, zniszczoną książkę. Zaczął wymachiwać nią w powietrzu.

- Słyszałeś o eryniach? - zapytał, nie czekając na odpowiedź. Zresztą i tak by się jej nie doczekał. - To najstraszliwsze istoty w mitologii greckiej, ale też wzbudzające największy szacunek. Ramię sprawiedliwości. Dzień i noc gonią swoją ofiarę, aż w końcu otworzy się przed nią grób. Pozwól, że przeczytam ci fragment: „Erynie to właściwie oddech śmierci, które - gdy zabraknie mściciela - mszczą się za niego, nieubłagane i nieprzejednane, jak tylko mogą być śmiertelne duchy w swojej wściekłości”. Rzucił mu wyzywające spojrzenie. Hjelm milczał.

- Nie rozumiesz? - zawołał Gusten Bergström. - Zabrakło mściciela, musiała więc zrobić to sama! Czekala na mściciela, ale ten się nie zjawił. Wszystko się zgadza! Zginęło właśnie tych trzech, tych, co wyrządzili jej krzywdę! Zrobiła to kilka lat później, jednym ruchem. To przecież wspaniale!

Morderca, którego szukasz, to oddech śmierci. Bogini zemsty!

Hjelm dał się przez chwilę ponieść wizji Bergströma. Coś było na rzeczy. Mściciel, który nie zostawia po sobie śladu. Boski pogromca z królestwa śmierci.

Jednak myśl o niewątpliwie materialnej kuli z Kazachstanu w ścianie na Djursholmie kazała mu wrócić do przykrej rzeczywistości.

- Twoje erynie mogły mieć pośrednika. Kogoś, kto pociągnął za spust. Nie wiesz, czy opowiadała komuś o tamtym incydencie?

- Mieliśmy tylko siebie! Nie rozumiesz tego? Tylko ona i ja - Lotta i Gusten, Gusten i Lotta.

- Ojciec, matka, ktoś ze szpitala?

- Ojciec? To by nawet było możliwe! - zaśmiał się Gusten Bergström. - Jest już po drugiej stronie.

Matka? Niema, głucha i ślepa? Wszystkie trzy małpki naraz. Bardzo możliwe! Ktoś z psychiatryka?

Gdzie wszyscy siedzą po kątach i masturbują się dzień i noc? Bardzo możliwe! Masz swojego mordercę z zimną

krwią! Człowiek z Beckombergi! Pedantyczny morderca z domu wariatów!

Hjelm poczuł, że pora już zostawić Gustena Bergströma z jego zdeformowanym i deformującym wszystko smutkiem.

W innych okolicznościach podszedłby do komputera i włączył monitor, żeby się pośmiać z ordynarnie kopulujących bohaterów gry. Nie zrobił tego.

Ogarnęło go dziwne, nieokreślone uczucie, że odniósł w ten sposób zwycięstwo.

Hjelm spędził kilka kolejnych dni, próbując zawęzić trop golfowy. Pojechał do szpitala Beckomberga i rozmawiał z personelem. Chciał ustalić krąg przyjaciół. Nie było takiego. Tylko jeden członek personelu, który pracował od początku lat dziewięćdziesiątych, twardy jak kamień pielęgniarz, zapamiętał Lot-tę jako typ samotnika. Chorobliwie zamknięta w sobie, skończona introwertyczka. O incydencie mogła wspomnieć tylko bratu Gustenowi, najwyraźniej jednak tego nie zrobiła. Chyba że Gusten Bergström był najlepszym aktorem pod słońcem. Potem skupił się na rodzinie i przyjaciółach Leny Hansson. Bez większych sukcesów. Rzeczywiście kupili jej milczenie. Po kilku dniach bezowocnych poszukiwań została już tylko jedna możliwość: Lena Hansson wynajęła płatnego mordercę. Na razie nie chciał się nad nią zastanawiać.

W tym samym czasie wezwano go do sądu na rozprawę Driterę Frakulli. Nie był zachwycony. Kilka tygodni po tym, jak Frakulla wziął zakładników w biurze imigracyjnym w Hallundzie, zmieniła się polityka państwa wobec uchodźców i kilkuset zagrożonych deportacją Albańczyków z Kosowa dostało prawo pobytu. Między innymi rodzina Driterę Frakulli. On sam miał opuścić kraj zaraz po odsiedzeniu wyroku. Jego próba ratowania rodziny przyniosła odwrotny efekt. Nazwać to ironią losu było stanowczo za mało.

Siedział na sali rozpraw w Ratuszu w charakterze świadka. Próbował być jak najbardziej rzeczowy. Udało mu się prawie nie zwracać uwagi na dziennikarzy, którzy nie dawali mu spokoju przed rozprawą, w trakcie i po niej, ale ciemnego wzroku Driterera Frakulli z ławy oskarżonych nie mógł nie zauważyć. Frakulla miał wciąż rękę na temblaku i nie odrywał od niego oczu. Nie było w nich oskarżenia, raczej załamanie, jawne rozdarcie. A jednak Hjelm nie mógł pozbyć się myśli, że mężczyzna go oskarża, choć ta myśl powstała prawdopodobnie tylko w jego głowie. Miał wrażenie, że Frakulla nie oskarża go o to, że do niego strzelił, ale że go nie zastrzelił. Gdyby to zrobił, jego rodzina mogłaby już na zawsze zostać w Szwecji, a tak za kilka lat wrócą z nim posłusznie prosto w ramiona Serbów. Właśnie to czuł, widząc załamany wzrok Frakulli. Głębokie i nieprzyjemne uczucie, które mu towarzyszyło i tłumilo każde wypowiedziane przez niego słowo, każdą odpowiedź na uprzejme pytania prokuratora i oskarżycielskie pytania obrońcy. Frakulla dostał obrońcę z urzędu, zblazowanego starszego mężczyznę, który zadawał do bólu poprawne pytania: dlaczego nie zaczął na jednostkę specjalną? Dlaczego sprawą nie zajęło się Biuro Spraw Wewnętrznych? Najwyraźniej Bruunowi, Hultinowi i Mórnerowi udało się zatrzeć wszystkie ślady przesłuchań duetu Grundström-Martensson. Atak adwokata był niczym w porównaniu z utkwionym w niego wzrokiem Frakulli.

Kiedy opuścił ławę świadka i szedł przez salę między rzędami krzeseł, poczuł na sobie wzrok małego chłopca. Był jak wzrok jego ojca.

Minęło sporo czasu, zanim Paul Hjelm mógł znowu skupić się na pracy.

Kilka dni później w czasie przedpołudniowego zebrania do Centrum Dowodzenia wszedł niespodziewanie Viggo Norlander. Był jeszcze na zwolnieniu lekarskim, chodził o kulach i wyglądał dosyć potulnie. Coś zgasło w jego i tak już zgasłych oczach. Dłonie miał owinięte kilkoma warstwami bandażu. Przywitali go serdecznie, a Kerstin Holm pobiegła odebrać bukiet kwiatów, na

który się zrzucili i który miał mu zostać dostarczony do domu tego wieczoru. Siadając na swoim miejscu, Norlander wydawał się wyraźnie wzruszony. Było wolne. Nikt go nie podsiadł. Przez cały pobyt w szpitalu w Tallinie, a potem w Huddinge był przekonany, że Hultin odsunął go od śledztwa albo że Biuro już węszy w jego sprawie. Siadając na krześle, zrozumiał, że zostało mu... wybaczone. Nie mógł znaleźć lepszego słowa. Rozpłakał się. Wyglądał tak, jak może wyglądać załamany człowiek. Zastanawiali się, czy rzeczywiście do nich wróci, ale gdy spojrzął na nich zaczerwienionymi od płaczu oczami, dostrzegli w nich szczęście. Właśnie to: szczęście. Im bliżej się poznawali, tym trudniej było im siebie zrozumieć. Jak zawsze. Kiedy wychodzili z Centrum Dowodzenia, Hjelm kątem oka dostrzegł, jak Söderstedt podchodzi do Norlandera, otacza go ramieniem i coś do niego mówi. Viggo Norlander zaśmiał się głośno i serdecznie. Niewiele więcej powiedziano, niewiele więcej zrobiono. Pracowali dalej, opierając się na hipotezie, że to już koniec, a w tabeli strat szwedzkiej gospodarki znalazły się trzy i tylko trzy nazwiska: Kuno Daggfeldt, Bernhard Strand-Julen i Nils-Emil Carlberger. Nie mieli racji.

19

CIERPKI dym zdążył już osiąść, a kłujący zapach rozejść się w powietrzu. Mężczyzna pograżył się w wiecznym śnie. Tym razem potrzebował więcej czasu.

To był długi dzień.

Po nim nastąpiła noc.

Noc w salonie.

Gdy po pokoju rozchodzą się pierwsze dźwięki fortepianu, siedzi już wygodnie na sofie i przygląda się mężczyźnie. Spacer w górę i w dół klawiatury, w przód i w tył, potem dołącza saksofon i wędruje razem z fortepianem. Te same kroki, ten sam spacer.

Gdy saksofon się bawi, a w tle pobrzmiwają lekko ospałe akordy fortepianu, wydaje mu się, że leżący na podłodze mężczyzna poruszył się. Kilka uderzeń w bęben. A gdy słyszy kwilenie saksofonu, jest już prawie pewien, że mężczyzna wstaje i pochyla się nad próżnią. Saksofon rżnie i na coraz większych obrotach wchodzi na wyższe tony. Z głowy mężczyzny sączy się krew. Jakby uderzał pięścią w splot słoneczny rozciągającej się przed nim próżni. Gdy fortepian milknie, przychodzi kolej na drugi, mocniejszy cios w brzuch próżni.

To pantomima, szczególny rodzaj tańca śmierci.

Yeah, u-hu. Pierwszy kopniak. W kolano.

Saksofon wspina się coraz wyżej, coraz szybciej. Drugi kopniak. W podbrzusze.

Precyzyjna choreografia. Każdy cios, każdy kopniak w niewidzialne ciało próżni jest z góry ustalony, trafia zawsze we właściwe miejsce.

Widział to już tyle razy.

Gdy rozbrzmiewają pierwsze oklaski, nadchodzi kolej na ostateczny cios. W tle słysząc rozmowy publiczności, na pierwszy plan wychodzi fortepian. Mężczyzna uderza. Zęby próżni bulgoczą pod językiem, to dzieje się tam. Właśnie tam.

Fortepian stawia pierwsze, niezdarne kroki. Bawi się. Jego wędrówki są coraz bardziej zuchwałe, coraz piękniejsze. Już wie, co to piękno. Wydaje mu się, że mężczyzna odmierza kopniaka wedle leżącej pod nim próżni. Jakby kopał: raz, dwa, trzy, cztery razy. Fortepian zawodzi przeciągle.

I nie ma już próżni.

Cichną bębny. Fortepian wędruje dalej. Jak na początku. Gdy mężczyzna odmierza piątego kopniaka, w korytarzu otwierają się drzwi. - Tato? - słysząc dziewczęcy głos. Rzuca się na podłogę, zastyga. Jak wcześniej. Już nie ma go w pokoju, w domu, w ogrodzie. Jest daleko i nie słyszy rozdzierającego serce krzyku. To dlatego biegnie.

20

GUNNAR Nyberg zerwał się z podwójnego łóżka, które stało tu, w trzypokojowym mieszkaniu Naćka, w nadziei na lepsze czasy. Viggo Norlander usiadł na znacznie mniej eleganckim łóżku polowym w trzypokojowym mieszkaniu na Banergatan. Kerstin Holm zwlokła się z materaca leżącego na podłodze niewielkiego mieszkania w Brandbergen, które należało do byłej narzeczonej byłego chłopaka. Jorge Chavez wstał ze składanego stolika kuchennego w aneksie kuchennym swojego wynajmowanego pokoju przy skrzyżowaniu Bergsgatan z Scheelegatan, gdzie zasnął z pełnym kieliszkiem wina w ręku i z głową w resztkach jedzenia. Arto Söderstedt podniósł się z fotela w mieszkaniu na Agnegatan i odłożył na bok okulary do czytania. A Paul Hjelm zeskoczył z nieprzyjemnie pustego podwójnego łóżka w swoim szeregowcu w Norsborgu.

Jan-Olov Hultin był już na nogach. Czekał na nich w kuchni w Rósundzie, w Saltsjöbaden.

Jako ostatni zjawił się Chavez, wyglądał beczelnie rześko - nocny kwiat w czarnej jak smoła majowej nocy.

- A ty co, kurwa, prysznic brałeś? - przywitał go Hjelm, trzymając w ręku duży dzbanek z kawą.

- Lepiej nie pytaj. Kto to?

- Zaglądałeś?

- Wygląda jak zawsze. Technicy są już w drodze?

- Zadzwoń do was przed technikami - odezwał się Hultin - między innymi dlatego, żebyście zobaczyli wszystko tak, jak zostawił to sprawca. Prawda, że dostał dwie kulki w głowę?

200

Potwierdzili.

- Kule zostały w ścianie - powiedział Söderstedt. Hultin kiwnął głową:

- No tak, mamy tu coś dla siebie. Mężczyzna reprezentuje inne środowisko. Nazywa się Enar Brandberg i od ostatnich wyborów zasiada w parlamencie. Wcześniej był dyrektorem jednej z mniejszych państwowych instytucji finansowych.

- Allmänna Direktionsfonden - odezwał się Söderstedt. - To nie do końca państwowa instytucja, ale prawie. Poseł Folk-partiet.

Hultin spojrział na niego z ukosa i ciągnął dalej:

- Córka Helena Brandberg, lat osiemnaście, wróciła do domu kilka minut po pierwszej w nocy, czyli jakieś trzy kwadransy temu, usłyszała dobiegający z pokoju jazz i pomyślała, że to dziwne, bo ojciec nigdy nie słuchał muzyki. Weszła do salonu, zobaczyła poruszające się firanki w otwartym oknie i czarny, niezidentyfikowany cień, który pędzi w popłochu przez trawnik i wybiega na ulicę. Podeszła do wieży stereo i z roztargnienia ją wyłączyła. Właśnie wtedy zauważyła leżącego na podłodze ojca i zaczęła tak głośno krzyczeć, że sąsiedzi byli już po kilku minutach. To państwo Hórnlund, mają córkę w jej wieku, zresztą jej najlepszą przyjaciółkę. Helena Brandberg przeżyła prawdziwy szok, trudno było coś z niej wydobyć, musiałem się głównie oprzeć na zeznaniach sąsiadów. Dziewczyna nie ma matki, zmarła na raka rok temu, więc państwo Hórnlund pojechali z nią do szpitala. Byłem już w ogrodzie; zdaje się, że w trawie jest trochę śladów.

- To by było na tyle niewidzialności - odezwał się Chavez.

- Erynia stała się ciałem - dodał Hjelm.

Spojrzeni na niego. Söderstedt uniósł lewą brew, jakby miał coś powiedzieć. Rozmyślił się jednak.

- Okej - rzucił Hultin jak zawsze wtedy, gdy chciał coś podsumować. - Tym razem mamy dwie kule w ścianie i sporo śladów w trawie. Przede wszystkim jednak mamy kasetę.

- Kasetę? - zdziwiła się Holm.

- Z muzyką, jazz. W magnetofonie jest kasetka, która bez wątpienia należy do mordercy. Na pewno nie do Brandbergów. Żadne z nich nie słucha jazzu - muzyka grała, gdy córka weszła do domu, a w pokoju był morderca. Najwyraźniej to jedno z licznych przyzwyczajzeń tego mężczyzny: po zabójstwie siada na sofie i słucha jazzu. Ponieważ Helena zatrzymała kasetę, wiemy, o który utwór chodzi, a ponieważ dwoje z was interesuje się muzyką, pomyślałem, żeby sprawdzić, co to jest. To dlatego zwlekałem z telefonem do techników. Za jakieś dwadzieścia minut wyproszą nas z pokoju.

- Nie znam się zbyt dobrze na jazzie - powiedział Gunnar Nyberg.

Weszli do pokoju, minęli leżącego na podłodze trupa. Ubrany w plastikowe rękawiczki Huitín przewinął taśmę do początku utworu. Już po pierwszych trzech, czterech dźwiękach fortepianu, zanim jeszcze spacer po klawiaturze rzeczywiście stał się spacerem po klawiaturze, odezwały się jednocześnie dwie osoby:

- ***Misterioso***.

Kerstin Holm i Jorge Chavez spojrzeli na siebie zdziwieni. Huitín zatrzymał kasetę.

- Po kolei - powiedział ze spokojem, jakby ignorując fakt, że dwoje z siedmiu członków Drużyny A było najwyraźniej znawcami jazzu.

- To klasyka - odezwał się Chavez, po tym jak Holm kiwnęła w jego stronę głową. - Thelonious Monk Quartet. Monk na fortepianie, Johnny Griffin na saksofonie, Ahmed Abdul Malik na kontrabasie i... jak się nazywał ich perkusista?

- Roy Haynes - podpowiedziała Kerstin.

- Właśnie! To numer tytułowy na płycie ***Misterioso***, z tego, co pamiętam, siódmy i ostatni. Dziesięć, jednaście minut. Powalający Griffin na saksofonie i Monk w szczytowej formie. Utwór napisany jak zwykle przez Mońka. Co jeszcze?

Kerstin Holm przejęła głos:

- Wszystkie kawałki na płycie zostały nagrane pewnego magicznego letniego wieczoru 1958 roku w klubie jazzowym Five Spot Café w Nowym Jorku. Na płycie CD dodano jeszcze kilka kawałków z wcześniejszego nagrania tego samego lata. Pierwszy utwór to już prawdziwy standard, **'Round Midnight**. Możemy sprawdzić, czy nasz człowiek przegrał CD, czy oryginalną płytę. Jeśli CD, **'Round Midnight** będzie zaraz po **Misterioso**, w przeciwnym razie to będzie ostatni kawałek. Przewinęła taśmę do końcowych akordów fortepianu i saksofonu. Po oklaskach i gwizdach zaczął się nowy utwór - znacznie bardziej chaotyczny, sycząco ekstatyczny, jakby powstały w przypływie nagłej inspiracji. To już nie jest muzyka, pomyślał Hjelm i poczuł się jak ignorant. Jakby saksofon i fortepian popychały się nawzajem w coś, co było albo arcydziełem, albo totalnym chaosem. Nie wiedział tylko, którym z nich bardziej. - Nie, nie, nie - pokręcił głową Chavez. - To nie jest **Round Midnight**.
- Nigdy tego nie słyszałam - zdziwiła się Holm. - Ciekawe.
- Co to oznacza? - zapytał Huitín.
- Możliwe, że dograł jakiś inny utwór - odezwał się niepewnie Chavez.
- Ale to przecież Monk - stwierdziła Holm. - Układające się warstwami melancholijne dźwięki. To on. Jego dłonie leżą niemal płasko na klawiaturze.
- To brzmi jak kontynuacja - powiedział Hjelm, spodziewając się, że eksperci odpowiedzą mu tylko głębokim westchnieniem. - Chyba nie było przerwy.
- Rzeczywiście nie było - przyznał ku jego zaskoczeniu Chavez. - Albo morderca jest jakimś zajebistym didżejem, albo...
- Albo - wtrąciła Holm - to jakieś unikalne nagranie.
- Skąd wy to wszystko, kurwa, wiecie? - zdziwił się Hjelm.
- Wiesz, co mówią muzycy jazzowi? - rzuciła Kerstin Holm.
- **Those who talk don't know, those who know don't talk.**

- Pewien mój rodak, to znaczy Chilijczyk - odezwał się Chavez i był to pierwszy raz, kiedy Hjelm usłyszał go mówiącego o swojej ojczyźnie - jak nikt zna się na dziwnych nagraniach jazzowych. Ma butik z płytami w Rinkeby. Możemy tam jutro pojechać.

Hultin miał już jak zawsze gotowy plan:

- Okej, ponieważ jak do tej pory to nasz najlepszy trop, możecie zająć się tym w trójkę: Holm, Chavez, Hjelm. Ale gdy Chilijczyk powie swoje, wrócisz do tropu zarządów, Jorge. Możliwe, że raczej tam powinniśmy szukać. Niewykluczone, że to morderstwo utnie trop finansowy - powiedział do Söderstedta, który nie wydawał się szczególnie zmartwiony. - Wówczas Pettersson i Floren wrócą do policji gospodarczej. Zobaczymy. Arto, sprawdzisz, czy ci czterej panowie nie mieli jakichś wspólnych interesów. Coś mi jednak mówi, że mamy tu do czynienia z innym typem ofiary. Nyberg zarzuci jak zwykle sieci na morzu kapusiów, może da się coś wyłowić. Norlander, jeśli czujesz się gotowy, żeby do nas wrócić, będziesz dalej zajmować się tropem mafijnym. Jakby nic się nie stało. Norlander kiwnął znacząco głową. Hultin dodał:

- Oczywiście pozostaje jeszcze najważniejsze pytanie: dlaczego wrócił? Po ponad miesiącu?

- A kasetą? - odpowiedział mu pytaniem Hjelm. - Będzie leżeć tygodniami u techników. Jeszcze coś wycieknie do prasy.

Hultin wyjął kasetę z odtwarzacza. Przez chwilę trzymał ją w ręku, jakby ważąc ryzyko. Potem rzucił ją Kerstin Holm.

- Znając naszego człowieka, sądzę, że nie ma na niej odcisków palców, poza tym wygląda jak zwykła kasetą firmy Maxell starszego typu. Nic szczególnego. Prawda?

Hjelm, Chavez i Holm spojrzeli na taśmę.

- Prawda - powiedział Chavez.

- Okej - powiedział Hultin, lekko wzdychając. - Dbajcie o nią.

Z GŁOŚNIKÓW sączyło się *Misterioso*, ciągle od nowa, jak samospełniająca się przepowiednia.

- Spaliście trochę w nocy? - zapytał Jorge Chavez. Jechali służbową mazdą Hjelm. Za kierownicą siedział Hjelm,

obok niego Kerstin Holm, która bez przerwy puszczała Theloniousa Mońka, a zajmujący miejsce z tyłu Chavez równie często zaglądał przez przednie fotele.

Hjelm i Holm odpowiedzieli mu tylko ociężałymi, poczerwieniałymi powiekami, które próbowało otworzyć uparte, letnie słońce. Bez powodzenia.

Był osiemnasty maja.

- Monk przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że jego muzyka zainspirowała seryjnego mordercę. - W głosie Chaveza nie słychać było smutku. Zwiertzyli coś. Nareszcie.

I tym razem nie doczekał się jednak żadnej odpowiedzi. Chyba nie czuł się z tym najlepiej.

- Zostałem w nocy na komendzie i przejrzałem składy zarządów. Sporo postukałem w klawiaturę. Są cztery możliwości. Najciekawszy wydaje się Sydbanken. W jego zarządzie siedzieli wszyscy czterej przez krótki okres w 1990 roku. Mówiąc w skrócie, to najjaśniejszy trop. Choć może bardziej interesujące jest to, że Enar Brandberg należał do zarządu Lovisedalu w czasie, gdy byli tam również Daggfeldt i Carlberger, czyli w 1991 roku. Chodzi o ten sam Lovisedal, który ma dziś problemy z działalnością ochroniarską Viktora X. GrimeBear, kumacie? Oczywiście jeśli założymy, że Strand-Julen to fałszywy trop. Jeśli jednak

nasz morderca zdecydował się skierować nas na fałszywy trop dopiero teraz, zabijając Brandberga, pozostaje oczywiście Ericsson i MEMAB.

I tym razem bez odpowiedzi.

I tym razem nie ostudziło to entuzjazmu Chaveza.

- Hultin ma na sto procent rację, że jeden z tych zarządów jest kluczem do rozwiązania zagadki.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle w miejscu, gdzie Ulvsundavagen spotyka się z prawej strony z Enkopingsva-gen biegnącą po trasie E18. Potem Ulvsundavagen przeszło dla odmiany w Hjilstavagen, też na E18. Na Europavagen nie spędzili zbyt wiele czasu.

- Skręć przy stacji benzynowej OK - powiedział Chavez. - Aleja Rinkeby. Zaparkujemy na końcu i przejdziemy przez rynek. Kupię trochę świeżego czosnku.

Hjelm przejechał aleję, zaparkował i odezwał się:

- Nieźle jesteś nakręcony.

- Inaczej od razu bym zasnął - odrzekł Chavez. Przecięli zalany słońcem targ. Stoiska uginały się od warzyw

i owoców w rozmiarach i odmianach, które rzadko można spotkać w zwykłych sklepach spożywczych. Hjelm pomyślał, że muszą być nafaszerowane środkami owadobójczymi. Poczł się jak stary, smutny nudziarz pośrodku kolorowej, płynącej przez targ rzeki ludzi. Chavez kupił wiązkę świeżego czosnku i pomachał nią przed nosem Hjelma.

- Precz, Nosferatu - parsknął.

Hjelm, który czuł, że zaśnie na stojąco, uniósł się z trumny z głupkowskim uśmieszkiem.

Przeszli kilka przecznic do centrum Rinkeby. W piwnicy jednego z szeregu identycznych domów mieścił się niewielki butik. Nie miał szyldu, ale miał za to bardzo zakurzone okna. Okazał się większy, niż myśleli, W środku było pełno ludzi: stali pochyleni nad niekończącymi się rzędami płyt z muzyką ze wszystkich stron świata. Grupka nastolatków różnego pochodzenia,

ale w takich samych luźnych ubraniach i odwróconych daszkiem do tyłu czapczkach, przewracała płyty w kącie z hip-hopem. Za ladą w głębi butiku siedział ciemny Indianin około pięćdziesiątki. Piłował paznokcie.

- Alberto! - wykrzyknął Chavez, ściskając Indianina, który na jego widok podniósł się z miejsca i okazał wielkoludem.

- Jorge, Jorge - powiedział mężczyzna po trwającym jakieś pół minuty przywitaniu. Potem wyrzucili z siebie kilka superszybkich zdań po hiszpańsku. Hjelm zrozumiał tylko „Skóvde” i odpowiedź Jorge „No, no, Sundsvall”. Chavez wskazał na nich ręką - Kerstin Holm stała z nareczem płyt z chorałami gregoriańskimi i powiedziała kilka słów po hiszpańsku, o wiele wolniej. Indianin zaśmiał się głośno. Hjelm uśmiechnął się do Alberta i pojął, że ten szczególny zapach, który uderzył go, gdy weszli do środka, był zapachem kadzidła. Na ladzie stała wyschnięta roślina, w której tkwiło zatknięte kadzidełko. - Chodźcie - powiedział Alberto do Hjelma łamanym, ale poprawnym szwedzkim. - Wejdźmy do świątyni.

Weszli do niewielkiego, zaciemnionego pomieszczenia ze stojącą pośrodku wieżą stereo najwyższej jakości. - Wiecie, że ja i Jorge to najlepsi szwedzko-chilijscy kontrabasiści?

- ***Esto son chorradas!*** - zawołał rozbawiony Chavez i wszedł do środka.

- To prawda, to prawda - zaśmiał się głośno Alberto. - Mogę prosić kasetę?

Kerstin Holm weszła ostatnia do pokoju. Trzymała w ręku trzy płyty CD. Po chwili udało jej się odszukać kasetę w torbie.

- Nie boisz się wychodzić ze sklepu? - zapytała, podając taśmę.

- Mnie nie okradną - odpowiedział tajemniczo Alberto i włożył kasetę do magnetofonu. Wysłuchali do końca ***Misterioso***. - Kiepska kopia - stwierdził. - Drugie lub trzecie nagranie, tak mi się zdaje. Raczej nie z CD. Nie słyhać też typowych trzasków longplaya. Najprawdopodobniej z klasycznej szpuli z lat pięćdziesiątych.

- Teraz - odezwał się Chavez, gdy rozległy się oklaski publiczności. Pierwsze improwizacje. Twarz Alberta pojaśniała.

- Aaaaaach - westchnął tylko i zaczął mówić szybko po hiszpańsku.

- Po szwedzku - upomniał go Chavez.

- Racja, wybaczcie. To bardzo, bardzo rzadkie. Nawet ja tego nie mam. Zaczekajcie, wysłucham do końca.

Chaos trwał jeszcze jakieś trzy minuty. Pod koniec jakby trochę się uspokoił. Jakby muzycy znaleźli wspólny rytm. Dziwne uczucie udzieliło się nawet Hjelmowi - rzucone w powietrze wstęgi spotkały się i złączyły w całość. Niezwykłe trzy minuty.

Alberto odchrząknął i zatrzymał kasetę.

- **Misterioso** zostało nagrane przez producenta i fanatyka Mońka Orrina Keepnewsa i technika Raya Fowlera magicznej nocy siódmego sierpnia 1958 roku w Five Spot Café w Nowym Jorku. Po śmierci Mońka, przy okazji wydania CD, Keepnews dodał kilka utworów, które odrzucili, nagrywając wcześniejszy **Riverside** dziewiątego czerwca. Nie ma ich tutaj. To musi być ta perełka, o której kiedyś słyszałem. Mówi się, że ten kawałek trafił na płytę, bo Ray Fowler zasnął po pijaku i zapomniał wyłączyć magnetofon. Może to tylko mit. Z czasem ta inspiracja została ochrzczone **Risky**.

Ryzykowne - tak to się mówi, prawda? **Arriesgado**, Jorge! Ani Keepnewsowi, ani Monkowi nie zależało jakoś szczególnie, żeby ten kawałek trafił na płytę, nie ma go również na płycie z utworami zebranymi, **The Complete Riverside Recordings**. Gdy to się zrodziło, to była czysta magia, ale potem jakby trochę siadło. Tak sądzili. Ale sami słyszycie, że nie mieli racji. Ktoś wyciągnął to z jakiegoś głębokiego archiwum i przegrał. - Słyszałeś o tym? - wtrącił Hjelm. - Kiedy, gdzie, jak?

- Jakoś w połowie lat osiemdziesiątych zaproponowano mi kupno nagrania. Amerykański muzyk jazzowy, mieszkający w Szwecji. Ale chciał za nie tysiąc dolarów. Nie miałem tyle kasy.

- Kto to był? - zapytał Chavez.

- Znasz go, Jorge. Kilka lat temu o mały włos z nim nie brzdąkałeś. Jim Barth Richards.
- Saksofonista tenorowy?
- Ten sam. White Jim. Najbielszy ze znanych mi muzyków jazzowych. Został w Szwecji. Lepsze domy opieki - tak się przynajmniej tłumaczył, gdy go ostatni raz widziałem. Chodzi na odwyk średnio co drugi miesiąc. Potem znowu w ciąg. Nie wiem, czy teraz gdzieś gra, czy leży w szpitalu. Podziękowali mu, zabrali kasetę i gdy już mieli wychodzić, doszedł ich głos z ciemności:
- Chcesz przegrać te płyty?
- Kerstin Holm spojrzała na swoje ręce. Trzymała w nich płyty z chorałami gregoriańskimi. Najwyraźniej całkiem o nich zapomniała.
- Ile to zajmie? - zapytał Chavez, zanim jeszcze Hjelm zdążył zaprotestować.
- Alberto zaśmiał się i otworzył drugą kieszonkę w magnetofonie. Wyjął kasetę.
- Gotowe - powiedział, odsłaniając w uśmiechu wszystkie zęby.
- Rzeczywiście, jeszcze nigdy wcześniej Hjelm nie widział aż tak jasnej skóry. Gdy zapukali do drzwi stylowej kawalerki Jima Bartha Richarda na Starym Mieście, mężczyzna był jeszcze stosunkowo trzeźwy. Miał około pięćdziesiątki i włosy tak samo białe jak skórę. Leżał wyciągnięty na materacu na podłodze, ubrany w T-shirt i szorty.
- Pewnie słyszałeś o nowym trendzie w amerykańskim jazzie? - zapytał Chavez. - Tym antydestrukcyjnym? Bracia Marsalis i jeszcze kilku bardziej radykalnych kolesi. Może czas już odstawić mit outsidera na półkę?
- Tradycjoniści! - odezwał się White Jim po szwedzku z amerykańskim akcentem. - Wydaje im się, że mogą tworzyć

muzykę, bo mają obkuta historię. To nie przedmiot w szkole! ***Where does their fucking pain come from! Books? Fucking mother's boys! Those who talk don't know, those who know don't talk.***

Hjelm i Holm wymienili szybko spojrzenia.

- Tworzą nowe, bo już wszystko znają - upierał się Chavez. - To w końcu nie jest aż tak cholernie dziwne. Znają każdy riff, każdy mały pasaż, każdy cholerny akord w historii jazzu. Z tego czerpią siłę i potrzebny im ból. Mogą korzystać z waszych osiągnięć bez konieczności powtarzania waszych błędów. To nowe podejście do sztuki.

- To jest prastare podejście do sztuki! - zawołał Richards, próbując opanować wściekłość. - Dopiero co się od niego uwolniliśmy. A wy chcecie z powrotem do ery powtórek! Cieszę się, że nie mieliśmy okazji razem zagrać, Jorge.

- To wy się powtarzacie, bo nie znacie własnej historii. Wydaje wam się, że tworzycie coś nowego, tylko dlatego że jesteście za bardzo naćpani, żeby stwierdzić, że to, co robicie, już zostało zrobione. Osobista ekspresja to tylko niekończąca się powtórka, okłamywanie siebie samego, i to w najgorszym stylu. Żeby stworzyć coś nowego, trzeba poznać to, co już zostało zrobione. Potem możemy mówić o nowym początku. O świcie historii. Świcie, który ma w sobie wszystkie inne, wcześniejsze świty.

- Typowe pieprzenie teoretyków! - nie wytrzymał White Jack. ***-All the pain comes from in here!***

-Uderzył się w chudą pierś; pod brudnym T-shirtem rysowały się wyraźnie żebra. Odbiło się echem. - ***You can never replace the direct feeling!***

- Właśnie o to chodzi! - krzyknął Jorge i zaczął kręcić się po zabałaganionym mieszkaniu. - Nie ma bezpośredniego ujścia ***from in here***. To nie stąd je czerpiesz. Ból musi zawsze przyjąć jakąś formę. Tylko że wy tego nie widzicie. Mylicie narkotykowe omamy z przyływem inspiracji i wciąż tylko wymyślacie na nowo koło! I jeszcze wam się wydaje, że to wy je wymyśliliście! To wasze gadanie o autentyczności!

Hjelm pomyślał, że nie zdążą z White Jima czeokolwiek wyciągnąć. Jeszcze chwila i wyrzuci ich za drzwi. Jim Barth Richards usiadł jednak na materacu, roześmiał się i poklepał miejsce obok siebie.

- *Sit down, for God's sake!*

Jorge usiadł, wziął do ręki butelkę jacka daniel'sa, którą White Jim wyczarował jemu tylko znanym sposobem, i pociągnął porządny łyk.

- Lepiej byś postawił na muzykę - powiedział White Jim. - Nie powinieneś być taki jak ci tutaj.

Wskazał palcem na Holm i Hjelma. - Bierzesz to na serio.

- Ci tutaj wiedzą więcej o muzyce niż ty. Roześmiali się. Hjelm niewiele z tego rozumiał. Kerstin Holm zaczęła spokojnie:

- Znamy na przykład krótką improwizację *Risky* autorstwa Mońka, Griffina, Malika i Haynesa, którą próbowałeś upchnąć jakieś dziesięć lat temu.

White Jim spojrzał na nią zdziwiony. Potem wybuchnął śmiechem.

- Trochę wam to zajęło! *All the priorities in their right places*. Z czymś takim przychodzą do starego saksofonisty aż trzy gliny! *I'm deeply honoured, people!*

- Nie przyszliśmy tu po to, żeby cię zamknąć. Chodzi nam o twoich klientów.

- Niewielu kupowało, *you know*. Kiedy Red Mitchell ściągnął mnie tu w połowie lat siedemdziesiątych, powiedział, że jesteście małym, ale kochającym jazz ludem mieszkającym nad lodowatym morzem. Przegrałem więc ile się dało z tej i innych oryginalnych taśm, które Griffin pokazał mi na początku lat sześćdziesiątych. Wiecie, brzdąkałem wtedy sporo z Johnnym, byłem młody, zielony i pełen entuzjazmu. Powiedział, że jest sporo niepublikowanego materiału z czasów Five Spot, jak *'Round Midnight, Evidence* czy *Risky* i jeszcze kilka innych, *mo-therfucking tunes*. Teraz większość z nich już trafiła na rynek, bo

-jak się on nazywał, ten producent? Bo Keepnews potrzebował kasy. Ale **Risky** i jeszcze kilka innych to moje **babies**. Nie zostały wydane. No nic, kurwa, wziąłem ze Stanów dziesięć różnych taśm i próbowałem jakoś je upłynnić. **Risky** poszło jako jedno z ostatnich, jakoś tak w osiemdziesiątym piątym, osiemdziesiątym szóstym roku. Wtedy zrozumiałem, kim byli moi klienci. Było ich pięciu, więcej chętnych nie znalazłem. Płacili furę zielonych za dosyć kiepskie piraty. **Fucking illegal**. Nie miałem żadnych praw. Zostały mi zresztą dwie taśmy, będzie na emeryturę.

- Czy to oznacza, że zachowałeś adresy tych, co kupili od ciebie nagranie **Risky**? - Kerstin Holm nie owijała w bawełnę.

- **Sure**. Od początku lat osiemdziesiątych to byli ciągle ci sami goście. Wielbiciele jazzu? Być może. Wielbiciele kuriozów? Z całą pewnością. Jeśli tylko nie wsadzicie ich za kratki, dostaniecie te adresy. Dwa w Sztokholmie, dwa w Göteborgu, jeden w Mal-mó. **Big city democracy**, do diabła. Gdzieś tu miałem ten mój cholerny żółty notes.

Rzucili się do przeszukiwania wysypiska, które tylko z ogromną dawką dobrej woli można było nazwać mieszkaniem. Odrzucali na bok coraz dziwniejsze przedmioty: leżącą pod biurkiem głowę węża boa, która rozsypała się w proch w rękach Hjelma, brudne ubrania, karton po butach wypchany polskimi złotówkami, znowu brudne ubrania, stare fińskie pornosy z czarnymi paskami zasłaniającymi organy płciowe, kolejne brudne ubrania, kilka noży do rzucania z Botswany, całe sterty brudnych ubrań, trzynaście rozrzuconych i nieumytych kufli z logo Guin-nessa, jakiś longplay bez okładki, ale za to z autografem Billa Evansa wyrytym bezpośrednio na płycie, i stopy rachunków z barów.

- Na co ci te rachunki? - zapytał Chavez, wyciągając żółty notes z pary najwyraźniej nieświeżych kalesonów.

- Podatki - odpowiedział White Jim i przełknął duży łyk jacka daniel'sa. Jak w roladzie z indyka, pomyślał Hjelma.

Chavez zapisał nazwiska i adresy na jednym z rachunków, oddał żółty notes White Jimowi, który ten rzucił, nie patrząc, przed siebie, beknął i zasnął na siedząco.

Chavez i Holm ułożyli go na materacu i przykryli jego kre-dowobiałe ciało kocem.

- To jest - powiedział Jorge, kiedy wyszli w słońce - wielki muzyk.

Kerstin Holm pokiwała głową.

Hjelm nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Chavez wrócił niechętnie na komendę. Hjelm podrzucił Holm pod najbliższy ze sztokholmskich adresów White Jima, sam pojechał pod ten dalszy.

Kerstin Holm przypadł Erik Radholm; major na emeryturze zamieszkały na Linnegatan.

Dystyngowany, starszy pan, którego pasja do rzadkich nagrań jazzowych była równie wielka, co nieoczekiwana. Wyglądał, jak to potem opisywała Holm, jak prawdziwy wielbiciel Sousy, to znaczy człowiek, dla którego rytm to nie to samo co takt. Posiadał ogromny zbiór pirackich nagrań z najtajniejszych klubów jazzowych, od Karelii poczynając, na Ghanie kończąc. Z początku nie chciał się do niczego przyznać, jednak pod wpływem metod, których Holm nie chciała zdradzić, zaczął, nie bez dumy, pokazywać swoją imponującą kolekcję, ukrytą za ruchomym regałem na książki.

Przysięgał, tu cytat: „na ojczyznę i chorągiew”, że do głowy by mu nie przyszło skopiować któreś ze swoich cennych nagrań. Pokazał też Holm kasetę z **Risky**, którą kupił od Jima Bartha. Przez kolejne dwie godziny słuchała jeszcze nagrań Lestera Younga z Salzburga i Kenny'ego Clarke'a z hotelu w Hudiksvall.

Paul Hjelm pojechał do Marsty, gdzie odwiedził ciężko upośledzonego Rogera Palmberga, którego pewnego dnia potrafił jadący ze Sztokholmu do Kiruny ekspres Norrlandspilen. Nie bez jego zgody, jak wyjaśnił, korzystając ze swojego elektronicznego

aparatu mowy. W wypadku nie ucierpiał tylko słuch, który dla odmiany jeszcze się wyostrzył. Wysłuchali razem nagrania *Risky*, a Roger Palmberg wytłumaczył mu każdy najmniejszy dźwięk: co się działo, gdzie się działo i dlaczego się działo. Hjelm był jak zaczarowany. Coraz bardziej zastanawiał się nad powiedzeniem *Those who talk don't know, those who know don't talk*. W środku tego zrujnowanego ciała siedział najbardziej wrażliwy odbiorca, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. I nie chodziło tylko o muzykę. Uwaga, z jaką słuchał opowieści Hjelma, sprawiła, że ten powiedział mu niemal wszystko na temat dochodzenia. Palmberga zaciekał trop kasety, przysiągł, że jest niewinny, i wymógł na Hjelmie, że odezwie się do niego, 'gdy już zakończą śledztwo. Kasety Palmberga nie słyszał nikt poza nim, głównie dlatego, że nikt go nigdy nie odwiedzał. Był człowiekiem samotnym; nauczył się z tym żyć. Skupił się na muzyce. Wysłuchali kilku nagrań z udziałem Jima Bartha Richard-sa z końca lat sześćdziesiątych, dzięki czemu Hjelm zrozumiał, kogo tak naprawdę odwiedzili w zapuszczonej kawalerce na Starym Mieście. Gdy wychodził z mieszkania Rogera Palmberga, tylko częściowo przystosowanego do potrzeb osoby niepełnosprawnej, poczuł, że po drugiej stronie Sztokholmu ma od dziś przyjaciela.

PAUL Hjelm celowo podkrecał tempo, gdy tylko udało mu się coś zwęszyć. Nie miał już czasu, żeby wystawać przed lustrem i zastanawiać się, czy pryszcz urósł od zeszłego tygodnia, nie miał czasu, żeby myśleć, że wypełnia go próżnia - wielka dziura w ożywionym i zmiennym otoczeniu, nie miał już nawet czasu przyglądać się szczelinie, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się w jego małżeństwie. Tak było i tym razem. Zapach kasety magnetofonowej zdominował wszystkie inne zapachy. Hjelm przygotowywał się do wyjazdu do Göteborga i Mal-mó, gdzie zamierzał spotkać się z pozostałymi trzema właścicielami kasety z improwizacją *Risky* Theloniousa Mońka - która była jak krótki ogonek wart tysiąc dolarów. Również Hultin nie dostrzegł w rozmówcach jego i Kerstin potencjalnych morderców. Mógł być nim jednak któryś z trzech pozostałych mężczyzn - co do tego byli zgodni. Niechęć majora Radholma do przegrywania kaset była chyba typowa dla tego rodzaju entuzjastów jazzu. Prawdopodobnie nie istniało wiele kopii tych nagrań. Po drugiej stronie ściany do podróży szykowała się Kerstin Holm. Mieli jechać razem. Zdążył ją już poznać i przypuszczał, że i jej pole widzenia zawężyło się, jakby znalazła się w tunelu. Nie istniało nic poza nim. I wtedy zadzwonił telefon z Dalaró. Hjelm podniósł zestresowany słuchawkę. Chavez przyglądał mu się zza biurka: czerwona plamka na lewym policzku Hjelma stawała się coraz wyraźniejsza. Reszta twarzy zbladła.

W czasie całej rozmowy Hjelm nie odezwał się ani słowem. Stał w miejscu, biały jak kreda. Chavez pomyślał, że pryszcz na policzku przypomina pulsujące serce. Odkładając słuchawkę, Hjelm dwukrotnie nie trafił w aparat.

Jorge czekał.

- Gila odeszła - wyszeptał Paul.

Jorge nie powiedział ani słowa. Położył długopis na biurku.

- Dzwoniła z Dalaró. Nie chce, żebym do niej przyjeżdżał. Musi się zastanowić.

Kiedy Kerstin Holm weszła do pokoju, zobaczyła, jak Chavez obejmuje Hjelma. Cicho zamknęła za sobą drzwi.

W taksówce na lotnisko Arlanda zadała tylko jedno pytanie.

- Dasz radę?

Hjelm skinął sztywno głową.

Pomyślała, że czerwony pryszcz na jego bladym policzku wygląda jak znak szwedzkich wagabundów

- przekrzywiony lekko leżący prostokąt.

Nie pamiętała tylko, co takiego oznacza.

W samolocie lecącym do Góteborga twarz Hjelma nabrała z powrotem koloru, a Kerstin Holm przypomniała sobie, co takiego oznacza leżący prostokąt. Włóczędzy malowali go na domach, w których mieszkali bezwzględni i brutalni ludzie.

Teraz był już prawie niewidoczny.

Hjelm był już z powrotem w swoim tunelu - jego pole widzenia jeszcze nigdy aż tak się zawężyło.

Odczuwał fizycznie, jak przechodzi z jednego ekstremum w drugie. Bo po rozmowie z Cillą poszerzyło się do granic absurdu - tak, że wydawało mu się, że widzi dokoła głowy. Całkowicie zdekoncentrowany wzrok, który obejmuje wszystko, nie mogąc się na niczym sku-

pić. Obrzydliwy stan. Poczucie absolutnego rozpadu. A potem powrót do tunelu, staranna cenzura, jakby w akcie samoobrony.

Hjelm zadzwonił do domu z lotniska Landvetter i rozmawiał długo z Tovą o tym, co tak naprawdę się stało. Telefon odebrał Danne, ale tylko coś mu odburknął; najwyraźniej w jego oczach to wszystko była jego wina. Z drugiej strony w piekle dojrzewającego syna i tak wszystko było jego winą. Cilla powiedziała Towie, że mama i tata muszą po prostu побыć jakiś czas z dala od siebie, to wszystko. Prawie nie poznała matki po głosie. Hjelm starał się, jak mógł, wytłumaczyć jej ich sytuację; po chwili dotarło do niego, że rozmawiając z córką, używa pustych frazesów. Zapytał, czy dadzą sobie radę sami przez te kilka dni. Tova zaśmiała się i powiedziała, że od czasu, gdy mama postanowiła się przenieść na Dalaró, a tata zaczął pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, nie robią nic innego. Kiedy w słuchawce zrobiło się cicho, pomyślał, że nigdy nie przyszło mu to do głowy.

Pojechali do właścicieli kaset. Pierwszy z nich mieszkał niedaleko Hagi, w dzielnicy Ölivedal, a dokładnie na Kastell-gatan, nieopodal Skansen Kronan na wzgórzu Skansberget w Skansparken przy rynku Skanstorget. Stary nauczyciel muzyki Egon Hasselgren był ze wszystkich stron otoczony przez skanseny. Wkrótce też doszli do tego samego wniosku, co po spotkaniach z właścicielami dwóch poprzednich kaset. Niczego tu nie znajdą.

Do eleganckiego trzypokojowego mieszkania Hasselgrena dotarli późnym popołudniem. Słońce jeszcze grzało, a Göteborg przykrywała gruba warstwa spalin. Nie było czym oddychać. Korpulentny Hasselgren otworzył im drzwi odziany w klasyczną kolczugę, przez której oczka na jego okazałej klatce piersiowej wystawały siwe kępki włosów. W tle grał Thelonious Monk.

- *52nd Street-theme* - odezwała się Kerstin Holm, otwierając jednocześnie drzwi do mieszkania i serca starego nauczyciela muzyki.

Rzeczywiście, nagranie Mońka z końcowym utworem *Risky* kupił od White Jima za zaliczeniem pocztowym. Nie, po prostu dał ogłoszenie w jakimś branżowym piśmie, którego kilka numerów ukazało się w połowie lat osiemdziesiątych. Szukał nieznanych nagrań z lat 1957-1959. Dostał odpowiedź od White Jima. Tak, ma jeszcze taśmę. Ależ oczywiście, puszczał ją swoim uczniom. Nie, nie podobało im się. Mimo to dalej kazał im słuchać jazzu z końca lat pięćdziesiątych. Tak, to właśnie bebop z lat 1957-1959 był największym odkryciem artystycznym lat dziewięćdziesiątych - chyba nie było ucznia, który by o nim nie słyszał. Nie, nigdy nie przeagrał kasety. Nie przyszło mu to nawet do głowy.

Podziękowali i wyszli. Gdy znaleźli się na Kastellgatan, spojrzeli w jego okno. Grubas w kolczudze przyglądał się im z zainteresowaniem.

Kolejny właściciel kasety okazał się knajpą, do tego nieczynną. Spojrzeli w wygasłe oczy Arnolda Schwarzeneggera, które patrzyły na nich z okna wystawowego wypożyczalni kaset wideo w miejscu dawnej Café Ricardo, na Ankargatan przy rynku Karla Johana.

- Wreszcie u siebie? - zapytał.

- Nie w tej części miasta - odpowiedziała.

Zadzwoiła na swoją dawną komendę przy Fårgaregatan niedaleko Odinsplatsen. Przez dłuższą chwilę rozmawiała w budce telefonicznej. Nie słyszał nic z tego, co mówiła. Dla zabicia czasu bawił się komórką w kieszeni kurtki. Widział, jak się rozchmurza, jak śmieje się głośno, choć bez żadnego dźwięku, jak wygina usta w podkówkę, jakby przepraszała, prezentując imponujący repertuar min i gestów, których do tej pory nie widział. Wyjątkowo atrakcyjna pantomima, pomyślał Hjelm i poczuł wyraźnie, że stoi po drugiej stronie szyby.

- Ten Guido z nieczynnej już Café Ricardo, którego nazwiska nie zanotował White Jim - powiedziała bezbarwnym głosem, wychodząc z budki. Uznał, że ta obojętność odnosi się do niego.

- Nazywa się Guido Cassola i jest właścicielem nowej i bardziej eleganckiej knajpy bliżej centrum, na Kyrkogatan - II Barone.

- To daleko?

- Nie byłeś nigdy w Göteborgu? To tutaj to Majoma. Kyrkogatan leży za Vallgraven. W City, jak to mówicie w Sztokholmie. Będzie kawałek.

- Za daleko, żeby iść pieszo?

- Skąd. Po drodze opowiem ci trochę o mieście.

Zapadł już wieczór, a oni szli ulicami Göteborga. I choć były to godziny szczytu w mieście, które co jakiś czas musi ograniczać ruch z powodu nadmiernej ilości spalin w powietrzu, spacer był przyjemny. Przez niecałą godzinę Hjelm czuł się tak, jakby jego pole widzenia trochę się poszerzyło, nie sprawiając mu przy tym bólu. Nie miał wątpliwości, że zawdzięczał to Kerstin Holm. Była w swoim żywiole: doskonały przewodnik po ukochanym mieście. Jemu też Göteborg wydawał się coraz przyjemniejszy, choć może nie tak piękny jak Sztokholm. Rozmawiali ze sobą, rozmawiając o mieście. To, co dotychczas było zamknięte, nagle się otworzyło. Kerstin opowiadała, a Paul pytał o rezerwat Gathenhielm i Masthuggskyrkan, o Hagę i Järntorget, o Feskekyrkan i dziwny Sociala Huset po drugiej stronie Vallgraven. Przecięli Kungsparken i przeszli Vallgraven niewielkim mostkiem, po czym skierowali się w stronę Kungstorget, gdzie Kerstin opowiedziała mu o katedrze. I nagle już byli na miejscu. W czasie całego spaceru nie poruszyli niczego osobistego; mimo to zaszło między nimi coś bardzo osobistego.

Weszli do II Barone. Dochodziła dopiero szósta, ale w środku siedziało mnóstwo ludzi. W tym włoskim barze było coś z atmosfery angielskiego pubu. Zapytali kelnerkę o Guida Cassolę

- wskazała im drzwi do biura. Zapukali. Otworzył im Cassola.

Wyglądał jak prawdziwy boss mafii, ale był wyjątkowo miły i do tego bardzo uczynny. Wysłuchał ich z uwagą i odpowiedział:

- Zmówiłem się z Jimem Barthem Richardsem, gdy przyjechał grać do Góteborga gdzieś pod koniec lat siedemdziesiątych. Powiedział, że ma na zbyciu kilka nieznanych nagrań Mońka. Sprzedawał tylko czasem, gdy był w dołku finansowym, tak mi się zdaje. Kupiłem cztery. Ostatnie, to, o które pytaacie, latem osiemdziesiątego piątego. Zwykle gram trochę jazzu około północy, to takie moje osobiste **Round Midnight**. Wybieram wtedy te mniej znane nagrania, głównie po to, żeby sprawdzić, czy ktoś zareaguje.

- I co, doczekałeś się? - zapytała Holm.

- Nie bezpośrednio na **Risky**, tak mi się zdaje. Możliwe, że na kilka innych.

- Czy kiedykolwiek przegrałeś tę kasetę?

Guido Cassola zastanowił się przez chwilę. Podrapał się pod nosem.

- Za czasów Café Ricardo miałem wspólnika, który miał drugi, bliźniaczy lokal. Nazywał się Café Tregua, leżał kilka przecznic dalej, też na Majoma. Mieliśmy taką zasadę, że wszystko robimy tak samo, puszczałyśmy nawet tę samą muzykę. Jestem prawie pewien, że przegrałem **Risky** dla Rogera.

- Rogera?

- Roger Hackzell. Później trochę się poprzytykaliśmy i w końcu zerwaliśmy współpracę. Wyjechał z Góteborga pod koniec lat osiemdziesiątych i otworzył knajpę gdzieś na południu, chyba w Smalandii. Nazywa się Hackat och Malet*. Prowadzi ją razem z naszym wspólnym starym znajomym, Jarim Malinenem. Hackzell i Malinen. Hackat och Malet. Całkiem sprytnie. W Jónkóping albo w Váxjö, albo w Kalmarze.

- Mógłbyś przynieść kasetę? - zapytała Holm, wskazując jednocześnie na telefon. Cassola kiwnął głową i wszedł do

Hackat och Malet (szw.) - Siekane i Mielone.

biura. Holm zadzwoniła na swoją dawną komendę, trzeci rewir. Tym razem była bardziej szorstka. Hjelmowi wydawało się, że to przez niego. Chociaż ostatnio ciągle coś mu się wydawało.

- Cześć, to znowu ja - powiedziała do słuchawki. - Tak, wiem. Ale co by zrobił Rikskrim bez swojej piechoty? No, dobra, wiem, trochę kadzę... No nic... A więc chodzi mi o knajpę Hackat och Malet. W Smalandii. Prawdopodobnie w Jónköping albo w Vaxjo, albo w Kalmarze. Dobra. Nie, jeszcze zadzwonię. Skąd mam, kurwa, wiedzieć, jak on się ma! Mam nadzieję, że jak najgorzej. Daj spokój. Cześć.

- Twój były jest gliną? - zauważył Hjelm błyskotliwie. Tak mu się przynajmniej wydawało.

- Wady chowu wsobnego - odpowiedziała i spojrzała na niego w trudny do zinterpretowania sposób. Guido Cassola wrócił z kasetą i włączył niewielki odtwarzacz na biurku. To była ich kasetka.

They're playing our song, pomyślał Hjelm i poczuł, że zaraz zwymiotuje.

Do Malmö poleciecieli wieczornym samolotem. Kerstin Holm zadzwoniła z Landvetter do trzeciego rewiru na Fargaregatan i dostała adres Hackat och Malet. W Vaxjo.

W czasie krótkiego lotu Hjelm spał głęboko, ale nic mu się nie śniło. Kiedy obudziła go Holm, wydawało mu się, że jednak coś mu się śniło i to coś ważnego.

Choć było już późno, postanowili odnaleźć piątego i ostatniego nabywcę kasety z nagraniami Mońka. Wszystko szlag trafił. Podróż do Malmö skomplikowała tylko sprawę. Pojechali do Roberta Granskoga na Barkgatan w Mól-levangen. Na trzecim piętrze, gdzie powinien był mieszkać, na żadnych drzwiach nie było jednak wizytówki z jego nazwiskiem. Zadzwonili do wszystkich czworga drzwi na piętrze, ale

otworzono im dopiero ostatnie. Od młodej, krótko ostrzyżonej dziewczyny usłyszeli, że Robert Granskog rzeczywiście przebywał tu do dziewięćdziesiątego drugiego, wtedy też się tu wprowadziła. Granskog zmarł w mieszkaniu, a że jego śmierć nie należała do najpiękniejszych, kupiła je po okazyjnej cenie. Nie bała się duchów, dodała z lekko wymuszoną impertynencją.

W drodze do centrum zastanawiali się, jak zlokalizować mienie po zmarłym Granskogu. Szanse były niewielkie. Mimo to postanowili, że nazajutrz podzielą się zadaniami. Holm zostanie w Malmö i spróbuje namierzyć spadkobierców Roberta Granskoga, a Hjelm pojedzie pociągiem do Växjö. Wieczór zakończyli w miłej francuskiej knajpce przy Stortorget, zaledwie kilka przecznic od hotelu Savoy.

Hjelm zamówił wyśmienity, cudownie soczysty *boeuf Bourguignon* ze smażonymi ziemniaczkami przyprawionymi szałwią, a Holm równie soczystą wołowinę po prowansalsku z oliwkami i zapiekany w czosnku ziemniaki. Nawet przez chwilę nie zastanawiali się, czy kierownictwo Rikskrim zwróci im za dwie butelki wyjątkowo głębokiego w smaku, z wyczuwalnymi nutami przypraw, *domaine du vieux lazaret*.

Z początku rozmawiali o pracy. O Daggfeldcie, Strand-Julénie i Carlbergerze. O zachowaniu Anny-Clary Hummelstrand. O rodzinach, które wydawały się nie opłakiwać znanym zmarłych. Wymyślali nowe nazwy dla dziwnego tworu, którym była Drużyna A. Drużyna Alienacja. Siła Ataku. Dzieci A. Zespół A. Akcje A. Antypatyczni. Rozmawiali długo o samozwańczej wyprawie Norlandera do kamienicy w Tallinie. Zebrało im się na wisielczy humor: żartowali o przybitym do podłogi bohaterze, którego powrót był czymś w rodzaju *Second Coming of Christ*. Rozmawiali o odłożonym tymczasem na bok konflikcie Norlandera z Söderstedtem, o wielkim Nybergu w roli Mistera Szwecji i śpiewaka w kościelnym chórze, o przyklejonym do komputera Chavezie w roli wykwalifikowanego kontrabasisty jazzowego

i o surowym Hultinie jako o bezwzględnym obrońcy w futbolowej drużynie weteranów. Historia rozciętej brwi ojca Cha-veza doprowadziła ich do łez. Zastanawiali się, co takiego przydarzyło się Arto Söderstedtowi w Finlandii.

Zdobyli się na większą prywatność. Kerstin opowiedziała o swoim zainteresowaniu muzyką, o tym, że żyje w jej wnętrzu, w ciągłym z nią kontakcie. Paul mówił o dzieciach; omijał starannie temat Cilli. Opowiedział o Dritérze Frakulli, o dramacie zakładników i procesie, o Grundstrómie i Biurze Spraw Wewnętrznych i nagle ją zapytał:

- Co miałaś na myśli, gdy zapytałaś, czy jestem szczęśliwie żonaty? To znaczy „naprawdę szczęśliwie”, jak to określiłaś?

Jej ciemne oczy spojrzały na niego zza kieliszka wina. Każde z nich zaciągnęło się papierosem.

- Pomyślałam, że nie jesteś.

- Zawsze tak mi się wydawało. Dosyć szczęśliwy.

- Było coś, co przenosiłeś na pracę, na pracę w policji, nie potrafiłam określić co dokładnie. Nadal nie potrafię. To było bardziej wyraźne niż u innych, dlatego mnie zainteresowało. Tak jakbyś przez cały czas szukał w pracy czegoś jeszcze, jakbyś tak naprawdę wcale nie zajmował się dochodzeniem. Być może rozpoznałam w tobie siebie...

- Aż tak mi się przyglądałaś? Uśmiechnęła się delikatnie.

- Przyglądam się każdemu, kogo spotykam. Może to jest to, co nazywają wzrokiem policjantki. Nie bierz tego do siebie.

- A może chcę. Nachyliła się do niego.

- Nie zapominaj, że jesteś teraz lekko skołowany. Turbulencje. Ziemia usuwa ci się spod stóp. Nie chcę być jakimś... surogatem...

Odchylił się na krześle i zaciągnął papierosem. Wziął ostatni łyk wina i patrzył wysoko w sufit i gdzieś obok. Gdzieś daleko obok.

Kiedy szli ciepłą majową nocą w stronę Ostra Hamnkanalen, objęli się, jakby niewiele się nad tym zastanawiając. Żartowali i śmiali się.

- Zrobiłaś to? - wypalił nagle.

- Co takiego?

- To, co ci zaproponowała Anna-Clara Hummelstrand. Wiesz, ten jej oliwkowo-brązowy galijski organ?

Spojrzał jej w oczy. Rozczarowanie?

Poczuł, jak zmrok nim szarpnął niczym pociągnięcie smyczkiem.

Odpowiedziała ze spokojem, nie uwalniając się z objęcia:

- Kiedy już zacznę się onanizować na myśl o pobudzonych członkach francuskich żigolaków żon naszych potentatów gospodarczych, to będę wiedzieć, że ze mną kiepsko.

Zeszli, zanosząc się śmiechem, na Norra Vallgatan. Savoy był tuż za rogiem. Przy narożnym oknie siedziała przy kolacji grupka osób. Przemawiał elegancko ubrany starszy pan. Całe szczęście, że zjedli poza hotelem, pomyśleli i zstąpili nad kanał, żeby popatrzeć na zabrudzoną wodę. Nic szczególnego.

Po chwili weszli do środka, odebrali klucze i wspięli się na piętro. Ich pokoje sąsiadowały ze sobą.

Przez chwilę stali w korytarzu, lekko się zataczając. Potem Kerstin włożyła klucz do zamka ze słowami: - Tak będzie lepiej.

Puściła buziaka i zostawiła go samego z jego przywidzeniami.

Erynie, pomyślał, wchodząc do ciemnego pokoju, który nie był wcale przytulny, choć na taki go stylizowano. Czy duch zamordowanej uczuciowo kobiety może chodzić za człowiekiem, mimo że kobieta jest wciąż przy życiu? Nie do końca rozumiał, czemu tak naprawdę jest winien.

Udało mu się jeszcze ściągnąć dżinsową kurtkę i spodnie, potem runął w koszuli na łóżko. Przez mgłę zobaczył, jak kochają się z Cillą na pomoście w Dalaró, o zachodzie słońca, widział pustą butelkę po winie przetaczającą się między udami.

Jej wzrok był nieobecny; wpatrywała się w rubin zachodzącego słońca. Obok nich siedziała Kerstin Holm, z szeroko rozłożonymi nogami na biurku. Przyglądała im się. Jej ciemne oczy zatrzymały się na jego członku; patrzyła, jak zanurza się w pochwie Cilli i wychodzi z niej. Zsunęła nieco powiewne, czarne spodnie; jej ręka poruszała się pod majtkami. W górę i w dół; powoli, metodycznie. Potem odeszła od biurka i stanęła na pomoście. Pochyliła się nad nimi i pogłaskała delikatnie ich nagie ciała. Zdjęła sweter, odsłaniając parę pięknych, drobnych piersi, potem ściągnęła ostrożnie spodnie i usiadła obok nich z rozchylonymi nogami. Jej dłonie przesuwają się po wewnętrznej stronie ud. Wyciągnęła rękę i złączyła palec wskazujący z kciukiem, oplatając jego członek. Wyszedł z Cilli i położył się na plecach. Cilla złapała go za członek, dosiadła go. Gdy go ujeżdżała, Kerstin przytrzymywała ją delikatnie za pośladki. Potem położyła się obok Paula i całowała go, wsuwając w niego szybko język. Przyłożyła swój palec do łona i dała mu do zlizania. Usiadła w rozkroku nad jego twarzą, zwrócona przodem do Cilli. Usłyszał, jak całują się namiętnie. Jego członek zanurzał się w Cilli i wychodził z niej, jego język zanurzał się i wychodził z Kerstin. Spełnienie. Wszystko było ciałem. A więc tam była. Nie było jej tam. Poczul, jak podnosi mu koszulę. A może sam to zrobił? Wciąż był na pomoście. Zsunęła mu spodenki. A może sam to zrobił? Zobaczył ją obok siebie na łóżku. Była naga. Leżała obok i patrzyła na jego członek; miał wzwód. Dawno już tak się nie czuł. Masturbowała się. Czy rozumiała, czego on pragnie? Czy przyszła, żeby spełnić pragnienia? Jego czy jej? Czy naprawdę tu była? Złapał ją za uda i obrócił nieco, żeby móc patrzeć na nią, gdy pociera swoje piękne, zwieńczone czernią, krocze. Ścisnęła wargi sromowe i zaraz wcisnęła palce głębiej, drażniąc stwardniałą z podniecenia łechtaczkę. Pocierała ją długo jedną ręką, kręcąc przy tym pośladkami i wsuwając głębiej palce drugiej ręki, po chwili znowu wysuwając. Leżał, przyglądając się tej długiej pieścizocie. Jej ciemne oczy zaszyły mgłą; otworzyła

je szeroko, wygięła się i odrzuciła głowę do tyłu, dusząc krzyk z głębi gardła. Przez chwilę leżała nieruchomo. Potem pochyliła się nad nim i ssała jego członek. Długo, bardzo długo, w bólu rozkoszy czuł na sobie jej ostre zęby. Otworzyła się, a on wtrysnął w nią głęboko, bardzo głęboko. Rozkoszowała się rozchodzącym się w niej ciepłem. Potem doprowadził ją językiem do drugiego orgazmu. Smaki mieszały się ze sobą. Potem zniknęła. Następnego dnia nie wiedział, co tak naprawdę się zdarzyło.

WYSIADŁ Z pociągu na stacji w Våxjö, zaszedł do kawiarni na dworcu, wypił kawę, zjadł kanapkę i kupił mapę centrum miasta. Spóźnił się na śniadanie w hotelu Savoy w Malmö. Po raz dziesiąty wyjął list od Kerstin, który zostawiła dla niego w recepcji. Próbował go rozszyfrować:

Paul. Dzięki za wczoraj. Gdy wychodziłam, jeszcze słodko spałeś

- stąd mój list. Zgodnie z naszymi ustaleniami, wyruszam na poszukiwania bliskich Roberta Granskoga. Do zobaczenia w słynnym Centrum Dowodzenia. Uściski, Kerstin.

Dzięki za wczoraj? Spałeś, kiedy wychodziłam? Wciąż nie był pewien, czy była u niego tej nocy. Wszystko to mogło być wytworem jego podnieconej wyobraźni. Nie wiedział.

Pisząc ***dzięki za wczoraj***, mogła równie dobrze mieć na myśli ich wieczór w restauracji, a ***gdy wychodziłam, jeszcze słodko spałeś***

- to, że nie słyszał jej pukania do drzwi. Poza tym niby jak miała dostać się do środka? Przecież nie miała klucza. Chyba że zostawił niedomknięte drzwi...

Nienawidził tego uczucia, tej niewiedzy, to był jego naturalny odruch, choć z drugiej strony było w tym coś pociągającego. Po raz pierwszy coś w nim nie chciało usłyszeć ostatecznej odpowiedzi. Nie potrzebował nic więcej.

Przynajmniej na razie.

Spojrzał na mapę i zlokalizował restaurację Hackat och Malet. Pomyślał, że to pewnie jedna z tych knajp, do których chodzi się na lunch - być może uda mu się spotkać z Hackzellem już teraz. Leżała niedaleko. Centrum Våxjö nie było zresztą zbyt duże.

Lokal był niewielki, ruch w porze lunchu też jakby ustał. Zbliżała się druga. W środku stała szafa grająca, na ścianach wisiała skrzyżowana broń, reklamy różnych gatunków piwa, kilka plakatów Andy'ego Warhola. Dosyć tradycyjnie urządzony. Od tkwiącego za barem barczystego mężczyzny z wąsem bił taki autorytet, że musiał to być jeden z właścicieli. Siekany Hackzell albo mielony Malinen. Był to Roger Hackzell we własnej osobie.

Hjelm zapytał o Guida Cassolę, o Café Ricardo i Café Tregua. Odburknął mu twierdząco.

Potem zapytał o kasetę - tak szczegółowo, jak tylko potrafił. Brakowało mu wiedzy Kerstin i Jorge.

Gdy Hackzell zastanawiał się nad odpowiedzią, Hjelmą naszła ochota na wódkę. Zamówił osiemdziesiątkę. Hackzell spojrział na niego zdziwiony, po czym nalał mu sporą szklanekę z butelki z napisem Absolut. Pewnie zobaczył w nim policjanta z poważnym problemem alkoholowym. Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos był równie opryskliwy jak wcześniej.

- Poszukam. Nie znam się na jazzie, ale mam większość tych durnych nagrań Guida. Zaczekaj chwilę.

Hjelm przyglądał się stojącej przed nim szklance. Wsadził do środka nos i powąchał podejrzliwie.

Kiedy ostatni goście wyszli z lokalu, podszedł do ich stolika, chwycił pustą butelkę po wodzie i wrócił do baru. Przełał wódkę do butelki, wziął korek po winie z koszyczka na ladzie, wcisnął go w butelkę i włożył ją do kieszeni. Po chwili zjawił się Hackzell.

- Przykro mi - powiedział. - Nie znalazłem tej taśmy. Mogła zginąć w czasie przeprowadzki z Góteborga.

Hjelm skinął głową, zapłacił i wyszedł na słońce.

Udał się w stronę sklepu monopolowego Systembolaget, by zasięgnąć porady ekspedientki. Wydała mu się jeszcze większą ignorantką niż on sam.

- Czy da się rozpoznać rodzaj wódki, czy wódka zawsze smakuje tak samo?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała ekspedientka najczystszy smalandzkim dialektem.

- Chciałbym rozmawiać z szefem. - Pokazał legitymację. To zawsze ucinano niepotrzebne dyskusje. Do lady podszedł poważny mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur. Hjelm powtórzył pytanie.

- Doprawdy nie wiem - powiedział mężczyzna. - Wódka to najczystszy, najmniej doprawiany ze znanych mi alkoholi. Wydaje mi się, że jedyne, co można rozróżnić, to zawartość alkoholu. Podziękował przedstawicielowi Systembolaget i wyszedł na ulicę. Był zmęczony. Usiadł na ławce w parku naprzeciwko monopolowego i zamknął oczy.

Roger Hackzell nieźle się wystraszył, kiedy pokazał mu legitymację i rzucił hasło Rikskrim. Co do tego nie miał wątpliwości. Kiedy wspomniał o kasecie, jego strach stał się jeszcze bardziej wyczuwalny.

Gdy otworzył oczy, obok niego siedział młody żul, którego w pierwszej chwili można było wziąć za kulturystę. Patrząc łapczywie na wybruszoną kieszeń kurtki Hjelma.

- Masz coś? - zapytał czystym smalandzkim.

- Mam - odpowiedział Hjelm. - Pytanie. Rozumiem, że jesteś ekspertem. Czy da się rozpoznać rodzaj wódki, czy wódka zawsze smakuje tak samo?

- Najpierw muszę wypić ćwiarteczkę, dopiero potem mogę skupić się na smaku - odpowiedział przebiegle mężczyzna. - Tak naprawdę to mam specjalizację ze spirytusu.

- Jeśli kupię ci ćwiartkę...

- ..to z radością przystąpię do bardziej wyszukanej degustacji. Hjelm pomyślał, że nie jest to zwykła pijacka gadka, wrócił więc do monopolowego i kupił ćwiartkę explorera. Zapijaczony mięśniak potrzebował na nią jakichś sześciu minut. Z miejsca oprzytomniał.

- Drużyna A - mruknął sennie Hjelm, przyglądając się pijącemu mężczyźnie.

- To my - odpowiedział tamten, odstawiając na bok pustą butelkę po explorerze. - Pokaż no tę swoją próbkę. Hjelm wyjął z kieszeni butelkę po wodzie Ramlósa, wyciągnął korek. Mięśniak przystawił do niej nos, potrząsnął butelką, wziął łyk i przepłukał usta jak prawdziwy koneser wina.
 - Rozcieńczona - powiedział. - Ale nie słabsza niż zwykle.
 - Chcesz powiedzieć, że to rozcieńczona mocna wódka?
 - Otóż to - powiedział mężczyzna i wziął kolejny łyk. - Lepsza niż explorer, to na pewno.
 - Nalano mi ją z butelki absoluta...
 - Nie, to absolutnie nie jest absolut. Daje bardziej bezpośredniego kopa. Nie szwedzka. I nie fińska. I absolutnie nie to amerykańskie partactwo smirnoff. Nie, to prawdziwa wschodnia wódka z posmakiem chemikaliów. Prawdopodobnie sześćdziesięciosięcioprocentowa. Rozcieńczona.
 - Wiesz ty w ogóle, o czym gadasz, czy tylko pleciesz trzy po trzy, żeby wypić wszystko? Pijaczysko spojrzało na niego wyraźnie urażone.
 - Jak nie chcesz, to nie.
 - Możesz coś jeszcze powiedzieć?
 - Nie. Rosyjska, litewska albo estońska, sześćdziesięciosięcioprocentowa. I sporo wody.
- Hjelm podziękował mu zdziwiony i udał się prosto na komendę. Minęła dłuższa chwila, zanim mógł się z kimś spotkać. Mężczyzna, który wyszedł mu na powitanie, przedstawił się jako komisarz kryminalny Jonas Wrede. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Dobrze zbudowany jasny blondyn. Typowy syn chłopca.
- I jak się oczywiście okazało, świetny w obsłudze komputera.
- Rikskrim - rozmarzył się Wrede, gdy już usiedli w jego biurze. - Czy ma to coś wspólnego z Polowaniem na Rekiny? - Z czym?
 - Polowaniem na Rekiny. Myślałem, że właśnie tak kierownictwo Rikskrim nazywa te cztery zabójstwa w Sztokholmie.

- O kurwa - zdziwił się Hjelm.
- Pisali dziś o tym w gazecie. Konferencja prasowa z szefem wydziału Waldemarem Mórnerem i komisarzem policji Algotem Nylinem.
- A komisarz policji Algot Nylin to niby, kurwa, kto? - wybuchnął Hjelm, bo właśnie zrozumiał, że nie wie nic na temat zamieszania medialnego wokół dochodzenia prowadzonego przez Drużynę A. On tylko pracował. Niewątpliwą zasługą zarządu było utrzymanie w tajemnicy przez ponad półtora miesiąca istnienia Drużyny A.
- Ma coś z tym wspólnego? - Jonas Wrede nie odpuszczał.
- Nie mieliśmy tu nikogo z Rikskrim od czasu tego incydentu w banku w Algotsmali. Czy to w związku z Polowaniem na Rekiny?
- Odpowiedź na pańskie pytanie przekracza niestety moje uprawnienia - odpowiedział Hjelm, mając nadzieję, że ten urzędowo-autorytarny ton będzie równoznaczny z odpowiedzią twierdzącą. Pomogło. Wrede wyprężył się.
- Co wie pan o właścicielach restauracji Hackat och Malet?
- zapytał Hjelm. - Roger Hackzell i Jari Malinen.
- Gdybym miał z miejsca odpowiedzieć, to wydaje mi się, że są czyści. - Wrede zastanowił się. - W każdym razie nie pamiętam żadnego incydentu z ich udziałem. Słowo wytrych, pomyślał Hjelm i przeniósł się myślami w inny, lepszy świat. Wrede stukał nerwowo w klawiaturę. W lepszym świecie czekały na Hjelma jasno- i ciemnowłose kobiety, których twarze nakładały się na siebie.
- Tak jak mówiłem, obaj są czyści - powtórzył Jonas Wrede nie bez satysfakcji. - Żadnych incydentów. To znaczy od kiedy przeprowadzili się do Vaxjó.
- A rejestr krajowy? - odezwał się Hjelm, nie przestając myśleć o twarzach.
- To chwilę zajmie...

- Czy muszę cały czas przypominać, jakie mamy priorytety? - powiedział Hjelm, chociaż wcześniej ani razu nie wspomniał o priorytetach. Wrede spojrział na niego z respektem i zaczął na nowo stukać w klawiaturę. Przez chwilę czekali. Wrede wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć. Z kolei Hjelm wyglądał, jakby już nigdy więcej nie miał powiedzieć ani słowa. Jakby przeniósł się na tamten świat, nic dodać, nic ująć.

W końcu usłyszał odpowiedź.

- Nie. Nic a nic. Są czyści. Chociaż chwileczkę, przy Maline-nie jest gwiazdka. Odnośnik. Finlandia. Może to jakiś incydent? - Da się znaleźć coś jeszcze?

Wrede rozpromienił się. Jego znajomość komputera została doceniona przez specy z Rikskrim. Spec z Rikskrim ziewnął. - Możliwe, że uda nam się coś znaleźć przez rejestr państw nordyckich - odezwał się rozentuzjasmowany Wrede. - Niewielu wie, jak to się robi - dodał.

Wrede stukał dalej. Jeśli jego wyżej postawiony kolega był gdzie indziej, on sam znajdował się zdecydowanie w swoim żywiole.

- Malinen, Jari, urodzony trzynastego czerwca pięćdziesiątego drugiego. A tak, jest jeden incydent: przemyt. Zobaczmy, no proszę: 1979 w Vaasa, w Finlandii. Skazany za przemyt towaru. Sprawdzę, czy jest coś jeszcze.

- Zajebicie - westchnął Hjelm.

- O, jest coś, co przypomina protokół ze sprawy. Malinen został skazany dwunastego lutego 1979 roku wraz z niejakim Władimirem Raginem: przemyt spirytusu z ówczesnego Leningradu. Obaj dostali osiemnaście miesięcy w zakładzie otwartym, z czego Malinen odsiedział dwanaście, a Ragin całe osiemnaście. Potem jest już tylko lista nazwisk: sędzia: K. Lahtinen, ławnicy: L. Halminen, R. Lindfors, B. Pało, obrońca: A. Söderstedt, oskarżyciele: N. Niskanpaa, H. Viiljanen, świadkowie obrony...

- Co? - krzyknął Hjelm, dając nura w lodowate wody tego świata.

- A. Söderstedt - powtórzył Wrede.

- Masz coś więcej o nim?

- Możemy poszukać w bazach stowarzyszenia adwokatów. - Wrede wyglądał jak czternastoletni haker, któremu udało się włamać do sieci Pentagonu.

Znowu chwila wyczekiwania. I przynoszący ulgę dzwonek.

- Arto Söderstedt, **absolwent** prawa na uniwersytecie w **Abo**, pięcioletnie studia ukończone w trzy lata, zatrudniony w **renomowanej** kancelarii w Vaasa - Koivonen & Krantz zaraz po egzaminie końcowym w 1975 roku, w wieku 22 lat. Przez kilka miesięcy 1980 roku firma nazywała się nawet Koivonen, Krantz & Söderstedt. Stał się współnikiem w wieku 27 lat. Pod koniec 1980 roku kancelaria wróciła do dawnej nazwy Koivonen & Krantz. Po 1980 nie znajduję Söderstedta w żadnym rejestrze adwokatów.

Hjelm zaniósł się głośnym śmiechem. Ach, ta nasza mała Północ. Wrede przyglądał mu się podejrzliwie. Czy ten mężczyzna był rzeczywiście tym, za kogo się podawał? Bohaterem z Hal-lundy? Oficerem dochodzeniowym w sprawie Łowcy Rekinów?

- Okej - powiedział Hjelm, ocierając łzy. Doszedł już do siebie. - Polecę cię, chłopcze, moim szefom! Niech mnie dunder świśnie, naprawdę znasz się na komputerach! Jestem do zgornie wdzięczny.

Komisarz kryminalny Jonas Wrede patrzył przez okno, gdy Hjelm ruszył w stronę restauracji Hackat och Malet. Otaczała go aura niezrealizowanych ambicji.

W jednej ze sklepowych witryn mignęła mu własna twarz. Zatrzymał się. Czerwony, pokryty łuszczącą się skórą pryszcz, urósł jeszcze bardziej. Teraz zajmował niemal cały policzek. Pomyślał, że wygląda jak znak zapytania. Knajpa była zamknięta przed wieczorem, ale Roger Hackzell chodził po lokalu i wycierał szklanki jak zawodowy barman. Hjelm zastukał lekko w szybę. Hackzell zamarł przez chwilę, w końcu podszedł jednak do drzwi i otworzył.

- Osiemdziesiątkę wódki - powiedział Hjelm już w drzwiach.

Hackzell spojrzał na niego z niedowierzaniem, wrócił do baru i nalał mu szklankę z butelki z napisem Absolut. Hjelm przystawił nos do szklanki.

- Nie - powiedział, nie zastanawiając się nawet przez chwilę. - To nie jest absolut ze sklepu Alkohole Świata. Założę się, że to rozcieńczona sześćdziesięcioprocentowa estonia z fabryki w Liviko.

Hackzellowi opadła szczęka. Niemal szorował nią blat baru, starając się złapać oddech. Natomiast Hjelm, jak gdyby nigdy nic, ciągnął swoje:

- Nie byłeś karany i zakładam, że jesteś w miarę czysty. To w jakiś sposób tłumaczy twoją reakcję. Malinen, z jego kartoteką, przyjąłby to pewnie spokojnie! Ale mnie nie interesujesz ani ty, ani Malinen. Odpowiedz grzecznie na moje pytania, a nie stracisz knajpy i nie trafisz za kratki. Tylko dobrze się zastanów, bo jak widzisz, wiem dużo więcej, niż się spodziewałeś. A jak przyłapię cię choćby na najmniejszym kłamstwie, znajdę cię i zaciągnę do Sztokholmu na prawdziwe przesłuchanie. Zrozumiano?

Człowiek bez szczęki skinął głową w milczeniu.

- Skąd macie wódkę? - zapytał Hjelm.

- Mamy dwóch dostawców, czasem tu zaglądamy. Rosjanie. Nazywają się Igor i Igor.

Hjelm poczuł, jak ogarnia go spokój. Dobrze trafił. Przez resztę przesłuchania mógł oddać się rozmyśleniom. - Wiesz coś o nich?

- Nie, czasem po prostu tu przychodzą. Dla bezpieczeństwa nie trzymają się żadnego harmonogramu ani nie mają stałych dni dostawy.

- To nie widziałeś portretów Aleksandra Briusowa i Walerija Trepłowa w gazetach? Były na pierwszych stronach.

Roger Hackzell spojrzał na niego zdziwiony.

- O co chodzi? Może nie byli zbyt podobni.

- W tekście jest wyraźnie napisane: Igor i Igor.

- Nie czytałem, widziałem tylko pierwsze strony. Było coś o Polowaniu na Rekiny w Sztokholmie. To nie miało z nimi nic wspólnego. Nie widziałem związku. Przysięgam.

- Dobra, dobra. Ale teraz już rozumiesz, jakie to ważne. Już siedzisz w tym po uszy. Znajdą się tacy policjanci, co zechcą wsadzić cię za kratki do końca życia. I to tylko za kontakty z tandemem Igor i Igor. Rozumiesz?

- Rany boskie - wydusił z siebie Roger Hackzell i po raz pierwszy zabrzmiał jak rodowity mieszkaniec Góteborga. - Przejdźmy do ważniejszych spraw. Kasety.

- O kurwa! - wykrzyknął Hackzell, a w jego oczach pojawiło się coś dzikiego. - Ja pierdołę! Przecież to się zgadza! Kiedy tu byli ostatnio, zabrali mi część moich kaset. Powiedzieli, że to w ramach spłaty. Pieprzone typki! Wściekłem się na Jariego, że wciągnął nas w te ich mafijne interesy. Więc to oni za tym stoją? Wcale bym się nie zdziwił!

- Nie wiesz nic na temat ich szwedzkich, rosyjskich albo bałtyckich powiązań?

- Dla mnie to tylko para brutalnych kutasów, którzy zjawiają się raz w miesiącu i w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób zmuszają nas do zakupu alkoholu. Nic więcej nie wiem. Przysięgam.

- Kiedy tu byli ostatnio? - Na szczęście już jakiś czas temu. W lutym. Już myślałem, że mam ich z głowy. A teraz to... - Wtedy zabrali ci kasety?

- Tak. - Hackzell przerzucał kartki w zeszycie, który wyjął z szuflady. - Piętnastego lutego. Wczesnie rano. - Gdzie jest teraz Jari Malinen?

- W Finlandii. Właśnie zmarła mu matka.

Hjelm wyjął kasetę z kieszeni i pokazał ją Hackzellowi.

- Taka?

Hackzell przyjrzał jej się uważnie.

- Tak mi się zdaje. Guido nagrał ich całą masę jakoś tak w osiemdziesiątym siódmym czy ósmym roku. To były kasety marki Maxell.

- Okej, gdzie masz magnetofon? Chcę, żebyś posłuchał jednego utworu i zastanowił się, czy z czymś ci się kojarzy. Z czymkolwiek. Może z czymś, co zdarzyło się tu, w knajpie. Uspokój się i posłuchaj. Po restauracji rozeszły się pierwsze akordy *Misterioso*. Hackzell próbował się skoncentrować, ale wciąż był zanadto zszokowany. Jakby zaraz miał rozpaść się na kawałki. Hjelm przyglądał mu się uważnie, próbując wyobrazić go sobie w roli zimnokrwistego mordercy z salonów sztokholmskich potentatów. Nie potrafił.

Trzy minuty *Misterioso* dobiegały końca. Hackzell nawet na chwilę nie usiadł. Kiedy utwór się skończył i przyszła kolej na improwizacje, Hjelm wyłączył magnetofon. Hackzell odezwał się:

- Nie wiem. Nie znam się na jazzie. Czasem, gdy goście chcą trochę posłuchać, to coś im puszczę. Nie rozróżniam utworów. Dla mnie wszystko brzmi tak samo.

- I nie przypominasz sobie nikogo, kto był szczególnie zainteresowany jazzem?

Sam nie wiedział, co chce usłyszeć. Na Igora i Igora i tak miał już wystarczająco dużo dowodów.

Kaseta, kazachstańska amunicja, Viktor X, groźby wobec koncernu Lovisedal.

- Nie przypominam sobie - powiedział Hackzell, który teraz wyglądał, jakby oprócz szczęki stracił też rozum. - Muszę to przemyśleć.

- Okej, niech ci będzie. Masz tu czystą kasetę, zaraz ci przegram *Misterioso*, to znaczy ten kawałek Mońka. Posłuchaj i dobrze się zastanów. Potrzebna mi lista osób, które zamawiały ten kawałek w szczególności albo jazz w ogólności. Pod żadnym warunkiem nie wolno ci opuścić Váxjó. Jeśli to zrobisz, zarządzimy alarm w całym kraju. Twoją restaurację diabli wezmą, a ty trafisz za kratki.

Zrozumiano?

Roger Hackzell skinął głową oniemiały. Hjelm przegrał kasetę. Potem wsiadł w pociąg do Sztokholmu; był całkiem z siebie zadowolony.

JARI Malinen został ściągnięty bez zbędnych ceregieli prosto z pogrzebu matki. Fińska policja weszła do kościoła w czasie mszy i wyprowadziła go na zewnątrz. Wsadzili go na noc do małej celi w Helsinkach. Opowiedział wszystko.

Z sowiecką mafią nawiązał kontakt już pod koniec lat siedemdziesiątych; popełnił tak zwane przestępstwo podatkowe, trafił do więzienia, a potem wyjechał do Szwecji, częściowo po to, by schronić się przed mafią. W trakcie procesu pogrążył jednego Ruska, niejakiego Władimira Ragina, i nie był pewien, czy przypadkiem nie mają mu tego za złe. Wolał nie sprawdzać.

Trafił do Góteborga, pożyczył pieniądze i założył małą knajpkę, a potem nawiązał kontakt z kolegami Guidem Cassolą i Rogerem Hackzellem. Cassola i Hackzell szybko się pokłócili i zerwali współpracę. Dogadał się więc z Hackzellem i pod koniec lat osiemdziesiątych otworzyli knajpę Hackat och Malet w Vaxjó.

Wtedy znów skontaktowała się z nim mafia, tym razem rosyjsko-estońska, a ponieważ miał w pamięci tamtego Ruska, umierał ze strachu i zgodził się na wszystko. Co prawda na procesie w Vaasa mieli świetnego młodego adwokata na dorobku, którego nazwiska nie pamiętał, i potraktowano ich dużo łagodniej, niż to w ogóle możliwe w państwie prawa, ale strach pozostał. Potem zjawili się Igor i Igor z dostawami wódki. To wszystko.

W czasie przesłuchania Hjelm przypatrywał się uważnie Söderstedtowi. Biały jak kreda mężczyzna przez cały czas siedział ze spuszczoną głową.

- Doskonała robota Hjelma w Váxjó - podsumował niespodziewanie Norlander.

Mieli przed sobą nowego Viggo Norlandera. Znikły kule, znikły nawet bandaże z rąk. Rany zostały zaleczone, a na porośniętych włosami dłoniach błyszcząły jak pączki kwiatów różo-wawe blizny. Poruszał nimi z nową lekkością. Stygmatyzowany, uzdrowiony i narodzony na nowo, pomyślał Hjelm.

Kerstin Holm nie znalazła niczego ciekawego w Malmö. Robert Granskog, piąty klient White Jima, nie miał spadkobierców, nie wiadomo też, co stało się z kasetą z *Misterioso*. Pewnie ją wyrzucono. Hjelm i Holm spojrzeli na siebie kilkakrotnie, z ich wzroku trudno było jednak cokolwiek wyczytać. Hultin odchrząknął głośno i dorysował na coraz bardziej groteskowej i coraz bardziej przypominającej labirynt białej tablicy strzałkę. Wskazywała na Váxjó.

- Czy zgodzicie się, że naszym priorytetem jest teraz Lovisedal? - zapytał i zabrzmiało to jak prawdziwe pytanie, nie tylko retoryczne. Co więcej, zaczekał nawet na odpowiedź. Możliwe, że w myślach był już w drodze.

W odpowiedzi usłyszał tylko jednogłośny pomruk.

- Okej, wygląda na to, że to tu zabójca spotkał swoje ofiary, wyłączając Strand-Juléna. Pozostali trzej, to znaczy Daggfeldt, Carlberger i Brandberg, przez jakiś czas zasiadali w zarządzie Lovisedalu. Możemy wyobrazić sobie następujący scenariusz: koncern Lovisedal chce wejść na rynek tabloidów w Tallinie - tak jak to wcześniej zrobił w Petersburgu - napotyka na przeszkodę w postaci Viktora X, odmawia tak zwanej ochrony, dostaje pogróżki, dalej odmawia, otrzymuje ostrzeżenie: Igor i Igor, *alias* Aleksander Briusow i Walerij Treplow, wykonują wyrok śmierci na członkach zarządu. Po trzech zabójstwach: dwóch na serio - Daggfeldt i Carlberger - i jednym pozorowanym robią sobie przerwę, żeby sprawdzić, jak zareaguje Lovisedal. Koncern uparcie odmawia. Igor i Igor wkraczają więc znów do akcji, na bezpo-

średni rozkaz Viktora X. Enar Brandberg to prawdopodobnie pierwsza ofiara kolejnej serii. Waszym zdaniem to się trzyma kupy?

- Trudno znaleźć coś, co by się bardziej trzymało kupy - odpowiedział Gunnar Nyberg.

- Pomijając Strand-Juléna, ja tu widzę trzy ale - stwierdził Jorge Chavez. - Daggfeldt, Carlberger i Brandberg byli razem w zarządzie Lovisedalu tylko przez krótki czas, dokładnie w roku 1991.

Daggfeldt od 1989 do 1993, Carlberger od 1991 do śmierci, a Brandberg od 1985 do 1991, kiedy to zasiadł w parlamencie. Łączy ich tylko ten jeden rok: 1991. W chwili śmierci w zarządzie był tylko Carlberger. Jeden z czterech.

- Pewnie chodzi o to, że właśnie w 1991 roku wypuścili się na teren Estonii - powiedział Hultin. - Chcą dopaść zarząd z tego okresu. Może mają starą listę, a może wręcz przeciwnie, to wyraźny sygnał: właśnie wtedy, w 1991, popełniście błąd waszego życia, próbując wejść na terytorium, na które mamy wyłączność. Jak na razie to najbardziej prawdopodobny scenariusz.

- Jest jeszcze jedno ale - odezwał się Viggo Norlander. - Juri Maarja i Viktor X darowali mi życie, żeby udowodnić swoją niewinność. Chyba czytaliście ten „list w załączeniu”?

- To niczego nie dowodzi ani też niczemu nie przeczy - odparł Hultin.

- Widziałem, że Maarja się zdziwił, kiedy ich o to oskarżyłem. Nie udawał.

- Ten twój Jiiri Maarja to przemytnik uchodźców. Bardzo możliwe, że nie wie o wszystkim. Zdziwił się, zgoda, ale czy zdziwił się też Viktor X? Przecież nie widziałeś jego twarzy, o ile to w ogóle był on. Być może Igor i Igor działają na bezpośrednie zlecenie Viktora X, bez pośredników. Przecież to bardzo prawdopodobne.

Viggo Norlander kiwnął głową, nie wydawał się jednak przekonany.

- Chavez ma listę zarządu Lovisedalu z roku 1991 - ciągnął Hultin. - Ilu z nich żyje?

- Siedmiu na liście, sześciu przy życiu. Jeden zmarł z przyczyn naturalnych.

- Sześciu. Musimy mieć na nich oko. W tej chwili to potencjalne ofiary.

Hultin zajrzał w swoje papiery i mówił dalej:

- Biorę na siebie ówczesnego i dzisiejszego prezesa zarządu, Jacoba Lidnera. Macie do podziału pozostałą piątkę. Przyciśnijcie ich trochę, sprawdźcie, czy coś wiedzą, czy się boją, czy potrzebują ochrony, którą zresztą dostaną, czy ją chcą, czy nie. Poczynając od dzisiejszej nocy, ogłaszam całodobową obserwację zarządu Lovisedalu. Poza tym oczywiście nadal obowiązuje alarm krajowy - Igor i Igor. Bardzo możliwe, że to oni są naszymi Łowcami Rekinów. No więc do roboty.

Hultin wyszedł z pokoju przez swoje tajemne drzwi, a Drużyna A pochyliła się nad stołem, żeby podzielić się członkami zarządu. Wcześniejszy harmonogram, według którego do zabójstwa miało dochodzić co drugi dzień, najwyraźniej już nie obowiązywał. Co mogło oznaczać, że również ostatnia noc, to znaczy noc z dziewiętnastego na dwudziesty maja, którą Hjelm spędził, śniąc urwane sny w niewielkim pokoju hotelowym na komendzie, powinna była przynieść kolejnego trupa. Mająca dotąd zastosowanie zasada symetrii rozpadła się jak domek z kart; jedyne, co im zostało, to noc, mieli więc sporo czasu na rozmowę z członkami zarządu. Najważniejsze to znaleźć kolejną ofiarę, zanim będzie za późno.

- Zastanawiam się, czy mają jakiś schemat działania - odezwał się Söderstedt. - Jeśli odrzucimy Strand-Julena, to idą kolejno: Daggfeldt, Calrberger, Brandberg. D-C-B. Jest ktoś na A?

Nie było. Podzielili się jak leci. Jeden nie miał co robić. Każdy chciał coś robić. W końcu zgodzili się, że Söderstedt i Hjelm zajmą się razem jednym członkiem zarządu.

Hjelm wszedł do pokoju Söderstedta i Norlandera; miał już na sobie kurtkę i był gotowy do wyjścia.

Norlander dosłownie rzucił się na swoje pierwsze prawdziwe zadanie po powrocie

z Tallina, *alive*, choć jeszcze nie *kicking* - utykał lekko na swoich stygmatyzowanych stopach. Söderstedt sięgnął po wiszącą na drzwiach sportową kurtkę. Hjelm przeszkodził mu, pociągając za drzwi.

- Jedno mnie zastanawia - odezwał się, patrząc na A. Söderstedta, wybitnego fińskiego adwokata, zatrudnionego przez mafię w charakterze obrońcy Jariego Malinena w lutym 1979 roku. - Dlaczego policjant?

Arto Söderstedt spojrział na niego pewnym wzrokiem i zaczął zakładać kurtkę.

- O co ci chodzi? - zapytał, nie pytając.

- I dlaczego Szwecja?

- Dlaczego Szwecja? To proste. W Finlandii byłem już naznaczony, moje nazwisko stało się znane, przyklejono mi etykietkę. Młody adwokat na dorobku, który potrafi wyciągnąć grube ryby z najgorszej opresji. W Finlandii nie miałem już czego szukać.

Zrobił krótką przerwę i spojrział na Hjelma. Pierwszy raz widział go tak poważnego. Na jego twarzy pojawił się lekki grymas: - Dlaczego policjant? To już trudniej wytłumaczyć. W 1980 roku miałem dwadzieścia siedem lat i właśnie zostałem wspólnikiem w kancelarii Koivonen, Krantz & Söderstedt. Całkiem przyjemne uczucie. Wszystko, do czego dążyłem w moim krótkim, ekstremalnie zorientowanym na cel życiu, spełniło się. I wtedy w moje ręce trafiła sprawa prawdziwego, pieprzonego drania. W zasadzie nic nowego; zawsze broniłem takich jak on. Ale tym razem było coś jeszcze. Ten kryjący się za fasadą szanowanego obywatela człowiek uprawiał najohydniejszy proceder, jaki tylko można sobie wyobrazić: handel żywym towarem, nie potrafię tego opisać... Do zamkniętej Finlandii, kraju, który w zasadzie odmawiał przyjmowania imigrantów, wlewał się szeroki strumień odurzonych narkotykami Azjatek, które sprzedawano na jakichś... aukcjach. Oczywiście udało mi się go wybronić, więc w zasadzie mógłbym dalej robić swoje, ale coś się ze mną stało. W tym zacnym obywatelu, z tą jego dwulicowością i pogardliwym

stosunkiem do drugiego człowieka, zobaczyłem swoją przyszłość. Strażnik fasad. Jakby ktoś wylał na mnie wiadro pomyj. Spakowałem rodzinę, przyjechałem do Szwecji, przyjąłem szwedzkie obywatelstwo, starałem się nie zwracać na siebie uwagi, zszedłem ludziom z oczu. Minęło kilka trudnych lat, zanim przyszło mi do głowy, żeby zostać policjantem - pewnie po to, żeby zmienić ten system od środka. System, który, jak mi się zdawało, widziałem w całej jego okazałości, od góry do dołu. Ale jak to zwykle bywa, od środka nie da się niczego zmienić. W czasie służby w Sztokholmie zyskałem opinię dosyć kontrowersyjnego gliny, przeniesiono mnie do Vasteras, gdzie już zostałem. Można powiedzieć, że po raz kolejny zszedłem ludziom z oczu, nabrałem rutyny, powiększyłem rodzinę i zamiast poświęcać się pracy, oddałem się czytaniu książek; jakoś to samo przyszło. Potem Hultin wyciągnął mnie z tych archiwów. Nie pytaj mnie jak. *The end.*

Söderstedt podniósł się - Hjelm nie potrafił ocenić, czy lekko, czy może raczej ociężale.

W jego oczach Söderstedt przeszedł absolutną metamorfozę. Nie było w nim nic z pajaca. Stał przed nim człowiek, który wziął na siebie konsekwencje moralnego wyboru i który dla tego wyboru gotów był odrzucić stałą, świetnie płatną pracę, dotychczasowe życie, kraj i język. Moralista, pomyślał Hjelm.

- Kto ostatni przy aucie, ten bałwan - krzyknął człowiek z morałami i wybiegł z pokoju.

Jacob Lidner, prezes zarządu Lovisedalu, był w domu tego słonecznego przedpołudnia dwudziestego maja. Jan-Olov Hultin podjechał pod jego okazałą willę swoim volvem turbo i zadzwonił do bramy. Dzwonek rozbrzmiał z pewnym opóźnieniem we wszystkich pokojach i w ogrodzie na tyłach domu. Stamtąd nadszedł też Lidner. Był starszym, wzbudzającym szacunek mężczyzną ze wzrokiem cesarza, ubranym w biały szlafrok opatrzony

monogramem. Srebrnowłosy, miał jasną skórę i lekko zmierzwioną czuprynę, jakby dopiero co wyszedł z kąpieli. Z bliska czuć było od niego chlorem.

- Przestańcie mnie nachodzić - powiedział, nie zatrzymując się, do Hultina, który nie zdążył powiedzieć ani jednego słowa. - Mam już dosyć dziennikarzy. Jestem zwykłym emerytem, który chce w spokoju przeżyć swoje ostatnie lata. Przestańcie mnie dręczyć w sprawie ostatnich turbulencji w zarządzie. Dobrze wiem, że widzielibyście tam ludzi mediów, ale powtarzam, to jest poważne przedsiębiorstwo handlowe.

Wreszcie przerwa na oddech.

- Czy ja wyglądam na dziennikarza? - odezwał się Hultin, zakładając na nos okulary.

- Owszem - odparł Lidner. - Ale nim pan nie jest, tak?

- Inspektor Jan-01ov Hultin. Prowadzę dochodzenie w sprawie, którą media nazywają Polowaniem na Rekiny.

- Ach, tak - westchnął Lidner. - Drużyna A. Odpowiednie określenie. W odróżnieniu od A-pressen¹. Hultin zirytował się nieco, ale dobrze to ukrył.

- Akurat to nie trafiło do mediów... Jacob Lidner roześmiał się.

- Na Boga, inspektorze, chyba pan rozumie, że czegoś takiego nie da się zachować w tajemnicy. Przecież zagrożone jest nasze środowisko.

- Nie tyle wasze środowisko - wtrącił Hultin, próbując przejąć inicjatywę - ile zarząd Lovisedalu z roku 1991.

Lidner znów się roześmiał.

- Jak udało wam się wyciągnąć tak zaskakujący wniosek? Dyrektor Strand-Julen był co prawda dobrym przyjacielem, ale nie miał z koncernem nic wspólnego. Powinniście raczej przyjrzeć się zarządowi Sydbanken; w roku 1990 była w nim cała czwórka.

243

¹A-pressen - jedna z trzech największych spółek medialnych w Norwegii założona w 1948 roku, pozostałe dwie to Schibsted i Orkla Media.

Rozeznanie Lidnera w tajnikach dochodzenia robiło naprawdę wrażenie. Hultin starał się opanować w typowy dla siebie sposób, po czym przystąpił do ataku:

- O ile wiem, Sydbanken nie może się pochwalić równie bliskimi kontaktami z rosyjsko-estońską mafią co Lovisedal. Bo chyba nadal odmawiacie im współpracy?

Jacob Lidner spojrział na niego z rosnącą irytacją, jak człowiek patrzy na muchę, która przeszkadza mu w zajmowaniu się innymi, ważniejszymi sprawami.

- Naturalnie - odrzekł krótko. - To drażniący szczegół. Ale jeśli myślicie, że stoi za tym mafia, to chyba macie nie po kolei w głowie.

- A pan niby skąd to wie? - zripostował Hjelm.

- Również dzięki temu, co przytrafiło się pańskiemu prywatnemu detektywowi w Tallinie.

Hultin był bliski wybuchu. Patrzył pożądliwie na krzaczaste brwi Lidnera.

- Muszę się zapytać, jakim sposobem uzyskał pan wgląd w prowadzone dochodzenie, panie Lindér - powiedział tak beznamiętnie, jak tylko potrafił.

Błąd w nazwisku może czasem przynieść równie dobry efekt jak błędnie użyty tytuł, ale Lidner nic sobie z tego nie robił. Co za różnica, czy mucha sra, czy nie. I tak przeszkadza. Do czasu, gdy wyjmie się łapkę na muchy.

Lidner wyjął swoją:

- Pytać zawsze pan może. Hultin miał dosyć.

- Kilku naszych ludzi i wywiadowców policji sztokholmskiej będzie pana chronić dwadzieścia cztery godziny na dobę. Mam nadzieję, że przez najbliższych kilka dni będzie pan w stanie tolerować ich obecność.

- Szkoda pieniędzy podatników - powiedział Jacob Lidner i odwrócił się na pięcie.

Minęły blisko dwie minuty, zanim Jan-Olov Hultin był w stanie zrobić to samo.

PRZEZ blisko cały tydzień prawie nic się nie zdarzyło. A potem zdarzyło się coś, co powinno mieć decydujące znaczenie.

Sekcja kryminalna sztokholmskiej policji dokonała rutynowego nalotu na jeden z nielegalnych salonów gry w City. I chociaż zapuścił modną bródkę, założył rogowe okulary i zgolił włosy, jeden z graczy został rozpoznany przez wyjątkowo spostrzegawczego policjanta o nazwisku Akesson.

Gracz nazywał się Aleksander Briusow i był szczuplejszą połową duetu Igor i Igor.

Siedział w milczeniu w celi aresztu śledczego, a członkowie Drużyny A podglądali go, podchodząc kolejno do wizjera, zupełnie jak ciekawscy uczniowie podstawówki.

Hultin zwrócił się do policjanta, który zatrzymał Briusowa. Akesson był wyraźnie niewyspany i chciał jak najszybciej wrócić do domu.

- Ani słowa?

Akesson potrząsnął głową.

- Pieściłem się z nim całą noc. Udaje głuchoniemego.

- Okej. Zajebista robota, Akesson. Jedź do domu i się wyśpij.

Akesson wyszedł. Mieli nadzieję, że nie siądzie za kierownicą.

Na korytarzu aresztu śledczego wycieczka klasowa Drużyny A przebierała już nogami. Stojący obok strażnik przyglądał im się z pewną wyrozumiałością.

- Wchodzę z Söderstedtem - powiedział Hultin i kazał strażnikowi otworzyć stalowe drzwi. - Reszta może się rozejść - dodał, zanim wślizgnął się do środka.

Sóderstedt zrobił przeproszający gest i wszedł za nim.

Nie rozeszli się. Na zmianę zaglądali do środka przez wizjer. Strażnik patrzył na nich z rosnącą dezaprobatą.

Hultin i Sóderstedt usiedli naprzeciwko Aleksandra Briusowa. Nie przypominał mężczyzny z policyjnego portretu.

Zaczął Sóderstedt. Każde pytanie zadawał dwukrotnie: najpierw po szwedzku, potem po rosyjsku. Mimo to rozmowa nie kleiła się.

Briusow zażądał adwokata. Zagroził, że w przeciwnym razie państwo szwedzkie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Niezawodna metoda. Na pozostałe pytania, łącznie z tym o kasetę Mońka, odpowiadał z ironicznym uśmieszkiem. Raz rzucił do Sóderstedta:

- Znam cię.

Poza tym milczał. Aż usłyszał pytanie:

- Gdzie jest Walerij Treplów?

Aleksander Briusow zaśmiał się głośno i odpowiedział płynnie po szwedzku:

- To już jest, moi panowie, pytanie natury duchowej. Potem już więcej się nie odezwał.

Główny oskarżyciel nie miał lekko.

Już sam brak dowodów był obezwładniający; gdy doszły jeszcze do tego retorycznie elaborowane sarkazmy czołowego adwokata, Reynolda Rangsmýhra, stał się po prostu śmieszny.

Rozproszeni po sali członkowie rozbrojonej Drużyny A nie zastanawiali się nad tym, czy przepołowiony duet Igor i Igor wyjdzie na wolność, tylko jak to się stało, że być może najlepszy, a już z całą pewnością najdroższy adwokat w kraju zdecydował się bronić rosyjskiego przemytnika spirytusu.

Byli świadkami pojedynku giganta z karzełkiem, co sprawiło, że sędzia srogo pouczył zarówno radę adwokacką, jak i władze policji, że nie należy trwonić czasu i środków sądownictwa na

z góry przesądzone sprawy. Zwolnionemu z aresztu Aleksandrowi Briusowowi udało się zniknąć ludziom z oczu już w Ratuszu. Nikt nie widział, jak wychodził z budynku.

- Co tak naprawdę się stało? - odważył się zapytać Gunnar Nyberg na popołudniowym zebraniu w Centrum Dowodzenia. We wciąż jeszcze wiszącej nad Drużyną A mgłę rozczarowania majaczyła sylwetka - jeśli nie poległego, to z pewnością poważnie okaleczonego - wodza Hultina. Który w tej chwili skupił się na obracaniu w palcach ułamanego rysika ołówka. Nie odrywając się od tej syzyfowej pracy, powiedział gorzko:

- Jest jedno dosyć proste pytanie. Czy to znaczy, że grupa Viktora X ma wystarczające środki i kontakty w szwedzkim sądownictwie, żeby tak łatwo wyciągnąć z więzienia Briusowa? Czego tak naprawdę byliśmy świadkami?

Pytanie pozostało retoryczne - chociaż nie taki był zamiar tego, kto je zadawał.

Drużyna A starała się w miarę możliwości odciążyć sztokholmską policję i wzięła na siebie znaczną część obowiązków związanych z ochroną członków zarządu Lovisedalu z roku 1991.

Hjelm spędził noc w domu mężczyzny o nazwisku Bertilsson, kolejną u innego, o nazwisku Schröderius. Kilka nocy udało mu się też przespać w domu w Norsborgu.

Nie miał kontaktu z Cillą. Nie miał wyboru, musiał uszanować jej kobiece tajemnice. Najgorsze, co mógł zrobić, to się narzucać. Widział już jej samotność. A Danne i Tova żyli swoim życiem, Danne większość czasu spędzał sam w pokoju, a Tova u koleżanki, Milli, której rodzice najwyraźniej pospieszyli się z obietnicą, że się nią zajmą, a potem rzucali mu tylko pełne wyrzutów spojrzenia. Zapychał lodówkę jedzeniem i zastanawiał się, do kogo i za co tak naprawdę powinny być skierowane wyrzuty.

Tova stwierdziła, że pryszcz na jego policzku wygląda jak jakiś znak astrologiczny, ale nie wiedziała za bardzo który. Dopiero

następnego ranka, gdy już miał wychodzić, powiedziała, że wygląda jak Pluto, „F' z małą poziomą kreską tuż pod pętelką. Zapytał, co to oznacza. Odpowiedziała niewinnie, że nie ma pojęcia.

- Przyjdiesz na zakończenie szkoły? - zapytała. - Mama przyjdzie.

- Spróbuję - odrzekł i poczuł ukłucie.

W drodze do miasta zastanawiał się, czym Pluto był dla Tovy: słodkim psiakiem Disneya, najbardziej odległą planetą systemu słonecznego czy archaicznym bogiem śmierci*.

Kiedy wszedł do pokoju, komputer Chaveza nie był jeszcze włączony. Zdziwiło go to. Chavez siedział na krześle i kręcił młynkiem do kawy.

- Niedługo czerwiec - powiedział cicho.

- Masz jakieś plany na lato, z którymi musisz się wstrzymać? - zapytał Hjelm, siadając.

- Czy ja wiem, czy wstrzymać - odpowiedział Chavez i spojrzał przez okno, gdzie w prawym górnym rogu widać było kawałek jasnoniebieskiego nieba. Potem jakby coś sobie przypomniał:

- Właśnie. - Musiała mu już wrócić pamięć, najwyraźniej przebywająca dotąd na urlopie. - Dzwonił do ciebie jakiś koleś. Jeszcze zadzwoni.

- Kto?

- Nie wiem. Zapomniałem zapytać.

Hjelm puścił mimo uszu to ewidentne zaniedbanie obowiązków służbowych.

- Jak brzmiał?

- Jak brzmiał? Jak ktoś z Góteborga, tak mi się zdaje.

- Aha! - zawołał Hjelm, bo na nowo obudziła się w nim nadzieja. Wybrał długi numer.

- Hackzell? - wydarł się do słuchawki. - Tu Hjelm.

- Chyba coś mam - zatrzeszczał w słuchawce głos Rogera Hackzella z restauracji Hackat och Malet w Vaxjo. - Kilka lat

***Gra stów: szwedzka nazwa planety Pluton i szwedzkie imię boga Plutona to Pluto.**

temu, gdy puszczałem jazz w restauracji, rzeczywiście coś się zdarzyło.

- Nie ruszaj się z miejsca - krzyknął Hjelm już w korytarzu. - Jadę do ciebie. - Potem zwrócił się do Chaveza: - Przekaż Hultinowi, że jedziemy z Kerstin do Váxjó. Odezwiemy się.

- Zaczekaj! - zawołał za nim Chavez.

Hjelm wbiegł do pokoju 303. Gunnar Nyberg i Kerstin Holm śpiewali jakiś skomplikowany chorał gregoriański. Patrzył na nich zdziwiony. Nie zwracali na niego uwagi. Chavez wpadł zaraz za nim.

Kiedy skończyli, obaj długo ich oklaskiwali. Potem odezwał się Hjelm:

- Zdaje się, że w Váxjó ryba połknęła haczyk. Jedziesz? Kerstin Holm spojrzała na niego i założyła bez słowa swoją

czarną skórzaną kurtkę.

- Znajdzie się dla mnie miejsce? - zapytał Chavez.

Polecieli w trójkę do Váxjó. Obecność Jorge uniemożliwiła Paulowi i Kerstin prowadzenie intymnych rozmów. Nie mieli nic przeciwko temu. Włączyło się im widzenie w tunelu.

Roger Hackzell był na miejscu. Do restauracji przyszli pierwsi goście. Było tuż po jedenastej.

Hackzell zaprosił ich do biura, zostawiając gości kelnerce. Z głośników dobiegło ich *Misterioso*.

Wyłączył magnetofon, ustawiony na ciągłe odtwarzanie.

- Cóż - powiedział, wskazując ręką na kanapę. - Od kilku dni miałem wrażenie, że w tym utworze jest coś dziwnego; słuchałem go jak oszalały. I wreszcie zrozumiałem, co to takiego. To było późno w nocy, kilka lat temu. Dorobiliśmy się już stałej klienteli i jako jedyni w mieście mieliśmy otwarte do trzeciej nad ranem. Czasem bywały z tego powodu kłopoty - zbierały się tu wszystkie nocne marki. Potem cofnęli nam pozwolenie; teraz mamy otwarte tylko do północy. Tej nocy w lokalu było dosyć pusto, już zamierzałem zamykać. Zostało tylko dwóch

mężczyzn. Jeden z nich, Anton, wielki jak byk, zażądał, żebym puścił właśnie tę taśmę. Akurat ją wyjąłem i włożyłem nową, z muzyką rockową. Ale Anton miał coś dzikiego w oczach i stanowczo zażądał jazzu. Tak więc włożyłem z powrotem kasetę do odtwarzacza - jestem prawie pewien, że to był właśnie ten utwór. Wtedy Anton wydał z siebie dziki okrzyk i rzucił się na tego drugiego koleś. Obalił go na ziemię jednym uderzeniem. Pamiętam teraz wszystko bardzo wyraźnie. To było straszne: wciąż coś krzyczał, nie pamiętam co, nie dało się tego zrozumieć, był już strasznie napruty, a ja bałem się jak cholera. Najpierw cios w brzuch, potem kopniak w kolana i w krok, a potem nokautujący cios w szczękę, tak że poleciały zęby. Koleś upadł na podłogę, a Anton zaczął go kopać, nie przestawał. Ten, co leżał na podłodze, był cały czas przytomny, patrzył tylko na niego jakimś dziwnym wzrokiem. Wtedy Anton wymierzył me-gawielkiego kopniaka, który z całą pewnością miał tego koleśa zabić. Krzyknąłem. Noga Antona zawisła w powietrzu; chwycił butelkę, cisnął nią o ścianę i wyszedł. Pomogłem temu koleśowi wstać; był w zupełnej rozsypce, zęby zostały mu pod językiem - wypluwał je, jeden po drugim. Jedno ramię zwisało krzywo, cholernie bolał go brzuch i krocze. „Zadzwoń na policję - zaproponowałem - i po karetkę”. „Nie - odrzekł - on miał całkowitą rację”. Właśnie tak powiedział, i to o szaleńcu, który o mało co nie skopał go na śmierć: „miał całkowitą rację”. Okej, pomyślałem, tym lepiej dla mnie, policja cofnęłaby pozwolenie. Pomogłem mu zatamować najgorszy krwotok, potem poszedł. To wszystko.

- To w zupełności wystarczy. Ten Anton, wiesz coś o nim?

- Nazywa się Anton Rudström. Jakoś w 1990 roku założył siłownię, tu, w mieście. Ale po roku siłownia zbankrutowała, chyba na wiosnę. Dostał jakąś pożyczkę z banku bez zabezpieczenia i bez wierzycieli - wiecie, tak jak to było na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. No a potem nie mógł jej spłacić. W chwili tego zajścia w restauracji Anton właśnie rozpo-

czynął swoją karierę lokalnego pijaka. Teraz to już chla na całego, można go spotkać w towarzystwie innych meneli przed monopolowym.

- Ale wciąż jeszcze wygląda jak *bodybuilder* - odezwał się powoli Hjelm, zastanawiając się nad grą przypadków.

Roger Hackzell, Kerstin Holm i Jorge Chavez spojrzeli na niego zdziwieni.

- Dokładnie - potwierdził Hackzell. - Wygląda, jakby nadal trenował.

- A ten drugi? - zapytał Chavez. - Ta jego ofiara? Kto to jest?

- Nie wiem. Nigdy wcześniej go nie widziałem, później zresztą też nie. Raczej nietutejszy. Ale był świetny w darta, to pamiętam. Stał przez kilka godzin i po prostu rzucał.

- W darta? - zdziwiła się Kerstin Holm.

- W rzucaniu lotkami do tarczy - wyjaśnił Roger Hackzell.

Siedział na ławce z kolegami, butelka rosity przechodziła z rąk do rąk. Był z nich najmłodszy i największy.

- Myślałem, że wolisz wódkę - powiedział Hjelm. Anton Rundström od razu go rozpoznał.

- Proszę, proszę - ucieszył się. - Pan sztokholmczyk z degustacji. Moi panowie, oto stoi przed wami człowiek, który kupił mi ćwiartkę wódki, żebym wypił jeszcze więcej wódki.

- Kurwa, a ja myślałem, że ci się przyśnił - odezwał się bezzębny staruch i podał rękę Hjelmowi. - Służę przy następnej.

- Tym razem nie będzie degustacji - powiedział Hjelm, wyciągając legitymację. - Znikajcie.

Rundström również próbował zniknąć, jednak bez większego powodzenia.

- Chcielibyśmy usłyszeć coś na temat bójki w knajpie Hackat och Malet wiosną dziewięćdziesiątego pierwszego - powiedział Hjelm, siadając przy nim na ławce. Chavez i Holm stali w miejscu. Chyba nie zrobili wrażenia na wielkim Rundströmie.

- Ja tam nic nie wiem - odburknął.
 - Nie chcemy cię za to wsadzić. Nie było nawet zgłoszenia. Postaraj się tylko nam o wszystkim opowiedzieć, ze szczegółami, a możesz być pewien, że znajdzie się znacznie więcej niż ćwiartka. Po pierwsze jesteśmy ciekawi, dlaczego zanim zmasakrowałeś tego człowieka, zażyczyłeś sobie nagrania *Misterioso* pianisty Theloniousa Mońka?
 - Pamiętam jak przez mgłę, że miałem ochotę go zabić. Jakby mi poszły hamulce.
 - Miałeś siłownię...? - zaczął Hjelm.
 - Apollo - powiedział pewnym głosem Rundstróm. - Siłownia Apollo. Kurwa.
 - Opowiedz o niej.
 - No cóż. Niech sobie przypomnę... Przez wiele lat trenowałem u Carlosa, aż w końcu dostałem u niego pracę. Któregoś dnia przechodziłem koło ładnego, pustego lokalu w samym centrum miasta. Jakiś dawny butik, fakt faktem, dosyć drogi. No i przyszło mi do głowy, żeby wstąpić do najbliższego banku i zapytać, czy udzielą mi pożyczki na założenie siłowni. Nie wiem, co mnie naszło, i nagle bank daje mi tę pożyczkę bez żadnego zabezpieczenia. W tych czasach nikt o nic cię nie pytał. Kupiłem najlepszy sprzęt i założyłem siłownię pierwszej klasy. Od razu było wiadomo, że nie utrzyma się w małym Vaxjó. Przetrwała jakieś pół roku, potem zbankrutowała, a ja zostałem z milionami długu na karku i nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. W jednej chwili straciłem wszystko. Rundstróm pstryknął palcami i odpłynął. Hjelm ściągnął go ostrożnie z powrotem.
 - A tamtej nocy siedziałeś w Hackat och Malet. W środku był tylko barman, ty i ktoś jeszcze. Zaraz mieli zamykać. Pamiętasz?
 - Słabo - powiedział Rundstróm. - Kurwa, muszę się napić.
 - Napij się, jak skończysz. Zastanów się.
- Anton Rundstróm zanurzył się na nowo w swoim głębokim morzu.

- Stał w rogu i rzucał do tarczy. To było wtedy? Nie pamiętam...
- Tak, właśnie wtedy. Mów dalej.
- No i... już kiedy wszedłem, to on tam był i rzucał te swoje lotki. W knajpie było mnóstwo ludzi, ale on stał tam sobie w kącie i rzucał, mijały godziny. Zaczął mi działać na nerwy.
- Dlaczego?
- Ktoś mi coś powiedział tego wieczoru... Coś, co sprawiło, że się do niego przyczepiłem. Raczej nie rzucał się w oczy, tak mi się zdaje... Ale ktoś mi powiedział, że on... że on... Rundström był bliski odpłynięcia, przelewał im się przez palce. Widzieli to wszyscy troje.
- Coś powiedział albo zrobił? - zapytał szybko Chavez. - Irytowało cię jego zachowanie? Albo raczej to, kim był? Jakaś cecha szczególna? Jakiś typ człowieka? Jakiś zawód? Imigrant?
- To, kim był, masz rację - powiedział Rundström i spojrział ze zdziwieniem na Chaveza. - On był kimś, to mnie strasznie wkurzało i im więcej wlewałem w siebie piwa, tym bardziej byłem wkurzony. To z jego winy wpadłem po uszy w całe to gówno. - Dlaczego właśnie z jego winy? - zapytał Hjelm.
- Był pracownikiem banku - powiedział trzeźwo Rundström. - Tak było. Ktoś powiedział, że on pracuje w banku. W końcu się wściekłem.
- W mieście?
- Nie, w jakiejś dziurze, tak mi się zdaje. Nie wiem. Nie był z Vaxjo, akurat tego jestem pewien. Nie mam pojęcia, kim był. Ale nieźle rzucał te swoje lotki. Mam nadzieję, że się zanadto nie uszkodził. Spojrzeli po sobie.
- Bardzo możliwe, że się cholernie uszkodził - powiedział Hjelm. - Choć nie w ten sposób, jak myślisz. Wcisnął dwie stowy w dłoń Rundstróma. Mężczyzna zanurzył się we wspomnieniach, o których myślał, że zniknęły na zawsze.
- Jasna kurwa, ale mu wtedy przyłożyłem - po jego zniekształconym sterydami policzku spłynęło kilka łez. - O kurwa.

Gdy mieli już odchodzić, Kerstin Holm przykucnęła przy nim.

- Muszę tylko jeszcze o coś zapytać, Anton. Dlaczego akurat *Misterioso*?

Spojrzał jej w oczy.

- To był cholernie dobry kawałek - powiedział. - Ale teraz już go za bardzo nie pamiętam.

Pogłaskała go po ramieniu.

- Najwyraźniej on tak.

Wybrali miejsce, które wyglądało na zwykłą knajpkę z tarasem, po chwili jednak na ich stoliku wylądowały hamburgery z dużą literą M na pudełkach. Siedzieli na tarasie McDonalda na deptaku w Váxjów. Było popołudnie.

- *Misterioso* - odezwała się Kerstin. - To typowa gra słowna Mońka. Za *mystery*, misterium, jest coś jeszcze - mgła. Gdy wypowiedasz to słowo, nie słyszysz mgły. Ukrywa się za misterium. Ale jest tam i oddziałuje. Jest też w tym utworze. Misterium jest obecne już od pierwszych taktów, co prawda niemożliwe do uchwycenia, ale w jakiś sposób namacalne. Mgła jest jeszcze trudniejsza do uchwycenia. Ale to właśnie w niej błądzimy.

Hjelm zbłądził. Gdzieś tam było to coś, co mu umknęło, co przeszło obok niego i co - okej, możemy tak to nazwać - było namacalne. Ktoś coś powiedział. Miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

- Masz już? - zapytał Chavez, zatapiając zęby w *quarter pounder with cheese*.

- Jest tuż pod powierzchnią - powiedział Hjelm.

- *I know how you feel* - odpowiedział z pełnymi ustami Cha-vez. - To z *Hotelu Zacisze*, no nie?

Uciążliwy klient dostaje trzykrotnie złe danie. Żona Basila, pamiętacie, jak ona miała na imię? Sibil?

Celowo wysyła mu złe danie i mówi przez zęby: *I know how she feels*.

- Co to ma do rzeczy? - zdziwił się Hjelm.

- Nic a nic. Konwersacja - tak to się chyba nazywa? Bank, pomyślał Hjelm, przeszukując swój bank pamięci. Nie uzyskał nawet wyciągu z konta.
- Co zrobimy, jeśli sobie nie przypomnisz? - zapytał Chavez.
- Ustawimy w szeregu wszystkich pracowników banków w Sma-landii i każemy panu Wiecznie Zapitemu przyjrzeć się każdemu po kolei? - Skoro aż tak oberwał, musiał mieć leczone zęby i ramię
- odpowiedziała Holm.
- To jak szukanie igły w stogu siana - mlasnął Chavez. - Nic, z czego by można zdać raport Hultinowi. Przynajmniej na razie. Został pobity w takt *Misterioso* z kasety Hackzella - ale to nie oznacza, że ma kasetę. - Coś jest na rzeczy - syknął Hjelm przez zaciśnięte zęby.
- Okej - przytaknął Chavez. - A można to wiązać z Igorem i Igorem? Chyba trzeba? Ta kasetka to jedyne, co łączy pobicie w dziewięćdziesiątym pierwszym w knajpie w Váxjó z kulami z byłego Związku Radzieckiego w ścianach mieszkań szwedzkich potentatów. A jak kasetka trafiła z knajpy do willi w Saltsjöbaden? Przecież Igor i Igor zabrali kasetę Hackzellowi w ramach zapłaty za estońską wódkę piętnastego lutego? Hjelm potrząsnął głową. Całkowite zaćmienie. *Misterioso*.
- Przyjmijmy punkt widzenia pobitego pracownika banku
- powiedziała Kerstin Holm. Hackzell utrzymuje, że tamten zaraz po zdarzeniu powiedział: „miał całkowitą rację”. I to wypluwając zęby! O sprawcy! Lata mijają, rany się goją, a w nim wzbiera nieufność, konsternacja, bezsilność, złość...
- Wredef - krzyknął Hjelm i szybko podniósł się z miejsca.
- Tak, to też - powiedziała Holm i spojrzała na niego ze zdziwieniem.
- Nie, nie to. Wrede. Przez „W”. Jonas Wrede, komenda w Váxjó. Wspomniał coś o jakimś incydencie w banku. W głowie mi
- * *Vrede* (szw.) - **wściekłość**.

zamieszał tymi swoimi incydentami. Albertsboda czy coś takiego. Ja pierdołę, która godzina?

- Wpół do czwartej - powiedział Chavez. - Co z tobą?

- Jedziemy na komendę w Vaxjö - rzucił Hjelm i już go nie było.

Komisarz kryminalny Jonas Wrede wyprężył się trzy razy, po jednym dla każdego członka Rikskrim, który wszedł do jego małego biura. Kryptonim sprawy: Łowca Rekinów. Był tak sztywny, że odpiął mu się guzik przy kołnierzyku.

- Spocznij - powiedział Hjelm. - Siadaj.

Wrede posłuchał rozkazu i usiadł - wyglądał jak worek siana.

- Kiedy byłem tu ostatnio, wspominałeś, że miałeś już kontakt z Rikskrim. Chodziło o jakiś incydent w banku gdzieś w...

- Właśnie. - W głosie Jonasa słychać było nadzieję. - Incydent w banku w Algotsmali. Musieliście o tym słyszeć. Przyjechał tu człowiek z Rikskrim. Nigdy się nie przedstawił, tajemnica zawodowa.

Wyciszył sprawę. Nic nie doszło do mediów. Jestem z tego bardzo dumny: naprawdę nic nie wyciekło. Nawet personel banku trzymał język za zębami. Instynkt samozachowawczy, tak mi się zdaje.

- Co tak naprawdę się stało?

- Wszystkie papiery zabrał ten człowiek, więc macie wszystkie informacje...

- Powiedz, co pamiętasz.

Gdy Wrede nie miał dostępu do komputera, wyglądał na lekko zdezorientowanego.

- Niech się zastanowię. To było piętnastego lutego tego roku. Gdy pracownicy banku przyszli rano do pracy i otworzyli skarbiec, znaleźli w nim ciało człowieka. Nie było pieniędzy. Połączyliśmy się natychmiast ze Sztokholmem, to było prawdziwe misterium. Przyjechał wasz człowiek i przejął całą sprawę. To wszystko.

- Nasz człowiek... - westchnął Chavez.
- Piętnastego lutego... - przyłączyła się Holm.
- Opowiedz o zmarłym - odezwał się Hjelm.
- Byłem pierwszy na miejscu. To ja skontaktowałem się ze Sztokholmem. Uznałem za swój obowiązek zatrzymać pracowników do czasu przybycia waszego człowieka. Pochwalił mnie i nakazał milczenie obecnym tam policjantom i pracownikom. Ciało. Jako pierwszy dokonałem oględzin ciała. To był wielki, przysadzisty mężczyzna. Jakieś ostre narzędzie, może cienki sztylet, przeszło jego oko i wniknęło do mózgu. Okropny widok.
Wrede robił wrażenie bardziej podnieconego niż poruszonego.
- Ale to już przecież wiecie - upierał się.
- Okej - powiedział Hjelm. - Jeśli uda ci się zebrać personel, który tego dnia był w banku w Algotsbodzie, to jedziemy tam z mety.
- W Algotsmali - poprawił go Wrede i zadzwonił do banku.
Jonas Wrede usiadł za kierownicą samochodu policyjnego, który zawiózł ich jakieś pięćdziesiąt kilometrów poza granice Vaxjo. Słońce chyliło się ku horyzontowi.
Wrede nie mógł usiedzieć w miejscu, próbując jak najdelikatniej, to znaczy okropnie natrętnie, wyciągnąć z nich, co tak naprawdę się stało. Milczeli. Widzieli przed sobą tylko wąski, bardzo wąski tunel. Prowadził ich prosto do seryjnego mordercy.
Wrede załomotał do drzwi banku. Otworzyła im drobna kobieta w średnim wieku. W niewielkim biurze był jeszcze tylko starszy mężczyzna w prążkowanym garniturze.
- Dyrektor banku Albert Josephson i kasjerka Lisbet Heed. Spojrzeli na nich ze zdumieniem.
- To cały personel? - zdziwił się Chavez.
Lisbet Heed przyniosła świeżo zaparzoną kawę. Odruchowo wzięli do rąk filiżanki.

Josephson odchrząknął i przemówił cienkim głosem, starannie dobierając słowa:

- W lutym nasz personel uszczuplił się, skróciły się również godziny pracy banku. To wszystko na skutek cię kosztów spowodowanych naszą trudną sytuacją pod koniec ubiegłego i na początku obecnego dziesięciolecia.
 - Chciał pan powiedzieć, że najniższy personel zapłacił za nietrafione spekulacje i absurdalną politykę kredytową szefostwa, które właśnie odeszło z wielomilionowymi odprawami?
 - dodał Hjelm i poczuł się jak Söderstedt.
 - Można tak na to spojrzeć - powiedział bez emocji Josephson.
 - Fakty są takie, że... - spojrzął na Jonasa Wrede - ten incydent... miał miejsce w dniu, w którym zaczęły obowiązywać nowe godziny pracy. Tego samego dnia personel został zredukowany o połowę. Otworzyłem skarbiec i znalazłem... oślepionego... Oślepionego, pomyślał Hjelm.
 - O tutaj - powiedział Josephson i wskazał na otwarty skarbiec. Weszli do środka. Nie zauważyli niczego interesującego. - To znaczy, że znalazł pan go w zamkniętym skarbcu?
 - wtrącił Chavez.
 - Możecie sobie państwo wyobrazić mój szok - powiedział Josephson, choć nie wyglądał na szczególnie zszokowanego.
 - Pamięta pan, jak wyglądał ten... oślepiony? - zapytał Hjelm.
 - Wielki. Prawdziwy olbrzym.
 - Wielki jak byk - dodała niespodziewanie Lisbet Heed.
 - Którego pokonał matador - dodał jeszcze bardziej niespodziewanie Chavez.
- Kerstin Holm wyjęła z torebki portrety pamięciowe duetu Igor i Igor. Nadszedł decydujący moment.
- Czy to któryś z tych mężczyzn? - zapytała. Hjelm nie poznał jej głosu. Głos z tunelu, pomyślał.
 - To dlatego wydał mi się znajomy! - krzyknęła Lisbet Heed.
 - Był na pierwszych stronach gazet!

Jonas Wrede stał jak sparaliżowany. Takie niedopatrzenie z jego strony! *Adieu*, Rikskrim!

- Mówiłam, że gdzieś już go widziałam! - ciągnęła Lisbet Heed. - Ale nie skojarzyłam z ciałem w skarbcu. Staralam się za wszelką cenę o tym zapomnieć. To było takie straszne.

- Naturalnie, to on - skinął głową Josephson, wskazując portret Walerija Trepłowa. - Tyle że twarz wyglądała oczywiście trochę inaczej.

- Wrede? - zapytał złośliwie Hjelm i podsunął rysunek pod nos pobladłemu komisarzowi. Ten skinął głową w milczeniu. *Adieu*, awansie!

Hjelm, Holm i Chavez spojrzeli wnikliwie na siebie. Wciąż brakowało istotnego elementu. Hjelm zajrzał w głąb biura, za ściankę oddzielającą je od działu obsługi klienta.

Zatrzymał się.

Kiwnął ręką na Holm i Chaveza.

Długo patrzyli na zawieszoną na ścianie tarczę.

Wrede, Josephson i Heed weszli za nimi.

- Tak, wciąż tu jeszcze wisi - odezwała się Lisbet Heed. - Nie miałam serca jej zdjąć.

Kolejne pytanie przypadło Chavezowi.

- Kim byli ci dwoje, których zwolniono piętnastego lutego?

- Mia Lindström - odparła Heed.

- I Goran Andersson - dodał Josephson. Goran Andersson, pomyślały trzy osoby.

- To Andersson rzucał do tarczy? - zapytał Chavez.

- Tak - powiedziała Lisbet Heed. - Był naprawdę niezły. Przychodził zawsze pierwszy do biura i rozpoczynał dzień od, jak to się nazywało?

- 501 - odrzekł Josephson. - Zaczyna się od 501, a potem liczy do tyłu, do zera.

- Co stało się z Goranem Anderssonem po tym, jak wyleciał z pracy? - zapytał Hjelm. - Wciąż tu mieszka?

- Nie. - Lisbet Heed wyglądała na zmartwioną. - Nie, zostawił bez słowa swoją dziewczynę i zniknął. Chyba nawet Lena nie wie, gdzie on jest.

- Lena?

- Lena Lundberg. Mieszkali w niewielkim domu po drugiej stronie Algotsmali. Teraz żyje tam sama. Spodziewa się dziecka, biedactwo. Goran pewnie nawet nie wie, że będzie ojcem.

- Pamiętacie, czy Goran miał jakiś wypadek wiosną 1991 roku?

- Tak - potwierdził Josephson, jakby miał w głowie dane personalne pracowników. - Przez kilka miesięcy był na chorobowym. Coś z zębami...

- Miał chyba nawet robiony mostek czy coś takiego - uzupełniła Heed. - Prawie nie wychodził z domu. Nie mówił, co tak naprawdę się wydarzyło. Ale widziałam go z ręką w gipsie. Zdaje się, że to był wypadek samochodowy.

- Jeszcze jedno - rzuciła Holm. - Czy Goran Andersson oddał klucze do banku?

- Chyba nie zdążył - powiedział dyrektor banku Albert Josephson, po raz pierwszy z lekkim wahaniem w głosie.

Członkowie Drużyny A spojrzeli po sobie. Puzzle zaczęły do siebie pasować, luźne nici ze sobą się splatać. Goran Andersson. Niewiele było do dodania. Hjelm odwrócił się do Jonasa Wrede.

- Macie w Vaxjö portrecistę?

- Na policji? - wydusił Wrede, wciąż blady jak kreda. - Tak, zatrudniamy takiego jednego artystę.

- Cała trójka pomoże w sporządzeniu portretu naszego kolegi z Rikskriminalen, który przyjechał tu i przejął sprawę. Bądźcie dokładni. Dopiero potem zawieziesz nas do Leny Lundberg, Wrede.

260

Na drugą stronę Algotsmali nie było daleko. Mimo to w zapchanym samochodzie każde z nich zdążyło zrobić podsumowanie tego, co już mieli.

Pracownik banku Goran Andersson z Algotsmali został pobity w knajpie w Vaxjö wiosną 1991 w następstwie absurdalnej polityki kredytowej pod koniec lat osiemdziesiątych, która nie tylko przyczyniła się do kryzysu sektora bankowego i szwedzkiej gospodarki na początku lat dziewięćdziesiątych, ale również do wielu osobistych kryzysów. Jeden dopadł Antona Rundstróma, który na widok przedstawiciela banku wpadł w amok i zbił go na kwaśne jabłko. Owym przedstawicielem był Goran Andersson. On sam zaczął już najwyraźniej podejrzewać, że z polityką banku jest coś nie tak, bo po pobiciu przyznał Rundstrómowi rację. Mimo to nie rzucił pracy w banku, być może z poczucia lojalności, być może dlatego, że nie było innej. Kiedy z powodu wspomnianej już polityki jednak go zwolniono, coś się z nim stało. Tamtego dnia udał się do banku jak zwykle, chwilę przed normalnymi godzinami otwarcia. Dostał się do środka przez wejście dla pracowników, korzystając z kluczy, których nie oddał, żeby okraść bank. To miała być jego zemsta. Ale z nieznanego powodu otworzył główne drzwi banku jak zwykle, mimo iż godziny otwarcia zostały przesunięte i mimo że został zwolniony i miał właśnie okraść bank; być może zadziałała siła przyzwyczajenia, być może był zbyt skoncentrowany na grze w darta. Walerij Trepłow, brutalny rosyjski mafioso, wszedł do banku, zamierzając go obrabować, gdy on dokonywał swojego własnego napadu i grał w darta. Sytuacja była rzeczywiście groteskowa. Jakby cały świat runął na Gorana Anderssona. Po drugiej stronie lada stał mężczyzna równie wielki co ten, który zbił go w knajpie kilka lat wcześniej. Andersson zapewne trzymał lotkę w ręku. Rzucił ją z niebywałą precyzją prosto w oko Walerija Trepłowa. Zdał sobie sprawę, że zamordował człowieka - co prawda w samoobronie, ale jakkolwiek było, stał z trupem w swoim dawnym banku, na który właśnie

miał zamiar napaść. Wciągnął go do skarbcza. Zabrał, być może w totalnym amoku, pistolet Trepłowa, opróżnił jego kieszenie i znalazł, oprócz masy amunicji ze słynnej fabryki w Kazachstanie, kasetę. Wziął pieniądze, zamknął bank i wyszedł przez te same drzwi, przez które wszedł, na tyłach budynku. Od frontu stała zaparkowana ciężarówka, załadowana estońską wódką, gotową do rozwiezienia po kraju. W samochodzie czekał kompan Trepłowa, drugi Igor, Aleksander Briusow. Możliwe, że po chwili poszedł za nim, ale drzwi były już zamknięte, a w banku pusto. Misterium. Goran Andersson zdążył już odjechać z parkingu dla pracowników na tyłach banku. Może już wtedy włożył kasetę do odtwarzacza i usłyszał dźwięki utworu jazzowego, przy których kilka lat wcześniej został dotkliwie pobity. Ironia losu. Jakby były w to zamieszane wyższe moce. Niespodziewany obrót rzeczy, któremu należało się poddać. Ten komiczny Rusek, który wszedł do jego biura w chwili, gdy on sam sprzeniewierzył się wszystkiemu, w co wierzył, dał mu nie tylko broń, ale i motywację w postaci kasety z muzyką. Za dużo, żeby nie ulec. Przemienił się w narzędzie zemsty większej siły - siły społecznej - a jednocześnie w narzędzie zemsty własnej i Antona Rundstróma. Postanowił rozliczyć się z zarządem banku z roku, w którym Anton Rundstróm od ręki dostał pożyczkę, to znaczy z roku 1990. Pożyczkę, której następstwem było pobicie w knajpie Hackat och Malet wiosną 1991 roku. W obu przypadkach chodziło o Sydbanken, ale mógłby to być którykolwiek z większych banków handlowych w Szwecji. Piętnastego lutego, zaraz po incydencie w oddziale, Goran Andersson udał się prawdopodobnie prosto do Sztokholmu, przez ponad miesiąc planował i przygotowywał trzy pierwsze zabójstwa, by w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego marca zadebiutować w roli anioła zemsty. Po pierwszych trzech zabójstwach schował się z powrotem do swojej kryjówki, żeby zaplanować kolejną serię. Która to właśnie się rozpoczęła. Goran Andersson był bardzo świadomy celu, bardzo dokładny, bardzo

zraniony i bardzo niebezpieczny. Nie wiedział już, co to desperacja.

Misterium zniknęło. Została mgła. *Misterioso*.

Wysiedli przed niewielkim domem na obrzeżach wioski. Leżał trochę z boku, skąpany w wieczornym słońcu. Potem odjechali.

Nikt nie chciał wejść pierwszy do kobiety, która spodziewała się dziecka Łowcy Rekinów.

DOLNA krawędź popękanej warstwy altocumulusa świeciła na ciemnopomarańczowo; był wieczór, wczesne lato. Nieskończona liczba drobnych, ledwo oddzielonych od siebie kłębków chmur nadawała zatoce Lilia Vartan i wyspie Lidingó niezwykle lekko spękaną łunę zachodzącego słońca. Jakby jakaś nadludzka siła spychała niebo wciąż niżej i niżej.

Gunnar Nyberg siedział w służbowym samochodzie na moście Lidingóbron i nagle przyszło mu na myśl, że jeszcze nigdy nie widział nic podobnego. Była w tym muzyka losu.

Pora umierać, uznał, ale szybko odpędził tę myśl.

Był w drodze do willi prezesa zarządu Lovisedalu Jacoba Lidnera w Mólnie, na południowym krańcu wyspy Lidingó, gdzie Arto Söderstedt spędził noc, patrząc na wodę, w salonie, w którym czuć było wyraźnie niechęć do policji. Nyberg wyjątkowo dobrze to rozumiał.

Nie miał nic do roboty i zamierzał z własnej woli spędzić resztę nocy w towarzystwie Söderstedta. W końcu mógł gorzej trafić. Czuł niepohamowaną potrzebę obecności drugiego człowieka. Nagle zaczęła go męczyć samotność, odebrała mu oddech i wypędziła z domu w ten przeraźliwie piękny wieczór początku lata. Piękno, którego doświadczył na moście Lidingóbron, sprawiło, że znów nie miał czym oddychać.

Gunnar Nyberg skręcił za mostem w prawo. Trzymał się Sódra Kungsvagen w kierunku Mólny. Kiedy mignęły mu kontury wielkiej jak pałac willi Lidnera, zatrzymał samochód i zaparkował w dozwolonej odległości od wjazdu na posesję. Zapadł

już zmrok. Dziwna formacja z chmur świeciła jeszcze słabym światłem, by zniknąć całkowicie przez tę krótką minutę, którą zajął mu spacer do willi.

Podszedł do żywopłotu okalającego ogród. W środku była furтка. Uchyłona. Otworzył i wszedł do środka. Kątem lewego oka zobaczył, że coś się poruszyło, i jeszcze długo przed tym, jak poczuł ból, usłyszał głuchy odgłos, w którym natychmiast rozpoznał strzał z pistoletu z tłumikiem.

Rzucił swoje ogromne ciało na zwirową drogę i wyciągnął broń. Tuż nad głową świsnęła mu kolejna kula. Wtedy w oczach Gunnara Nyberga coś się zaświeciło.

Podniósł się, zawył dziko i popędził jak oszalały bawół, strzelając w punkt, w którym kilka sekund wcześniej coś się poruszyło. Usłyszał ruszający samochód.

Usłyszał, jak się zbliża. Odrzucił na bok opróżniony pistolet i wyjął, przedarł się jak walec przez żywopłot, lądując na drodze w chwili, gdy nadjechał samochód.

Gunnar Nyberg zatrzymał go jak profesjonalny hokeista.

Rzucił swoje rozwścieczone ciało na lewy bok rozpędzonego samochodu. Przeleciał przez maskę i upadł twarzą prosto na asfalt.

Ból przyszedł dokładnie w chwili, gdy zobaczył, jak samochód wjeżdża w latarnię jakieś kilkanaście metrów dalej. Pole widzenia drastycznie się skurczyło.

Zobaczył, jak Arto Söderstedt biegnie z podniesioną bronią w stronę samochodu, wyciąga z niego kierowcę i wlecze go po asfalcie. Zanim wszystko zniknęło w morzu ognia, zobaczył jeszcze zakrwawioną twarz Aleksandra Briusowa.

Pora umierać, pomyślał Gunnar Nyberg.

27

BRAKUJE mu muzyki.

Nie potrafi myśleć o niczym innym.

Właśnie teraz palce powinny rozpocząć swoją ostrożną, nieśmiałą wędrówkę po klawiaturze.

Przez chwilę siedzi bez ruchu na sofie, wyobrażając sobie, że słyszy.

Właśnie teraz powinien wejść saksofon. Trup leży sztywno na podłodze z dwiema dziurami w głowie.

Żadnego tańca śmierci. Kawał ścierwa, nic więcej. Jeszcze jeden trup do rachunku.

Z radością odhacza w myślach kolejną pozycję na liście.

Sztuka stała się rzemiosłem, misja - egzekucją. Została już tylko ta niedająca spokoju lista.

Brakuje mi muzyki, myśli, bierze pistolet ze stołu i wychodzi przez altanę.

W ścianie tkwią dwie kule z Kazachstanu.

266

JEST noc i siedzą w pokoju hotelowym Hjelma w centrum Vaxjó. Trzymają w rękach trzy zdjęcia Gorana Anderssona, które wzięli od Leny Lundberg.

Kerstin Holm siedzi rozparta na łóżku. W ręku trzyma zdjęcie grupowe pracowników oddziału banku w Algotsmali z lata 1992 roku. Cała czwórka stoi przed oddziałem i uśmiecha się - typowe zdjęcie do folderu. W pierwszym rzędzie Lisbet Heed i młoda kobieta, Mia Lindström, w drugim Albert Josephson i Goran Andersson. Andersson jest wysoki, ma niebieskie oczy i jasne włosy, nosi elegancki garnitur. Trzyma jedną rękę na ramieniu Lisbet Heed i uśmiecha się szeroko, pokazując białe zęby. Najwyraźniej mostek jest na swoim miejscu. Nie ma w nim nic, co by go wyróżniało. Jeden z setek identycznych szwedzkich pracowników banku.

- W pracy był perfekcjonistą - powiedziała Lena Lundberg z wyraźnym smalandzkim akcentem i spojrzała na nich znad filiżanki z kawą. - Pedantem, tak myślę. Ani jednego dnia na zwolnieniu, z wyjątkiem czasu po wypadku. Prawdziwy skarb dla banku.

Na ścianie za jej plecami wisiała niewielka, oprawiona w ramkę makatka z napisem: ***Mój dom to moja twierdza.***

Lena Lundberg splotła ręce na brzuchu. Był już wyraźnie zaokrąglony.

- Czy powiedziała pani o nim, że żył dla swojej pracy? - zapytała Holm. - Że angażował się w nią osobiście?

- Tak, tak mi się zdaje. Żył dla banku. I dla mnie - dodała ostrożnie. - Żyłby też dla tego dziecka.

- Wciąż ma szansę - powiedziała Kerstin Holm, choć nie do końca wierzyła we własne słowa. Jorge Chavez siedzi na brzegu łóżka u jej stóp. W ręku trzyma fotografię Gorana Anderssona, na jego twarzy widać skupienie. Zdążył podnieść lotkę, za chwilę rzuci. W jego oczach jest koncentracja, zimna świadomość celu. **3/12/1993** - napisał ktoś cienkim ołówkiem na odwrocie zdjęcia.

Na ścianie naprzeciwko makatki wisiała tablica do gry w darta z trzema lotkami. Chavez podszedł do tablicy i wyciągnął jedną z nich. Patrzył zafascynowany na dziwny korpus z zaskakująco długim grotem.

- Czy tak wygląda zwykła lotka?

Lena Lundberg spojrzała na niego swoimi smutnymi, zielonymi oczami. Minęła chwila, zanim odpowiedziała.

- Zamawiał je w jakimś sklepie w Sztokholmie. Nazywali się chyba Łuki i Strzały. Na Starym Mieście. Mówił, że lotka może mieć nawet trzydzieści centymetrów; połowę zajmuje korpus i grot, połowę skrzydełka. Długo szukał odpowiedniego dla siebie modelu, sprawdzał punkt ciężkości - ideałem okazały się lotki z długim grotem. Rzeczywiście, wygląda trochę dziwnie.

- Rzucał w jakimś klubie? - zapytał Chavez, wając w dłoni lotkę, żeby zlokalizować punkt ciężkości.

- W klubie darta w mieście. To znaczy w Vaxjo. Był tam wtedy, tego wieczoru, kiedy został napadnięty. Pobił jakiś rekord i kiedy zamknięto klub, nie chciał skończyć, więc poszedł do tej restauracji i trenował dalej. Normalnie rzadko kiedy wychodzi.

- Zdarzało się pani z nim zagrać? - zapytał Chavez, rzucając lotką do tarczy. Odbiła się i spadła na ziemię. - Przepraszam - powiedział. - Wyciągnął lotkę i popatrzył na niewielką ryse, którą zrobiła na drewnianej podłodze.

Trudno ją było zauważyć.

- Czasem graliśmy - odparła Lena Lundberg, nie zwracając uwagi na to, co robi Chavez. - Na żarty. Choć trudno to nazwać zabawą. Dawał mi zawsze fory, a na sam koniec mnie doganiał.

Nie potrafił przegrywać. Wiecie, zaczyna się od 501, a potem schodzi do zera. Można skończyć wyjściem, jak to się mówi, trafiając w podwójny pierścień ostatnią lotką, tak że wynik równa się zeru - ani mniej, ani więcej.

Paul Hjelm siedzi rozpostarty w fotelu i wpatruje się w trzecią fotografię. To ostatnie zdjęcie Gorana Anderssona, zrobione zaledwie kilka tygodni przed incydem w banku. Obejmuje ramieniem Lenę Lundberg i uśmiecha się szeroko. Stoją przed domem, chwilę temu skończył budować latarnię ze śniegu, w środku pali się już świeczka. Ma czerwone policzki, wygląda zdrowo i sprawia wrażenie szczęśliwego. A jednak w jego jasnoniebieskich oczach jest jakiś niepokój.

Hjelm dobrze go zna. Cichy niepokój dziecka.

- Nie wie, że jest pani w ciąży? - zapytał Hjelm.

Lena Lundberg spojrzała w głąb filizanki i odezwała się cicho:

- Chciałam mu powiedzieć. Ale po zwolnieniu z pracy nie był sobą. Przyszło pocztą ze Sztokholmu, w zwykłej brązowej kopercie. Nawet jego szef Albert Josephson o niczym nie wiedział. Widziałam, że gdy otwierał kopertę, w jego oczach coś zgasło. Może już wtedy zrozumiałam, że go straciłam.

- I nie miała pani z nim żadnego kontaktu, od kiedy zniknął?

- Rankiem piętnastego lutego... - odpowiedziała Lena natychmiast, jakby miała kalendarz w głowie. - Nie, żadnego. Nie wiem, gdzie jest ani co robi.

Nagle spojrzała prosto w oczy Hjelma. Odwrócił głowę.

- Co on właściwie zrobił?

- Być może nic takiego - skłamał Hjelm i poczuł, że robi mu się niedobrze.

Jorge Chavez wstaje z łóżka, prostuje się i zbiera fotografie. Przez chwilę jakby się waha.

- Może powinniśmy powiadomić Hultina?

- Niech spędzą ostatnią noc z tymi z zarządu Lovisedalu - proponuje Hjelm. - Tam i tak nic się nie zdarzy.

- Poza tym musimy poczekać na portret naszego tak zwanego kolegi - ziewa Kerstin Holm.

- Tego, który wstrzymał całe dochodzenie - mówi Chavez i po chwili dodaje: - Słuchajcie, na dziś już wystarczy. To był dobry dzień. Chociaż, wiadomo, został nam po nim gorzki smak w ustach...
Kładzie zdjęcie na stoliku nocnym Hjelm i wychodzi z pokoju, szeroko ziewając.
Kerstin leży na łóżku, zmęczona i bardzo... pociągająca, myśli Hjelm. Wciąż nie jest pewien, czy wcześniejszy incydent w hotelu rzeczywiście miał miejsce.

- Znasz się na astrologii? - rzuca nagle.

- Bo jestem kobietą? - odpowiada natychmiast. Śmieje się.

- Właśnie dlatego.

- Alternatywne myślenie - mówi ironicznie, siada na łóżku i odrzuca do tyłu czarne włosy. - Trochę się znam.

- Dziś rano - to było chyba dziś rano? - moja córka powiedziała, że... ten pryszcz na policzku wygląda jak znak astrologiczny Plutona. Co to znaczy?

- Nie przyszło mi to do głowy. - Przybliżyła się i dotyka jego policzka. - Może twoja córka ma rację. Ostatnio przypominał mi raczej znak wółczągów.

- Naprawdę myślałaś o moim pryszczu? - Zamyka oczy.

- Pluton - odsuwa rękę - może znaczyć mnóstwo rzeczy. Między innymi siłę woli. Ale również bezwzględność.

- Ach tak.

- Zaczekaj, to jeszcze nie koniec. W charakterystyce Plutona jest jeszcze zdolność jednostki do totalnej przemiany. I katharsis, ostateczne oczyszczenie.

- Całkiem, kurwa, ładnie. - Hjelm wciąż ma zamknięte oczy. - Ale czy on rzeczywiście wygląda jak znak Plutona? Jak myślisz?

Znów czuje lekkie muśnięcie na policzku. Zaciska powieki.

- Myślę, że wygląda, jakbyś miał erekcję - mówi jak gdyby nigdy nic.
- Przykro mi - oświadczają, choć wcale nie jest mu przykro.
- A pryszcz?
- Złał się z rumieńcem.

Otwiera oczy. W słabym świetle, jakieś dwa metry od niego, na brzegu łóżka siedzi Kerstin. Patrzy na niego swoimi ciemnymi oczami.

- Tylko tak można się go pozbyć. - Poprawia się w fotelu.
- Muszę cię spytać o Malmö. Czy coś się wtedy zdarzyło? Śmieje się cicho.
- Ta męska potrzeba demistyfikacji. Nie możesz żyć w niepewności, prawda?
- Ale uwierz mi - mówi. - Mgła pozostała. Kładzie się na łóżku z rękoma pod głową.
- Po prostu odgadłam twoje pragnienia. To pytanie o galijskiego kochanka Anny-Clary Hummelstrand... Domyśliłam się, że fantazjowałeś, że się masturbujesz, że masz szczególną słabość do onanizujących się kobiet.
- Jezu - mówi, trafiony w *bull's eye*. - Ale jak ci się udało wejść? Do pokoju?
- Dobrze wiesz, że zostawiłeś otwarte drzwi.
- Więc to wszystko było spełnieniem mojego pragnienia? A ty? Nie miałaś chyba nic przeciwko temu?
- Rozkosz jednej osoby jest rozkoszą drugiej. O ile nie dzieje się nic wbrew jej woli. Trzeba tylko widzieć w sobie człowieka.

Powietrze gęstnieje. Kerstin mówi dalej lekko zachrypniętym głosem:

- Wiesz już, czego pragnę?

Zamyka oczy, zastanawia się. Przed oczami przesuwają mu się obrazy, zdania, słowa. Szuka jak szalony poszlak, wskazówek, sugestii, spojrzeń. Widzi tylko ją z nogami na stole i z ręką w majtkach. Czuje się jak mały chłopiec.

- Podpowiedz mi. - Ma wrażenie, że jego głos stał się piskliwy.

- Zdejmij ubranie - mówi krótko.

Robi to. Stoi przed nią na podłodze nagi, lekko zdezorientowany. Zakrywa dłońmi członek.

- Odsuń ręce i załóż je za głowę - wydaje polecenie. Leży wciąż na łóżku, ubrana, z rękoma pod głową.

Jego członek jest lekko wykrzywiony, wypręża się, nie mogąc dosięgnąć celu. Nie mogąc niczego dosięgnąć.

- Chodź tu i stań przy łóżku, przy moich stopach.

Idzie z rękoma za głową. Członek kołysze się lekko. Opiera kolana o brzeg łóżka. Członek unosi się jeszcze trochę. Ona zbliża się. Patrzy na niego ze skupieniem, nie dotykając go.

- Tego nieszczęścia - mówi, nie spuszczając wzroku z jego członka - w ten czy inny sposób doświadcza większość kobiet. W wieku piętnastu lat zostałam zgwałcona, a potem jeszcze wiele razy przez mojego narzeczonego, policjanta, choć on oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy.

Czuje, jak krew odpływa mu od serca. W jednej chwili.

- Połóż się obok mnie.

Kładzie się obok niej i zamyka oczy. Głaszcząc delikatnie przyszczyk na jego policzku. Poddaje się jej.

- Wybaczysz mi? - pyta go miękkim głosem. Jakby była małą dziewczynką.

Kiwa głową, ma wciąż zamknięte oczy. Nigdy nie przestał czuć się jak mały chłopiec.

- Zobacz - mówi tym samym ciepłym głosem. - Teraz wygląda jak mały krzyżyk.

Uśmiecha się do niej i już rozumie. I niczego nie rozumie. Ale jest mu z tym dobrze.

29

KOMÓRKA Chaveza zadzwoniła, gdy jedli śniadanie w hotelowej restauracji. Odebrał, a potem nie odezwał się ani jednym słowem, tylko zbladł. Hjelm aż za dobrze znał te rozmowy. Wydawało mu się, że wie już, o co chodzi.

Kolejne zabójstwo.

A może jednak dopuścili się przewinienia, nie przekazując Hultinowi informacji o nazwisku Gorana Anderssona ani jego portretu?

A może gdyby od razu powiadomili Hultina o tym, czego dopiero się domyślali, udałoby się przekierować ochronę członków zarządu Lovisedalu na Sydbanken?

Spojrzał na Kerstin. Myślała o tym samym.

Czy ich potrzeba absolutnej pewności, uzyskania doskonałego rozwiązania zagadki nie kosztowała kogoś życia?

Pociemniało mu w oczach.

Ale było jeszcze gorzej.

- Gunnar Nyberg został poważnie ranny wczoraj wieczorem
- powiedział Chavez przez ściśnięte gardło, rozłączając się.
- W trakcie ochrony człowieka z zarządu Lovisedalu. Jakby ktoś dołożył kolejny kamień.
- Ja pierdolę - powiedziała Kerstin Holm, zaciskając palce na kanapce z pasztetem.
- Jak bardzo poważnie? - wydusił z siebie Hjelm.
- Trudno było z niego cokolwiek wyciągnąć. Nie sądziłem, że Hultin potrafi się tak wściec. W każdym razie jego życiu nie

zagroza niebezpieczeństwo. To się stało w domu prezesa *zarządu*, Jacoba Lidnera, na Lidingó. Nyberg był w ogrodzie, został postrzelony, podniósł się, wpadł w szal, przedarł się przez żywopłot i własnym ciałem zatrzymał pędzący samochód. Hjelm nie mógł się nie roześmiać.

- To w stylu Nyberga.

- Co więcej, udało mu się. Ten, co strzelał, wjechał prosto w latarnię, a Söderstedt wyciągnął go, zanim samochód stanął w ogniu.

- To nowoczesne samochody stają w ogniu? - zdziwił się Hjelm.

- Nie zgadniecie, kto to był - powiedział Chavez.

- Tylko nie każ nam zgadywać - zachnęła się Holm.

- Igor, który przeżył. Aleksander Briusow.

- Jasna dupa! - krzyknął Hjelm. - A ten co tam, kurwa, robił?

- No i mamy kolejne zabójstwo, tak? - zapytała opanowanym tonem Holm.

Chavez skinął głową.

- W Göteborgu. Członek zarządu Sydbanken z roku 1990. Nazywał się Ulf Axelsson. Szycha z Volvo. Siedzieli w ciszy. W końcu odezwał się Chavez:

- Najgorszy scenariusz jest oczywiście taki, że telefon od nas wczoraj wieczorem mógł uratować Nyberga i Axelssona...

Znów cisza. I znowu Chavez:

- Choć tego nie dowiemy się nigdy.

Jonas Wrede wyglądał dziś znacznie lepiej. Udało mu się sporządzić wyjątkowo szczegółowy portret rzekomego kolegi z Rikskriminalen, który w lutym tego roku przejął i umorzył dochodzenie w sprawie zwłok Walerija Trepłowa, znalezionych w zamkniętym skarbcu.

Rysunek twarzy leżał przed nimi na biurku komisarza. Wszyscy troje dobrze ją znali: jasna, silna, bezwzględna.

Ostatnio widzieli ją w kuchni Nilsa-Emila Carlbergera w Djursholmie.

Max Grahn.

Z Sapo.

30

JAN-OLOV Hultin szedł szybkim krokiem przez korytarze komendy. Miał do załatwienia dwie sprawy i nie zamierzał przebierać w słowach. Tuż za nim podążało dwóch członków Drużyny A: Söderstedt i Norlander. Maszerowali wyschniętym korytem rzeki wzdłuż Bergsgatan jak dobry, zły i brzydki - z dłońmi na rękojeściach rewolwerów, mijając syczące za nimi grzechotniki. Nie było tylko wiadomo, który z nich to ten dobry, który zły, a który brzydki.

W znajdującym się na uboczu pokoju przesłuchań siedział Jacob Lidner, prezes zarządu koncernu Lovisedal. Na widok bohaterskiego tria zerwał się na równe nogi.

- Do jasnej cholery, proszę mi wyjaśnić, w jakim celu ściągnął mnie pan tutaj w samym środku śniadania? Czy zdaje pan sobie sprawę, z kim ma pan do czynienia?

- Siadaj i się zamknij - powiedział ze spokojem Hultin i sam usiadł.

Jacob Lidner nie mógł złapać oddechu.

- Jak pan śmie... - wydusił z siebie, nie mogąc złapać powietrza.

- Siad! - ryknął Hultin. Był u siebie. Lidner osunął się na krzesło.

- Twierdząc, że Lovisedal nie uległ naciskom ze strony rosyjskiej mafii, nie mówił pan całej prawdy, zgadza się?

- Bynajmniej. Nie przystaliśmy na ich ochronę - powiedział Lidner, trzymając wysoko głowę.

Hultin wziął głęboki oddech, próbując się opanować.

- W takim razie co, do cholery, robił członek mafii Aleksander Briusow przed pańską willą wczoraj wieczorem?

- Nic mi o tym nie wiadomo - upierał się Lidner.

- Strzelał do jednego z moich ludzi!

- Jest mi z tego powodu niezmiernie przykro, ale to nie ma ze mną nic wspólnego. Jestem wam wdzięczny za ochronę. Pewnie to na mnie się zaczął. Macie swojego mafijnego mordercę. Hultin patrzył na Jacoba Lidnera z rosnącą nienawiścią. Söderstedt i Norlander spojrzeli na siebie ze zdziwieniem. Lidner sprawiał wrażenie uległego, ale trwał w swojej dobrze wyćwiczonej pozycji obronnej.

- Pozwoli pan, że opowiem, jak to się stało - wycedził przez zęby Hultin. - Zgodził się pan z naszą hipotezą, że zarząd Lovisedalu może być zagrożony, mimo że dobrze wiedzieliście, że rosyjska mafia nie ma z tym nic wspólnego, ponieważ jesteście z nimi w bliskiej komitywie. Miał pan wątpliwości co do kompetencji moich ludzi, dlatego zadbał pan o dodatkowe zabezpieczenie w postaci członka mafii schowanego w krzakach. Briusow miał poza tym wobec pana dług, bo to pan zatrudnił gwiazdę adwokatury Rangsmyhra, żeby go wybronił, a potem dopilnował, by zniknął w korytarzach Ratusza. Kazał mu pan stać w ogrodzie i strzelać do wszystkiego, co wyda się podejrzanym, a potem zniknąć bez śladu. Briusow wiedział, że Söderstedt jest w środku, więc kiedy kolejny mężczyzna - zresztą całkiem podobny do jego zmarłego kolegi, Walerija Trepłowa - wszedł do ogrodu, zaczął strzelać. Zgodnie z rozkazem. Całe szczęście, jeśli w ogóle można tak powiedzieć, strzelał do Gunnara Nyberga, a jego nie da się powalić jedną kulą. Pocisk przeszedł przez gardło, ale nie przeszkodził Nybergowi w zatrzymaniu Briuso-wa. Rozumie pan, co do pana mówię? Przez pańską nielegalną, cholernie amatorską ochronę o mało co nie zginął jeden z moich najlepszych ludzi. Lidner spojrzął na Hultina. Potem zaśmiał się mu prosto w twarz. Nie powinien był.

Norlander i Söderstedt mieli okazję zobaczyć coś, czego przez resztę życia zazdrościli im Hjelm i Chavez. I to z pierwszego rzędu.

Prawdziwie mistrzowski cios w brwi *á la* Hultin.

Wymierzył w posiwiałe, krzaczaste brwi Jacoba Lidnera i uderzył. Lewa brew momentalnie pękła.

Prezes zarządu Lovisedalu patrzył zaskoczony na spadające przed nim na stół krople krwi.

- Chryste - powiedział tylko.

- Nie rozumiesz, że Aleksander Briusow wszystko wyśpiewał? - wrzasnął Hultin. - Wydaje ci się, że to rozmowa towarzyska? Że chcemy tu nawiązać jakieś kontakty? Grzeczny Igor opowiedział nam wszystko o powiązaniach, jakie łączą ciebie i koncern Lovisedal z rosyjsko-estońską mafią pod wodzą Vik-tora X. Ubiega się o status świadka koronnego i pewnie go dostanie. Twoje cholerne sztuczki omal kosztowały życie jednego z najlepszych policjantów w Szwecji!

Lidner przytrzymał dłonią róg obfitości, który niespodziewanie znalazł się na wysokości jego brwi.

- Nie było mowy o dwóch policjantach - wyszeptał. - Zawsze był tylko jeden.

Hultin wstał.

- Zostanie pan teraz przewieziony do aresztu - powiedział, otwierając drzwi. - Zostanie pan zatrzymany za próbę zabójstwa policjanta, ale do aktu oskarżenia trafi dużo więcej. Chyba nie muszę panu przypominać, że powinien pan postarać się o adwokata.

Już na korytarzu Jan-Olov Hultin zatarł ręce. Trio poszło dalej szybkim krokiem do najbardziej odosobnionych części komisariatu. Hultin miał ze sobą kartę i po wystukaniu kodu słabo oświetlone korytarze stanęły przed nimi otworem. Szarpnął za drzwi i weszli do biura. Siedziało w nim dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn około czterdziestki w identycznych skórzanych kurtkach, wpatrzonych w monitory. Obaj w jednej sekundzie wyczarowali ogromne pistolety z tłumikiem z rękawów kurtek i wycelowali je w Hultina, Söderstedta i Norlandera.

- Niezła demonstracja - powiedział Hultin spokojnie.
- Nie masz prawa tu wchodzić, Hultin - odezwał się Gillis Dóós szorstko. - Wyjdź, zanim wezwiemy ochronę. - Żaden z nas nie wyjdzie, zanim nie dowiemy się, co do kurwy nędzy stało się z pogrzebanym tutaj przez pana Maxa Graha dochodzeniem w sprawie zwłok Walerija Treplowa, znalezionych w zamkniętym skarbcu banku w Algotsmali.
- Gillis Dóós i Max Grahn spojrzeli po sobie.
- To jest objęte tajemnicą - głos Dóósa trochę się zmienił.
- Od kiedy to macie prawo podawać się za Rikskrim? I co się, kurwa, stało z wymianą informacji? Rozumiecie, do jakiego stopnia wasza pieprzona tajemnica i groteskowe akcje opóźniły dochodzenie? Dochodzi do was, ilu waszych podopiecznych biznesmenów niepotrzebnie zginęło? Jesteście pośrednio winni ich śmierci!
- Max Grahn odchrząknął. Możliwe, że lekko zbladł.
- Obserwowaliśmy duet Igor i Igor, na długo zanim znaleźli się w tej sprawie. Kiedy zadzwonił do nas ten napalony komisarz z Vaxjo, zrozumieliśmy od razu, że to Treplowa znaleźli w skarbcu. Mieli już ustaloną pozycję w tej części Smalandii. Zrozumieliśmy, że w kraju ma miejsce sowiecka infiltracja na ogromną skalę i że czegoś takiego jeszcze nie było.
- I pozwoliliście nam przebijać się przez tę cholerną poszlakę rosyjskiej mafii, nie dając nam najmniejszej wskazówki?
- Konsekwentnie podążaliśmy dwoma ścieżkami - powiedział Gillis Dóós. - Pierwszą: trop rosyjskiej mafii. Drugą: trop somalijski. Oba te dochodzenia są *top secret*. Bezpieczeństwo państwa.
- Czym, do jasnej cholery, jest trop somalijski? - wrzasnął Hultin.
- Sonya Shermarke, ja pierdolę! - krzyknął Dóós. - Sprzątaczką, którą kompletnie zignorowaliście. Ta, co to „znalazła” ciało dyrektora Carlbergera. Jak się okazało, przebywała nielegalnie w kraju wraz z grupą potencjalnych somalijskich terrorystów!

Podając się za sprzątaczkę, dostawała się do domów wielu poważanych rodzin w Djursholmie. Przesłuchujemy ją od miesiąca. Ją i jej pobratymców. Na pewno coś na nich znajdziemy.

- Ach tak, pamiętam - ironizował Huitín. - Otóż to! Siedmioro somalijskich dzieci, ich pięcioro somalijskich rodziców i ksiądz ze Spángi. Elitarna jednostka! Skazani na deportację, przerażeni i ściśnięci w małym dwupokojowym mieszkaniu w Tensta, ukrywani przez lokalną parafię. Łup pierwsza klasa! Siedmioro dzieci. Je też od miesiąca przesłuchujecie w piwnicy?

- Czy wiesz, do czego terroryści wykorzystują małe dzieci? - zapytał już całkiem poważnie Gillis Dóós.

- Przez wzgląd na moje wrzody pozwól, że zejdziemy z tego tematu - odpowiedział Huitín i już wyglądało, jakby miał zamiar się pogodzić. - Udało wam się coś wyciągnąć ze sprawy oślepionego Treplowa w Algotsmáli?

- Typowe porachunki przestępcze. Ktoś chciał przejąć interesy Igora i Igora. Sowieckie frakcje mafijne prowadzą obecnie mniej lub bardziej otwartą wojnę o władzę w szwedzkim półświatku.

- A związek z Łowcą Rekinów? - zapytał łagodnym głosem Huitín.

- W tej chwili sprawdzamy, co łączy Somalijszyków z Rosjanami. Prawdopodobnie mamy tu do czynienia ze współpracą na gruncie dawnych państw komunistycznych.

Huitín wyprostował się trochę, jakby złagodniał. Sóderstedt i Norlander obawiali się trochę, że teraz nastąpi mocne uderzenie z główki. Zamiast tego usłyszeli zrównoważony głos Hul-tina:

- Od ponad miesiąca wiecie, że Igor i Igor to punkt łączący obie te sprawy. Co jak co, ale portrety publikowane w prasie nie mogły ujść waszej uwagi. Celowo i w poważny sposób wyprowadziliście na manowce to, co jeszcze wczoraj szef Rikspolis nazwał najważniejszym dochodzeniem od czasów zabójstwa Palmego, podając się przy tym za funkcjonariuszy Rilslaiminalen - wszyst-

ko po to, by w sposób absolutnie nieprawidłowy i w najwyższym stopniu nielegalny zatuszować całą sprawę. Wasze działania to już nie tylko przewinienie służbowe, ale czyste przestępstwo. Po wyjściu stąd skieruję się prosto do szefa Rikspolis, żeby poinformować go, co tu się stało. Zakładam, że wylecicie stąd najdalej dziś po południu. Możecie już zacząć się pakować.

- Grozisz nam? - powiedział Gillis Dóós i wstał z miejsca.

- Raczej obiecuję - odrzekł Hultin i grzecznie się uśmiechnął.

31

GUNNAR Nyberg był karmiony sondą. Spod zwojów bandażu, którymi owinięta była cała głowa, wystawała rurka, którą do ust sączyła się zupa. Bandaż nie zasłaniał tylko oczu. Iskrzyły się ze szczęścia.

- Jak przed chwilą poinformowałem Nyberga - odezwał się lekarz do trojga odwiedzających - gardło uda się doprowadzić do porządku. Kula minęła tętnicę szyjną o centymetr, o tyle samo minęła również krtań i przeszła tuż pod przełykiem. Niedługo znów nam zaśpiewa, ale minie trochę czasu, zanim będzie mógł normalnie jeść. Lewa kość jarzmowa i górna szczeka zostały zmiażdżone. Miał poważne wstrząśnienie mózgu i doznał licznych obrażeń głowy. To tyle, jeśli chodzi o część ciała od ramion w górę. Poza tym ma jeszcze cztery złamane żebra, złamanie prawego ramienia, a także masę stosunkowo łagodnych ran drażących na całym ciele. Ale - dodał lekarz, zanim zostawił ich samych w pokoju - wydaje się, że dopisuje mu humor.

Nyberg zdążył się już zaopatrzyć w podręczną czarną tabliczkę, na której napisał rozedrganym pismem lewej ręki: **Igor?** Hjelm kiwnął głową i powiedział:

- Aleksander Briusow. Twoje błazeńskie zatrzymanie samochodu ujawniło związek Viktora X z Lovisedalem. Przyznam, że całkiem solidny. Briusow dostanie prawdopodobnie status świadka koronnego.

Nyberg napisał: **Ale sprawca nasz nie?** Do rozszyfrowania bazgrołów i dziwnej budowy zdania Hjelm potrzebował pomocy Chaveza i Holm.

- Nie - wyjaśnił Chavez. - Briusow to nie nasz sprawca. Nasz sprawca to zwykły pracownik banku o nazwisku Goran Andersson.

Coś poruszyło się pod zwojami bandażu. Możliwe, że był to śmiech.

- Rozpoczęliśmy już poszukiwania - powiedział Hjelm. - Może wyjdiesz, zanim go zamkniemy.

Nyberg potrząsnął gwałtownie głową. Sieć rurek łącząca go z otaczającym parkiem maszyn niebezpiecznie się zakołysała. Zapiszczał jakiś aparat, jakby z przerażenia. Nyberg napisał: ***Co wy, kurwa, za kilka dni jest wasz.*** Potem zmazał tablicę i napisał nową wiadomość. ***Missa'***.

- Przeoczyć? - zdziwił się Hjelm.

- Coś przeoczyliśmy? - zapytał Chavez.

- Ach tak - zaśmiała się stojąca w nogach łóżka Kerstin Holm. Podeszła do niego, usiadła na krześle i wzięła go za rękę, jedyny kawałek ciała, który wystawał z wszechogarniającej bieli. Przez dziesięć sekund przygotowywała się i zaczęła śpiewać. Był to prowadzący alt w Missa ***papae*** Palestriny.

Nyberg zamknął oczy. Hjelm i Chavez stali jak zaczarowani.

Kiedy wrócili na komendę, na biurku Hjelma leżał faks. Hultin czekał już na nich w Centrum Dowodzenia, na pismo rzucił więc tylko szybko okiem. Dopiero na korytarzu zaskoczył mu trybik.

Nadawca: inspektor kryminalny Erik Bruun, policja w Huddinge. Hjelm wrócił do biurka.

Bruun pisał: ***Wolałem, żebyś dowiedział się ode mnie, a nie z prasy. Dziś w nocy w celi więzienia Hall Dritero Frakulla popełnił samobójstwo. Teraz rodzina już na pewno zostanie. Niech to nie wpłynie na to, czym teraz się zajmujesz. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Serdeczne pozdrowienia, Bruun.***

' ***Missa*** (szw.) - przeoczyć, nie trafić.

W nocy, dumal Hjelms, trzymajac w rekun faks. Co za noc. Gun-nar Nyberg zostaje postrzelony na Liding6, Ulf Axelsson ginie w G6teborgu, Dritero Frakulla popełnia samob6jstwo w Norrk6ping, a Goran Andersson zostaje zidentyfikowany w Algotsmali. Wszystko się ze soba łaczy.

Szwecja to mały kraj, pomyslal, choc jednocześnie przyszlo mu do gl6wy, ze powinien byl pomyslec cos innego.

Wszedl do Centrum Dowodzenia z faksem w rekun. Cała družyna A byla juz na miejscu. Pierwsze spotkanie z Hultinem po powrocie z Vaxj6.

- Doskonala robota w Vaxj6 - odezwal się Hultin, przygladajac mu się badawczo.

Piękna robota, pomyslal Hjelms i przez chwile wydawalo mu się, ze zapada się w błoto i staje na trupie Dritero Frakulli, zeby utrzymac nos nad powierzchnia. Przegnal ten obraz, wyjal faks z zapoconej dl6ni i usiadl.

- Dziękuje.

- Do tego stopnia doskonala, ze zignoruje to, ile czasu minelo od momentu, kiedy poznaliscie nazwisko przestępcy, do chwili jego przekazania.

Pochwały Hultina bardzo rzadko byly jednoznaczne. Jak gdyby nigdy nic m6wil dalej:

- Okej. Ochrona nad zarzadem Lovisedalu z roku 1991 zostaje oczywiście przeniesiona na zarzad Sydbanken z roku 1990. Daggfeldt, Strand-Julen, Carlberger, Brandberg i Axelsson nie zyja. Niestety w zarzadzie zasiadalo jeszcze kolejnych dwanaście os6b. Osiem w Sztokholmie, dwie w Malm6, jedna w 6rebro i jedna w Halmstad. Jedyne go g6teborczyka juz z nami nie ma. Ze wspomnianych dwunastu zlokalizowalismy i zapewnilismy ochrone dziewięciu. Jeden jest za granicą, pozostałych dwóch nie udalo nam się jeszcze namierzyć. Obaj sę poza tym sztok-holmczykami: niejaki Lars-Erik Hedman i niejaki Alf Ruben Winge. Odnalezienie ich to w tej chwili nasz priorytet. Po porannych poszukiwaniach zielony saab 900 Gorana Anderssona zo-

stał znaleziony na parkingu policji w Nynashamn - stoi tam od prawie miesiąca ze zdjętymi tablicami rejestracyjnymi i spiłowanym numerem silnika. Sprawdzają go teraz technicy, ale ze wstępnej informacji wynika, jak łatwo można się domyślić, że w samochodzie nie ma żadnych śladów. Co się tyczy samego Anderssona, to zarządzono alarm w całym kraju, a jego ostatnie zdjęcie zostało rozesłane do wszystkich okręgów policji i straży granicznej. W tej chwili na wyższych szczeblach zastanawiają się, czy powinniśmy ujawnić zdjęcie i włączyć w śledztwo Wielkiego Detektywa - opinię publiczną.

- Popełnilibyśmy wielki błąd - odezwał się Söderstedt. - Dopóki on nie wie, że my wiemy, będzie się czuć dosyć bezpiecznie.

- Zgadza się - stwierdził Hultin. - Chodzi tylko o to, żeby Mórner i cała reszta to zrozumieli.

- Zrób, co w twojej mocy - powiedział Söderstedt. - Masz w końcu swoją tajną broń.

Hultin spojrzał na niego ostro i mówił dalej:

- Nasze priorytety wyglądają następująco. Jeden: zlokalizować Hedmana i Winge. Dwa: sprawdzić wszystkie potencjalne kontakty w Sztokholmie, dzięki którym Andersson mógł znaleźć tu mieszkanie: mamy ten butik ze sprzętem do gry w lotki na Starym Mieście, ale musi być tego więcej, stowarzyszenie darta czy inne cholerstwo. Trzy: niech ten specjalista od incydentów z Vaxjo, Wrede, przycisnie jeszcze trochę Lenę Lundberg. Cztery: wyjść ze zdjęciem Anderssona do półświatka.

Hultin zrobił pauzę i zajrzał do swoich papierów.

- Robimy tak: z braku Nyberga Chavez z kryminalnymi ze Sztokholmu bierze na siebie przestępczy półświatek. Holm wraca do Vaxjo, żeby towarzyszyć Jonasowi Wrede w sprawdzaniu kręgu przyjaciół i kontaktów Anderssona w Sztokholmie. Norlander pójdzie do sklepiku z lotkami, a potem, korzystając z policyjnej piechoty, zajmie się wynajmem mieszkań i pokoi hotelowych w okolicach piętnastego lutego. Hjelm i Söderstedt lokalizują Hedmana i Alfa Winge. Pamiętajcie, że macie do dyspozycji całe

zastępy policji. I unikajcie jak zawsze kontaktu z prasą i Sapo. Jest godzina dwunasta dwudziestego dziewiątego maja. Dwa miesiące temu Goran Andersson rozpoczął swoją serię zabójstw. Dopilnujmy, żeby liczba ofiar nie przekroczyła pięciu i żeby sprawa nie zajęła więcej niż dwa miesiące.

Kerstin Holm wróciła do Vaxjo, żeby, jak wyraził to Hultin, towarzyszyć Jonasowi Wrede. Kiedy przekroczyła próg jego biura, wydawał się lekko wystraszony; myślał pewnie, że jego grzech zaniechania w sprawie Trepłowa został już puszczony w niepamięć. Teraz miał spędzić kolejny dzień w jego cieniu. Holm szybko doszła do wniosku, że krąg przyjaciół Gorana Anderssona ograniczał się w zasadzie do klubu darta. Mimo że był tam wielką gwiazdą, nie znaleźli nikogo, kto nazwałby go przyjacielem. Nikt też nie wiedział o jego kontaktach w Sztokholmie. Wrócili do Leny Lundberg, ale nie zdobyli się na to, żeby „jeszcze trochę ją przycisnąć”. Było dla nich jasne, że kobieta o niczym nie wie.

Jorge Chavez nie odniósł wielkiego sukcesu w sztokholmskim półświatku. Nikt nie rozpoznał bużki Gorana Anderssona; zresztą trudno było się tego spodziewać. Chavez uważał, że dostał najgorszą robotę ze wszystkich możliwych.

Tak samo uważał zresztą Viggo Norlander. W butik na Starym Mieście musieli sprawdzić, czy Andersson figuruje w rejestrze klientów. Mężczyzna za ladą przypomniał sobie lotki z długim grotem, ale nic więcej. Andersson zawsze zamawiał swoje lotki pocztą. W stowarzyszeniu darta nie znali go w ogóle, ale znaleźli jego nazwisko w wynikach kilku turniejów w Smalandii; zawsze na pierwszym miejscu. Zdziwili się, że nigdy nie brał udziału w zawodach poza Smalandią, chociaż kilka razy udało mu się pokonać reprezentantów kraju. Norlander spędził resztę dnia w towarzystwie całego oddziału asystentów Rikskrim

i policjantów ze Sztokholmu, jeżdżąc do wszystkich hoteli

w mieście i sprawdzając oferty najmu mieszkań w prasie, począwszy od piętnastego lutego. W hotelach nic nie znaleźli. Kilku właścicielom mieszkań wydawało się, że rozpoznają go z mało precyzyjnego z założenia opisu - skonfrontowani ze zdjęciem zmieniali jednak zdanie. Norlander i jego ekipa szukali więc dalej.

Policyjna sztokholmska piechota udała się również, na bezpośredni rozkaz Hultina, do miejsc pracy i zamieszkania ofiar i pokazała zdjęcie kolegom, rodzinom i sąsiadom. To samo zrobiła policja w Göteborgu. Nikt nigdy nie widział Gorana Anderssona.

Sóderstedt i Hjelm próbowali za wszelką cenę odnaleźć pozostałych dwóch członków zarządu Sydbanken z roku 1990.

Arto Sóderstedt odwiedził firmę Urbohwest Alfa Rubena Winge i jego dom na Óstermalm. Nikogo nie zmartwiła jego nieobecność; najwyraźniej miał w zwyczaju znikać bez śladu na kilka dni, a potem wracać jak gdyby nigdy nic. Stać go było na takie ekstrawagancje, jak to wyraził jeden z zatrudnionych. Sóderstedt popłynął na szkiery, do imponującej letniej rezydencji Alfa Winge na Varmdó, ale nie zastał tam nikogo.

Paulowi Hjelmowi przypadł były członek zarządu Lars-Erik Hedman. Ale mu przepadł. W latach 1986-1990 reprezentował związek zawodowy TCO w Sydbanken, a wewnątrz TCO był głównym negocjatorem, z aspiracjami na przewodniczącego. Wtedy jeszcze żonaty, z dwójką dzieci i luksusowym apartamentem w Vasastan. Teraz mieszkał sam w dwupokojowym mieszkaniu w Bandhagen, wyrzucony z TCO i pozbawiony wszystkich obowiązków związanych z zarządem. Do końca lat osiemdziesiątych radził sobie jakoś z pracą mimo poważnych problemów z alkoholem, jednak po kilku żenujących wystąpieniach w na pół oficjalnych sytuacjach cierpliwość związku się skończyła i Hedman został wyrzucony na bruk. Korzystając ze wskazówek biura opieki społecznej w Bandhagen, Hjelm zlokalizował Hedmana na ławce w parku przed

monopolowym i nie zważając na jego protesty, zaprowadził go do zapuszczonego mieszkania, gdzie miał czekać na policjantów, którym przypadła wątpliwa przyjemność chronienia zdrowia Larsa-Erika Hedmana. Z definicji robota niewykonalna.

Hjelm wrócił na komendę przekonany, że dochodzenie znów wskoczyło na wolny bieg. Nienawidził tej myśli. Kolejny obrzydliwy miesiąc. Całe lato do kitu. Z nieuchwytnym Goranem Anderssonem chodzącym po ulicach z podniesioną wysoko, ale niewidzialną lotką.

Siedział w swoim pokoju i patrzył niewidzącym wzrokiem przez okno na ściany komendy, kiedy zadzwonił telefon, a czas zdecydowanie przyspieszył.

- Hjelm - odebrał.

- Nareszcie - odezwał się spokojny głos; rozpoznawszy dialekt, Hjelm od razu włączył nagrywanie. Smalandzki. - Miałem kłopoty z dodzwonieniem się. Uciążliwy personel na centrali. Paul Hjelm, bohater z Botkyrki. Tej wiosny byłeś na nagłówkach gazet prawie tak często jak ja.

- Goran Andersson...

- Zanim przyjdzie ci do głowy próbować mnie namierzyć, podam ci jedną, niezawodną metodę, jak to uniemożliwić: trzeba dzwonić ze skradzionej komórki.

- Wybacz, że ci przerwę - zaryzykował Hjelm - ale to, że telefonujesz, żeby się pochwalić, nie zgadza się z naszymi ustaleniami. Łamiesz swój profil psychologiczny.

- Dajcie znać, jak kogoś takiego znajdziecie - powiedział cicho Goran Andersson. - Nie, nie telefonuję, żeby się pochwalić. Chcę ci powiedzieć, żebyś trzymał się z daleka od mojej narzeczonej. Inaczej będę zmuszony jeszcze bardziej złamać mój profil psychologiczny i cię wyłowić.

- Nigdy tego nie zrobisz - wybuchnął Hjelm całkiem niepsychologicznie.

- Dlaczego nie? - Andersson był wyraźnie zaintrygowany.

- Helena Brandberg, córka Enara Brandberga. Ją też mogłeś po prostu zastrzelić, żeby mieć czas na wyjęcie kasety, ale uciekłeś i zostawiłeś nam taśmę.

- To dzięki kasecie mnie namierzyliście? - zdziwił się Goran Andersson. - Ciężka robota.

- Niezupełnie - powiedział Hjelm. - A co myślałeś?

- Że przez napastnika w skarbcu, oczywiście. Czekałem, aż to wyjdzie na jaw, spodziewając się, że zaraz zaczniecie mnie szukać. Nic takiego się nie stało, więc zacząłem działać. Potem był ten portret pamięciowy w prasie, jakby ten koleś żył. Co się stało?

Co mu szkodzi być szczerym?

- Säpo pogrzebało dochodzenie, tłumacząc się bezpieczeństwem państwa.

Goran Andersson zaśmiał się głośno. Hjelm o mało co nie zrobił tego samego.

- Osiągnęli przeciwny skutek - odezwał się Andersson po chwili.

- Skończ już i poddaj się - powiedział ze spokojem Hjelm. - Już wystarczająco dobitnie okazałeś swoje niezadowolenie z polityki banków na przełomie dziesięcioleci. Daruj już sobie. Wiesz przecież, że w obecnej sytuacji wszyscy członkowie zarządu są pod naszą ochroną.

- Niekoniecznie... Poza tym tu nie chodzi o to, żeby cokolwiek okazywać, tylko o bardzo złożony zbieg okoliczności, który sprawił, że stało się to, co się stało. Los. Granica oddzielająca zbieg okoliczności od losu jest cienka jak włos, ale jak już się ją przekroczyło, nie ma powrotu.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie czytasz gazet? - zdziwił się Goran Andersson.

- Rzadko - przyznał Hjelm.

- Na Boga, przecież jestem bohaterem narodowym! Nie czytałeś listów do redakcji? Kto chce mieć kaca, skoro nawet nie był na imprezie? Takie są dziś nastroje w Szwecji. Ci, co mają

286

w tym społeczeństwie wpływy i mogą się wypowiadać, uparcie nam wmawiają, że wzięliśmy udział w jakiejś imprezie, za którą teraz musimy zapłacić. Ja się pytam: jakiej imprezie? Dopiero to, co teraz robię, to jest impreza, retroaktywna ludowa zabawa. Przeczytaj listy do redakcji, posłuchaj, co ludzie mówią na mieście. Ja tak robię, może ty też powinieneś. Siedzisz w zamkniętym pokoju i wydaje ci się, że to w nim wszystko się rozgrywa. A ja ci mówię, że ludzie teraz o niczym innym nie gadają. Widać, kto się boi, a kto cieszy.

- Tylko mi nie wmawiaj, że kieruje tobą jakieś poczucie politycznej misji!

- W tym gorącym okresie byłem tylko na jednej imprezie - powiedział Andersson jakby spokojniej. - W knajpie Hackat och Malet w Våxjö, dwudziestego trzeciego marca 1991 roku. Widziałem, jak wygląda szaf zakupów.

- Nie rób z siebie ludowego rewolucjonisty - upierał się Hjelm. - Dorabiasz sobie ideologię.

- Przyznaję - powiedział trzeźwym głosem Andersson. - Zawsze głosowałem na kapitalistów.

Wyjątkowo dziwna rozmowa, pomyślał Hjelm. To już nie był ten sfiksowany seryjny morderca, który czekał godzinami w pustych salonach, oddawał dwa strzały w głowę swoich ofiar, a potem słuchał jazzu. Misterium rozpadło się na tysiąc kawałków, misterium rozeszło się w pył. *Misterioso* - zdążył pomyśleć. Może te morderstwa w jakiś pokrętny sposób go uzdrowiły. A może rozmawiał po prostu z dzienną wersją Gorana Anderssona, względnie zdrową, być może jego nocna wersja wyglądała zupełnie inaczej.

Ludzie, pomyślał Hjelm, a potem powiedział:

- Mam jedno techniczne pytanie. Jak udało ci się wejść do ich domów?

- Jeśli kogoś długo śledzisz, wkrótce, w ten czy inny sposób, zdobędziesz klucze do jego domu - odrzekł Andersson obojętnym tonem. - Potem odciskasz go szybko w kawałku gliny

i robisz sobie klucz. To jak piłowanie lotki. Sprawdzasz, jakie są ich zwyczaje, a potem na nich czekasz.

- Następną ofiarę też długo śledzisz?

Cisza. Hjelm obawiał się, że Andersson odłożył słuchawkę.

- Wystarczająco długo - odezwał się w końcu Andersson. - Ale dosyć tej pogawędki. Dzwonię tylko po to, by ci powiedzieć, żebyś trzymał się z daleka od mojej narzeczonej. W przeciwnym razie będę musiał cię zabić.

Było jeszcze jedno pytanie, które nie dawało Hjelmowi spokoju. Zastanawiał się, czy lepiej je zadać, czy lepiej zachować dla siebie. Jak zareaguje Goran Andersson? Ta straszna rozmowa, straszna przez swoją pozorną normalność, odebrała mu pewność siebie. W końcu je zadał, jakby trochę wbrew sobie:

- Skoro byłeś w kontakcie z Leną, to pewnie wiesz, że nosi twoje dziecko? Jaką według ciebie ma ono przyszłość?

Cisza.

Po dziesięciu sekundach usłyszał słabe kliknięcie; koniec rozmowy. Hjelm odłożył słuchawkę, zatrzymał nagrywanie, wyjął kasetę i poszedł do Hultina.

- Właśnie skończyłem z nim rozmawiać.

Hultin podniósł głowę znad papierów i patrzył na niego przez okulary.

- Z kim?

- Z Goranem Anderssonem - powiedział Hjelm i pomachał taśmą.

Hultin wskazał palcem na magnetofon; jego twarz nawet nie drgnęła.

Wysłuchali kasety. Hjelmowi kilka razy przyszło do głowy, że był zanadto bierny, a czasem dosłownie szalony podczas tej długiej i zadziwiającej rozmowy seryjnego mordercy z policjantem.

- Rozumiem twoją ostrożność - powiedział Hultin. - Być może mogłeś zawałczyć o więcej wskazówek. Z tego, co widzę, mamy trzy. Pierwsza: nawet jeśli końcowa cisza może oznaczać, że

nie wiedział o ciąży swojej narzeczonej, bez wątplenia był z nią w kontakcie. Wiemy już, że to przemilczała. Mając na uwadze, że spotkali się zaraz po waszej wizycie, najprawdopodobniej byli w kontakcie już wcześniej; trudno sobie wyobrazić, żeby po raz pierwszy w ciągu tych trzech i pół miesiąca spotkali się akurat dzień po tym, jak go zdemaskowaliście. Holm musi więc porządnie przycisnąć Lenę Lundberg w Algotsmali. Ta kobieta wie więcej, niż się do tego przyznaje. Druga: kiedy mówisz, że chronimy wszystkich członków zarządu, Andersson odpowiada: „Niekoniecznie”. To może oznaczać, że celem jest Alf Ruben Winge; tylko jego nie udało nam się zlokalizować. Musimy zrobić wszystko, żeby go odnaleźć. Trzecia: kiedy pytasz, czy już długo śledzi następną ofiarę, odpowiada: „Wystarczająco długo”. To może oznaczać, że będzie gotów już dziś w nocy. Mimo że dopiero co uaktywnił się w Göteborgu. Okej, to niezbyt dużo, ale wystarczająco, żeby działać. A więc: informację o miejscu pobytu Anderssona w Sztokholmie możemy prawdopodobnie wyciągnąć od Leny Lundberg, kolejna ofiara to pewnie Alf Ruben Winge, do zabójstwa dojdzie prawdopodobnie jeszcze tej nocy. Zatelefonuję do Holm, ty dzwoń do Söderstedta. Weź komórkę. Hjelm przez chwilę nie mógł ruszyć się z miejsca, ale Hultin był naprawdę szybki. Chwycił za telefon i zadzwonił do Kerstin w Vaxjö. Gdy Hjelm dopiero brał do ręki komórkę, Hultin już skończył rozmawiać.

- Arto. Następny jest Winge, jeszcze tej nocy. Co wiesz? I gdzie w ogóle jesteś?

- Tutaj - odezwał się Söderstedt melodramatycznym tonem i otworzył drzwi. Wyłączył komórkę. - Siedziałem w pokoju. Macie coś nowego?

- Holm jedzie prosto do Leny Lundberg - powiedział Hultin, nie zwracając uwagi na efektowne wejście Söderstedta. Dopiero potem zwrócił się bezpośrednio do niego: - Z kim rozmawiałeś o Alfie Winge?

Söderstedt zrozumiał, o co chodzi:

- Z żoną Camillą na Narvavagen, dwoma pracownikami jego firmy UrboInvest na Sturegatan: Lisą Hagerblad i Wilmą Ham-mar, dwoma współpracownikami: Johannesem Lundem i Vil-gotem Ófvermanem, a także z sąsiadem jego letniej rezydencji na Varmdó, pułkownikiem Michelelem Skóldem.

- Jak mocno ich przycisnąłeś?

- Niezbyt mocno.

- Czy było coś, co mogłoby sugerować, że ktoś z nich wie więcej, niż powiedział? Zastanów się.

- Zgorzknienie jego żony... Być może panująca w firmie atmosfera tajemnicy...

- Okej, wiecie, czy Chavez i Norlander już wrócili?

- Wciąż są na mieście - powiedział Söderstedt.

- W takim razie zajmijmy się tym sami. - Hultin podniósł się z miejsca i zaczął zakładać marynarkę. - Jest teraz... wpół do szóstej. Możliwe, że ktoś z pracowników jeszcze siedzi w UrboInvest, zadzwonimy po drodze. Każdy z nas bierze swój samochód. Arto jedzie do żony, Paul i ja do biura. Jeśli nikogo tam nie ma, poszukamy gdzie indziej. Przekazujemy sobie wszystkie informacje, dobre i złe. Korzystajcie z komórek i unikajcie jak zawsze radiotelefonu. Spróbuję złapać Vigga i Jorge, czekam jeszcze na telefon Kerstin z Algotsmali. Wszystko jasne?

- Żadnych wyjaśnień? - zapytał Söderstedt już w korytarzu.

- Przyjdzie na to czas - odpowiedział Hultin.

Na schodach komendy Hjelm wpadł na Niklasa Grundstróma z Biura Spraw Wewnętrznych. Spojrzeli na siebie. Hjelm poczuł, że mimowolnie zatrzymał się na sekundę.

- Jak po maśle, Hjelm? - zapytał ze spokojem Grundstróm.

- Raczej jak w maśle - odpowiedział z takim samym spokojem Hjelm.

- Idź lepiej do Dóósa i Grahna - wtrącił Hultin. - Czekają już na ciebie.

Grundström patrzył za nimi, gdy zbiegali po schodach, kierując się do swoich samochodów. Potem poszedł do tamtych dwóch z Sapo, żeby ich zwolnić z pracy.

Ruszyli tą samą drogą na Óstermalm. Jechali gęsiego i dosyć szybko jak na godziny szczytu.

- Vilgot Ófverman jest jeszcze w UrboŁrwest - przekazał Hjelm przez komórkę. - Czeka na nas.

Reszta poszła już do domu. Wilma Hammar mieszka na Artillerigatan. Pozostałych dwoje za miastem.

Mam ją odwiedzić?

- Tak.

Trzy samochody jechały razem aż do Humlegarden. Gdy zbliżali się do skrzyżowania Sturegatan z Karlavagen, Hultin powiedział:

- Kerstin melduje, że jest już u Leny Lundberg. Niedługo się odezwie. Nie mam kontaktu z Jorge.

Viggo jest teraz w Ósmo i sprawdza mieszkanie. Przyjedzie, jak tylko będzie mógł najszybciej.

Sóderstedt i Hjelm skręcili na prawo w Karlavagen, a Hultin pojechał jeszcze jakieś dziesięć metrów dalej Sturegatan. Po kilku przecznicach Hjelm skręcił w Artillerigatan, a Sóderstedt pojechał dalej w kierunku Karlaplan i Narvavagen.

Hjelm wybrał na domofonie przycisk z nazwiskiem Hammar; odpowiedział uprzejmy męski głos.

Drzwi na trzecim piętrze otworzył właściciel tego głosu, o ile w ogóle można być właścicielem głosu: palący fajkę słusznej budowy mężczyzna w wieku, który zwykle określa się średnim.

- Wydział kryminalny. - Hjelm zamachał w powietrzu legitymacją. Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. - Szukam Wilmy Hammar. To bardzo ważne.

- Proszę - powiedział mężczyzna i krzyknął: - Wilma! Policja! Wilma Hammar wyszła z kuchni i wytarła ręce ścierką do naczyń. Była niska i przysadzista, około pięćdziesiątki.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwał się Hjelm zachrypniętym głosem. - Pewnie domyśla się pani, dlaczego tu jestem.

Mamy powody przypuszczać, że pani szefowi, Alfowi Rubeno-wi Winge, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, a wydaje nam się, że podczas naszej ostatniej wizyty w firmie nie powiedziała nam pani wszystkiego.

Wilma Hammar potrząsnęła głową. Wyglądała na osobę lojalną - lojalną za każdą cenę.

- Jak już mówiłam pańskiemu koledze, szef zniknął na kilka dni w miesiącu. Nie wtrącam się w jego życie.

- Ja bym raczej powiedział, że okresowo - wtrącił się mężczyzna i pociągnął fajkę.

- Rolf! - zawołała Wilma.

- Czy słyszała pani o Łowcy Rekinów... - zaczął Hjelm, ale przerwał mu telefon.

- Okej - w słuchawce zabrzmiał głos Söderstedta. - Tym razem żona nie owijała w bawełnę. Jest nieźle wstawiona. Jest kochanka, powtarzam: jest kochanka. Ale żona nie wie, kim ona jest. Zgłosiła jednak gotowość do odgryzienia jej sutków, jeśli tylko ją znajdziemy.

- Dzięki - powiedział Hjelm i rozłączył się.

- Sugeruje pan, że... Alf Ruben miałby być... - odezwała się przerażona Wilma Hammar.

- Kolejną ofiarą, tak - uzupełnił Hjelm. - Proszę, by nie próbowała go pani chronić przez poczucie jakiejś źle rozumianej lojalności, bo może go to kosztować życie. Wiemy, że ma kochankę. Wie pani, kim ona jest?

Wilma Hammar złapała się za czoło.

- Tu chodzi, niestety, o sekundy - oświadczył Hjelm, żeby zapobiec kolejnym unikom.

- Rozumiem. Ale nie wiem, kim ona jest. Kilka razy odebrałam telefon, gdy dzwoniła. Ma fiński akcent, tylko tyle mogę powiedzieć. Lisa będzie wiedzieć więcej.

- Asystentka? Kiwnęła głową.

- Lisa Hagerblad.

- Mieszka w... gdzie to było... w Rásundzie? Ma pani jej adres i telefon?

Wilma Hammar otworzyła książkę telefoniczną i zapisała adres i telefon na żółtej karteczce, którą Hjelm przykleił do komórki.

- Dziękuję - powiedział i wyszedł.

Schodząc po schodach, wybrał numer z karteczki. Odczekał dziesięć sygnałów, po czym się rozłączył.

Wtedy zadzwonił Huitín:

- Siedzę tu w UrboInvest z tym staruszką, Vilgotem Ófvermanem. Przyciśnięty, wydusił z siebie imię i opisał wygląd tej kochanki. Więcej nic nie wie, macie na to moje słowo. Jest niska, ma włosy koloru popielaty blond, fryzurę na pazia i nazywa się Anja.

- Mogę dodać, że prawdopodobnie jest Finką albo Szwedką fińskiego pochodzenia - powiedział Hjelm. Coś zapiszczało w słuchawce.

- Ktoś do mnie dzwoni. Masz coś ważnego?

- Asystentka w Rásundzie. Nie odbiera.

Huitín zamilkł na chwilę. Hjelm czekał w samochodzie; czuł się jak na torturach. Sóderstedt zaparkował przed nim swoje volvo. Zadzwonił telefon. Obaj odebrali.

- Okej - odezwał się Huitín. - Przechodzimy na tryb konferencyjny. Mam na linii Kerstin, jak to się dawniej mówiło.

- Halo. - Kerstin Holm dzwoniła z Algotsmáli. - Jestem po długiej rozmowie z Leną Lundberg.

Rzeczywiście miała kontakt z Anderssonem w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Udało jej się mnie oszukać. Andersson powiedział jej tylko, że ma coś ważnego do załatwienia. Potem miał wrócić do domu i żyć jak dawniej. Tak jak podejrzewaliście, nie miała odwagi powiedzieć mu o ciąży.

- Przejdź do rzeczy - uciął Huitín.

- Niestety, będę teraz dosyć szczegółowa. Brat Leny mieszka w Sztokholmie i kiedy ostatnio przyjechał do nich w odwiedzi-

ny, to znaczy jakiś tydzień przed incydem, z jakiegoś powodu opowiedział o siostrze kolegi z pracy, która pracuje w Stanach i stać ją na utrzymanie pustego mieszkania w mieście. To sobie przypomniała. Nie pamięta jej nazwiska, mimo że brat je wymienił, w każdym razie mieszkanie jest prawdopodobnie gdzieś w Fittji, a po rozmowie z bratem mam też jej nazwisko: Anna Williamsson. Reszta należy do was. - Dobra robota - stwierdził Hultin.

- Jak ona się czuje? - zapytał Hjelm.

- Zaczęła dostrzegać pewne związki. Nie czuje się dobrze.

- Na razie - powiedział.

- Nie daj się zastrzelić - rzuciła na koniec.

- Jesteście jeszcze? - zapytał Hultin. - Rozłączcie się, to zadzwonię sprawdzić ten adres.

Czekali w swoich samochodowych kryjówkach. Zadzwonił telefon Hjelma. Ale Söderstedt nie odbierał, co widział przez szybę. Czyli nie Hultin.

- Nareszcie - usłyszał głos Chaveza. - Wierz czy nie, ukradli mi komórkę. Dopiero przed chwilą odebrałem ją jakiemuś ćpunowi. Co jest?

- Zaczęło się. Gdzie jesteś?

- Sergels torg. Cholerny dzień. Nie sądziłem, że półświatek Sztokholmu jest taki... wielki.

- Rozłącz się, to zadzwonię do ciebie za kilka sekund. Hultin sprawdza adres. Gorana Anderssona.

- O kurwa - powiedział tylko Chavez i rozłączył się. Telefon zadzwonił od razu. Hjelm zobaczył, że Söderstedt odebrał w tym samym momencie.

- Halo - usłyszeli głos Hultina. - Mieszkanie Anny Williamsson jest na Fittjavâgen 11, na czwartym piętrze. Hjelm zaśmiał się głośno.

- Co jest? - zirytował się Hultin.

- Ironia losu - odpowiedział Hjelm, przekręcając kluczyk w stacyjce. - To po sąsiedzku z moją dawną komendą.

Pojechali razem na Sergels torg, skąd zabrali Chaveza. Wskoczył do mazdy Hjelma i usłyszał, jak z grubsza wygląda sytuacja.

- Jaki miał głos? - zapytał, kiedy wyjechali na Essingeleden.

- Nieprzyjemnie przenikliwy - powiedział Hjelm. - Jakby to nie był on.

Hjelm starał się ustalić chronologię. Jeśli trop się zgadzał, planując zabójstwa, Goran Andersson mieszkał po sąsiedzku z komendą w Fittji. Wchodził i wychodził przez furtkę obok, bardzo możliwe, że wpadli na siebie kilkakrotnie w lutym i marcu. Myślał o tym, że mógł widzieć jego mieszkanie ze swojego pokoju służbowego. Chwilę przed tym, zanim Hjelm udał się do biura imigracyjnego, żeby uwolnić zakładników, Andersson pojechał do Danderyd, żeby zabić. A w czasie, gdy Grundström i Martensson obracali na rożnie Hjelma, Andersson zabił po raz drugi. Na Strandvagen.

Jak on to powiedział? „Bardzo złożony zbieg okoliczności, który sprawił, że stało się to, co się stało. Los. Granica oddzielająca zbieg okoliczności od losu jest cienka jak włos, ale gdy już się ją przekroczyło, nie ma powrotu”.

Paul Hjelm czuł, że zbliża się do tej granicy.

Zaparkowali przed komendą w Huddinge, żadnemu z nich nie przyszło jednak do głowy, żeby poprosić o wsparcie. Weszli przez sąsiednie drzwi, wspięli się po schodach na czwarte piętro i stanęli przed drzwiami z wizytówką Williamsson. Na klatce panowała zupełna cisza.

Hultin nacisnął dzwonek. Nikt nie otworzył. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Hultin zadzwonił raz jeszcze. I jeszcze. Odczekali dwie minuty. Potem Hjelm wyważył kopniakiem drzwi.

Wpadli do środka z podniesioną bronią. W małym dwupokojowym mieszkaniu było pusto. W sypialni stało pościelone starannie łóżko z kilkoma pluszakami ułożonymi przy poduszce. Na ścianie wisiały plakaty jak w pokoju nastolatki. Chavez schylił się i zajrzał pod łóżko. Wyciągnął zwinięty materac.

Wy-

głądał jak rolada, z nadzieją z koca. Pod łóżkiem znaleźli jeszcze torbę podróżną produkcji rosyjskiej. Leżało w niej kilkanaście rolek banknotów pięćsetkoronowych.

Salon wyglądał na równie nieużywany co sypialnia. Tylko jeden z różowitkich plakatów był trochę zniszczony. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś tu mieszkał przez ponad trzy miesiące, nie pozostawiając po sobie ani jednej rzeczy. Na płycie kuchennej stał czysty garnek. Na dnie był lekko wilgotny. Stół kuchenny miał pod spodem szufladę. Hultin pociągnął za jej uchwyt.

Pierwsze, co zobaczyli, to pęk kluczy różnej wielkości, gładkich - bez ząbków, gotowych do przypięcia. Obok leżało pudełko. Z napisami cyrylicą. Hultin założył gumowe rękawiczki i otworzył. Zobaczyli ułożone rzędami naboje z Kazachstanu; została jeszcze co najmniej połowa. Pod pudełkiem z amunicją leżała napisana na maszynie lista z siedemnastoma nazwiskami. Hultin podniósł ją ostrożnie i parsknął, jakby na potwierdzenie swoich przypuszczeń. Kuno Daggfeldt - odhaczony, Bernhard Strand-Julen - odhaczony, Nils-Emil Carlberger - odhaczony, Enar Brandberg - odhaczony, Ulf Axelsson - odhaczony.

Ostatni haczyk stał przy nazwisku Alfa Rubena Winge.

Hjelm wszedł do salonu. Odchylił podniszczony plakat. Pod nim wisiała na ścianie tarcza do gry w darta. Brakowało lotek.

Przeszukali szafy i szuflady. Po niemal trzymiesięcznym pobycie Gorana Anderssona w mieszkaniu nie zostało już nic więcej. Zwinięty materac, rosyjska torba z pięćsetkami, wilgotny garnek, pęk gładkich kluczy, pudełko naboji z Kazachstanu, tarcza do gry w lotki i lista planowanych morderstw. Poza tym jakby go tu nigdy nie było.

Hjelm skontaktował się z kolegami z sąsiedniej komendy i wydał polecenie odgródzenia, nocnej obserwacji i technicznego sprawdzenia mieszkania. Kiedy wyszli na wiosenne

słońce, zimny podmuch wiatru uświadomił im, że jest wieczór. Zbliżała się ósma. Kolejny raz mieli zacząć wszystko od początku.

Hjelm i Chavez zadzwonili do Lisy Hagerblad. Tym razem odebrała. Nie chciała zdradzić powodu nieobecności Wingego. Nie zdążył nawet dodać, jak bardzo to ważne, gdy odłożyła słuchawkę.

Westchnęli głęboko i ruszyli w kierunku Rasundy, żeby porozmawiać z asystentką osobiście.

Hultin i Söderstedt pojechali na Stora Essingen, gdzie w całkiem znośnej willi z całkiem znośnym widokiem na jezioro Malaren mieszkał Johannes Lund, młodszy współpracownik Alfa Winge.

Odpowiedziała im automatyczna sekretarka. Nie zostawili wiadomości po sygnale.

Jako że Stora Essingen leżała dużo bliżej niż Rasunda, pierwsi na miejscu byli Hultin i Söderstedt. Po spadzistym trawniku chodził w tę i z powrotem mężczyzna ubrany w kombinezon, wlokąc za sobą urządzenie, które przypominało mało poręczną kosiarkę. Spod kombinezonu wyglądał biały kołnierzyk i czarny węzeł krawata. Z kieszonki wystawała komórka.

- Proszę, proszę - odezwał się mężczyzna na widok Söderstedta. Przerwał pracę i oparł się o urządzenie. - Nie wystarczyła wam...

- Dlaczego nie odbiera pan telefonu? - spytał ostro Hultin.

- Telefon stacjonarny służy tylko do pogawędek, dla nich jest automatyczna sekretarka. Tutaj - powiedział, klepiąc się po kieszonce z komórką - przychodzą ważniejsze telefony. Biorąc najwyraźniej ich trwające sekundy milczenia za przejaw głupoty, dodał jeszcze: - Telefony kategorii B są nagrywane i sprawdzane przez moją żonę, telefony kategorii A trafiają prosto do mnie.

Święta prawda, pomyślał Söderstedt, a potem powiedział:

- Spójrz na niebo. - Johannes Lund spojrzał na niebo. - Jest wpół do dziewiątej i wciąż jeszcze świeci słońce. Za kilka godzin zniknie. Wówczas zniknie również Alf Ruben Winge. Rozu-

miesz? Za kilka godzin twój szef zginie z rąk seryjnego mordercy, który zdążył już pozbawić życia pięciu wysoko postawionych obywateli tego państwa, twojego mniej więcej pokroju. Johannes Lund spojrzał na nich zaskoczony

- Polowanie na Rekiny? - zdziwił się. - Ja pierdolę. On zawsze wydawał mi się mało ważny.

Przyznaję, urósł w moich oczach.

- Co wiesz na temat jego nieobecności w firmie? - spytał Hultin.

- Jak już mówiłem, nic nie wiem. - Lund spojrzał zamyślony na niebo nad Essingen. - Jest wobec mnie niezwykle podejrzliwy. Dobrze wie, że jestem w tym, kurwa, dużo lepszy i że wypracowuję dużo większy zysk niż on. Potrzebuje mnie i mnie nienawidzi. Tak bym to mniej więcej określił.

Nienawidzi mnie i mnie potrzebuje. W którą stronę wam wygodniej. Nie przy-szłoby mu nigdy do głowy zwierzać mi się ze spraw osobistych.

- Czy ma jakichś przyjaciół, z którymi dzieli się sekretami? Johannes Lund zaśmiał się.

- Jezu, człowieku! My jesteśmy ludźmi biznesu!

- Nigdy nie spotkałeś niskiej blondynki ściętej na pazia, Finki o imieniu Anja? - zapytał Söderstedt.

- Nigdy - odrzekł Lund, patrząc mu prosto w oczy. - Przykro mi.

Zadzwoiła komórka Hultina. Chavez.

- Stoimy przed domem Lisy Hagerblad na Rasundavagen. Macie coś dla nas, zanim wejdziemy?

- Nic - powiedział Hultin. - Niestety.

- Okej. - Chavez rozłączył się i włożył komórkę do kieszeni kurtki.

Zadzwoiła do drzwi. Otworzyła im ładna blondynka w młodszym średnim wieku, można by powiedzieć, gdyby to tak źle nie brzmiało, pomyślał Hjelm. Nie wyglądała na zadowoloną.

- Jak rozumiem policja? - powitała ich Lisa Hagerblad. - Wydawało mi się, że już...

- Mamy bardzo mało czasu - powiedział Hjelms i przecisnął się przez uchylone drzwi. Nie był pewien, czy mu żal, że nie mieli czasu na konwenanse.

Mieszkanie Lisy Hagerblad było przestronne: trzy duże, wysokie pokoje. Czarno-białe meble, krzyk mody końca lat osiemdziesiątych: metalowe rurki, krzywe kąty, asymetria, posmak nowobogactwa. Jakby czas zatrzymał się w miejscu po okresie hossy.

- Jesteś asystentką Alfa Rubena Winge - rzekł Chavez. - To chyba jasne, że wiesz dużo więcej, niż nam powiedziałaś. Rozumiemy, że nie chciałaś zdradzić wszystkiego przed resztą pracowników biura. Ale, nie wdając się w szczegóły, tu chodzi o życie dyrektora Winge. Za kilka godzin zostanie zamordowany.

- Oj! - jęknęła asystentka. Najwyraźniej tak reagowała w stanie największego szoku. - O tym nie wspomniał ten siwy policjant.

- Ten siwy policjant jeszcze wtedy o tym nie wiedział - odrzekł Chavez. - Ale ten czarnowłosey już wie. Sprawa pociemniała - nie mógł się powstrzymać, żeby nie dodać.

- Dalej - naciskał Hjelms. - Mówi z fińskim akcentem, nazywa się Anja, ma blond włosy ścięte na pazia i to z nią znika Alf Ruben Winge na kilka dni w miesiącu w gniazdku z coraz bardziej zaplamionymi prześcieradłami. Kim ona jest?

- Naprawdę nie wiem. Wszystko, co pan mówi, się zgadza. Często dzwoni do firmy, ale zaraz przełączam do Alfa Rubena. Nigdy nie umawiałam ich na spotkanie, a przecież to ja się tym zajmuję. Nie pytaliście Johannesesa?

- Johannes Lund z Essingen? Nic nie wie - powiedział Chavez. Lisa Hagerblad zaśmiała się pod nosem.

- Tak, tak - pokiwała głową. - Ponieważ z nich dwojga wolę Alfa Rubena, równie dobrze mogę wam opowiedzieć. Alf Ruben Winge i Johannes Lund są jak ojciec i syn, a Alf Ruben już wyznaczył Johannesesa na następcę i zapisał mu firmę w testa-

mencie. Jeśli Alf Ruben umrze, przejmie ją Johannes, a wtedy wszyscy wylecimy na bruk, bo na nasze miejsce zostaną zatrudnieni młodszy.

- Wiesz, czy Lund miał okazję spotkać Anję?

- Jestem o tym przekonana. Mają częste obiady biznesowe ze swoimi partnerkami i nie mam tu na myśli ich oficjalnych partnerek.

Chavez wykręcił numer do Hultina.

- Co jest? - odezwał się Hultin.

- Gdzie jesteście? - zapytał Chavez.

- W drodze do żony, żeby ją spytać o krąg znajomych. W tej chwili jesteśmy - coś zatrzeszczało w słuchawce - w tunelu pod Fredhall. Słyszysz mnie?

- Kiepsko. Wracajcie do Lunda. On odziedziczy UrboInvest, powtarzam: Johannes Lund odziedziczy UrboInvest po śmierci Alfa Rubena Winge. Ma powód, żeby trzymać język za zębami w sprawie Anji. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wie, kim ona jest.

- Okej - głos Hultina zatrzeszczał w słuchawce. - Chyba z grubsza załapałem. Wracamy do Stora Essingen.

Hultin rozłączył się w chwili, gdy wyjeżdżał z tunelu. Zadzwoił do Söderstedta, który jechał kilka samochodów dalej, zrobili kółko na Fredhallsmotet, zawrócili w tunelu i wyjechali na Fredhallsbron i Lilia Essingen. Zobaczyli kilku śmiazków kąpiących się przy skałach w Fredhall; zachodzące słońce barwiło fale na czerwono.

Umknęło im piękno jeziora Malaren. Choć już od jakiegoś czasu nie jechali w tunelu, mieli wrażenie, jakby ten jeszcze się nie skończył. Na jego końcu widzieli już ponure światło: Goran Andersson, ale teraz przesłaniało je inne: Johannes Lund. Söderstedt próbował za wszelką cenę nadażyć za wściekle pędzącym Hultinem. Zastanawiał się, nie bez nadziei, czy Hultin po raz kolejny użyje swojej twardej jak kamień kości czołowej.

Lund siedział nad wodą i palił papierosa. Kombinezon przewiesił przez hamak. Hamak kołysał się lekko, a od kłębow dymu, które zbierały się wokół jego solidnego karku, biło szczęście.

Huitín przyciągnął do siebie hamak i puścił go z całą siłą. Johannes Lund upadł na ziemię; na łokciach śnieżnobiałej koszuli pojawiły się dwie zielone plamy. Na widok policjantów podniósł się bez słowa. Miał już inne oczy. Był gotów bronić swojego spadku kłami i pazurami.

- Gadaj - powiedział obojętnym tonem Huitín. - Anja.

- Jak już wcześniej mówiłem, nie wiem...

- Jeśli Winge umrze, zostaniesz oskarżony o współudział w morderstwie. To twoja ostatnia szansa, żeby coś powiedzieć. Potem zabieramy cię na komendę.

- Nie macie mnie o co oskarżyć - oświadczył ze spokojem Lund. Patrzył na zielone łokcie i pociągał dalej cienkiego papierosa. - Nie mam pojęcia, kim jest ta wasza Anja. Nawet jeśli kiedyś ją spotkałem, to nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Jesteś pewien, że chcesz sobie nagrabić? - zapytał łagodnie Huitín.

- Dlaczego nie? - odszczeknął Lund. - Możecie mnie zabrać na tę waszą komendę. Za godzinę będę wolny. A w tym czasie zginie czcigodny Alf Ruben Winge. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Chyba się nie zrozumieliśmy - powiedział Huitín i rozkwasił mu prawą brew. - Wycieczka na komendę to była ta lżejsza opcja. Ta trudna zaczyna się teraz.

Johannes Lund dotknął dłonią czoła. Patrzył ze zdziwieniem na krew.

- Boże - wyjąkał tylko. - Moja żona i dzieci widzą nas przez okno.

- Jeśli zaraz nie wypłujesz z siebie nazwiska Anji, będą mieć niezły show.

- Myślałem, że brutalni policjanci to wymysł prasy - powiedział Lund i kolejny raz przekonał się, że jednak nie miał racji.

Leżał skurczony na ziemi i dyszał. Huitín pochylił się nad nim i odezwał się ze spokojem:

- Za duża stawka, żeby się cackać. W ciągu najbliższych godzin mamy szansę zatrzymać najniebezpieczniejszego od dziesięcioleci seryjnego mordercę. Potem nam się wymknie. Właśnie dzisiaj wiemy, kogo chce zaatakować. Nigdy więcej nie będziemy mieć takiej okazji. I jak się domyślasz, nie pozwolę, żeby twoje plany zawodowe nam w tym przeszkodziły. Myślisz, że nie wiem, że dla ciebie to niespodziewana szansa na przejęcie władzy w Urbo-Invest? Potrafię to nawet zrozumieć. Ale jeśli zaraz nie wyplujesz z siebie wszystkiego, co wiesz o Anji, poważnie ucierpisz. Tyle w skrócie.

- Ma jakieś fińskie nazwisko - wysapał Lund. - Parkkila, Parikka, Parliika. Coś takiego. Mieszka na Söder. To wszystko, co wiem.

- To tam mają miłosne gniazdko?

- Nie mam pojęcia, przysięgam!

- Żadnych grupowych orgii, w których bierzesz udział ty i twoje przygodne znajome? - odezwał się Huitín diabolicznym głosem.

- Do jasnej cholery! - jęknął Lund.

- To prostytutka? Cali girl?

- Nie. Nie wydaje mi się. Nie wygląda. To inny typ. Trochę nieśmiała.

- Dziękujemy za współpracę - powiedział Huitín, podnosząc się. - Jeśli okaże się, że pan skłamał lub przemilczał jakieś informacje, wrócimy, żeby porozmawiać. Nie chce pan nic dodać ani zmienić?

- Oby starczyło dla was miejsca w policyjnym piekle.

- Tam już jest tłok - stwierdził Huitín na odchodne. - Parkkila, Parikka, Parliika - powiedział do Söderstedta w drodze do

samochodu. - Które z nich wydaje ci się najbardziej prawdopodobne?

- Parkkila i Parikka to nazwiska. - Parliika raczej nie.

- Sprawdź Anję Parkkila i Anję Parikka na Södermalm - poleciał Hultin. - A potem inne Parkkila i Parikka w całym regionie sztokholmskim.

Söderstedt zadzwonił do biura numerów. Była jedna Anja Parikka na Bondegatan na Söder, żadnej Anji Parkkila. Poza tym sześć innych Parikka w okolicy, trzy z kierunkowym 08, dwie z 018, jedna z 0175. Söderstedt zapisywał wszystko szybko w swoim notesie.

- Co to za kierunkowy 0175?

- Hallstavik-Rimbo - odezwała się telefonistka i podała mu adres w Rimbo. Ten był już ostatni.

- Dziękuję. - Söderstedt rozłączył się i wybrał numer do Anji Parikka na Bondegatan 53. Nikt nie odebrał.

- Anja Parikka - powiedział Söderstedt do Hultina, który czekał przed swoim samochodem. - Bondegatan 53. Nikt nie odbiera.

- Jadę tam - rzucił Hultin i wskoczył do samochodu. - Ile zostało? - krzyknął przez otwarte okno, cofając sprzed domu Johannesesa Lunda.

- Sześć Parikka. Trzy w Sztokholmie i okolicach, dwie w Uppsali, jedna w Hallstavik-Rimbo.

- Sprawdź, czy te ze Sztokholmu są spokrewnione. Niech Chavez i Hjelm przejmą resztę. I tak już są w drodze na północ.

Hultin odjechał. Söderstedt zadzwonił do Chaveza.

- Nazywa się Anja Parikka: a, r, i, dwa k. Mieszka na Söder. Prawdopodobnie nie ma jej w domu.

Hultin jest już w drodze. Gdzie jesteście?

- W tłumie przy stadionie. Gnaget właśnie przyłał biało-nie-bieskim, dziwne. Omijamy szerokim łukiem setki potencjalnych zatrzymanych.

Söderstedt podał im oba telefony z kierunkowym 018 i ten z 0175.

- Sprawdźcie, kto to i czy są spokrewnieni z Anją. W najgorszym razie będziecie musieli tam jechać.
- A 0175 to gdzie?
- Rimbo - powiedział Söderstedt. - Mam adresy. Dajcie znać, jeśli będą wam stwarzać jakieś trudności.

Söderstedt rozłączył się i zaczął sprawdzać trzy numery zaczynające się od 08. Dwa w Skarholmen, to na szczęście blisko, ale jeden w Hasselby.

W Skarholmen mieszkali bracia, którzy niedawno sprowadzili się tu z Tampere; nie znali nikogo o nazwisku Anja Parikka. - Pomijając siostrę mojego ojca w Ósterbotten - powiedział jeden z braci po fińsku. - Ma dziewięćdziesiąt trzy lata, jest głucha, ślepa i cholernie żywotna. Może to jej szukacie? Söderstedt rozłączył się i zadzwonił pod numer w Hasselby. Irenę Parikka w Hasselby Villastad okazała się starszą siostrą Anji.

- Ile ma lat? - zapytał Söderstedt po szwedzku.
- Dwadzieścia - odparła Irenę Parikka. - Studiuję ekonomię na uniwersytecie. Jezu, czy coś się stało?
- Jeszcze nie, ale jest takie ryzyko. Musimy ją jak najszybciej namierzyć, to bardzo ważne. Czy zna pani jakiegoś jej starszego kochanka?
- Między nami jest piętnaście lat różnicy. Nie utrzymujemy bliższych kontaktów. Nic nie wiem o jej życiu prywatnym. Poza tym, że czasem bywało dosyć chaotyczne.
- I nie wie pani, gdzie przyjmuje swoich kochanków?
- Kochanków! Co to za słowo!
- Kiedy o to właśnie chodzi. Proszę się uspokoić i zastanowić.
- Wiem tylko o tej kawalerce na Söder.
- Czy mają panie jeszcze jakąś rodzinę w Szwecji?
- Mój starszy brat zmarł jeszcze przed narodzinami Anji. Ale mama i tata żyją, choć są już lekko zgrzybiali. Mieszkają w Rimbo.

Söderstedt podał jej swój numer telefonu, podziękował. Czas im uciekał. Rimbo leży jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Sztokholmu. Zadzwoił do Chavez.

- Jak wam idzie?

- Z Uppsalą klops. Pod pierwszym numerem nikt nie odpowiada, pod drugim mieliśmy długą i chaotyczną rozmowę ze starszym panem o nazwisku Arnor Parikka. Islandzki imigrant, który najpierw trafił do Finlandii i przyjął fińskie nazwisko, a potem wyemigrował do Szwecji. Najpierw podawał się za ojca Anji. Po dłuższej i wyjątkowo dziwnej rozmowie okazało się jednak, że Ruscy wykastrowali go w czasie wojny fińskiej. Zaraz dzwonię do Rimbo.

- Postaraj się. To rodzice Anji. Pewnie będziecie musieli tam jechać.

- Do diabła - przeklął Chavez. - *Tempus fugit.*

- A my z nim - odpowiedział Söderstedt.

Stał na Stora Essingen i patrzył na znikające światło - wraz z nim znikwały kolejne pomysły. Nie miał nic więcej do roboty. Oparł ręce o kierownicę. Miał wrażenie, że zamarza. Czas płynął, już tego nie kontrolował. Prawdopodobnie upłynęło bardzo dużo czasu.

Minęła dziewiąta wieczorem dwudziestego dziewiątego maja. Goran Andersson siedział już pewnie gdzieś, oczekując powrotu Alfa Rubena Winge.

Zadzwoiła komórka. Söderstedtowi chyba strzyknęło w kościach, kiedy podnosił ją do ucha.

Dzwonił Hultin.

- Mieszkanie Anji na Bondegatan stoi puste. Wywaliłem drzwi. Żadnych śladów. Sąsiedzi o niczym nie wiedzą. Jest ze mną Viggo. Znaleźliśmy notes z telefonami. Żadnego śladu pana Winge, ale sporo nazwisk i adresów, zapewne kolegów z uniwersytetu. Zaraz będziemy dzwonić. Wiesz, co u Hjelma, u Chavez?

- Nie. - Söderstedt nie potrafił wydobyć z siebie więcej. Zamarzał. Po raz ostatni ogarnęło go obrzydliwe poczucie bezsilności. Potem wszystko skostniało.

Kolejny telefon. Dopiero po chwili udało mu się odebrać. W słuchawce usłyszał głos Chaveza. Zdziwił się, bo przypominał jego własny głos.

- Rodzice w Rimbo nic nie wiedzą.

To wszystko. Zrozumiał, że nie tylko on zamarzał. Goran Andersson wyślizgnął im się z uścisku. Najpierw tempo zostało podkreślone do maksimum - teraz spadło do minimum. Trucizna bezsilności skapywała do ich uszu i rozchodziła się po ich ciałach. Frustracja, której nie sposób zrozumieć.

Kolejny telefon. Sóderstedt nie miał już siły odbierać.

- Halo - odezwał się nieco nieśmiały kobiecy głos. - Tu Irene. Irene Parikka. Siostra Anji.

Poczuł, jak w jego ciele pękają kry. Wydawało mu się, że w oddali zobaczył rwący strumień wiosennej rzeki.

- Tak? - rzucił Arto Sóderstedt z wyczekiwaniem w głosie.

- Coś sobie przypomniałam - powiedziała przeciągle Irene Parikka. - Może to bez znaczenia. Sóderstedt czekał. Rzeka była coraz bliżej.

- Rodzice mają domek z ogródkiem. W parku Tantolunden. Anja czasem tam jeździ.

I oto nadeszła wiosenna rzeka. Wystąpiła z brzegów, rozkru-szyła lód, rozlała się po mieście i przekreśliła kluczyk w zmarzniętym na kość samochodzie.

- Ma pani adres? - zapytał, włączając się w ruch na Essin-geleden.

- Niestety nie - odrzekła Irene Parikka. - Ogród działkowy nazywa się chyba Sódra Tantolunden. To wszystko. Sóderstedt podziękował, wydawało mu się, że serdecznie, a nawet bardzo serdecznie, i zadzwonił do Hjelma.

- Chyba go mamy - stwierdził ze spokojem. - Domek w Tanto. Ogród działkowy Sódra Tantolunden. Należy do rodziców Anji Parikka.

Cisza. Ruszyły lody. W całym mieście ruszyły lody.

- Jedź w stronę Ratusza - powiedział w końcu Hultin.

Soderstedt ruszył w stronę Ratusza, nie pytał już nawet po co. Miasto było jak opustoszałe. Kiedy zjeżdżał Hantverkargatan, zadzwonił znowu Hultin:

- Do wszystkich! - Hultin był bliski krzyku. - Namierzyliśmy ogródek działkowy w Tanto. Zbiórka na końcu Lignagatan, ostatnia przecznica od Hornsgatan, tuż przy Hornstuł. Bierzemy to sami.

Ruszajcie natychmiast. Wszyscy oprócz Arta. Zadzwonię do ciebie za sekundę.

Mróz puścił też mazdę, która stała jak porzucona przed stadionem Râsunda. Hjelm wcisnął gaz do dechy. Chavez poczuł, jak wbija się w siedzenie.

Byli pierwsi na miejscu. Ani żywej duszy. Park Tanto wyglądał jak czarna dziura. Osiedle wiejskich domków w środku dużego miasta. W niektórych z nich paliło się słabe światło.

Gdzieś tam był Goran Andersson.

Siedzieli w milczeniu w samochodzie. Ani jednego słowa, ani jednego ruchu. Hjelm palił papierosa.

Chavez zdawał się nie zwracać na to uwagi.

Podjechała taksówka. Przez krótką, nieprzyjemną chwilę Paul Hjelm pomyślał, że to Andersson, który przyjechał, żeby go „wyłować”, jak to określił przez telefon. Z taksówki wysiadła jednak Kerstin Holm. Wskoczyła na tylne siedzenie.

- Prosto z Arlandy - oznajmiła ze spokojem. - Będzie nie na miejscu prosić was teraz o *résumé*?

- Rodzice Anji Parikka mają tu domek - powiedział Hjelm i poczuł na ramieniu dłoń Kerstin. Na krótką chwilę jego dłoń dotknęła jej dłoni.

Volvo turbo wjechało na odcinek ulicy, któremu nadano nazwę Lignagatan. Ze środka wypadli Hultin i Norlander i wskoczyli do mazdy. Zrobiło się ciasno.

- Arto zaraz przywiezie mapę. - Hultin skinął lekko głową w stronę Kerstin. - Wróciłaś. To dobrze.

Znalazłem człowieka zajmującego się w Ratuszu rejestracją nieruchomości. Miejmy nadzieję, że Arto spotkał się z nim w piwnicach Ratusza.

- Nie ściągałeś tu snajperów? - zapytał z nadzieją w głosie Hjelm.

- Nie - odpowiedział krótko Hultin. To „nie” bardzo wiele znaczyło.

W końcu na Lignagatan wjechał samochód Söderstedta. Wypadł z niego z mapą w ręku. Wysiedli i podeszli do niego. Hultin wziął od niego mapę i przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

- Lody ustąpiły? - zapytał Soderstedt.

- Nareszcie - odpowiedział Chavez.

- No dobra, zbiórka! - krzyknął Hultin. Zebrali się wokół mapy. - To jest ten domek - powiedział, pokazując palcem na mapie. - Okej, wszyscy widzą? Leży przy niewielkiej ścieżce, prawie na samym szczycie wzgórza. Możemy pójść tą ścieżką, ale musimy być cholernie ostrożni. Najbliżej naszego celu jest domek naprzeciwko. Drzwi są z tej strony, nie widać ich z domku rodziców Anji Parikka. To nasza pierwsza stacja. Punkt numer jeden. Ktoś z was uda się tam najpierw, żeby sprawdzić, czy w interesującym nas domku coś się rusza. W okolicy są jeszcze dwa domki, które mogą posłużyć za punkty obserwacyjne, oba z drugiej strony celu, pójdziecie tam po biegnącej łukiem od strony szczytu ścieżce, o tędy. Jeden leży po skosie po drugiej stronie, trochę wyżej, o, tutaj, to punkt numer dwa, a drugi trochę niżej, na skraju plaży Hornstulls strand, tutaj, to punkt numer trzy. Wszystkie otaczają cel - nie powinniśmy przeoczyć nikogo, kto do niego wejdzie lub z niego wyjdzie. Punkt numer jeden pokrywa cały front domku, w stronę ścieżki. Punkt numer dwa - teren powyżej i spory kawałek z tyłu. Punkt numer trzy pokrywa teren poniżej i, także, kawałek na tyłach. W punkcie numer jeden posadzimy pierwszego człowieka. Dołączy do niego następny - to najważniejsze miejsce do obserwacji okolicy. Kolejnych dwóch ludzi posadzimy w punkcie numer dwa i trzy. Wszystko jasne? Punkt dowodzenia u stóp wzgórza, tam spływają wszystkie informacje. Stamtąd ja i Norlander kierujemy całą akcją.

Trudno było stwierdzić, czy Norlanderowi ulżyło, czy też poczuł się zawiedziony. Hultin zadbał o jego życzliwość, mówiąc:

- Viggo ma do spełnienia najważniejszą rolę. Jest waszą najbliższą, natychmiastową osłoną ogniową. A teraz: kto z was radzi sobie najlepiej z otwieraniem zamków?

Członkowie Drużyny A spojrzeli po sobie.

- Ja to mogę zrobić - powiedział Chavez.

- Okej, w takim razie idziesz jako pierwszy. Za tobą Hjelm. Kiedy dotrzemy do punktu dowodzenia pod wzgórzem, ruszasz pod górę. Na początku będzie trochę wspinaczki, potem teren się wyrówna. Kierujesz się w stronę domku, który zobaczysz jako pierwszy z punktu dowodzenia. Ten tutaj. - Hultin pokazywał cały czas na mapę, rysując pomarańczowe linie, które świeciły słabo w ciemnościach nocy. - Mijasz go, podobnie jak trzy kolejne. Ścieżka skręca zaraz nad punktem numer jeden, powinieneś ją zobaczyć, przechodząc obok czwartego domku. Kiedy zobaczysz tę ścieżkę, swój domek docelowy, punkt numer jeden, będziesz miał przed samym nosem. To również do ciebie, Paul.

- Jedno pytanie - wtrącił Hjelm. - Skąd wiemy, że w tych trzech punktach nikogo nie ma?

Hultin spojrzał na niego.

- Nie wiemy - odpowiedział. - To rachunek prawdopodobieństwa. Ludzie przyjeżdżają tu zwykle w ciągu dnia, żeby pogrzebać w ogródku. Ale nie możemy wykluczyć, że w tych punktach nie ma ludzi. Wówczas będziemy musieli zmienić plan.

- Poza tym twoja trasa biegnie przez sam środek wielu działek. Wyobraź sobie sytuację, kiedy ktoś zacznie się na nas wydzierać, bo wejdziemy w jego nagradzane w konkursach tulipany?

- Poruszacie się szybko i bezszelestnie - powiedział Hultin, nie spuszczając z niego oczu. Czy to możliwe, że Hultinowi coś umknęło? - Trzymajcie się jak najdalej domków. Ewakuacja są-

siadów nie wchodzi w rachubę. Andersson od razu by to zauważył. Punkt numer dwa - Kerstin, punkt numer trzy - Arto. Ruszacie razem z Hjelmem, gdy już Jorge odezwie się z punktu numer jeden, ale podchodząc pod wzgórze, kierujecie się bardziej na lewo. Wkrótce traficie na trochę szerszą dróżkę, o, tutaj, i podążacie nią po łuku. Kiedy spotka się ze ścieżką, o, tutaj, liczycie: pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty, siódmy, ósmy, dziewiąty domek. Kerstin wchodzi do trzeciego domku. To nasz punkt numer dwa. Drzwi wychodzą na wzgórze i powinny być całkiem niewidoczne z celu. Arto, idziesz dalej drogą, mijasz jeszcze cztery domki, aż droga zacznie biec stromo w dół. Po czwartym domku licząc od tego, do którego weszła Kerstin, ty też wchodzisz. Czyli do trzeciego od końca. Drzwi są umieszczone trochę gorzej - możliwe, że widać je z docelowego domku. Uważaj, próbując dostać się do środka. Nie może cię być ani widać, ani słyszeć.

Hultin zrobił przerwę. Potem skinął głową i zbiegli po trawniku prosto w smolistą czerń Tantolunden; skrawek cichej ciemności wśród hałaśliwych świateł miasta.

- To jest punkt dowodzenia - wyszeptał Hultin, rozłożył mapę i rozdał małe latarki i walkie-talkie, które wyciągnął z torby przewieszanej przez ramię. - Używajcie słuchawek. I miejcie włączone komórki, jako *back uv*, ale kontaktujcie się ze sobą tylko w razie konieczności. Dzwonek będzie słyszeć. Podobnie z latarkami. Czy Jorge, Kerstin i Arto mają ze sobą odpowiednie wytrychy? Jeśli nie, są w torbie.

Wzięli po jednym pęku.

- Okej, chłopcze - powiedział Hultin.

Jorge zaczął się wspinać na wzgórze i wkrótce zniknął im z oczu. Minęło długie pięć minut. Potem usłyszeli głos Chaveza we wciśniętych w uszy słuchawkach.

- Okej - wyszeptał zadyszany. - Punkt numer jeden jest już nasz. Na szczęście pusty. Paul, w drugim domku, który mijasz, na altanie siedzi mężczyzna i patrzy na zatokę Arstaviken. Da

się go minąć od tyłu. Poza tym ani żywej duszy. Jeśli chodzi o docelowy domek, to w oknach są zaciągnięte ciemne rolety, ale ktoś musi być w środku. Wygląda, jakby w środku paliło się światło. Jest Goran Andersson. Powtarzam: ten człowiek jest tutaj. Ruszajcie.

- Wysyłam resztę ludzi. Zaczekaj, aż będą na miejscu. To tyle. - Hultin skończył niezgodnie z przepisami.

Holm i Söderstedt poszli na lewo, Hjelm tą samą drogą co Chavez. Mężczyzna w drugim domku nie siedział już na altanie. Kopał w krzewach róż. Hjelm przyczał się za jednym z krzaków i odczekał trzy minuty, długie jak trzy godziny. Patrzył na czarną sylwetkę mężczyzny. Głaskał swoje ukochane róże. Był już lekko wstawiony. Kerstin zameldowała Hjelmowi, że jest na miejscu, potem Arto. Ich domki też były puste. Słyszał pełne napięcia wyczekiwanie swoich ludzi, nie mógł nic zrobić. W końcu mężczyzna się zmęczył i wszedł na ganek. Beknął głośno, gdy Hjelm prześlizgiwał się za jego plecami. Dołączył do Chavez. W ciemnościach dostrzegł zdziwienie w jego oczach.

- Co do diabła? - spytał Chavez.

- Twojej staruszka naszła ochota, żeby pogrzebać sobie przy różach. Siedziałem przyczajony kilka metrów stąd. Coś się stało? - zapytał i zameldował się przez walkie-talkie.

- Nie - powiedział Chavez i w tej samej chwili usłyszeli głos Hultina:

- W porządku. Czy ktoś z was widzi jakąś szparę w tych roletach?

- Punkt numer jeden - odezwał się Chavez. - Żadnej szpary od tej strony.

- Punkt numer dwa - zgłosiła się Holm. - Tu też nic. Widoczność gorsza, niż się spodziewałam. Mogę obserwować tylko górną połowę okna z roletą.

- Punkt numer trzy - powiedział Söderstedt. - Z boku rolety jest szpara, w środku świeci się światło.

Nic więcej. Żadnych ruchów. Odezwę się, jak tylko coś zobaczę.

Hjelm odwrócił się do Chavez. Widział tylko jego sylwetkę.

- Niby skąd, kurwa, wiesz, że on tu jest? - wyszeptał Hjelm.

- Przysięgam, że widziałem jakiś ruch w oknie - też szeptem odpowiedział Chavez. - A Arto widzi światło. No co ty, kurwa. On tu jest.

Domek naprzeciwno tonął w ciemnościach. Nie było nic, co by mogło sugerować czyjąkolwiek obecność. Noc była czarna i zimna. Cienki sierp księżycy nie dawał prawie wcale światła. Na niebie migotało kilka pojedynczych gwiazd. Wydawało im się, że są gdzieś daleko, na wsi. Rodzinne strony Gorana Anderssona, pomyślał Hjelm. Przyczajeni w ciemnych domkach trzęśli się z zimna.

Czekali. Jakby słyszeli myśli Hultina. Nie było żadnego planu, to oczywiste. Plan powstawał na bieżąco.

- Może spróbujemy się z nim skontaktować? - zaproponował Hjelm.

Przez chwilę było cicho.

- Możliwe, że wziął zakładników - powiedział z namysłem Hultin. - Pewnie siedzi tam z Alfem Rubenem Winge i Anją Parikka. Każda pochapna próba nawiązania kontaktu może być niebezpieczna dla zakładników. - Dlaczego miałyby nagle wziąć zakładników?

- Z powodów, które wymieniłeś, rozmawiając z nim. Jeśli Winge przyszedł tam z Anją. Andersson pozwolił żyć Helenie Brandberg, chociaż wiązało się to z utratą kasety. On nie chce zabić Anji. Ma swoją listę i odhacza nazwisko po nazwisku. Teraz siedzi tam w środku z kimś, kto jest na liście, i z kimś, kogo tam absolutnie nie ma, i nie wie, co zrobić.

Przez chwilę było całkiem cicho. Zimny wiatr ciągnął wzdłuż ścieżki, wlokąc za sobą kępki trawy i obracając nimi w powietrzu jak w zwolnionym tempie.

- Jest jeszcze jedna możliwość - wyszeptał Hjelm do walkie-talkie.

- Jaka? - zapytał Hultin.

- Że czeka.

- Na co?

- Na mnie - powiedział Paul Hjelm.

Zapadła cisza. W oddali słychać było pomruk przejeżdżających samochodów. Po chwili zlał się z ciszą.

Usłyszeli pohukiwanie sowy. Po chwili ono też zlało się z ciszą.

Chavez poruszył się. Wyciągnął pistolet.

Czas się zatrzymał.

Coś zatrzeszczało w słuchawkach.

- Widziałem pistolet - powiedział Arto Söderstedt. - W szparze przy rolecie. Mignął mi przez sekundę. Andersson chodzi po pokoju.

Czas stał się namacalny. Długie, głuche uderzenia każdej sekundy, w ich mózgach tykały zegary.

Milczenie Hultina. Decyzja.

Wokół domku panowała wciąż cisza. Ale coś poruszyło się tam w środku i choć nie było tego widać, dało się to wyczuć. Wyczuwali czyjąś obecność, może było ich więcej. I właśnie wtedy zadzwoniła komórka Hjelma. Zwykły dzwonek zadudnił w ciszy jak rozszalały dzwon. Odebrał, jak tylko mógł najszybciej. - Ale masz dzwonek - usłyszał głos Gorana Anderssona. - Całkiem głośny. A więc jesteś w domku naprzeciwko. Czekałem na ciebie.

Przez dłuższą chwilę Hjelm nie mógł wydać z siebie żadnego dźwięku. Potem odezwał się głosem, którego sam nie rozpoznawał:

- żyją?

- Jeśli chodzi o jedno z nich, to kwestia definicji - powiedział Goran Andersson. - Dziewczyna boi się, ale żyje. Ten drugi wyglądał na trupa, już kiedy tu wchodził.

Przez chwilę znowu zrobiło się cicho. Chavez przystawił walkie-talkie do komórki. Rozmowa rozniosła się po domkach.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Hjelm.

- Co chcę zrobić? - zapytał ironicznie Andersson. Co ty chcesz zrobić?

Hjelm wziął głęboki oddech.

- Wchodzę - powiedział. Teraz z kolei milczał Andersson.

- W porządku - odpowiedział po chwili. - Ale tym razem bez broni zatkniętej za spodnie. I bez włączonych walkie-talkie.

Andersson przerwał rozmowę.

- Jan-Olov? - powiedział Hjelm do walkie-talkie Chaveza.

- Nie musisz - powiedział Hultin.

- Dobra, dobra. - Hjelm podał bron Chavezowi. Potem położył kurtkę, walkie-talkie i komórkę na podłodze.

Jorge patrzył na niego w ciemnościach. Położył rękę na jego ramieniu i wyszeptał:

- Jak będziesz wchodzić do środka, zrób trochę hałasu, to podbiegnę do lewego okna. Będę czekać na zewnątrz. Hjelm skinął głową i obaj wyszli w noc. Jorge zatrzymał się za domkiem. Hjelm ruszył dalej. W samym T-shircie i z rękami nad głową przeszedł przez wąską ścieżkę między domkami.

Kilka metrów ciągnęło się w nieskończoność. Pomyślał, że powinno mu być zimno.

Przez chwilę zdawało mu się, że biegnie w górę schodów w biurze imigracyjnym w Hallundzie.

Drzwi uchyliły się. Nic nie widział. Tylko silne światło. Wszedł na niewielki ganek i wsunął się do środka przez szparę w drzwiach. Zobaczył niewielką ozdobę zwisającą z framugi i uderzył w nią w odpowiedniej chwili głową. Zanim znów zrobiło się cicho, kątem oka zobaczył Chaveza

przebiegającego przez ścieżkę. Niewielka lampa pod sufitem rzuciła słabe światło, ale i tak oślepiła jego przyzwyczajone do ciemności oczy. Minęła dłuższa chwila, zanim mógł cokolwiek zobaczyć.

Na podłodze w przeciwległym kącie dostrzegł dwie osoby. Były związane i miały zaklejone usta.

Jasnoniebieskie oczy Anji

Parikka patrzyły na niego z przerażeniem znad taśmy, oczy Alfa Rubena Winge były zamknięte. Dziewczyna siedziała, mężczyzna leżał w pozycji embrionalnej. Nie dotykali się ciałami. Przy ścianie z lewej strony stało niewielkie, niepościelone łóżko. Gniazdko miłości, przeszło Hjelmowi przez myśl. Na krześle na lewo od drzwi siedział Goran Andersson. Wyglądał zupełnie jak na zdjęciach. Uśmiechał się do niego jakby trochę nieśmiało. W ręku trzymał pistolet z tłumikiem Walerija Trepłowa. Mierzył w tułów Hjelm z odległości dwóch metrów.

- Zamknij drzwi - powiedział Goran Andersson. - Usiądź na łóżku.

Hjelm postąpił zgodnie z poleceniem.

- Otóż to - odezwał się Andersson, cały czas celując do niego z broni. - Rozumiem, że między domkami roi się od strzelców wyborowych?

Hjelm milczał. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Pamiętasz, co mówiłem, że ci zrobię, jeśli nadal będziesz nachodzić Lenę? - Andersson uśmiechnął się krzywo. - Właśnie skończyłem z nią rozmawiać. Nie czuje się zbyt dobrze.

- To chyba nie nasza wina? - zaryzykował Hjelm.

- Pytałem, czy pamiętasz, co mówiłem, że ci zrobię. - Głos Anderssona był dużo ostrzejszy.

- Pamiętam.

- A mimo to wszedłeś.

- Nie jesteś mordercą.

Goran Andersson zaśmiał się głośno, ale z opanowaniem.

- Dziwnie to brzmi z ust kogoś, kto ma wymierzoną w siebie broń, z której zginęło już pięcioro ludzi.

- Daj spokój. Chcesz już z tym skończyć.

- Ach tak? - zapytał ze spokojem Andersson.

- Nie wiem, kiedy to się zaczęło. Jest kilka możliwości. A ty wiesz?

- Nie.

318

- Pierwsze dwa morderstwa to była zbrodnia doskonała. Żadnych śladów. Absolutna przezroczystość. A potem niespodziewanie, w salonie Carlbergera, kiedy jak zwykle wydlubywałeś kule ze ściany przy dźwiękach tej cudownej muzyki, coś się stało. Zostawiłeś jedną kulę. Czy to właśnie wtedy zacząłeś się zastanawiać?

- Mów dalej - powiedział Goran Andersson; na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Potem zrobiłeś długą przerwę, co nas poważnie zmyliło. Wtedy mogłeś jeszcze to rzucić i wrócić do swojej ciężarnej dziewczyny.

- Naprawdę w to wierzysz?

- W zasadzie nie - zgodził się Hjelm. - Jak się raz zabiło, nic już nie jest takie samo. Uwierz mi, wiem coś o tym. Ale można z tym żyć. Odłóż broń, a zobaczysz, jak dorasta twoje dziecko.

- Opuść sobie i mów dalej.

- Okej. Zajęło ci chwilę, żeby tak elegancko zaplanować trzy pierwsze morderstwa. Ofiary powinny wrócić do domu późno i bez towarzystwa, dodatkowo w krótkich odstępach czasu. Tak się jakoś złożyło, że w obu przypadkach minęły dwa dni. Teraz musiałeś zaplanować pozostałe. Zastanawiam się tylko, czy rzeczywiście potrzebowałeś aż tak dużo czasu - półtora miesiąca, od nocy z drugiego na trzeci kwietnia do nocy z siedemnastego na osiemnasty maja. Co się z tobą działo? Wahałeś się? Rozmyślałeś?

- Przede wszystkim słuchałem. Już ci o tym mówiłem. Jeździłem komunikacją miejską, w tę i z powrotem, wsiadałem do metra, autobusów i kolejek miejskich; wszędzie tam, gdzie ludzie ze sobą rozmawiają, ja siedziałem, przysłuchując się ich poglądom, pomysłom, myślom i odczuciom.

Możliwe, że masz rację, wahałem się. Ale reakcje ludzi sprawiły, że nie zrezygnowałem.

- Mam jedno pytanie - wtrącił Hjelm. - Skąd się wzięły te dwa strzały w głowę? I ta... symetria?

- Przecież byłeś w Fittji - odrzekł Andersson zmęczonym głosem. - Nie liczyłeś naboji? Siedemnastu członków zarządu, trzydzieści cztery naboje. Cały czas wszystko się zgadzało. Rozumiesz już, jak bardzo wszystko się zgadzało? Ten byk w banku dał mi broń, kasetę z muzyką, w której takt zostałem pobity, i po dwa naboje na każdego członka zarządu. Dokładnie. A jak masz do dyspozycji tylko dwie kulki, to najbezpieczniej użyć dwóch naraz. Cała filozofia.

- I jeszcze ta kasetka. Do cholery, przecież i tak miałeś czas ją wyjąć, wcale nie musiałbyś zabijać córki. Mimo to ją zostawiłeś. Dlaczego? Przecież to było twoje źródło inspiracji. Co było potem? Bez muzyki to już nie miało sensu? Czy dlatego musiałeś zajrzeć w swoje serce? A potem rozmowa ze mną, kiedy całkiem świadomie podałeś nam szereg wskazówek. I na koniec jeszcze to. Poznałeś już zwyczaj Alfa Winge, wiedziałeś, że przyjdzie tu z Anją. I wiedziałeś, że nie będziesz potrafił zabić Anji. Siedziałeś tu i czekałeś na swoją ofiarę. Może wyszli na chwilę, opuścili gniazdko miłości i poszli do knajpy - wtedy wślizgnąłeś się do środka. Ale to nie jest zwykły salon. Wiedziałeś aż nadto dobrze, że Winge nie przyjdzie tu sam. Pragnąłeś tej sytuacji, tej, w której właśnie się znaleźliśmy. To jest twoje, może nie do końca świadome, ale bardzo przemyślane dzieło. Chciałeś, żebym tu przyszedł. Dlaczego akurat ja? I dlaczego chciałeś, żeby to się tak skończyło?

Goran Andersson patrzył na niego. Dopiero teraz Hjelm zobaczył, jak bardzo jest zmęczony. Wszystkim.

- Tego jest tak wiele - powiedział. - Te wszystkie zadziwiające zależności, które wtrąciły mnie w tę sytuację. Nagromadzenie zbiegów okoliczności, które wzięłem za zrzucenie losu. Może nadal tak uważam. Ale wraz z muzyką zniknęło misterium. A ty, właśnie ty, Paulu Hjelm, byłeś ostatnim gwoździem do trumny. Okazało się, że puste mieszkanie, o którym ktoś mi powiedział, leży po sąsiedzku z komendą w Fittji. Okej, to było normalne, było częścią obeszwałniającego wzoru. To, że dramat

zakładników miał miejsce dokładnie w tym samym czasie, co moje pierwsze morderstwo, i odciągnął ode mnie całą medialną uwagę, to też było normalne. Wszystko ze sobą współgrało. Ale potem, gdy okazało się, że to właśnie ty byłeś w moim domu w Algotsmali i rozmawiałeś z Leną, że to właśnie ty mnie szukałeś, wtedy zrozumiałem, że nasze losy są splecione, twój i mój. Wiem, że z powodu tego dramatu zakładników o mało co nie wyleciałeś z roboty. Wiem, że stałeś, zupełnie jak ja kilka miesięcy wcześniej, przed lustrem w szeregowcu w Norsborgu i nie widziałeś swojego odbicia. Wiem, że czułeś, jak ziemia usuwa ci się spod nóg. Wiem, że stałeś tam, że otaczała cię pustka i życzyłeś śmierci kierownictwu policji, bo nie wstawili się za tobą, tylko lewitowali gdzieś wysoko nad twoją głową. Być może nawet przyszło ci na myśl, żeby zabić ich wszystkich. Nie widzisz, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni? Jesteśmy zwykłymi Szwedami, których przegonił czas. Nie ma już nic, w co wierzyliśmy. Wszystko się zmieniło, a my się po prostu nie załapaliśmy, Paul. Myśleliśmy, że wraz z nami zatrzymał się świat, to najbardziej szwedzka ze wszystkich cech. Z mlekiem matki wysaliśmy wiarę, że wszystko już zawsze będzie tak samo. Jesteśmy jak te kartki, na których ktoś pisze, bo myśli, że są puste. I pewnie takie właśnie są. Puste. - Goran Andersson wstał, nie przerywając monologu: - Kiedy następnym razem spojrzysz w lustro, zobaczysz w nim moją twarz, Paul. Będę żyć w tobie. Paul Hjelm siedział w milczeniu na łóżku. Nie było nic do powiedzenia. Nie było nic, co można było powiedzieć.

- Wybacz - powiedział Goran Andersson. - Mam do skończenia partyjkę darta.

Z kieszeni wyjął miarkę i lotkę. Położył lotkę na stole i celując z broni w Hjelm, przeszedł na czworakach do zakładników. Odmierzył pewien odcinek od nieruchomego, korpulentnego ciała Alfa Rubena Winge i zrobił znak na podłodze tuż obok krzesła. Usiadł, odłożył miarkę na stół, wziął do ręki lotkę. Ważył ją w dłoni.

- Wiesz, jak się gra w 501? Liczysz od 501 w dół, do zera. Gdy wtedy, w banku, trafiłem w *bull's eye*, zostało mi już tylko wyjście. Wciąż je mam. A ja nigdy nie zostawiam niedokończonej gry. Wiesz, co to jest wyjście?

Hjelm patrzył na niego bez słowa.

- Trzeba trafić we właściwą cyfrę w podwójnym pierścieniu, żeby zejść do zera. Właśnie taki jest mój cel. Ale gra zwykle nie trwa aż cztery miesiące.

Podniósł się i podszedł do znaku na podłodze.

- 237 centymetrów. Tyle samo odmierzałem w salonach. Wyciągnął rękę z lotką w stronę Hjelma.

Hjelm tylko patrzył.

Anja Parikka wbiła w niego dziki wzrok. Nawet Winge otworzył oczy. Były skierowane na lotkę.

- Ta sama lotka, którą wyciągnąłem z byczego oka jeszcze w Algotsmali, piętnastego lutego. Czas na wyjście. Wycelował i rzucił lotkę w kręgi na ciele Alfa Rubena Winge. Lotka ugrzęzła w brzuchu.

Jego oczy otworzyły się szeroko. Taśma stłumiła jego głos.

- Podwójny pierścień - powiedział Goran Andersson. Wyjście. Gra się skończyła. Stosunkowo długa partia. Podszedł do Hjelma i kucnął kawałek od łóżka. Pistolet był wciąż wymierzony w Hjelma.

- Kiedy gram, jestem niezwykle skoncentrowanym człowiekiem. Kiedy gra się kończy, jestem bardzo zwyczajny. Puszczam napięcie. Mogę na nowo zająć się codziennością.

Hjelm nadal nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- A codzienność - powiedział Goran Andersson. - Codzienność to znaczy umrzeć. Chcę, żebyś podtrzymał moje ciało, kiedy będzie upadać.

Włożył lufę do ust. Hjelm nie mógł się ruszyć. Skamieniały bohater zakładników, zdążył jeszcze pomyśleć.

- Wyjście - wybełkotał Goran Andersson. Strzał.

Głośniejszy, niż się tego spodziewał.

Andersson opadł na niego. Złapał jego ciało. Wydawało mu się, że krew, która z niego płynie, była jego własną.

Spojrzał na okno nad Anją i Alfem Winge. Wokół leżały odłamki szkła. Roleta była zerwana. Jorge Chavez wetknął swoją czarną głowę do środka.

- Ramię - powiedział.

- Au - jęknął Goran Andersson.

BYŁ z nimi nawet Gunnar Nyberg. Siedział tam gdzie zwykle; z głową w bandażach wyglądał jak mumia z jakiegoś starego horroru. Oczywiście nie powinno go tu być.

A mimo to zebrali się tu wszyscy. Mieli się pożegnać i wrócić do oddziałów policji w Huddinge, Sundsvall, Göteborgu, Vas-terås, Sztokholmie i Naäcka. Jednak zdążyli przed końcem maja. Lato nie było stracone.

W powietrzu unosiła się jakaś niepewność. Siedzieli cicho.

Jan-Olov Hultin wszedł przez swoje tajemne drzwi, zostawiając je otwarte. Za drzwiami była zwykła toaleta.

Zniknęło misterium, została mgła.

Hultin rzucił grubą teczkę na stół, usiadł i włożył na nos okulary do czytania.

- No tak - powiedział. - Czas na małe podsumowanie tego, co stało się w nocy. Goran Andersson leży w szpitalu ze stosunkowo niegroźną raną na ramieniu. Alf Ruben Winge leży w tym samym szpitalu z równie niegroźną raną w jelicie grubym. Anja Parikka jest, jak się tego można było spodziewać, w najgorszym stanie; leży na oddziale intensywnej terapii; doznała poważnego szoku psychicznego.

Miejmy nadzieję, że dojdzie do siebie. A jak wy? Paul?

Spojrzeni na siebie lekko zdziwieni.

- A tak - odezwał się zmęczonym głosem Hjelm. - Ekspert od zakładników doszedł do siebie.

- Świetnie - powiedział Hultin. - Opowiedz, co się wydarzyło, Jorge.

- Nic wielkiego. Podeszedłem do okna na lewo od drzwi, tak jak to wcześniej ustaliliśmy z Paulem. Ale nie było w nim nawet najmniejszej szpary, więc po chwili przesunąłem się w stronę okna, o którym Arto powiedział, że widział w nim szparę. Znalazłem się tam w chwili, gdy Andersson podeszedł do Hjelma. Potem strzeliłem modelowo w ramię.

- Wyjątkowo niezgodnie z regulaminem - powiedział Hultin łagodnym tonem, podeszedł do białej tablicy i narysował ostatnie strzałki. Powstał z tego dziwny diagram; skomplikowany, asymetryczny wzór. Hultin nie pominął żadnego nazwiska, żadnego miejsca, żadnego zdarzenia tego długiego i intensywnego dochodzenia. Hultin stał przez chwilę i patrzył na swoje dzieło.

- Piękno abstrakcji - rzekł i znowu usiadł przy stole. – i konkret pracy policjanta.

Wrócił do konketu.

- No tak - powiedział. - Mamy też ostatnią symetrię. Strzał Jorge padł tuż przed północą, więc śledztwo trwało dokładnie dwa miesiące.

Söderstedt zaskoczył wszystkich:

- Skończyło się dwudziestego dziewiątego maja, w rocznicę wkroczenia Turków do Konstantynopola w roku 1453, kiedy to skończył się okres średniowiecza.

Patrzyli na niego, aż w końcu wzruszył przepaszająco ramionami.

- Dziękuję za to przypomnienie - odezwał się Hultin. - No nic. Na koniec pytanie do naszych przyjezdnych: macie ochotę wrócić do domu?

Nikt nie odpowiedział.

- W takim razie najpierw nacieszcie się latem. Potem wróćcie tutaj. Jeśli chcecie. Jak poinformują was Mórner i szef Rikspoli-sen, i jeszcze wielu innych, którzy by teraz chcieli się grzać w waszym blasku, Drużyna A będzie istnieć dalej, choć oczywiście nie pod tą żalną nazwą.

Członkowie byłej Drużyny A patrzyli na siebie w osłupieniu.

- A więc tak. - Hultin poprawił okulary, przebiegł wzrokiem po służbowej notatce i potrząsnął głową.

- Miałem zamiar przeczytać wam pismo od Mórnera, ale teraz widzę, że tego nie da się czytać.

Zamiast tego podsumuję. Drużyna A była, jak wiecie, eksperymentem kierownictwa Rikspolisén, które chciało w ten sposób uniknąć wpadek takich jak podczas dochodzenia w sprawie Palmego: w miejsce zbyt licznych, efemerycznych i kosztownych grup dochodzeniowych mała i zwarta jednostka, gotowa dać z siebie wszystko i darować sobie standardowe działania, skupiając się na tym, co najważniejsze. Jako taki, eksperyment uznaje się - niechętnie cytuję: „w chwili obecnej oraz biorąc pod uwagę uwarunkowania, które - jak napisano powyżej - doprowadziły do idealnego rozwiązania niniejszej sprawy, za widocznie satysfakcjonujący”. Innymi słowy Mórner jest cholernie zadowolony. Drużyna A wejdzie na stałe w struktury Rikskriminalén, przejmując tak zwane twarde orzechy do zgryzienia. W tej chwili wygląda na to, że będzie chodzić o „zbrodnie o charakterze międzynarodowym”. Co wy na to? „Jednostka spec'alna Rikskriminalpolisen do przestępstw o charakterze międzynarodowym”. - Znajdzie się jakieś mieszkanie w centrum dla zdziczałej fińsko-szwedzkiej rodziny z piątką dzieci? - zapytał Söderstedt.

- Mam już cholernie dosyć babrania się w ogródku.

- I tak nie będzie na to zbyt wiele czasu - powiedział Hultin.

- Czy mam to rozumieć jako söderstedtańskie „tak”?

- Oczywiście muszę się jeszcze zapytać rodziny - zastrzegł się.

- Oczywiście - kiwnął głową Hultin. - Macie przed sobą dwa całkowicie wolne miesiące na dogadanie się z rodziną i z kim tam jeszcze. Spotkamy się tu czwartego sierpnia. Do tego czasu jesteście wolni, choć, jak wiadomo, musicie być dostępni dla oskarżyciela na procesie Gorana Anderssona.

Uratowanie mu życia przez Jorge kosztowało państwo grube miliony.

Chavez skrzywił się. Hultin ciągnął dalej:

- Czy ktoś już teraz wie, że nie chce dalej pracować w Rikskrim? Pewien mądry człowiek powiedział: „Jak już raz tam wejdiesz, to nigdy nie wyjdiesz. Chyba że w trumnie. Ze stemplem Rikskrim”.

Hjelm uśmiechnął się. Nikt nie zrezygnował.

- W takim razie miłego lata. Jeśli się jeszcze nie skończyło - dodał Hultin, pakując papiery.

Podnieśli się trochę niepewnie i rozeszli, każdy w swoją stronę. Hjelm został na miejscu, nie mógł się ruszyć. Hultin wziął ścierkę z zamiarem przemienienia swojego arcydzieła na białej tablicy w niebieską plamę na tkaninie. Przez chwilę się wahał, potem odezwał się, stojąc wciąż odwrócony plecami:

- Może mógłbyś zapamiętać ten schemat i włożyć go do atlasu w miejsce mapy Szwecji.

Hjelm spojrzał na tę niemożliwą do ogarnięcia plątaninę strzałek, kratek i liter. Całkowicie szalona i jednocześnie całkowicie logiczna mapa kraju zbudowana z odprysków myśli. Nieprawdopodobna konstelacja relacji łączących ciała w śmiertelnych drgawkach. Zatruty pieniędzmi system nerwowy. Straszliwy obraz duchowego upadku i kulturowego pokostu.

Paul Hjelm zaśmiał się w duchu.

Hultin zmarszczył brwi i powiedział:

- Czas nas przegonił, Paul.

- Możliwe - odpowiedział Hjelm. - Chociaż nie jestem do końca pewien.

Przez chwilę milczeli, czekając, aż plątanina ułoży się w schemat na siatkówkach ich oczu. Nim stała się w końcu niebieską plamką na ścierce Hultina, obraz ten zdażył im się wryć głęboko w pamięć.

- Dziękuję za sprawne dowodzenie - powiedział Hjelm, podając mu rękę.

Hultin wydawał się nasrożony.

- Jesteś trochę napuszony, Paul - powiedział, odwzajemniając uścisk. - Ale z czasem możesz być niezłym policjantem.

Hultin ruszył do swojego tajemnego pomieszczenia. Gdy już zamykał drzwi, rzucił jeszcze:

- Słabe zwieracze.

Hjelm patrzył długo za nim i myślał o piłce nożnej. Twardziel w pieluchach na linii obrony.

Wyszedł na korytarz i zajrzał kolejno do wszystkich pokoi. Po szybach okien spływał deszcz.

Najwyraźniej lato przyszło wcześniej tego roku. Może już się skończyło.

W pierwszym pokoju siedzieli Söderstedt i Norlander, przyjaźnie gawędząc. Dawne antypatie, nawet jeśli nie zniknęły całkowicie, zostały zepchnięte na dalszy plan.

- Spadam - powiedział Hjelm. - Miłego lata.

- Idź w pokój - odrzekł Viggo Norlander, unosząc swoje stygmatyzowane dłonie.

- Wpadnij kiedyś latem do Vasteras - zaproponował Arto Söderstedt. - Znajdziesz nas w książce telefonicznej.

- Czemu nie? - rzucił Hjelm i pomachał im na pożegnanie. Z następnego pokoju wyjechał na wózku Gunnar Nyberg.

Wyglądało to groteskowo, olbrzymia mumia dosłownie rozsadzała poręczę wózka.

- Można się śmiać - zasyczał głosem mumii Nyberg. Hjelm wziął go za słowo. Nyberg ruszył dalej korytarzem. - Czeka już na mnie samochód.

- Spróbuj się na niego nie rzucać! - krzyknął za nim Hjelm. W odpowiedzi zobaczył wyciągnięty trzeci palec zdrowej ręki Nyberga.

Wszedł do pokoju Kerstin. Właśnie odłożyła słuchawkę.

- Dzwoniła Lena Lundberg. Pytała, czy może przyjechać.

- Co powiedziałaś?

- Ze tak. - Wzruszyła ramionami. - Może ktoś będzie mógł jej to jakoś wytłumaczyć. Ja nie potrafię.

- Zatrzyma dziecko?

- Na to wygląda... Powiedz, jak wytłumaczyć dziecku, że jego ojciec jest seryjnym mordercą?

- Może sam to zrobi...

- Jeśli tyle pożyje - powiedziała Kerstin i z roztargnienia zaczęła opróżniać szufladę. - Nie zapominaj, że pozbawił życia rosyjskiego mafiosa.

- No tak. Tego nie zapomnę. Obserwował jej ruchy. Były zachwycające.

- Co teraz? - zapytał w końcu.

Spojrzała na niego. Czuł, jak przyszpila go cudownie ciemnym spojrzeniem.

- Nie wiem - powiedziała. - A ty jak myślisz?

- Ja też nie wiem. Już zapomniałem, jak smakuje codzienność. Do tej pory przebywaliśmy w jakimś innym wymiarze. Co będzie z nami, gdy już stąd wyjdziemy? Nie wiem. To już całkiem inny świat, a my będziemy innymi ludźmi. Nie wiem, jak w tej chwili wygląda moje życie.

Wciąż na niego patrzyła.

- Więc nie? - zapytała. Wzruszył ramionami.

- Więc kto wie. Możliwe, że będę cię potrzebować, i to bardzo. Tak mi się teraz zdaje.

- Okej. Najpierw muszę jechać do Góteborga i załatwić mnóstwo spraw. Zadzwoń do ciebie po powrocie.

- Zadzwoń wcześniej. Pocałowali się. Nie mogli się rozstać.

- Możliwe - powiedział Paul, wychodząc - że na mojej karcie zostało jeszcze całkiem sporo znaków. Mimo że ktoś wciąż je zamazuje.

Pokręciła głową i wskazała palcem na jego policzek.

- Dziś przypomina serce.

Wchodząc do swojego pokoju, poczuł zapach świeżo mielonej, parzonej kolumbijskiej kawy.

- Wychylisz ze mną ostatnią filiżankę? - zapytał Chavez.

- Jak to ostatnią? - zdziwił się Hjelm i usiadł na krześle. - Kupiłem już młynek i kilka ton tej cholernej kawy.

- Kawy czarnuchów - zaśmiał się Chavez.

- Nie inaczej - odpowiedział mu śmiechem Hjelm. - Ja i tak już siwieję.

Przez chwilę się śmiali. Ze wszystkiego i z niczego.

Przed oddaniem samochodu Hjelm miał jeszcze kilka spraw do załatwienia. Pojechał na cmentarz Skogskyrkogarden, gdzie w strugach deszczu patrzył zza drzew na pogrzeb Driterera Fra-kulli. Żona Frakulli zanosila się płaczem. Poczul się jak tchorz. Ubrane na czarno dzieci uwiesily się jej czarnych spódnic. Kolonia ubranych na czarno Albańczyków z Kosowa odprowadziła Frakullę przez strugi deszczu na wieczny spoczynek.

Stojąc w swojej żalösnej kryjówce, zastanawiał się, kto przyjdzie na jego pogrzeb. Może Cilia zrobi sobie na kilka minut przerwę w swoim osobistym kryzysie.

Goran Andersson żył, Dritero Frakulla nie.

Przez chwilę zastanawiał się nad sprawiedliwością. Potem pojechał do Marsty.

Otworzył mu Roger Palmberg za pomocą sterowanego pilotem mechanizmu. Siedział na wózku i wyglądał jak zlepek posklejanych amatorsko części ciała. Coś jakby się w nim uśmiechnęło.

- Już po wszystkim? - odezwał się elektroniczny głos.

- Już po wszystkim - odrzekł Paul Hjelm i opowiedział mu całą historię, od a do zet. Spędził u Palmberga ładnych parę godzin. Mężczyzna słuchał go z uwagą, czasem wtrącał jakieś pytanie uzupełniające, zwłaszcza gdy odkrył jakąś lukę w wywodzie albo trafił się jakiś naprędce opowiedziany fragment. Było tego całkiem sporo.

- Jasna cholera - odezwał się elektroniczny głos, gdy już skończył opowiadać. - Można by pomyśleć, że sam to wszystko wymyśliłeś.

- Zajrzałem w swoje serce - powiedział Hjelm i zaśmiał się.

Jeszcze przez godzinę słuchali Theloniousa Mońka. Palmberg zwrócił mu uwagę na kilka niuansów w *Misterioso*.

Potem Hjelm wrócił na komendę, zostawił samochód i pojechał metrem do domu w Norsborgu. Na stacji Centrum o sprawie krzyczały nagłówki wieczornych gazet.

- Łowca Rekinów zatrzymany. Imigrant z policji bohaterem w nocnym dramacie zakładników.

Zaśmiał się na całe gardło, stojąc na środku zatłoczonego peronu.

Role się odwróciły, pomyślał i wszedł do wagonu.

Usiadł przy grupce osób, które wyglądały na kolegów z pracy. Był ciekaw, czy rozmawiają o morderstwach.

Rozmawiali głównie o pracy w małej firmie dostawczej, o tym, co kto robił z szefem, o podwyżkach rzeczywistych i tych niezrealizowanych, o ludziach, którzy ośmieszyli się w różnych sytuacjach.

Tylko raz wspomnieli o dochodzeniu w sprawie Łowcy Rekinów. Byli zawiedzeni. Mieli nadzieję na międzynarodowy spisek, a tu się okazało, że za wszystkim stoi pracownik banku ze Smalandii, któremu po prostu pomieszało się w głowie. Byli przekonani, że policja się pomyliła. Gdzieś tam czaił się prawdziwy sprawca.

Może i racja, pomyślał Paul Hjelm i zasnął.

33

BYŁ już późny wieczór. Hjelm stał przy oknie w domu w Nors-borgu. Lało bez przerwy. Jakby w szwedzkim klimacie zabrakło miejsca na wiosnę. Jeszcze nie zaczął się czerwiec, a już pachniało jesienią.

Dzieci miały spędzić weekend na działce na Dalaró. Z Cillą. Sam nie miał dokąd jechać. Samotność zatopiała w nim zęby.

Nie przywykł do siedzenia w domu. Tym bardziej że nie było w nim Cilli. Przez dwa miesiące przebywał w zamkniętym pokoju. Nie mógł się teraz odnaleźć. Nie był pewien, czy kiedykolwiek mu się to uda.

Brakowało mu Kerstin. I Cilli.

Pijąc piwo, rozmyślał o tym, że ma przed sobą długie, bardzo długie wakacje. Chwilami wydawało mu się, że to raczej wielka ziejąca pustką dziura. Z pełnych obrotów do kompletnego zastoju - i to szybciej niż w dobę. Trudno mu się było przestawić.

A może w tym roku będzie zupełnie inaczej. Może było coś jeszcze, czym mógłby się zająć. Poza tym dopiero zaczął odczuwać samotność. Na to też musi znaleźć się miejsce.

Skończył piwo i wyszedł do toalety. Sikał w ciemnościach; długo, bardzo długo. Poczł zapach moczu, zaczął dostrzegać wyłaniające się kontury łazienki. Zobaczył się w lustrze; nikła poświata wokół ciemności. Jak kask ochronny.

Czekał, aż z ciemności wyłoni się twarz. Bał się tego, co zobaczy. Nie była to jednak erynia ani Goran Andersson, tylko całkiem zwykła twarz, prosty nos, wąskie wargi, krótko przycięte włosy

koloru ciemny blond i T-shirt. Kilka pierwszych siwych włosów. I pryszcz. Kask znikł. Dotknął ręką policzka. Dawniej, gdy stał przed lustrem, zwykle myślał: żadnych znaków szczególnych, w ogóle żadnych znaków. Teraz miał przynajmniej jeden. Po raz pierwszy na jego widok nie poczuł nienawiści. Znak rozpoznawczy, pomyślał. Przez chwilę zdawało mu się, że pryszcz rzeczywiście ma kształt serca. Z pewnością jednak widział siebie, nie Gorana Anderssona. Przez chwilę spodobało mu się nawet to, co zobaczył. Zamknął oczy i ujrzał wielką ciemność. Poczuł, jak zalewa go fala zmęczenia. Po raz pierwszy od dwóch miesięcy miał chwilę, żeby się nad tym zastanowić. Myślał o Goranie Anderssonie, o cienkiej granicy, która ich oddzielała, i o tym, jak łatwo ją przekroczyć i już nigdy nie wrócić. Jego myśl błądziła gdzieś w otchłaniach wielkiej, pochłaniającej wszystko ciemności. Ale jego tam nie było. Zadzwoił dzwonek do drzwi. Krótki, wyraźny sygnał. Od razu zrozumiał kto to. Kiedy otworzył, stała w deszczu. Miała taki sam wzrok jak wtedy, w kuchni. I potem na pomoście. Wzrok kobiety opuszczonej. Nieskończenie samotnej. A przy tym dużo silniejszy niż jego własny. Wpuścił ją bez słowa. Ona też milczała. Dygotała. Zaprowadził ją do kanapy i nalał whisky. Gdy zbliżała szklanekę do ust, trzęsa jej się ręka. Patrzył na jej wyrazistą, drobną twarz, na którą padało słabe światło. Światło lekko migotało, czuł, że zaraz zgaśnie. Mały, maleńki płomień życia. Pościelił jej na kanapie i poszedł do sypialni. Wszystko musi poczekać. Wkrótce wstanie kolejny dzień. Postawił walkmana na stoliku nocnym, włożył kasetę, wślizgnął się do nieposłanego łóżka i przez sekundę myślał o milionach roztoczy, z którymi dzielił mieszkanie. Każdy człowiek to świat, pomyślał sennie, włożył słuchawki i włączył taśmę.

Kiedy fortepian rozpoczął swoją powolną wędrówkę w górę i w dół, weszła do pokoju. Skuliła się obok niego, przygarnął ją ramieniem. Patrzyli na siebie. Mieli takie same oczy. Ich światy były beznadziejnie odległe. Gdy do fortepianu dołączył saksofon, poczuł jej oddech na piersi.

Misterium zniknęło, została mgła.

Misterioso.

Wspólna wędrówka dobiegła końca. Saksofon odłączył się. Tyle jest w tej muzyce, pomyślał, zapadając w sen. Czuł, że świat przechodzi mu koło nosa. Może czas już go powąchać. Światło było zgaszone. Dotarł do punktu zero. Zostało mu już tylko wyjście.